



Kobieca  
strona  
thrilleru

Zrobię wszystko.  
Nie spocznę...

DOPÓKI  
CIĘ NIE  
ZDOBĘDĘ  
SAMANTHA  
HAYES

Prószyński i S-ka

SAMANTHA HAYES

# DOPÓKI CIĘ NIE

# ZDOBEDE

(Until You're Mine)

Przekład Magdalena Młtzan-Małkowska

TMN

Wydanie polskie: 2013

Wydanie oryginalne: 2013

DOPÓKI  
CIĘ NIE  
ZDOBEDĘ  
SAMANTHA  
HAYES

Przekład  
Magdalena Moltzan-Małkowska

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału  
UNTIL YOU'RE MINE

Copyright © Samantha Hayes 2013

All rights reserved

Projekt okładki  
Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce  
© Laurence Chellali / Arcangel Images

Redaktor prowadzący  
Katarzyna Rudzka

Redakcja  
Anna Sidorek

Korekta  
Małgorzata Denys

ISBN 978-83-7961-486-8

Warszawa 2013

Wydawca  
 Prószyński Media Sp. z o.o.  
ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

# Prolog

Zawsze chciałam mieć dzieci, nawet kiedy byłam mała i nie wiedziałam, skąd się biorą. Doskwierało mi to, odkąd sięgam pamięcią – na kształt choroby, niezdrowej żądz, która wypełniała członki, pulsowała w żyłach i drażniła miliardy zakończeń nerwowych, żądz, która zaćmiewała mi umysł. Nie marzyłam o niczym więcej.

Córeczka. Czy to zbyt wygórowane życzenie?

Dziś wstydzę się na samo wspomnienie. W dzieciństwie zamykałam oczy i z zaciśniętymi zębami i pięściami wzywałam na pomoc czary. Z maminego talku i srebrnego brokatu robiłam czarodziejski pyłek i posypywałam nim Łezkę w radosnym oczekiwaniu, że ożyje. Mój bezbolesny, dziewiczy poród trwał całe trzy minuty.

Tak, dziś chce mi się śmiać. Chce mi się drapać i gryźć.

Pamiętam migotliwy obłok, który smętnie opadał na dywan, gdy trącałam palcem nieruchomą lalkę. Dlaczego nie oddycha? Dlaczego nie ożyła? Dlaczego czarodziejski pyłek albo Bóg czy moja moc – cokolwiek – nie zamieniło jej w prawdziwą dziewczynkę? Wciąż była zimna i plastikowa, jak nieżywa. Płakałam rzewnymi łzami, kiedy leżała sztywno w moich objęciach, zawinięta w kocyk. Co z miłością, którą dawałam jej latami – w ramach najdłuższej ciąży w dziejach ludzkości? Czy to się nie liczyło? Pragnęłam porwać ją ze świata zabawek do prawdziwego życia, być jej mamusią. Czy nie chciała zostać moim dzieckiem? Nie chciała być kochana, karmiona, kołysana i uwielbiana? Czy nie odwzajemniała mojej miłości?

Ponawiałam próbę z magicznym pyłkiem ze sto razy. Zawsze bezskutecznie, na podobieństwo nieudanego in vitro, o którym wówczas nie miałam pojęcia. Przed ukończeniem dwunastego roku życia ukręciłam Łezce głowę i kiedy nikt nie patrzył, wrzuciłam ją do

kominka w dużym pokoju. Kurczyła się, aż nic z niej nie zostało. Oczy stopniały na końcu, wpatrzono we mnie do ostatniej minuty.

Głupi, roztopiony dzidzius.

– Tylko ty możesz dać mi wnuki – powtarzała mama, a policzek drgał jej jak w gorączkowym tańcu. Modliłam się, żeby jej nie zawieść. Mama ciężko znosiła zawód. Życie nie oszczędzało jej rozczarowań i miarka się przebrała.

Starsza siostra mówiła na mnie „Sissy”. Miano przyłgnęło, gdy nie mogła wymówić mojego prawdziwego imienia, i tak już zostało. Dzieli nas tylko półtora roku i jako jedyne żyjące dzieci naszej nadopiekuńczej matki byliśmy bardzo zżyte. Mama osiem razy poroniła, trzykrotnie urodziła martwe dziecko i miała jeszcze syna, który zmarł na zapalenie opon mózgowych w wieku dwóch lat. Byłam najmłodszą – tą, której się udało.

– Ciebie też prawie straciliśmy – przypominała mi mama przy każdej okazji, jakby utrata dzieci stanowiła normę. Siedziała na starej ławie w czerwonej poświacie z kominka, kruszyła tabletki i paliła papierosa za papierosem. Patrzyła w ogień.

Ciągle mówienie o tym, jak przetrwałam wbrew wszelkim przeciwnościom losu, miało podkreślić moją wyjątkowość, jakbym wywinęła się cudem i odczarowała fatum. Chmura magicznego pyłku i oto jestem. Żyję i oddycham.

Z kolei tata był cichym, skromnym człowiekiem, który jadł oparty o zlew, patrzył na trzy kobiety swego życia i mrugał do mnie, gdy poczucie winy wyciskało mi łzy z oczu. Litowałam się nad zmarłymi braćmi i siostrami, jakbym wepchnęła się przemocą i zajęła ich miejsca. Tata dziobał widelcem tłuczone ziemniaki z papierosem wsuniętym za ucho „na potem” i obowiązkową obwódką od pyłu węglowego na szyi. Tata mnie kochał. Głaskał po włosach, kiedy mama nie patrzyła. I umierał, odkąd sięgam pamięcią.

Kiedy jako piętnastolatka zajrzałam do jego trumny, obwódka wciąż okalała mu szyję. Piętno lat spędzonych w kopalni (rak płuc i rozedma na dokładkę, rozgłaszała z dumą mama) to jedyne, po czym go

poznałam. Przed pogrzebem usłyszałam, jak mama mówi cioci Di, że tata poszedł do nieba i znowu stał się niemowlęciem. Mama pasjonowała się ezoteryką i była u medium, jeszcze zanim tata zdążył ostygnąć. Ciocia Diane zwykle ustępowała mamie w czasie jej „huśtawek”, jak je nazywała, dla świętego spokoju. Ale teraz myślę, że robiła to przez wzgląd na mnie i siostrę, żeby stworzyć pozory normalności. „Wasza matka ma nierówno pod sufitem”, powiedziała nam kiedyś. Potem żałowałam, że to nie ona jest naszą mamą.

Później, w kąpielni, posypałam sobie brzuch czarodziejskim pyłkiem, udając, że to prochy taty. Modliłam się, aby przeniknął do środka, stał się dzieckiem i wcale nie umarł. Zawsze marzyłam o tym, aby się kimś opiekować. Pragnęłam tego prawie tak bardzo, jak tego, by ktoś zaopiekował się mną. Lecz najbardziej liczyło się to, żeby mama znów była szczęśliwa, gdyby tata wciąż żył – choćby pod postacią małej dziewczynki.

Dziecko, uznałam, to mój życiowy cel.

# Rozdział 1

Ktoś odpisał na nasze ogłoszenie. – Z lekko zboloną miną podnoszę wzrok znad laptopa. Miałam cichą nadzieję, że nikt się nie odezwie, że jakoś dam sobie radę sama. Komputer parzy mnie w nogi, ale nie chce mi się ruszyć. To praca i termofor w jednym.

– Nie powinnaś trzymać go na kolanach. – James idzie do kredensu i po drodze stuka w monitor. Wyjmuje wok. – Promieniowanie i te rzeczy. – Kocham go za to, że gotuje, że o mnie dba.

– Badania wykazały, że ma wszystko na swoim miejscu. Nic się nie martw. – Mnóstwo razy pokazywałam mu zdjęcia. Jak dotąd nie był ze mną na żadnym USG. – Z wysiłkiem zmieniam pozycję i odkładam laptop na zapadniętą kanapę. – Nie ciekawi cię, kto odpisał na ogłoszenie?

– Jasne, że ciekawi. Powiedz. – James chłapie olej na patelnię. Jest niestarannym kucharzem. Zwiększa ogień i w górę strzela błękitny płomień. James przygryza wargę i wrzuca na olej kawałki kurczaka. Pochłaniacz wsysa dym.

– Niejaka Zoe Harper – mówię, przekrzykując skwierczenie. Ponownie omiatam wzrokiem treść wiadomości. – Ponoć ma mnóstwo doświadczenia i wszystkie odpowiednie kwalifikacje. – Potem do niej zadzwonię, posłucham jej głosu. Muszę okazać zainteresowanie, chociaż myśl o obcej osobie w domu nie budzi we mnie entuzjazmu. James martwi się, jak sobie poradzę podczas jego kolejnego wyjazdu. Oczywiście ma rację. Bez pomocy się nie obejdzie.

Rozmowę o niani nagle przerywa hałas i wrzaski z salonu. Na rozstawionych nogach dźwigam się z sofy i podpieram krzyż ręką. Kiedy James rzuca się na odsiecz, powstrzymuję go ruchem dłoni.



– Nie trzeba, ja pójdę. – Odkąd wrócił do domu, ma mnie za skończoną ofiarę losu. Może dlatego, że przed jego ostatnim wyjazdem nie przypominałam stodoły. – Oscar, Noah, co się dzieje? – Staję na progu salonu. Chłopcy podnoszą na mnie wzrok. Myny mają niewyraźne, chyba przerwałam im zabawę w wojnę. Oscar ma coś żółtego i zaschniętego w kąciku ust. Noah trzyma karabin brata.

Pozwalam im się bawić takimi zabawkami, tylko kiedy James jest w domu. On nie widzi problemu. Resztę czasu spędzają zamknięte w szafie. Pamiętam dyskusję, jaka rozgorzała na ich temat w czasie tamtej okropnej kolacji przed paru laty, krótko po tym, jak poznałam Jamesa. Chciałam, żeby jego znajomi mnie polubili i z nikim nie porównywali, aby wiedzieli, że w kwestii wychowania przyszywanych synów będę się kierować własnymi zasadami.

– Jak chcesz tego uniknąć w przypadku bliźniaków, Claudio? – spytał któryś z uczestników przyjęcia, gdy oznajmiłam, że nie lubię, kiedy dzieci bawią się bronią. Dostyc naogłądałam się w pracy skrzywionych dzieci i wiem, że lepiej podsuwać im inne zajęcia. – To chyba ciężko być matką... wcale nią nie będąc.

Pamiętam, jak bardzo wyprowadziło mnie to z równowagi.

– Chodź tutaj, Os – mówię, po czym robię rzecz nie do pomyślenia: ślinię chustkę i wycieram mu kącik ust. Wyrzywa się. Patrzą na karabin w ręku Noaha. Odebranie mu go spowodowałoby dziką awanturę.

Wtedy tłumaczyłam bez przekonania, że jako macocha bliźniaków, których mama zmarła na raka, mam pełne prawo nazywać się ich matką – ale nikogo to nie obchodziło i prawie mnie nie słuchali.

– James służy w marynarce – usłyszałam własne słowa. – Nic dziwnego, że wojna ich fascynuje... nie unikamy tego tematu, ale... – Twarz mi płonęła i marzyłam, żeby James zabrał mnie do domu.

– Oddaj karabin bratu, Noah. Zabrałeś mu?

Noah nie odpowiada. Podnosi plastikową broń, celuje w mój brzuch i naciska spust. Słysząc cichy stuk „wystrzału”.

– Pif-paf. Dzidzius nie żyje – oświadcza chłopiec i uśmiecha się szeroko.

– Śpią. Tak jakby – mówi James. Ma na sobie ulubiony sweter, z którym śpię pod jego nieobecność, ale James o tym nie wie. Trzyma kieliszek wina. Niektórym to dobrze. Mnie pozostaje herbata miętowa i ból w krzyżu na otarcie łez. I spuchnięte kostki na dokładkę.

Siada obok mnie na kanapie.

– I jak wypadła rozmowa z Mary Poppins? – Otacza mnie ramieniem i owija sobie końce moich włosów na palcach.

Gdy pakował chłopców do łóżek, wyśpiewując pijackim głosem *Janie's got a gun* zespołu Aerosmith i zastępując imię tytułowej bohaterki imionami synów, zadzwoniłam do Zoe Harper, która odpisała na nasze ogłoszenie.

– Chyba... dobrze – mówię dość nonszalanckim tonem, bo wcale się tego nie spodziewałam. – W zasadzie to super. Prawdę powiedziawszy, myślałam, że to kolejna wiedźma. – Sęk w tym, że przerobiłam już dwie opiekunki, które nie do końca stanęły na wysokości zadania. Poza tym chłopcy za nimi nie przepadali, toteż dotąd radziliśmy sobie jakoś z pomocą wyrozumiałych przyjaciół i opieki dziennej, a ostatnio świetlicy. James stanowczo opowiada się za opiekunką na miejscu, a że niedługo mam rodzić, chciałby to jakoś uporządkować. – Ale nie jest – dodaje, patrząc, jak na jego twarzy pojawia się nadzieja. – Wiedźmą, znaczy. – Ze względu na jego kilkutygodniową, a czasem nawet kilkumiesięczną nieobecność oraz moją wymagającą pracę poczucie winy spędzało mi sen z oczu. Chciałam być jak najlepszą matką, ale nie rezygnować z pracy. Była to jedyna rzecz, którą sobie obiecałam na początku naszego związku. Teraz gubi mnie ten przerost ambicji. – Tak, sprawia wrażenie rzeczowej i całkowicie normalnej.

Chwilę siedzimy w milczeniu i trawimy skalę naszej decyzji – samo zamieszczenie ogłoszenia kosztowało nas parę bezsennych nocy. Ale chyba nie wzięliśmy pod uwagę konsekwencji tego kroku: że znowu ktoś z nami zamieszka.

– Boże, ale jeśli okaże się taka jak dwie ostatnie? Chłopcy sobie na to nie zasłużyli. Ani mała. Ani ja. – Zmieniam pozycję i podwijam nogi.

– Kamera? – podsuwa James. Ponownie napełnia kieliszek.

– Daj powąchać. – Przysuwam się bliżej, marzę o łyku.

– Oparę – protestuje James. Odbiera mi kieliszek i nakrywa go dłonią. Ze śmiechem daję mu sójkę w bok. Wiem, że to dla mojego dobra.

– Chcę się sztachnąć. Kamera? Chyba nie mówisz poważnie, co?

– Ależ tak. Wszyscy to robią.

– Uhm, jasne. Przecież to pogwałcenie praw... praw niani, czy coś w tym stylu. Poza tym co miałabym robić? Całymi dniami ślęczyć przed monitorem i patrzeć, jak chłopcy bawią się klockami, a niania karmi małą? Mijałoby się to z celem, prawda?

– No to rzuć pracę – mówi półzartem.

– James. – Nie wierzę, że jeszcze sobie nie odpuścił. – Nie wracajmy do tego. – Lekko ściskam go za kolano; wzrusza ramionami i włącza telewizor, lecz daje za wygraną. Leci *Szpital dziecięcy*. Nie uśmiecha mi się patrzeć na chore dzieci, ale nie mam większego wyboru.

Zastanawiam się nad kamerą. Może to wcale niegłupi pomysł.

Nagle Oscar dla większego efektu staje w drzwiach (ma to opanowane do perfekcji), krew leje mu się z nosa. Nawet nie próbuje zatamować krwotoku. Jego piżamka z Ben 10 przedstawia makabryczny widok.

– Kochany Ossy – mówię. Nie muszę wstawać, James zrywa się z garścią papierowych chusteczek. – Tylko nie to.

James wyciera naszemu synkowi twarz i sadza go na kanapie. Idzie po lód, a Oscar przytula się do mnie. Opiera mi głowę na brzuchu i krew płami mój stary podkoszulek.

– Dzidzius mówi, że cię kocha, Ossy – informuję. Patrzy na mnie wielkimi, niebieskimi oczami, nos ma zakrwawiony. Wraca James z paczką mrożonego groszku. – Ręcznik? – rzucam. Nie chcę kłaść jej bezpośrednio na skórze chłopca. James kiwa głową i wraca do kuchni.

– Jak to możliwe? Wcale mnie nie zna – odpowiada chłopiec nosowym głosem.

– Hm...

Idzie James. Owijam ścierką groszek i kładę go na nosku Oscara,

delikatnie ściskając palcami jego grzbiet. Lekarz mówi, że w razie nawracających problemów konieczna będzie kauteryzacja.

– Ależ kocha, mówię ci. Dzieci przychodzą na świat pełne miłości i twoja siostrzyczka już wie, że ją kochamy.

– Noah jej nie kocha – dobiega spod groszku głos Oscara. – Mówi, że jej nienawidzi i chce zestrzelić ją z planety.

Chociaż to tylko Noah, mój przyszywany syn, wzdrygam się na te słowa.

– Może jest troszkę zazdrosny, nic więcej. Dzidzius się urodzi, to mu przejdzie, zobaczysz. – Podchwytyuję wzrok Jamesa i oboje krzywimy się na myśl o przyjemnościach, jakie czekają nas z trójką malców poniżej piątego roku życia. Potem znów zaczynam się martwić nianią. Może byłoby łatwiej, gdybym jednak rzuciła pracę. – Sprawdźmy, jak tam twój nos.

Zdejmuję groszek i odlepiam przesiąkniętą chusteczkę. Wygląda na to, że krwotok ustał.

– Jak już mówiłam – podejmuję, kiedy Oscar wraca do łóżka – Zoe Harper sprawia bardzo... miłe wrażenie. – Nie znajduję innego określenia. – Nie, serio. – Śmieję się na widok miny Jamesa. – Boże, sama nie wiem. – Przesuwam dłońmi po brzuchu. – Podobno pracowała w Dubaju i w Londynie.

– Ile ma lat? – Od Jamesa pachnie winem. Mam ochotę go pocałować.

– Chyba trzydzieści parę. Nie pytałam.

– No ładnie. Może dwanaście.

– Trochę wiary, James. Nie bój się, przemagluję ją i wywrócę na lewą stronę. Nie wie, co ją czeka.

– Po prostu nie rozumiem, czemu chcesz w ogóle wrócić do pracy. Przecież pieniędzy nam nie brakuje.

Wybucham śmiechem, nie mogę się powstrzymać.

– James. – Przysuwam się i przywieram do jego boku, a potem całuję w szyję. – Od początku jasno stawiałam sprawę. Chcieliśmy mieć dziecko, ale tak się składa, że przy okazji kocham moją pracę. Czy to

samolubne, że nie chcę z niczego rezygnować? – Znów go całuję, na co odwraca się i odwzajemnia pocałunek, ale to dla nas ciężka próba. Wie, na czym stoję. I że ściśle przestrzegam zaleceń lekarza. – Jeśli zrezygnuję na dobre, wydział diabli wezmą. I tak mamy za mało ludzi.

– Myślałem, że Tina opanowała sytuację.

Potrząsam głową z nerwowym uciskiem w żołądku.

– Podzielili się moimi sprawami na czas urlopu macierzyńskiego, ale chcę wrócić, jak tylko się tu ogarniemy. Jeśli popracuję do porodu, będę miała więcej czasu dla małej.

Wyczuwając napięcie, James ujmuję moją twarz i całuje mnie w usta. Więcej o tym nie wspomnę, mówi pocałunek. I co ważniejsze, nie będę naciskał na seks.

– W każdym razie Zoe Harper, nasza niania *extraordinaire*, wpadnie jutro o jedenastej na kawę – uzupełniam z uśmiechem.

– Dobrze. – James przełącza na Sky News. Przegląda doniesienia giełdowe i zaczyna narzekać na emeryturę i lokaty. Nie wybiegam tak daleko w przyszłość: starość, emerytura, życie z pieniędzy Jamesa. Chcę doczekać porodu, urodzić dziecko, stworzyć rodzinę. Wreszcie stać się prawdziwą matką.

## Rozdział 2

Spóźnię się. Mimowolnie marszczę brwi, kiedy zimne powietrze szczypie mnie w twarz. Nie mogę sobie pozwolić na spóźnienie. Bardzo zależy mi na tej pracy, więc powinno się udać. Boże, nikt nie ma pojęcia, jak zależy mi na pracy u Jamesa i Claudii Morgan-Brown. Muszę dojechać do ich wielkiego domu w Edgbaston na czas, niech mnie wezmą w obroty. Mocniej naciskam pedały. Przyjadę czerwona i spocona jak mysz. Kretyński pomysł z tym rowerem. Chciałam ich olśnić swoim zacięciem do rekreacji, upodobaniem do ekologicznych środków transportu i zamiłowaniem do natury, które ani chybi wpoję ich dzieciom. A może wezmą mnie za idiotkę, która pcha się na rozmowę kwalifikacyjną na dwóch kółkach?

– St Hilda’s Road – powtarzam pod nosem, śledząc mijane tablice. Wyciągam rękę, że chcę skrócić w prawo i rower chybotrze się przede mną. Jestem na środku ulicy i ktoś na mnie trąbi. – Przepraszam! – krzyczę, chociaż w takiej dzielnicy to chyba niewskazane.

Podjeżdżam do krawężnika i wyciągam kartkę z kieszeni. Sprawdzam adres i jadę dalej. Już wcześniej domy były spore, ale na St Hilda’s Road są po prostu ogromne. Po obu stronach wysadzonej drzewami alei wznoszą się okazałe budowle w stylu georgiańskim. Posiadłości, jak nazwałby je agent nieruchomości.

Podobnie jak pozostałe, dom Jamesa i Claudii to zabytkowa willa, której dolna część tkwi w uścisku dorodnego winobluszczu. Żadna ze mnie ogrodniczka, ale pamiętam go z rodzinnego domu, na oko ze dwadzieścia razy mniejszego niż to, co mam przed sobą. Na pnączu uchowało się parę szkarłatnych liści, chociaż mamy połowę listopada. Wprowadzam rower przez wielką bramę z kutego żelaza. Żwir chrzęści

pod nogami. Czuję się jak na patelni.

Rezydencja Morgan-Brownów to symetryczny dom z czerwonej cegły. Otoczone kamiennym portykiem drzwi wejściowe pomalowano na lśniąca zielen. Po obu stronach imponującego wejścia widnieją duże witrażowe okna. Nie wiem, co począć z rowerem. Położyć go na żwirze u stóp schodów? Zepsułyby harmonię klombów w kształcie diamentów oraz schludnych kwadratów trawnika. Rozglądam się wokół. Tuż przed bramą rośnie drzewo. Szybkim krokiem wracam na ulicę. Korzenie wyłażą spod ziemi, a pień jest za gruby, żeby go opasać łańcuchem. Idę dalej i widzę drugi, mniejszy podjazd z boku domu, prowadzący do potrójnego garażu. Niepewnie wracam na teren posiadłości z niemiłym poczuciem, że z okien śledzą mnie dziesiątki oczu, a mieszkańcy pękają ze śmiechu na widok moich niezdarnych poczynań.

Nadal nie wiem, co zrobić z rowerem. Jak na zapaloną rowerzystkę, podejrzanie trąci nowością. Chcąc nie chcąc, postanawiam zostawić go pod ścianą z boku domu. Staram się nie zarysować przy tym wielkiej terenówki i bmw, zaparkowanych obok siebie.

Biorę głęboki oddech i przyglądam włosy. Rękawem wycieram pot z czoła. Wracam do drzwi wejściowych i trzy razy stukam wielką kołatką w kształcie odwróconej ryby. Celuje we mnie otwartym pyskiem.

Nie muszę długo czekać. Drzwi otwiera kilkuletni chłopczyk, powoli, z wysiłkiem. Jest tak blady, że wydaje się niemal przezroczysty, ma rozczochrane, mysie włosy i sięga mi mniej więcej do biodra. Domyślałam się, że to jeden z moich podopiecznych. Ponoć ma brata bliźniaka.

– Czego? – pyta niegrzecznie.

– Witaj. – Kucam, jak na nianię przystało. Uśmiecham się. – Mam na imię Zoe i przysłałam do twojej mamusi. Jest w domu?

– Moja mamusia jest w niebie – odpowiada i próbuje zatrzasnąć drzwi. Mogłam przynieść cukierki czy coś.

Zanim staję przed dylematem, czy wepchnąć się bezceremonialnie, ryzykując utarczkę z malcem, czy może ponownie zastukać do drzwi,

staje nad nami piękna kobieta. Wielki brzuch rozpycha jej czarną, rozciągliwą bluzkę. Zawisł na wysokości mojej twarzy. Nie mogę od niego oderwać oczu.

– Ty pewnie jesteś Zoe – mówi. Głos ma równie urzekający, jak całą postać. Kiedy się uśmiecha, delikatne zmarszczki rozchodzą się promieniście od kącików oczu, a w policzkach zakwitają dołeczki. Sprawia wrażenie najmilszej kobiety na świecie.

Wstaję i wyciągam rękę.

– Tak. Pani Morgan-Brown?

– Claudia, bardzo proszę. Wejdz. – Uśmiecha się przyjaźnie.

Ustępuję mi z drogi i wchodzę do środka. Pachnie kwiatami – na stoliku w przedpokoju stoi wazon z liliami – ale dominuje zapach przypalonych grzanek.

– Chodźmy do kuchni. Zaparzyłam kawę. – Podążam za uśmiechem Claudii i jej brzuchem. Malec, który otworzył drzwi, drepcze między nami i łypie na mnie z ukosa, kiedy idziemy po biało-czarnej szachownicy podłogi. Za paskiem ma plastikowy pistolet.

Wchodzimy do kuchni. Jest ogromna.

– Kochanie, przyszła Zoe.

Mężczyzna wygląda zza gazety. Przystojny, jakżeby inaczej.

– Cześć – silę się na wesoły ton.

Następuje chwila wahania.

– Cześć, jestem James. Miło cię poznać. – Podnosi się na chwilę i podaje rękę.

Claudia wręcza mi kawę z błyszczącej maszyny, która sprawia wrażenie strasznie skomplikowanej – jeśli dostanę tu pracę, z pewnością będę musiała ją obsługiwać. Biorę łyk i rozglądam się dyskretnie, usiłując nie wytrzeszczać oczu. Kuchnia robi wrażenie. Tam, gdzie mieszkam... gdzie już prawie nie mieszkam... kuchnia jest wielkości kredensu. Nie ma miejsca na zmywarkę ani gadżety, ale w końcu co to za problem umyć dwa talerze i garnek.

To wewnątrz jednak zapiera mi dech w piersi. Przez wielkie okna za podwójnym zlewem widać ogród w rozmiarach znacznie



wykraczających poza miejskie standardy. Kremowe szafki otaczają nas z trzech stron, a na ścianie kominkowej pyszni się piec retro, okazały i kosztowny. Drewniane blaty w identycznym miodowym odcieniu co podłoga nadają całości rustykalny wygląd. Na jednym końcu pomieszczenia, opodal sosnowego stołu, ustawiono starą, zapadniętą kanapę, zarzuconą poduszkami i przykrytą nieco przybrudzoną narzutą. Jest usłana klockami Lego.

James składa gazetę i się przesuwa. Siadam obok niego. Pachnie mydłem. Nie zostało miejsca dla Claudii, ale bierze sobie krzesło od stołu.

– Lepiej usiądę tutaj – zauważa. – Z kanapy trzeba mnie podnosić dźwigiem.

Chwila milczenia.

Pod naszymi nogami bawią się dwaj chłopcy. Identyczni jak dwie krople wody. Wyrywają sobie zabawkę.

– Oskarże – mówi ze znużeniem James. – Oddaj bratu.

Nie rozumiem dlaczego. Miał ją pierwszy.

– No tak – mówię, kiedy cichnie wrzawa. – Pewnie chcecie zapytać o moje doświadczenie. – Mam gotową odpowiedź, wykułam ją na blachę. Począwszy od koloru oczu ostatnich chlebodawców, aż po pojemność silnika ich samochodu. Zielonkawobrazowe oraz dwa i pół litra. Jestem przygotowana na wszystko.

– Dla ilu rodzin pracowałaś? – pyta Claudia.

– W sumie dla czterech – odpowiadam gładko. – Najkrócej trzy lata. Odeszłam, bo wyjechali do Teksasu. Mogłam jechać z nimi, ale wolałam zostać w Anglii.

Świetnie. Claudia jest pod wrażeniem.

– Dlaczego zrezygnowałaś z ostatniej posady? – włącza się James. Po raz pierwszy okazał zainteresowanie. Pewnie pozostawia decyzję żonie, aby w razie czego nie miała do niego pretensji o zły wybór.

– Ach – mówię lekko. – Dzieci w końcu dorastają i niania zostaje na lodzie.

Claudia się śmieje, ale James nie.

Rano ubrałam się z rozmyślną powściągliwością: wygodne spodnie ze zwężanymi nogawkami w kolorze rdzy, idealne do jazdy na rowerze, a do tego szary podkoszulek i żółty, rozpinany sweterek. Krótkie, lekko zmierzwione włosy – modne, ale bez przesady. Żadnych pierścionków, tylko srebrny łańcuszek z serduszkami. Dostałam go w prezencie. Wyglądam ładnie. Ładnie i swojsko.

– Z Kingsleyami spędziłam pięć lat. Kiedy zaczynałam, Beth i Lilly miały odpowiednio dziesięć i osiem lat. Kiedy młodsza w wieku trzynastu lat wyjechała do szkoły z internatem, przestali mnie potrzebować. Pani Kingsley, Maggie, mówiła, że dla takiej niani byłaby skłonna urodzić trzecie dziecko. – Celowo rzucam imię, bo Claudia chyba to lubi. Ceni sobie zażyłość.

Kładzie ręce na wydatnym brzuchu... ja tego nie zniosę.

– Jak długo byłaś bezrobotna? – pyta bez ogródek James.

– Nie nazwałabym tego w ten sposób. Latem opuściłam dom Kingsleyów. W ramach prezentu pożegnalnego wzięli mnie ze sobą na południe Francji, a następnie odbyłam we Włoszech krótki, ale intensywny kurs w placówce montessoriańskiej.

Czekam na ich reakcję.

– Och, James. Zawsze powtarzałam, że powinniśmy zapisać chłopców do szkoły montessoriańskiej.

– To było niezwykle miejsce – uzupełniam. – Nie mogę się doczekać, kiedy zastosuję nabytą wiedzę w praktyce. – Muszę pamiętać, aby poczytać sobie o tej metodzie.

– Sprawdzi się przy dwójce czteroletnich gangsterów? – pyta z uśmiechem James.

Mimowolnie parskam śmiechem.

– Na pewno. – Po czym, jak na zawołanie, zostaję obsypana garścią kredek świecowych. Mało nie podskakuję ze strachu. – Hej, chcesz mnie pokolorować? – Bliźniak, który mi otworzył (poznaję po zielonej koszulce), syczy na mnie przez zaciśnięte zęby. Łapie kolejne kredki z podłogi i znowu rzuca.

– Uspokój się, Noah – mówi ojciec, ale chłopiec nie zwraca na niego

uwagi.

– Masz kartkę? – pytam, ignorując piekący policzek.

– Bardzo cię przepraszam – wtrąca Claudia. – Gangsterzy to za dużo powiedziane, ale są trochę rozbrykani. Zresztą tylko Noah czasem sprawia kłopoty.

– Komplikacje porodowe – dodaje cicho James, gdy chłopcy kłócą się o to, który przyniesie blok.

Wyczekująco patrzę na Claudię, chociaż z góry znam odpowiedź.

– Nie moje komplikacje – zaczyna, czule przesuwając ręką po brzuchu. I dorzuca szeptem: – Chłopcy nie są moimi dziećmi. To znaczy są, naturalnie, ale nie jestem ich biologiczną matką. Powinnaś to wiedzieć.

– Ach tak. Rozumiem. Jasne.

– Moja pierwsza żona zmarła na raka, kiedy chłopcy mieli dwa miesiące. Pojawił się nie wiadomo skąd i ją zabrał. – Unosi rękę na widok mojej przerażonej miny. – Nie trzeba. Było, minęło.

Ograniczam się do współczującego zaciśnięcia ust i z szacunkiem opuszczam wzrok. Tyle wystarczy.

– Hej, dobrze się spisałeś – mówię, kiedy Noah przybiega do mnie z blokiem rysunkowym. – A teraz na wyścigi pozbierajcie kredki z podłogi. Wygra ten, który zbierze więcej. Potem urządzimy konkurs na mój najlepszy portret, dobrze?

– Dobrze! – wykrzykuje Oscar. Z przejęcia podskakuje jak piłka i różowieją mu policzki.

Noah zastyga i wpatruje się we mnie przez chwilę – aż ciarki przechodzą – po czym ze spokojem wrywa kartkę z bloku.

– Dla ciebie, Oscar. – I podaje ją bratu.

– Grzeczny chłopiec – mówię. – A teraz zmykajcie i wróćcie, kiedy skończycie!

Bliźniacy człapią w swoich niedorzecznych kapciach – to jakieś postaci z kreskówki – i zasiadają przy stole z kredkami. Oscar prosi brata o niebieską, a Noah mu ją podaje.

– Nie do wiary – mówi z podziwem James.

– Zwykle odwrócenie uwagi z domieszką zdrowej rywalizacji.

– Szukamy kogoś, kto będzie z nami mieszkał od poniedziałku do piątku, Zoe. Czy byłoby to dla ciebie kłopotliwe? – Policzki Claudii przybierają koralowy odcień, jakbym rozmasowała na nich palcem róż. Ciężowe uderzenia gorąca.

– Wcale. – Myślę o mieszkaniu i wszystkim, co się tam znajduje. Potem wracam myślami do tego domu. Serce trzepocze mi w piersi i biorę głęboki oddech. – Doskonale rozumiem, dlaczego w tygodniu potrzebujesz kogoś na okrągło. – Z nieba spadło mi to ogłoszenie.

– Ale w weekendy mogłabyś wracać do domu – uzupełnia.

Ściska mnie w żołądku, ale nie okazuję rozczarowania. Muszę dopasować się do ich oczekiwań.

– Mogę zniknąć w piątkowy wieczór i pojawiać się w poniedziałek rano. Ale w razie czego weekendy też nie stanowią problemu, gdybyś mnie potrzebowała. – Mam nadzieję, że to zadowalająca odpowiedź. W praktyce ten układ się nie sprawdzi. Wierzę w Opatrzność.

– Patrz! – krzyczy Noah. I pokazuje mi z daleka swoją kartkę.

– O, nie pokazuj, aż skończysz – odpowiadam, po czym zwracam się z powrotem do jego rodziców. – Przyjmując posadę, lubię stać się częścią rodziny, a zarazem zachować dystans, jeśli wiecie, co mam na myśli. Jestem, kiedy mnie potrzebujecie, znikam, kiedy nie.

Claudia z aprobatą kiwa głową.

– Dużo czasu spędzam na morzu – informuje James. Całkiem niepotrzebnie. – Jestem oficerem marynarki. Pływam na łodzi podwodnej. Będziesz miała do czynienia głównie z Claudią.

*Będziesz miała do czynienia...* jakbym już dostała tę pracę.

– Chcesz rozejrzeć się po domu? Zobaczyc, w co się pakujesz? – Claudia wstaje i zwyczajem ciężarnych podpira krzyż. Starannie omijam wzrokiem jej brzuch.

– Pewnie.

Schodzimy na dół i Claudia pokazuje mi kolejne pokoje. Wszystkie urządzone z przepychem, a niektóre wyglądają na kompletnie nieużywane.

– Rzadko z niej korzystamy – mówi, jakby czytała w moich myślach, kiedy wchodzimy do jadalni. – Tylko w Boże Narodzenie, na specjalne okazje. Gdy przychodzą znajomi, przeważnie jemy w kuchni. – W pokoju panuje chłód; przy długim, lśniącym stole ustawiono dwanaście rzeźbionych krzeseł. Jest też zdobiony kominek z misternym gzymsem oraz wiszący pośrodku żyrandol w odcieniach zgaszonego fioletu. Jadalnia jest cudna, ale niezbyt przytulna.

Ponownie przecinamy szachownicę podłogi w korytarzu.

– Chłopcy rzadko zagląдают do tego pokoju. – Chyba chciała powiedzieć, że im nie wolno.

Pokazuje mi salon z wystawnymi kremowymi sofami. Żadnego telewizora, tylko stare obrazy na ścianach, antyczne stoły pod szkłem i ustawione na nich lampy. Widzę oczyma wyobraźni, jak bliźniacy w zabłoconych butach skaczą z kijami po kanapach, tłuką bibeloty i niszczą drogocenne płótna. Powstrzymuję uśmiech.

– A tutaj oglądamy telewizję – dodaje Claudia, kiedy przechodzimy do następnego pomieszczenia. – Przy zapalonym kominku robi się miło i przytulnie. – Otwiera drzwi, a ja zaglądam do środka. Widzę wielkie, fioletowe sofy i puszysty dywan. Na jednej ścianie regały uginają się pod ciężarem książek. Wyobrażam sobie, że tu siedzę i czytam chłopcom w oczekiwaniu, aż Claudia wróci do domu, przygotowuję jej kąpiel, myślę o dacie porodu. Będę wymarzoną nianią.

– I pokój do zabawy. – Przystaje z ręką na kłamce. – Na pewno chcesz zajrzeć? Zwykle mają tam chlew.

– Bardzo ładny. – Mijam Claudię i wchodzę. Tu muszę zabłysnąć. – Wspaniały. Macie mnóstwo lego. Uwielbiam klocki. Ile książek! Przywiązuję dużą wagę do tego, aby czytać moim dzieciom co najmniej trzy razy dziennie. – Muszę uważać. Claudia patrzy na mnie tak, jakbym była zbyt doskonała.

Na piętrze sypialnie otaczają centralnie usytuowany hol. Zaglądam do pokoju gościnnego, po czym Claudia pokazuje mi pokój chłopców. Mają wspólny. Panuje tu nienaganny porządek. Dwa pojedyncze łóżka z czerwoną i niebieską narzutą, duży dywan z nadrukiem

przedstawiającym szare ulice i płaskie domy, a w rogu dwie klatki, pewnie z myszkami albo chomikami.

– Mamy sprzątaczkę, która przychodzi trzy razy w tygodniu. Nie musisz zwracać sobie głowy sprzątaniami.

Kiwam głową.

– Nie mam nic przeciwko drobnym obowiązkom, przy czym wolę poświęcać czas dzieciom.

– Chodźmy obejrzeć twoje pokoje.

*Twoje pokoje.*

Pokonujemy kolejne schody i wchodzimy na samą górę. To nie strych w rodzaju zwykłej graciarni, tylko eleganckie wnętrze ze skosami, belkami i rustykalnym umeblowaniem. Na niewielkim podeście stoi wysłużona, pomalowana na biało skrzynia. Na podłodze leży sznurkowy chodnik, a na drzwiach wiszą serca z pozszywanych łątek.

– Są tu trzy pomieszczenia. Mała sypialnia, salonik i łazienka. Oczywiście możesz jeść z nami w kuchni. Czuj się jak u siebie.

*U siebie.*

– Przepięknie – mówię. – I swojsko. – Poddasze wygląda jak żywcem wyjęte z magazynu wnętrzarskiego i jeśli mam być szczerą, jest kompletnie nie w moim stylu.

– Będziesz miała trochę spokoju. Zabronię chłopcom tu wchodzić.

– Ach, niepotrzebnie. Będziemy się tu świetnie bawić.

Raz jeszcze oglądam pomieszczenia, wchodzę do każdego jak podekscytowane dziecko. W sypialni jest ukośny sufit i okienko z widokiem na ogród, a w łazience stoi wanna z rozkładaną ścianką oraz staroświecki sedes.

– Cudownie – powtarzam. Chcę dać do zrozumienia, że mi się podoba, nie zdradzając przy tym swojej rozpaczliwej sytuacji.

Po powrocie do kuchni, gdzie James znów siedzi z nosem w gazecie, Claudia wręcza mi listę na dwie strony.

– Przeczytaj na spokojnie i weź ją pod rozwagę – prosi. – To lista twoich obowiązków i rzeczy mile widzianych. Niemile widzianych

również.

– Świetnie – odpowiadam. – Żeby nie było nieporozumień – dodaję. Choćby sporządziła ze sto list z zasadami, wszystko i tak wyjdzie w praniu. – Jestem otwarta na wszystkie sugestie ze strony chlebobawców. Lubię umawiać się z rodzicami na cotygodniowe rozmowy na temat postępów dzieci i tak dalej.

Bliźniacy wyrastają obok mnie jak dwa rozochoczone teriery.

– Zobacz mój, zobacz mój!

– Nie, mój!

– Patrz, co narobiłaś – mówi ze śmiechem Claudia, po czym nagle podpira ręką krzyż. Z grymasem opiera się o blat.

– Wszystko w porządku, skarbie? – James chce wstać, ale Claudia powstrzymuje go ruchem ręki i rzuca bezgłośnie „Nic mi nie jest”.

– Co my tu mamy? Hmm. Na tym obrazku wyglądam jak łysy kosmita z różowymi ustami. A na tym chyba jestem pół człowiekiem, pół koniem z grzywą do ziemi.

– Niiieee! – krzyczą chórem chłopcy. Chichoczą i Noah popycha Oscara. Ale nie ustępuje. – Który, który jest ładniejszy?

– Oba są wspaniałe. Macie fantastyczny talent i obaj wygraliście. Mogę je zatrzymać?

Chłopcy z przejęciem kiwają głowami i rozdziawiają usta, ukazując małe ząbki. Odbiegają w podskokach i słyszę, jak wysypują w sąsiednim pokoju całe pudło klocków.

– Zrobiłaś furorę – oznajmia Claudia. – Masz jakieś pytania?

– Tak – odpowiadam i mimowolnie patrzę na jej brzuch. Jakby ktoś przełączył moje serce na wysokie obroty. – Na kiedy masz termin?

To pytanie dręczyło mnie od początku.

## Rozdział 3

Detektyw inspektor Lorraine Fisher jeszcze nigdy nie wymiotowała w pracy. Oparta o ścianę, wytarła usta wierzchem dłoni. Chustki nie miała.

– Kim pan jest? – zapytała mężczyznę sterczącego w ciasnym korytarzyku mieszkania. W gardle wciąż ją paliło.

– Złoży pani oświadczenie na wyłączność, pani detektyw? Prowadzicie śledztwo w sprawie morderstwa? – odparł.

– Zabrać go stad, durnie, to miejsce zbrodni – warknęła do współpracowników.

Nastąpiło małe zamieszanie i dziennikarz się zdematerializował.

Lorraine poczuła kolejną falę mdłości, wiedziała jednak, że żołądek ma pusty. Nie zdążyła zjeść śniadania, ominęła lunch i przypuszczalnie nie zje kolacji. Nawet tamtą paczkę chipsów szlag trafił.

– W życiu czegoś takiego nie widziałam – mruknęła i uniosła rękę do czoła, ale zaraz ją opuściła, bo ci, którzy jej nie znali, mogli błędnie odczytać ten gest. Przez dwadzieścia lat służby nie widziała nic równie makabrycznego. Jako kobieta – i jako matka – była wstrząśnięta do głębi. Ponownie nasunęła na twarz białą maskę i zaczerpnęła tchu – po części dla dodania sobie odwagi, a po części, żeby nie wdychać smrodu rozkładu, wypełniającego małą łazienkę.

Wszystko rozegrało się tutaj, od razu to zobaczyła. W pozostałej części mieszkania nie było krwi. Widniała za to na ceramicznych kafelkach, niegdyś białych i zagrzybionych wzdłuż krawędzi wanny – tu i ówdzie różowoczerwona, gdzie indziej ciemnoczerwona, prawie brunatna, rozmazana po glazurze niczym ekscentryczny bohomaz w dziale sztuki współczesnej galerii Tate.



Jezu Chryste... co tutaj zaszło?

W umywalce leżały młotek z pazurem i nóż z zestawu, który widziała w kuchni. Oba zakrwawione. Z kranu nad wanną co parę sekund kapiała woda, rozrzedzając krew w jednym końcu. Leżąca w środku kobieta była półnaga. Nie wyjęto korka. Delikatną skórę sinego, martwego dziecka znaczyły cętki. Miało sińce na barkach, za które przypuszczalnie wyciągnięto je z brzucha matki.

Je? – zreflektowała się Lorraine. To chłopiec, upomniała się w duchu. Mały, nowo narodzony chłopiec.

Pomyślała o własnych dzieciach i zerknęła na zegarek. Stella miała następnego dnia egzamin z fortepianu, który ostatnio zaniedbała.

Dobrze, trzeba zmusić umysł do skupienia na prozaicznych codziennych sprawach.

Nie mogła zapomnieć o Grace i jej cholernych egzaminach. Część przypadła po świętach i Lorraine nie miała pojęcia, czy córka nadażę z nauką. Wpatrzona w wannę zanotowała w pamięci, żeby to sprawdzić. Przed oczami stanęła jej wizja córek we wczesnym dzieciństwie. Już dobrze, pomyślała. Nic mi nie jest... ja tylko szukam punktu oparcia w tym porąbanym świecie. Ale poczuła się nieswojo, że myśli o rodzinie w miejscu, gdzie jakiś potwór zrobił coś tak straszego.

Kobieta była młoda, na oko dwudziestokilkuletnia, jednakże wiek mógł budzić wątpliwości. Rozcięto jej brzuch – Lorraine musiała przyznać, że dość sprawnie – od mostka do kości łonowej, i zwiotczała, pofałdowana skóra teraz wisiała luźno. Słodkawy zapach płynu owodniowego mieszał się z metaliczną wonią krwi, ale mdlący smród wynikał głównie z rozkładu. Zatkany odpływ umożliwił ustalenie składu płynu zalegającego na dnie wanny. Niebawem pojedzie do analizy.

– Obląby egzamin – rzuciła przez ramię Lorraine. Zauważyła detektywa Ansleya, który trząśł się w progu z ręką przy ustach. – Spójrz, ciął w złą stronę. – Narysowała palcem w powietrzu kreskę nad ciałem. – Moja blizna jest o wiele niżej. – Odczuła pokusę, aby dotknąć miejsca, przez które Stella i Grace gładko wyszły na świat, ale się

powstrzymała.

Popatrzyła na twarz denatki. Stężała w wyrazie cierpienia, z wywieszonym, przygryzionym językiem. W zaciśniętych dłoniach tkwiły kłęby włosów, które musiała wyrwać z bólu. Ostatnim chwilom jej życia towarzyszyła zgroza i śmiertelny strach.

– Co o niej wiemy? – Lorraine zawróciła do drzwi. Musiała stąd wyjść. Ciasna łazienka przyprawiała ją o klaustrofobię.

– Sally-Ann Frith – odparł Ainsley. – Samotna matka. Znaczy, byłaby samotną matką – uściślił. – Nie wiemy, z kim się spotykała ani kto jest ojcem dziecka. Sąsiedzi wspomnieli o dwóch mężczyznach, którzy ją czasem odwiedzali. Ponoć zdarzały się krzyki.

– Przyduś sąsiadów. Chcę mieć zeznania wszystkich mieszkańców – powiedziała Lorraine i włożyła lateksowe rękawiczki. Powoli obeszła ciasny pokój dzienny, omiatając wzrokiem poszczególne sprzęty. Kanapa we wzorki, stary telewizor, lampa, kominek z paroma fotografiami na gzymsie. Beżowa wykładzina, gdzieniegdzie poplamiona. Nic przykuwającego uwagę. W rogu stało biurko z laptopem, a na nim papiery i podręczniki. – Zdaje się, że studiowała – dorzuciła. Zerknęła na tytuły książek. – „Podstawy księgowości firm” – przeczytała. – Fascynujące.

– Ray... – rozległ się czyjś zaafcerowany głos. – Przyjechałem, jak mogłem najszybciej.

Lorraine zastygła, ale tylko na chwilę. Odwróciła się, żeby go powitać.

– Cześć, Adam – rzuciła z rezygnacją. Miała cichą nadzieję, że przyślą kogoś innego. Prowadzenie sprawy przez męża oznaczało dodatkowe trudności. – Nie nazywaj mnie tak, z łaski swojej.

– Wybacz, Lorraine – odparł. Doskonale wiedział, że nie znosiła, kiedy ją tak nazywał, w pracy czy poza nią. – Wiemy, co się tu stało? – Podszedł, jakby nieświadomy jej napięcia. Pożyczył sobie jej nowy płyn pod prysznic. Nos jej nie mylił.

– Martwa kobieta w wannie. Ciężarna.

Adam pomaszerował do łazienki, a ona ostrożnie przejrzała teczki

na biurku. W większości nic specjalnego, zwykle notatki, ale jedna różniła się od pozostałych. Jasnoszara, z wydrukowaną srebrną czcionką nazwą przychodni Willow Park. Ponad napisem widniała rycina przedstawiająca granatową wierzbę, logo placówki. Lorraine usłyszała, jak Adam dławi się w łazience.

Otworzyła teczkę. Pierwsza strona zawierała ogólne informacje na temat Sally-Ann. Data urodzenia, numery telefonów, najbliższy krewny – niejaki Russ Goodall, przy czym zauważyła, że poprzednie nazwisko zamazano czarnym długopisem tak dokładnie, że nie dało się go odczytać. Były chłopak? Ojciec?

Na kolejnych stronach znajdowały się wykresy oraz szczegóły na temat ciąży – waga, ciśnienie, wyniki badań moczu. Na oko w granicach normy. Był listopad, a zapiski rozpoczęto pod koniec kwietnia, najprawdopodobniej w czasie pierwszej wizyty u ginekologa. Za dwa tygodnie miała rodzić.

Wrócił Adam, spocony i blady jak ściana.

– Jezu.

– No – odpowiedziała beznamiętnie. To już nieważne. Nie miało znaczenia. Oni mieli córki, dom, pracę. Nic im nie groziło.

– Przepraszam za tamto, Ray – dorzucił Adam. Usłyszała, jak głośno przetyka ślinę. Pozieleniał na twarzy.

– Uhm – mruknęła i sprawę awantury przy śniadaniu uznała za zamkniętą. Poszło o jakąś bzdurę, spowodowaną przez braki w rodzinnej logistyce i zwykłą zazdrość. – Studiowała księgowość – dodała. Nawet nie chciało jej się besztać go za to, że znów nazwał ją „Ray”. – Lat dwadzieścia cztery. Najbliższy krewny to niejaki Russ Goodall. – Pojadę do przychodni. – Sięgnęła po teczkę.

– Czemu ktoś zrobiłby coś takiego ciężarnej? – Adam potrząsnął głową i przeniósł wzrok za okno.

W domu naprzeciw kobieta ścieliła łóżko w pokoju na piętrze, udając, że nie zwraca uwagi na samochody policyjne i taśmę broniącą wstępu na miejsce zbrodni. Trzeba z nią porozmawiać, pomyślała Lorraine. Miała dobry widok.

– Ktoś próbował przeciąć pępowinę. Widziałeś?

Adam przytaknął. Nie miał zdrowia do takiego bajzlu. Wiedziała, że będzie musiał przebiec co najmniej osiem kilometrów, żeby to wyrzucić z głowy.

– Może zaczęła rodzić, pojawiły się komplikacje i osoba jej towarzysząca postanowiła strugać bohatera i przeprowadzić cesarkę – podjęła Lorraine. Adam podniósł jedną z kartek ustawionych na parapecie. – Nie udało się, więc stchórzyła i uciekła.

– Spójrz na to.

– „Powodzenia! Wszystkiego najlepszego, Russ”. – Lorraine westchnęła. – Niewątpliwie ten sam, co w kartotece medycznej.

– Z żadnej nie wynika, dlaczego życzą jej powodzenia – dodał i odstawił je z powrotem na parapet dłońmi w rękawiczkach. – Jedna jest od jakiejś Amandy, a druga od mamy Sally-Ann.

– Czy przed porodem wysłała się takie kartki? Mogło chodzić o co innego. Egzamin lub test na prawo jazdy, na przykład.

– Czy nie przychodzą przypadkiem po tym, jak już się urodzi? – spytał Adam.

– Mam ci na to odpowiedzieć czy sam wiesz? – odparła z poczuciem, że wzbiera w niej coś zgoła niestosownego. – No ale kartki to nie twoja specjalność, zwłaszcza na rocz...

– Przestań. – Adam powstrzymał ją gestem.

Miał rację. Mało nie uległa pokusie, aby wziąć go za rękę, ale przywołała się do porządku. Przez wszystkie lata, które razem przepracowali – Boże, straciła rachubę – oboje byli stanowczo przeciwni wszelkim formom fizycznego kontaktu i okazywania uczuć w obecności współpracowników. Niektórzy zdumiewali się często na wieść, że są małżeństwem. Inne nazwiska, regularne sprzeczki oraz brak obrączki na palcu Lorraine zdawały się wskazywać na brak jakiegokolwiek związku poza pracą, na służbie zaś zwykle unikali się jak ognia. Jedynie w dużych sprawach – takich jak przypadek Sally-Ann – nie obywało się bez współpracy i wymiany doświadczeń.

– Może chodzi o „powodzenia” przed zabiegiem. – Lorraine

ponownie zajrzała do karty pacjenta. Przeoczyła to za pierwszym razem.

– Jakim zabiegiem? – zapytał Adam i stanął obok niej przy biurku. Zdecydowanie używał jej żelu pod prysznic Aqua di Parma, za trzydzieści funtów. Jeszcze trochę, a wypierze nim dywan.

– Tym – odpowiedziała, postanawiając, że go przed nim schowa. Chciała się czasem nagrodzić, poczuć dopieszczona. Wskazała na równe pismo w górnym rogu strony. Identycznym sporządzono notatki, musiało należeć do Sally-Ann.

Adam odczytał zapissek.

– „Cesarka. Osiemnasty listopada. Przyjść przed ósmą rano. Doktor Lamb. Oddział Brandley. Spakować rzeczy”.

– To jutro – stwierdziła Lorraine i popatrzyła na męża. – Tyle że ktoś ją uprzedził.

## Rozdział 4

Pokój jest wreszcie gotowy. Staralam się go urządzić najprzytulniej, jak mogłam. Oscar i Noah kłócą się o to, czyjego misia położyć na łóżku.

– Chyba jest za duża na misia – mówię im. Ale oni są innego zdania.

Ledwie zipię. Ostatnio męczy mnie nawet ścielenie łóżka. Jak tak dalej pójdzie, to nie wiem, czy w ogóle wrócę do formy. Oczywiście James zaoferował pomoc, ale poprosiłam, żeby lepiej zajął się chłopcami. Chyba mu nie wyszło, bo od godziny kręcą mi się pod nogami i z piskiem skaczą po kołdrze, którą próbuję oblec w śliczną poszwę w różową łączkę. Efekt końcowy jest bardzo zadowalający. Chcę, żeby miała wygodnie, chociaż trochę denerwuję się przed jej przyjściem. Muszę przyzwyczać się do myśli o nowej niani.

– Jak ci idzie, skarbie? – Akurat kiedy myślę o nim i tej okropnej, nieubłaganej dacie jego wyjazdu zaznaczonej w kalendarzu, James wbiega po schodach (sądząc po odgłosach, przeskakuje po dwa stopnie), żeby sprawdzić, jak sobie radzę. – Wygląda świetnie. Będzie zachwycona. – Tym razem przyjechał tylko na dwa tygodnie.

– Mam nadzieję – mówię z namysłem. Obejmuje mnie i próbuje pocałować, ale jestem zbyt zmachana nawet na pieszczoty. Padam na bujany fotel. – Au – syczę, łapiąc się za brzuch.

– Uważaj na nią – prosi, gładząc mnie delikatnie po brzuchu. Trzęsie się nade mną od chwili, kiedy powiedziałam mu, że spodziewam się dziecka. I nic dziwnego. Nie towarzyszył mi na wszystkich etapach ciąży, nie przywykł do mojego stanu, nie wie, czego się spodziewać. Chyba jest zdezorientowany moim wielkim brzuchem i niezdarnością, chociaż nie mówi tego wprost. Jest bardzo wyrozumiały i ściśle przestrzegamy zaleceń lekarza. Moja przyjaciółka Pip mówi, że mąż

uwielbia jej zaokrąglone ciało i wciąż nie ma go dosyć. No cóż, James zdał się na głos rozsądku, a ja to doceniam. Ale tęsknię za nim. Tęsknię za nami.

– Już niedługo. – Przesyłam mu pocałunek nad głowami chłopców, którzy kopią misia po całym pokoju. Wie, co to znaczy. – Ach, zapomniałam o ręcznikach. – Wzdycham na myśl o kolejnej wspinaczce po schodach.

– Odpuść. Przyszedłem ci powiedzieć, że zrobiłem kolację.

– Tak? – To zapewne tłumaczy obecność chłopców, ale nie narzekam. James jest idealnym mężem i ojcem. To urodzony marynarz, lecz uwielbia krzątać się po domu. Dwie całkowicie sprzeczne sfery jego życia. – Tak jest, komandorze podporuczniku. – Salutuję. Nie znoszę jego widoku w mundurze, chociaż wygląda w nim jak z obrazka. Oznacza tylko jedno: widmo kolejnej rozłąki.

– No chodź. – James bierze mnie za rękę i podnosi z fotela. – Trzeba was nakarmić. – Z uśmiechem głaszcze dziecko.

Jemu też jest trudno. Wychodząc za niego, wiedziałam, na co się decyduję i co mnie czeka. Znajomi pukali się w głowę: nie dość, że miałam matkować osieroconym bliźniakom, to jeszcze związałam się z oficerem marynarki, nieobecnym przez większość czasu.

– Mam nadzieję, że Zoe będzie zadowolona z posady – mówię i gaszę światło na poddaszu. Zatrudnienie jej było naszą wspólną decyzją, ale biorę na siebie całą odpowiedzialność.

– Czas pokaże – odpowiada James i prowadzi mnie do kuchni, skąd napływa bajeczny zapach kurczaka, zapiekanego w sosie z białego wina i tymianku.

Ziewam. Jest wcześnie, a ja się nie wyspałam. Jestem za gruba i odwykłam od spania z drugą osobą, a do tego w ciepłej piżamie pocę się jak mysz. Biedny James budził się, ilekroć zmieniałam pozycję, więc przeniosłam się do pokoju gościnnego. Po północy zapukał do drzwi i oznajmił, że też nie może zasnąć. Próbował szczęścia, chociaż wie, że to na nic. Nie możemy i koniec.

– Chcę się tylko przytulić – błagał przez drzwi.

– Ach, James – westchnęłam, ale wyczuł odmowę w moim głosie, więc chcąc nie chcąc pomaszerował z powrotem do łóżka.

Gdy przed dwoma tygodniami wrócił z ostatniej misji, jeszcze raz pokazałam mu list od ginekologa, ze wszystkimi zakazami, w tym „zero seksu”. „To poważna sprawa – zapewniłam. – Wiesz, przez co przesłam. Nie zrobię nic, co mogłoby narazić dziecko”. Był zdruzgotany. Nie znoszę go okłamywać. Nie zna całej prawdy o moich przejściach, bo te rozmowy zbyt wiele mnie kosztują. „Przepustka czy nie, nie możemy ryzykować – ucięłam. – Wytrzymamy”.

Punkt ósma dzwoni dzwonek do drzwi i chłopcy rzucają się otworzyć.

Idę za nimi korytarzem. Znów dopadają mnie wątpliwości. Jestem rozdarta pomiędzy niechęcią wobec wpuszczenia pod dach obcej osoby a koniecznością zatrudnienia kogoś do pomocy. Prawdę powiedziawszy, czuję się trochę bezużyteczna.

James i ja przez weekend doszliśmy do wniosku, że Zoe jest praktycznie idealna. Zaproponowaliśmy jej pracę w poniedziałek w porze lunchu, po tym jak obdzwoniłam jej dawnych pracodawców i sprawdziłam, czy w sieci nie krążą makabryczne opowieści o jakiejś Zoe Harper. Nic nie znalazłam. Pracodawcy nie mogli się jej nachwalić. Kiedy do niej zadzwoniłam, była wniebowzięta i oznajmiła, że może zacząć w środę rano. Świetnie się złożyło, bo na wpół do jedenastej jestem umówiona u lekarza, więc całe przedpołudnie mam wolne. Ale najpierw zawieziemy chłopców do szkoły. Chcę, żeby poznała wychowawczynię.

– Witaj, Zoe – mówię serdecznie. Stoi w progu między dwiema staroświeckimi walizkami, w tle widzę odjeżdżającą taksówkę. Rower stoi pod ścianą. – Miło znów cię widzieć.

– Ciebie też, Claudio – odpowiada z szerokim uśmiechem. – I Oscara, i Noaha... hmm. – Następnie powtarza ich imiona w odwrotnej kolejności, z udawanym chichotem pokazując ich palcem. Chłopcy są zachwyceni.

Oscar łapie jedną z walizek i wlecze do środka.



– Mam mięśnie – oznajmia.

– Ja mam większe! – wtóruje Noah i szarpie za uchwyt drugiej walizki, która natychmiast się otwiera i Zoe rzuca się zbierać rozsypaną zawartość.

– Ach, Noah – ganię. – Patrz, co narobiłeś. – Powoli pomagam im zebrać rzeczy. Podkoszulki, legginsy, majtki, kilka książek – wszystko spakowane byle jak – i wtedy go zauważam, wystający z rozpiętej kosmetyczki. Bóg jeden wie, że dosyć się ich w życiu naoglądałam. Test ciężowy.

Zoe wpycha go do kosmetyczki, przeklinając głupią, starą walizkę i jej popsuty zamek.

Prostuję się z pomocą klamki. Żołądek mam ściśnięty. Na pewno się pomyliłam. Patrzę na Zoe, ale przekomarza się z chłopcami. Chwyta obie walizki, płócienny chlebak przerzuciła przez ramię. Ugina się pod ciężarem.

Test ciężowy?

– Nie, serio – przekonuję Jamesa. – Widziałam na własne oczy. W zapieczętowanym opakowaniu. Wystawał z kosmetyczki.

– Może okres jej się spóźnia i chce się upewnić.

Myśli, że zwariowałam, to oczywiste.

– A może to test koleżanki... uhm, jasne. – Milknę na dźwięk jej kroków na schodach.

Wchodzi do kuchni zaróżowiona i wesoła, chłopcy tuż za nią.

– Jest cudowny, Claudio. Dziękuję, że tak pięknie go urządziłaś. Bawiliśmy się w berka, stąd te wywieszzone języki.

– Ja wygrałem! – krzyczy Noah.

– Nieprawda, Zoe wygrała.

– Chyba pobawimy się w berka na spacerze – dorzuca Zoe. Wskazuje na dzbanek z przefiltrowaną wodą, który zawsze zapominamy wstawić do lodówki. – Mogę?

Na zachętę macham ręką.

– Bardzo proszę. Jeśli brakuje wam miejsca, niedaleko jest piękny park. – Chłopcy wiedzą, że w ogrodzie nie wolno im grać w piłkę ani

jeździć na rowerach. Nie po to płacę ogrodnikowi, żeby zamienili go w boisko sportowe.

– Canon Hill Park – mówi zdyszana Zoe między jednym łykiem a drugim. – Zorientowałam się w okolicy. – Płucze szklanek i wyciera ją do sucha.

– Zmęcz ich, ile się da. – James myje ręce; wstawiał śmietniki. Przypuszczam, że jego lekki stosunek do wzięcia pod dach obcej osoby wynika z częstego przebywania wśród członków załogi. Współlokator nie stanowi dla niego problemu.

– Pokażę ci, gdzie co leży, Zoe, a potem lecimy do szkoły. Dawniej chodziłam pieszo, ale teraz jeżdżę samochodem. – Powstrzymuję się, żeby nie poklepać brzucha. – Potem James wychodzi, a ja idę na zajęcia jogi. Po południu jestem w pracy. Myślisz, że dasz sobie radę? – Od razu żałuję, że zapytałam.

– Naturalnie – mówi, jakby zaraz miała się rozpląkać z radości. – To moja praca i będzie wspaniale.

Zwijam matę i chowam do pokrowca. Przed ciążą nigdy nie myślałam o jodze, tymczasem zapewnia mi totalne odprężenie i na całą godzinę pozwala zapomnieć o wszystkich kłopotach. Odrywa moje myśli od dziecka. Czy medytacja i powitanie słońca przydadzą mi się w czasie porodu? Jasne, że nie, nie sądzę. Wiem, co znaczy rodzić, ale tym razem będzie inaczej. Grunt, że na razie mnie wycisza i pozwala skupić się na czymś innym niż ciężki przypadek w pracy lub fakt, że zostawiłam dzieci pod opieką praktycznie obcej osoby.

– Przestań się zamartwiać – mówi Pip. – Zrobiłaś co trzeba i sprawdziłaś jej referencje, prawda?

– Osobiście rozmawiałam z kobietą, u której pracowała ostatnio. Powiedziała, że prawie mi zazdrości, bo naprawdę się zaprzyjaźniły.

– No widzisz.

Człapiemy do drzwi, gdzie czekamy na pozostałe dziewczyny. To nasz rytuał po zajęciach, ciasto marchewkowe i cappuccino w kawiarni nieopodal. Mam mnóstwo pracy, lecz zwlekam kolejne pół godziny i czuję się nieco bardziej jak prawdziwa matka.

– Wpadnę z Lilly po szkole i wezmę ją pod lupę – zapowiada Pip. – Będę twoim szpiegiem.

– I będziesz ją widywać rano przed lekcjami. Nie masz pojęcia, jaka to dla mnie ulga, że będzie odwozić chłopców. Zdążę na ósmą do pracy.

Pip marszczy brwi. Przed miesiącem poszła na macierzyński i nalega, bym zrobiła to samo. Oczywiście zrobię to, ale jeszcze nie teraz.

– Więc czym się będzie zajmować teraz?

– Zostawiłam jej listę. Ma mnóstwo rzeczy do reperacji, jeśli umie szyć, do tego dochodzą sprawunki oraz pranie i prasowanie dziecięcych ubrań. Siłą rzeczy teraz będzie miała trochę spokoju, ale potem nadrobi. Niech się najpierw oswoi. – Trzymam się za brzuch, jak większość ciężarnych.

– Macie już imię?

Idziemy we cztery w stronę kawiarni, każda ze swoim balastem. Pip i ja wiedziemy prym. Z grubsza tych samych rozmiarów plus minus tydzień lub dwa, a do tego obie spodziewamy się córek.

– W tej chwili mamy na tapecie Elsie lub Eden. Przerabiamy literę „e”. – Wybuchamy śmiechem. Straszny ziąb, otulam się płaszczem. Zwykle narzekam na upał.

– Jakie ładne imiona. – Pip przytrzymuje drzwi. Z wnętrza napływa aromat kawy.

– I co, nauczyłyśmy się dzisiaj czegoś nowego? – pytam, gdy siadamy przy stoliku z furą ciasta i zapasem kofeiny wystarczającym do wywołania porodu.

– Mylą mi się te techniki oddychania – oznajmia Bismah. – Nie wiem, jak się na tym skupić, jeśli mam przy tym przeciw, wdychać gaz rozweselający i wyrwać mężowi rękę ze stawu.

– Nie zapomnij upomnieć się o epidural – wtrąca Fay. Jest chyba najbardziej przerażona z nas wszystkich, a do tego bardzo młoda. Ja przynajmniej mam jakiś bagaż. Ona będzie samotną matką. Żal mi jej, dlatego ją zaprosiłam. Nikogo nie знаła, więc wzięłyśmy ją pod swoje skrzydła.

– Strach pomyśleć, że za pięć miesięcy wszystkie będziemy miały

dzieci – mówię.

– Spodziewam się, że pójdziesz na pierwszy ogień, Claudio – mówi Pip. – Zostało ci najmniej czasu. Brzuch ci się opuścił od zeszłego tygodnia.

Mam nadzieję, że to dobry znak. Patrzą na śliczny brzuszek Pip. Nie została daleko w tyle.

– Mam nadzieję, że dalej będziemy przyjaciółkami – dodaje Bismah. – Chciałabym pozostać w kontakcie. – Zatapia długie paznokcie w cieście i ułamuje kawałek. Palce ma w identycznym karmelowym odcieniu co polewa.

Spośród wszystkich kobiet ze szkoły rodzenia najprawdopodobniej utrzymam znajomość z Pip. Jest nauczycielką i tak się składa, że jej mąż też często bywa poza domem. Ale nie tak często jak James. Zaprosiliśmy ich na kolację na początku mojej ciąży, krótko po tym, jak poznałyśmy się na jodze. Spędziliśmy miły wieczór, jednakże relacje oparte na spotykaniu się „parami” bywają trudne. Gdy zrewanżowali się zaproszeniem, musiałam im tłumaczyć, że James jest pół kilometra pod Atlantykiem i wróci dopiero za dwa miesiące.

– Wiesz, czy twój mąż będzie? – pyta Bismah. – Przy porodzie?

– Na pewno nie – odpowiadam. – Samo zajście w ciążę kosztowało mnie tyle wysiłku, że nie zwracaliśmy sobie głowy, aby z góry zaplanować przepustkę.

– Musi być ci ciężko. – Bismah patrzy na mnie ze współczuciem.

Milczę. Myślę o tym, co powiedziała, i napocynam ciasto.

W pracy cieszą się na mój widok, ale nie kryją rozczarowania.

– Myślałem, że już urodziłaś – oznajmia Mark. Przechodzi obok mojego biurka i upuszcza na nie segregator. – My tu czekamy na ciebie, a tymczasem Christie uwinęła się z kolejnym maluchem. Trzeba jej złożyć wizytę.

Patrzą na segregator i myślę o kobietach, które powołują dzieci na świat tylko po to, żeby zaraz im je odebrano. Nie licząc pierwszego, Christie Lowe nie utrzymała przy sobie żadnego ze swoich dzieci dłużej niż tydzień.

– Numer osiem – mówię z namysłem i przeglądam kartotekę, którą znam aż za dobrze. Próbuję im pomagać, naprawdę, ale ona się nigdy nie zmieni. Wiem, kiedy sobie odpuścić. Grunt to zapewnić jej dzieciom możliwie jak najlepszy start. – Wciąż jest z tym samym mężczyzną? – Zapomniałam, jak się nazywa.

– Potwierdziła, że jest ojcem, ale znów poszedł siedzieć – informuje rzeczowo Mark.

– Myślisz, że bez niego stanie na nogi?

Mark na przemian unosi i opuszcza brew, czym lubi się popisywać w pubie w piątkowy wieczór. Rozumiemy się bez słów.

– No dobrze – mówię i biorę głęboki oddech. Czyli wiemy, że sytuacja jest beznadziejna. Trzeba wykonać parę telefonów, odwalić papierkową robotę i odebrać matce kolejne dziecko. Bycie pracownikiem socjalnym niebezpiecznie przypomina czasem zabawę w Pana Boga.

## Rozdział 5

W domu panuje cisza. Na stole zostały talerze po śniadaniu, a w powietrzu unosi się zapach kawy, dzieci i miłości. Aż skręca w żołądku. Zbieram naczynia i ostrożnie wstawiam do zmywarki. Zastanawiam się, czy to należy do moich obowiązków. Claudia wspomniała, że sprzątaczką wpada, kiedy chce, lecz dopóki przepracowuje dziesięć godzin tygodniowo, nie ingerują w jej harmonogram. Zdaje się, że ma na imię Jan. Ciekawe, czy się dogadamy, czy nie będzie wchodzić mi w drogę. Muszę do niej zagadać, wybadać, kiedy będzie w domu. Chcę, żeby wszystko poszło zgodnie z planem.

– Wychodzę – słyszę nagle.

Odwracam się jak oparzona. Zapomniałam o obecności Jamesa. Wygląda, jakby tu nie pasował. Claudia mówiła mi wcześniej, że poszedł do gabinetu wypełnić jakieś papiery. Kiedy wyszedł na chwilę, udało mi się chyłkiem zajrzeć do środka. Zobaczyłam wielkie biurko z blatem obitym skórą i regały z książkami dookoła. Pełno tam ozdób związanych z żegluga: obrazy przedstawiające statki, zdjęcia umundurowanych mężczyzn, dyplomy w ramkach na ścianie oraz porcelanowa główka z oznaczeniami na czaszce. Rozbawił mnie widok okularów słonecznych w miejscu nosa. Jest też stół ze steru, ustawiony między dwoma fotelami. Wyobraziłam sobie, jak Claudia i James zasiadają przy nim i popijają herbatę, pograżeni w rozmowach o życiu. Według Claudii spędza tam dużo czasu, co może nieco komplikować sprawę do chwili jego wyjazdu.

– Cześć – rzucam z braku lepszych pomysłów. Uśmiecham się, a on czeka, po czym kiwa głową i wychodzi. Chyba czuje się równie niezręcznie, jak ja.

Staję plecami do ściany, opieram głowę. Pora działać.

Po południu wcześniej wyruszam do szkoły. Poznanie koleżanek Claudii może się przydać, a najlepszym ku temu sposobem jest postać na boisku. Poza tym tak zwykle robią opiekunki. Idę pieszo, chociaż Claudia oddała mi do dyspozycji fiacik stojący w garażu, a na dłuższe wyprawy samochód Jamesa, po jego wyjeździe. Zresztą miło się przejść. Słońce prześwieca przez chmury, a mroźne powietrze znieczuli serce. Na razie tak musi pozostać.

Może w drodze powrotnej pójdziemy naokoło przez park, poszukamy kaczek, pokręcimy się na karuzeli. Będzie okazja, żeby poudawać nianię.

Myślałam, że przyjdę pierwsza i zza drzewa prześlę nadejście pozostałych, żeby się zorientować w sytuacji. Jeszcze nie ma trzeciej; lekcje kończą się dopiero dziesięć po, ale zebrało się już parę kobiet i trajkoczą w grupkach. Docierają do mnie strzępy rozmów o Komitecie Rodzicielskim i targach roślin, o małym Hugh i jego wstrętnej matce. Któraś narzeka na szkolne obiady, a jeszcze inna stoi na uboczu, przytupuje i rozciera zmarznięte dłonie w niemiłym poczuciu własnej alienacji.

Udaję zatopioną w lekturze tablicy ogłoszeń, gdy podchodzi do mnie jakaś kobieta.

– Niech zgadnę – mówi z lekkim szkockim akcentem. – Ty na pewno jesteś Zoe.

Odwracam się i wysilam na uśmiech. Mimowolnie opuszczam wzrok, a następnie rozciągam wargi w jeszcze szerszym uśmiechu.

– Owszem. Wieści szybko się rozchodzą.

– Mam na imię Pip – mówi. – Przyjaźnię się z twoją szefową. – Podaje mi rękę. Palce ma jak z lodu.

– Ty... – Czy wypada poruszać ten temat? To silniejsze ode mnie. – ...też jesteś w ciąży.

– Coś musi być w powietrzu. – Śmieje się dźwięcznie. – Jest nas cała banda.

W powietrzu. Zaraz palnę się w czoło i zawołam: Ach, to przecież

takie proste! W Birmingham wystarczy się sztachnąć powietrzem i gotowe. Że też na to nie wpadłam!

Ale nic nie mówię. Śmieję się z jej zarciku i głowię, co by tu powiedzieć normalnego.

– Ile twoich dzieci chodzi do tej szkoły?

– Tylko jedno. Lilly. Jest w klasie z Oscarem i Noahem. Często się razem bawią, więc jeśli kiedyś będziesz miała ochotę na popołudniowe urwanie głowy, możemy się umówić.

– Z chęcią – odpowiadam. Na boisku z dziwną drabinką do wspinaczki oraz miękkim asfalem, odgrodzonym świeżo posadzonymi drzewkami, na których zawieszono dzwoneczki, i paroma okazałymi donicami suszonego rozmarynu i lawendy (opatrzonymi tabliczką z osobliwą nazwą „Ogród zmysłów”), przybywa matek. Niektóre mają ze sobą wózki; przesuwiają je bezmyślnie tam i z powrotem, pochłonięte rozmową, niektóre stoją same. Nie zabrakło nawet jednego taty, który stoi w wianuszkach pań stłoczonych wokół niego jak wokół głównej nagrody. – Chłopcy się ucieszą. Nie chciałabym, żeby odczuli zmianę. – Niczemu nie zawinili, uzupełniam w myślach.

– Mówiła, że jesteś dobra – dodaje Pip.

Kładzie mi dłoń na ramieniu. Odsuwam się delikatnie.

– Staram się. To moja praca.

– Skąd pochodzisz?

Oho.

– Z Kent. Potem moi rodzice się rozwiedli i zamieszkałam z matką w małej mieścinie w Walii. Niewielu absolwentów mojej szkoły poszło na uniwersytet, więc nie stanowiłam wyjątku, ale szybko zrozumiałam, kim chcę zostać. Zawsze kochałam dzieci. Poszłam do college'u i zrobiłam specjalizację z pedagogiki, co pomogło mi znaleźć świetną pracę. Ostatnio byłam we Włoszech na kursie Montessori. Fantastyczne doświadczenie. – Aż mi skóra cierpnie. Jakbym recytowała wyuczoną lekcję.

– Żartujesz! – woła Pip. – Jedna z moich koleżanek ma bzika na punkcie Montessori. Ma troje maluchów na liście rezerwowej. Muszę



was sobie przedstawić.

Błagam, tylko nie to. Ale znów się uśmiecham. Uśmiech jest równie wyuczony, jak moja bajeczka, i taki zostanie, dopóki tu będę.

Wreszcie dzwoni dzwonek i niczym stado tresowanych psów oczekujące matki wraz z ojcem – do którego dołączyli kolejni – zwracają się w stronę drzwi. Dzieci wychodzą wężykiem ze znękaną nauczycielką na czele. Każe im stanąć w rzędzie i uczniowie szukają wzrokiem rodziców.

Nigdzie nie widzę bliźniaków.

– To nasi? – zwracam się do Pip.

– Tak – potwierdza ze spojrzeniem utkwionym w małej blondyneczce na końcu. Machają do siebie. To pewnie Lilly. Ze słodkim, zadartym noskiem, w lśniących bucikach i z różową śniadaniówką jest pewnie klasowym aniołkiem.

– Nie widzę bliźniaków – mówię.

– Hm. Faktycznie. – Pip omiata wzrokiem dzieci, na wypadek gdybym przeoczyła moich podopiecznych. Ale takie urwisy nie giną w tłumie, zwłaszcza sprawującym się tak nienagannie.

– Pójdę do nauczycielki – oświadczam.

Serce tłucze mi się w piersi. Czy to moja wina, jeśli zwiali ze szkoły lub zostali porwani pierwszego dnia? Byłoby niedobrze, gdybym tak od razu wyleciała z roboty. Bardzo niedobrze.

– Dzień dobry, pani Culver – zagajam. – Chłopcy. Bliźniaki. Oscar i Noah. – Widzę po jej minie, że mnie kojarzy, lecz sterany mózg przeszedł już na zwolnione obroty.

Pani Culver dokonuje przeglądu trzódki.

– Wszystkich policzyłam – mówi. – Nie wiesz, gdzie podzieli się bliźniacy, Lilly? – Następnie zwraca się do mnie, ignorując małą. – Pewnie majstrują coś w łazience.

– Lilly chyba coś wie... – Patrzę na dziewczynkę. Próbuje coś powiedzieć.

– Głośniej, Lilly – prosi ostro pani Culver.

Lilly wskazuje na drzwi parterowego budynku szkoły. Z uśmiechem

puszczam do niej oko. Będę miała u niej plusa, kiedy się znowu spotkamy. Wchodzę do środka, a pani Culver wraca do wydawania pociech pozostałym rodzicom.

W szkole jest ciemno i chłodno, pachnie farbą, stołówką i bąkami. Gdy idę korytarzem, zapach bijący od drewnianej podłogi budzi wspomnienia. Przez szklane kwadraciki w drzwiach widzę starsze dzieci, które jeszcze nie skończyły się pakować. Zaraz tu się rozpęta piekło. Na końcu korytarza widzę drzwi z napisem „Świetlica”. Kilko dzieci właśnie weszło do środka.

– Ale mnie przestraszyliście, chłopcy – mówię po wejściu do środka.

Nauczyciel, mężczyzna po pięćdziesiątce, podnosi głowę znad stosu papierów na biurku.

– Czym mogę służyć?

– Przyszłam odebrać Oscara i Noaha. Jestem ich nową opiekunką. Idziemy, chłopcy – ponagliam. Marzę, aby stąd wyjść. W budynku panuje duchota, jakby trzysta zachłannych dzieci pochłonęło cały tlen.

Nauczyciel zdejmuję okulary.

– Pierwsze słyszę. Chłopcy zawsze przychodzą do świetlicy. Matka odbiera ich o szóstej.

– Już nie – odpowiadam zbyt szorstko, czym go natychmiast zrażam. – Proszę posłuchać, nazywam się Zoe Harper. Claudia Morgan-Brown przedstawiła mnie dziś rano pani Culver i poinformowała o zmianach.

– Trzeba wypełnić formularz – odpowiada z uporem mężczyzna. – Musi pani iść do sekretarki.

– Gdzie ona jest?

– Poszła do domu. Ale rodzic musi złożyć podpis, więc nie odbierze pani dzisiaj chłopców. Nie bez formularza.

– Och, na miłość bosą... – Tylko spokojnie. – Oscar, Noah, czy powiecie temu panu, kim jestem?

Chłopcy patrzą na mnie bez słowa. Kruszą zaschniętą ciastolinę i rozrzucają po podłodze. Każdy miałby ich już dosyć.

– Proszę... – Nie daję za wygraną. – Pan nie rozumie. To mój

pierwszy dzień w pracy, nie chcę podpaść szefowej. – Zwieszam ręce luźno wzdłuż boków, choć najchętniej przyłożyłabym temu kretynowi.

– Bardzo mi przykro – ucina. – Ale to nie moja sprawa. A teraz proszę stąd wyjść.

W przyływie desperacji podchodzę do chłopców i łapię ich za ręce. Następnie ciągnę ich do drzwi, a oni bez szemrania drepczą za mną. Grzeczne maluchy, myślę sobie, w duchu dziękując im, że nie narobili szumu. Czego nie można powiedzieć o nauczycielu.

– Stać! Złodziejka! Porwanie!

Słyszę, jak potyka się o krzesła, ale nie ma siły nas gonić. Kiedy wypadamy ze szkoły, głośno wzywa swoją asystentkę i dzwoni po pomoc.

Gdy kierujemy się w stronę parku, upominam się w duchu, że nie wypada kraść cudzych dzieci.

Oczywiście potem się z tego śmiejemy i Claudia bierze moją stronę.

– Głupia ta sekretarka. Przecież do niej napisałam. Wysłałam e-mail z prośbą o przekazanie go personelowi. Zawczasu uprzedziłam nawet panią Culver, a dziś ją poznałaś. Boże. – Właśnie wróciła z pracy. Klucze, torebkę i buty zostawiła w przedpokoju. – Myślałby kto, że ich porwałaś.

Owszem.

– Dziadek ze świetlicy wykrzyczał mi to na odchodne – mówię z krzywym uśmiechem.

– Od razu do mnie zadzwonili. I chyba trudno ich za to winić. – Claudia wybucha perlistym śmiechem i błyska białymi zębami, z głową odrzuconą w tył. Ma bardzo ładną szyję.

Później w moim pokoju, po wykąpaniu chłopców, czytaniu i zapakowaniu ich do łóżek, zmęczonych i pachnących miętową pastą do zębów, włączam laptop. Pospiesznie wystukuję wiadomość i wysyłam.

Potem rozpakowuję resztę rzeczy. Podkoszulki i bluzki do jednej szuflady, bieliznę do drugiej, byle jak. Myślę o żmudnym pakowaniu tego wszystkiego w każdy piątek. Co za idiotyzm. Wedle życzenia Claudii, weekendy mam spędzać poza domem. Rozumiem, że

potrzebują czasu dla siebie, ale prawdę mówiąc, nie mogę sobie na to pozwolić. Poród lada dzień.

Łapię laptop i zapisuję parę rzeczy. Palce ześlizgują mi się z klawiatury i zamiast „termin” piszę „trumien”. Gryzę ułamany paznokieć. Wreszcie, z komputerem na kolanach, zasypiam w ubraniu.

Budzę się z zeszywniałym karkiem. Zegarek przy łóżku wskazuje drugą dwadzieścia w nocy. Przeciągam się i rozbieram. Naga stoję przed lustrem. Sama skóra i kości. Sterczą mi żebra, a wklęsniętego brzucha pozazdrościłaby większość kobiet. Myśl o ciąży kompletnie nie mieści mi się w głowie.

## Rozdział 6

Russ Goodall okazał się chudym, nerwowym mężczyzną. Gdyby był psem, stwierdziła w duchu Lorraine, byłby ogarem. Samo przebywanie z nim w jednym pokoju wytrąciło ją z równowagi, co rzadko jej się zdarzało. Przez lata, zwłaszcza ostatnimi czasy, nauczyła się emanować spokojem i łagodnością, których nie mógł zburzyć nawet Adam. Jego wczesne wstawanie i szesnastokilometrowe przebieżki, staranność, z jaką odliczał suszone śliwki i odważał muesli na śniadanie, ani obsesja polegająca na wypijaniu dokładnie ośmiu butelek wody mineralnej dziennie oraz półgodzinnym medytowaniu (od którego nie stronił nawet na miejscu zbrodni) nie mąciły jej anielskiego spokoju. Ale wąta postać Russa Goodalla, zwieńczona rozwichrzoną strzechą rudych włosów, okazała się zbyt wielkim wyzwaniem.

– Wysłał jej pan kartkę z życzeniami. – Lorraine badała grunt. Imię „Russ” nie było wprawdzie zbyt częste, ale istniało pewne prawdopodobieństwo, że Sally-Ann znała dwóch Russów.

– Już pani mówiłem, że nie znam żadnej Sally-Ann.

– Wskazała pana jako najbliższego członka rodziny. Przychodnia Willow Park potwierdziła, że to pan jest Russem Goodallem z jej kartoteki. Mają pana również na liście pacjentów.

– Nie powinni wam o tym mówić. To naruszenie tajemnicy lekarskiej.

– Bynajmniej, poza tym mam nakaz. – Lorraine próbowała płytko oddychać, żeby nie zemdleć.

W pokoju cuchnęło: przykra woń niemytego ciała mieszała się ze swądem zjełczanego tłuszczu z patelni na kuchence i dymem papierosowym. Rodzice Sally-Ann musieli być w siódmym niebie, gdy

przyprowadziła go po raz pierwszy. Pokój Russa znajdował się na najwyższym piętrze budynku przypominającego kwaterę studencką, chociaż sam zainteresowany zaznaczył, że nie jest studentem.

– Mogę otworzyć okno? – spytała.

Russ wzruszył ramionami i patrzył, jak szarpie się z klamką. Wreszcie okno dało za wygraną i się uchyliło. Lorraine wystawiła głowę na zewnątrz i zaczerpnęła haust powietrza.

– Niech pan się po prostu przyzna, że ją zna, i po kłopotcie. Chciałabym zadać kilka pytań.

Spojrzała na śmieci rozrzucone po płaskim dachu poniżej. Goodall je tam rzucił?

– Dlaczego? – spytał. Zapalił papierosa. Siedział na łóżku sztywno wyprostowany, patykowate nogi stykały się kolanami. Szyja i barki mu się trzęsły, przez co głowa wyglądała jak brzydki, spocony pęk na cienkiej łądyżce. – Co się stało?

– Bardzo mi przykro. – Lorraine zwróciła się w jego stronę. Myślała, że wie. – Sally-Ann nie żyje.

– Wtedy się rozplakał jak dziecko. No mówię ci. – Lorraine wbiła zęby w hot doga, Adam zaś dziobał kupną sałatkę z soczewicy i fasoli, jakby miał do czynienia z odpadem radioaktywnym. Zwykle przyrządzał własną. – Jak ty możesz jeść to świństwo?

– Mógłbym cię spytać o to samo – odparł.

Stanęli przy ławce. Poranne oblodzenie roztopiło się w słońcu, które wreszcie przedarło się zza chmur. Było przeraźliwie zimno – za zimno, aby jeść na zewnątrz – ale potrzebowali powietrza, przestrzeni i neutralnego gruntu do omówienia sprawy. Minęła doba, a oni nie posunęli się nawet o krok naprzód. Wraz z resztą ekipy kilkakrotnie wracali na miejsce zbrodni, rozmawiali z sąsiadami, zbierali zeznania. Lorraine miała niemiłe wrażenie, że płaszcz nasiąkł jej smrodem z obrzydliwego mieszkania Russa Goodalla. Zanotowała w myślach, by po drodze do domu kupić odświeżacz powietrza.

– Ale potem ochłonął i zgodził się na współpracę. Nikt nie umiałby tak zagrać. Naprawdę sędzę, że nie miał pojęcia o jej śmierci.

Adam uniósł brwi, z plastikowym widelcem w połowie drogi do ust.

– Udam, że tego nie słyszałem – odparł i jadł dalej.

– Zareagował bardzo autentycznie. Przyznał, że jest ojcem dziecka Sally-Ann, i zgodził się poddać testom DNA.

– Ale nie mieszkali razem. – Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

– Nie. Sąsiedzi mówią, że często u niej bywał. – Lorraine strzepnęła okruchy ze spodni. – Podobno rodzice Sally-Ann mieli jej za złe, że się z nim spotyka, i nie wiedzieli, że jest ojcem. Wierz mi, Adamie, gdyby któraś z naszych córek przyprowadziła do domu takiego typka, od razu wystawiłbyś go za drzwi.

– Kolejny dalekosiężny wniosek. Poczekaj na wyniki badań, zanim przyjmujemy, że jest ojcem. Zresztą nie wiemy, kto był rzeczywistym celem, matka czy dziecko.

– Lub oboje – dorzuciła Lorraine, pochłaniając resztki hot doga. – Dlaczego nie miałby być ojcem? Sally-Ann jasno dała to do zrozumienia w swojej kartotece.

– Ale najpierw wykreśliła inne nazwisko.

– Sally-Ann wykreśliła? – zaznaczyła Lorraine. – I kto tu wyciąga dalekosiężne wnioski?

Adam cisnął opakowanie z resztką sałatki do pobliskiego kosza.

## Rozdział 7

Jak było w szkole rodzenia? – pyta James. Ku mojej irytacji popija wino.

– Dobrze. Mogłeś pójść ze mną. – Zabrzmiało zbyt ostro i natychmiast tego żałuję. – Wybacz – mówię. – Nie rób sobie wyrzutów. Poza tym przyszło tylko dwóch ojców.

Ponieważ większą część mojej ciąży spędził na morzu, zaangażowanie na tym etapie podkreśliłoby fakt, że jeśli nie urodzę w ciągu paru następnych dni, przyjdzie mi doświadczyć tego w pojedynkę. Ustaliliśmy – a raczej ja ustaliłam – że dla ułatwienia sama odbębnię wszystkie wizyty i szkołę rodzenia. Lecz skłamałabym, mówiąc, że nie brakuje mi jego obecności, kiedy leżę rozciągnięta na macie z jedną poduszką pod krzyżem, a drugą pod kolanami i nie ma nikogo, kto rozmasowałby mi barki w czasie ćwiczeń oddechowych.

– Byłem na pierwszej wizycie. Czego jeszcze chcesz? – Mówi to z krzywym uśmiechem, który unosi mu tylko jeden kącik ust i od którego robią mu się zmarszczki wokół oczu, aż nie mogę zachować powagi.

– Łaskawca. – Pamiętam, jak wkroczyłam do gabinetu, z dumą dzierżąc białą pałeczkę z niebieską kreską potwierdzającą mój nowy stan, początek całej reszty naszego życia. – Ale nie było tak strasznie, co? Zdołałeś jakoś wysiedzieć. – Muszę zamilknąć, bo zaraz się zdenerwuję. Grunt to odsunąć od siebie myśl, że muszę temu sprostać w samotności. Wiedziałam, na co się decyduję, wychodząc za Jamesa – los żony marynarza i opieka nad dwójką przybranych synów. Gotowa rodzina, zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. – Spróbowałbyś to ponosić. – Kładę rękę na brzuchu.



– Niosłem twoją kartę pacjenta, kiedy wyszliśmy – zauważył James, ale widzi, że przeholował z tym żartem. – Może mi zademonstrujesz jakąś dziwną asanę z dzisiejszych zajęć, dopóki chłopcy są zajęci? – Mruga i wiem, co mu chodzi po głowie.

– James! – syczę wstrząśnięta. – Zoe jest na górze i dzieci mogą wpaść w każdej chwili.

– A co by się stało, gdybym przechylił cię, o tak... – Łapie mnie delikatnie za talię... a raczej miejsce, gdzie kiedyś się znajdowała... i prowadzi do blatu. Następnie przechyla mnie do przodu, aż opieram się dłońmi o drewno. Przesuwa rękami po moich udach. Przyjemne uczucie.

– Przestań – chichoczę. Odpycham go. – Ktoś zaraz wejdzie.

– Mógłbym tylko... – Słyszę, że rozpina spodnie. – Tylko... o tak. To potrwa chwilę.

Pewnie ma rację. Minęło tyle czasu. Odwracam się i mocno go całuję. Brzuch tkwi ściśnięty pomiędzy nami, jak niespodziewany intruz. Znow się odwracam i pochylam nisko nad blatem.

– Tylko się pospiesz – mówię. Niech nic się nie stanie, bo jednym lekkomyślnym działaniem mogę stracić wszystko.

Kiedy następnego ranka schodzę do kuchni, Zoe już się krząta. Spóźnię się do pracy. Chłopcy siedzą w mundurkach i jedzą smażone jajka na grzance. Przy każdym talerzu stoi szklanka z sokiem pomarańczowym, a obok banan. Na ten widok czuję się dziwnie zbędna. A jak się poczuje, co dzień oddając jej dziecko, gdy skończy mi się urlop macierzyński?

– No proszę – mówię.

Zoe odwraca się od zlewu. Stoi na tle słońca wpadającego przez okno.

– Chyba złapał mróz – dodaję, patrząc na oszroniony krajobraz za szybą.

Zapada cisza, dla mnie krępująca, chociaż Zoe chyba nie zwraca na nią uwagi. Uwija się po kuchni, myje naczynia i wyciera je szmatką. Chłopcy rozmawiają, bez kłótni, przepychanek i grymaszenia

towarzyszącego zwykle jedzeniu wszystkiego prócz kolorowych płatków. Czyżby chcieli przez to utrzyć mi nosa, dać do zrozumienia, że nie jestem ich prawdziwą mamą?

*Bądźmy grzeczni dla Zoe, a okropni dla niej...*

Aż mnie ciarki przechodzą od tych wyimaginowanych szeptów. Jasne, że nie, myślę zawstydzona.

– O której dziś wrócisz? – pyta Zoe. Odwiesza ścierkę na srebrny reling kuchenki.

– Pamiętaj, że mamy zmywarke – mówię z uśmiechem. Wzrusza ramionami. – Około wpół do siódmej. – Ale zaraz obsesyjnie główkuję, dlaczego chce wiedzieć. Żeby wypuścić chłopców z piwnicy? Pożegnać faceta, z którym bzykała się całe popołudnie? Wiedzieć, kiedy przerwać przetrząsanie szaf, ewentualnie długą drzemkę?

Och, na miłość boską! Oszaleję przez te hormony.

– Odprowadzę Noaha i Oscara i chciałabym zajrzeć do sklepu ze zdrową żywnością po warzywa na zupę – informuje Zoe. – Ugotować więcej dla ciebie i Jamesa?

– Dziękuję – odpowiadam, podejrzewając, że poda ją z własnoręcznie upieczonym chlebem. – Brzmi wspaniale, ale nie jestem pewna, czy chłopcy... – Zerkam na bliźniaki. Wylizują talerze. – Hm, nie zaszkodzi spróbować, prawda? – Siłę się na wesoły ton, ale dałabym głowę, że Oscar i Noah oszaleją na punkcie domowej zupy Zoe. Ani się obejrzą, jak zaczną hodować warzywa i sami ją gotować.

W drodze do pracy mam czas do namysłu. Stoję w korku i świadomość własnego egoizmu wali mnie jak obuchem. Przecież tego chciałam, tak? Idealnego życia rodzinnego. Czy moje dziecięce marzenie się nie spełniło? Mam męża, który mnie kocha, dwóch synów, którzy zaakceptowali mnie jako matkę, świetną pracę i wkrótce będę miała córeczkę. Mam dom jak z katalogu, a nawet nianię, która zaledwie po jednym dniu okazała się bezcenna. Z pewnością przyda mi się w drużynie, jeśli moje życie będzie dalej układać się choćby po części tak, jak przez ostatnie lata.

Gdy składałam wizytę dwóm osieroconym przez matkę chłopcom,

nie mogłam przypuszczać, że koniec końców wyjdę za ich ojca. Nie mogę uwierzyć, że tak miało być. Jakby ktoś z góry to zaplanował.

W biurze zastaję tylko Marka, chociaż jestem spóźniona. Jako szefowa zespołu mam pięcioro bezpośrednich podwładnych i odpowiadam za współpracę z działem opieki i rozwoju. Kiedy wchodzę do środka, resztki wątpliwości ustępują miejsca nawałowi spraw wymagających interwencji. Równe rzędy segregatorów zawierają zwichnięte życiorysy dzieci. Do czego by się posunęły, aby stać się częścią mojego życia, moimi dziećmi, moją rodziną. Często się nad tym zastanawiam. Wieszam płaszcz, odpędzając poczucie winy. Bezsensowna myśl. Przecież nie mogłabym wszystkich przygarnąć.

– Dobry. – Mark nie podnosi wzroku znad komputera.

Siedzimy na otwartej przestrzeni, ale każde przy swoim biurku – nie ma boksów, żeby lepiej się nawzajem widzieć w czasie sprzeczek i rozmów na temat spraw, telewizji oraz wakacyjnych planów. Czuję podniecenie na myśl o naszej kolejnej rodzinnej wyprawie. Latem moja dziewczynka będzie miała około ośmiu miesięcy.

– Dobry – odpowiadam, ale jakoś bez przekonania. – Gdzie Tina?

– Jej opiekunka zachorowała. Musi zjechać po drodze do mamy, więc się spóźni – mówi obojętnie Mark. Nie ma dzieci i nic nie wskazuje na to, by w najbliższym czasie założył rodzinę. Odkąd go znam, jest sam.

– A to feler. Miała ze mną jechać do Lowe'ów.

– W takim razie znów jesteś zdana na mnie. – Mark dopija kawę. Pije około dziesięciu filiżanek dziennie. – Samej cię nie puszcę. Nie w twoim stanie. – Teraz, gdy Christine Lowe wyszła z dzieckiem ze szpitala, musimy tam zaglądać codziennie. W przeszłości bywała agresywna.

Poznałam ją tuż po tym, jak urodziła drugie dziecko. W ciągu tygodnia od porodu wszczęliśmy procedurę odebrania jej obojga maluchów. Chłopczyka, jeśli dobrze pamiętam, i dwuletniej dziewczynki. Noworodek miał gęstą czuprynę i fioletowe siniaki na nogach. Mała wyglądała podobnie. To było trzynaście lat temu. Od

tamtej pory co dwa lata rodzi kolejne dziecko i zaraz je traci.

– Oglądałaś wiadomości? – pyta Mark. Widzę, że przetyka w obawie, że się zagalopował. – Słyszałaś o tej biednej kobiecie w ciąży?

– Której biednej kobiecie w ciąży? – A niech się chłopak pomęczy. Uśmiecham się lekko na znak, że żartuję, oczywiście, że słyszałam.

– Straszna sprawa. Jak ktoś mógł...? – Nie wie, na ile może sobie pozwolić. Myśli, że się rozkleję, czy co?

– Mówicie o tej zamordowanej ciężarnej? – Diane, jak zwykle czujna, niesie na tacy kubki z kawą. – Nie mogłam w to uwierzyć. I wiecie co? Moja mama zna matkę tej biednej dziewczyny. Chodziły razem do szkoły i utrzymują kontakt. Kiedy pokazali w telewizji zdjęcie zamordowanej, jej matka była w tle i moja mama ją rozpoznała. Nazwisko potwierdziło jej przypuszczenia: „Frith” jest dosyć charakterystyczne, nie? – Rozdaje kubki; na moim widnieje napis: „Ogórka kiszzonego POPROSZE!”. Nikt nie wie, co powiedzieć. Dostyc się naoglądamy ludzkich tragedii w życiu codziennym.

– Mną się nie przejmujcie – mówię. – Czuję dokładnie to samo co wy. Cięża nie wyłącza mnie z rzeczywistości! – Wzruszam ramionami i staram się nie myśleć o tym, co ta kobieta przeszła przed śmiercią. Dwa życia na marne.

– Czy policja już kogoś aresztowała? – Mark siorbie kawę i wraca do komputera.

– Chyba nie – odpowiada Diane. Zakłada ciemny kosmyk za ucho i gryzie herbatnika. Obraca się z krzesłem do biurka. – Moja mama chce do nich później zajrzeć. Spytać, czy czegoś nie potrzebują. – Stuka w klawiaturę.

Mamy pierwszy telefon. Lekarz rodzinny martwi się o młodą pacjentkę. Nastolatka ma problemy, a ja muszę pomóc je rozwiązać.

Christine Lowe niewiele się zmieniła przez lata. Mimo licznych ciąż, konkubentów spod ciemnej gwiazdy, odebrania jej wszystkich dzieci oraz nałogu, który zdumiałaby najbardziej zatwardziałyh ćpunów, jest dzisiaj spokojną, pogodzoną z losem i niemal dobrze wychowaną kobietą.

– Wejdźcie – zaprasza. Papieros wisi jej w kąciku ust.

W mieszkaniu cuchnie mniej niż zazwyczaj i wygląda na to, że zdobyła się na pewien wysiłek, żeby trochę ogarnąć. Przed piecykiem gazowym leżą dwa owczarki niemieckie. Obok nich na podłodze stoi sfatygowany wiklinowy koszyk z dzieckiem. Christine na nasz widok przestała się awanturować.

– Kogo my tu mamy? – pytam.

– Nathana – mówi z rezygnacją. – Czy babcia może go zobaczyć, zanim go zabierzecie? Jest w szpitalu. – Szarpie za obrozę psa, który przysunął się leniwie, aby obwąchać buzię noworodka. Czuję, że zwierzę nie zrobiłoby dziecku krzywdy, poza tym Christine nie zareagowałaby pewnie, gdyby nie nasza obecność.

– To zależy – mówi Mark. Zerka na mnie.

– Od czego? – warczy Christine. Zawsze miała na pieńku z mężczyznami z naszego działu.

– Od tego, czy będziesz przestrzegała naszych zaleceń. – Mark zapisuje coś w notesie.

– Kiedy twoja matka wychodzi ze szpitala? – pytam, usiłując wybudzić dziecko. Nie podoba mi się to, co widzę. Mały nie może tu długo zostać.

Christine podnosi rękę do czoła i chwieje się na nogach. Jest bardzo blada.

– Usiądź – mówię do niej. Osuwa się na zapadniętą kanapę i pies opiera jej łeb na kolanie. Szkoda, że to nie psy prowadzą dom. – Jadłś coś dzisiaj? – pytam. Potrząsa głową. – Gdzie twój partner? – Zaraz przypominam sobie, że wrócił do więzienia. Cud, że Christine w ogóle zachodzi w ciążę.

– W pierdłu – potwierdza.

– Czy Nathan jest odpowiednio karmiony? – Odkąd przyszliśmy, nawet nie drgnął. Wiem, że kuratorka będzie przychodzić codziennie, ale na razie mamy związane ręce.

– No – przytakuje Christine. Widzę, że główkuje, usiłując sobie przypomnieć. Ma kłopoty z zapamiętywaniem. Zastanawiam się, czy w

ogóle zdaje sobie sprawę, że nie jest rzeczą normalną, aby zaraz po porodzie odbierano matce dziecko. – Lubi mleko – dodaje tonem wielkiego odkrycia.

– Kiedy ostatnio jadł? – pytam. Mark gładzi chłopczyka po głowie, próbuje go obudzić. Dziecko zaczyna się ruszać. – Zmniejsz ogrzewanie. – Nagle zauważam, że w pokoju jest duszno. Nie ma czym oddychać.

– W nocy – odpowiada zadowolona z siebie Christine. Jest bardzo chuda jak na kobietę, która niedawno rodziła. Ja bardzo przytyłam od początku ciąży. – Pani też będzie miała dziecko – dorzuca z szerokim uśmiechem. Wstaje i podchodzi do mnie z wyciągniętymi rękami, które następnie kładzie mi na brzuchu. Zaskoczona stoję jak słup. – Chłopak – mówi z zadowoleniem.

I tu się mylisz, odpowiadam w duchu, bo wiem, że będę miała dziewczynkę.

Nachylam się w stronę Marka.

– Musimy jak najszybciej go stąd zabrać – szepczę. Mark kiwa głową. Oboje wiemy, że jeśli Christine zacznie robić trudności, konieczny będzie nakaz sądowy. – Czy chciałabyś odpocząć od opieki nad małym Nathanem? – pytam. Najchętniej zgarnęłabym małego, zabrała do domu i nakarmiła, ale procedury trzeba zachować. Musi podpisać dokumenty, a wiem, że w każdej chwili może zmienić zdanie.

Wreszcie Christine prawie niedostrzegalnie kiwa głową, a ja odmawiam w duchu modlitwę dziękczynną i wracamy do biura. Dzwonię, żeby uprzedzić resztę zespołu. Wstępnie wybrałam nawet rodzinę zastępczą.

## Rozdział 8

Jadę – powiedziała Lorraine, zaglądając przed wyjściem do gabinetu Adama. Podniósł głowę znad biurka. – Na przesłuchanie rodziców Sally-Ann, pamiętasz? – Przewróciła oczami. Adam od niechcenia machnął jej ręką na pożegnanie. Był czymś pochłonięty.

Lorraine wzięła ze sobą Patricka Ainsleya, swego ulubieńca z nowego narybku, od którego roilo się w wydziale. Wspólnymi siłami – i z pomocą roztrzęsionego kuratora oraz lekarza rodzinnego, który przyszedł zaaplikować matce kolejną dawkę środków uspokajających – zdołali wydobyć z pani Frith logiczną wypowiedź. Przynajmniej namiastkę wypowiedzi, pomyślała Lorraine, gdy kobieta otwierała się z trudem. Uznała jednak, że pani Frith okaże się bardziej pomocna aniżeli jej surowy, pełen rezerwy małżonek, do którego jakby nie dotarła jeszcze wiadomość o śmierci jedynaczki.

– Nie mogę w to uwierzyć – powtarzała pani Frith ledwo dosłyszalnym, łamiącym się głosem. – Uszczypnijcie mnie, uszczypnijcie mnie, na miłość boską. Chcę się obudzić z tego koszmaru. – Kołysała się w przód i w tył, ściskając garść chusteczek.

– Przykro mi z powodu pani straty, pani Frith. W głowie się nie mieści, jak ktoś mógł to zrobić. Proszę mi wierzyć, robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby złapać osobę za to odpowiedzialną.

Odpowiedzialną, pomyślała z przekąsem Lorraine. Ktokolwiek to zrobił, nie miał w sobie za grosz odpowiedzialności. Użyła tego określenia, żeby nie powiedzieć „mordercę”.

– Czy może nam pani powiedzieć, kiedy ostatnio widziała córkę? – Lorraine miała notować, Ainsley obsługiwał dyktafon. Tak ustalili: nie było to formalne przesłuchanie, ale chcieli później raz jeszcze wysłuchać

komentarzy Frithów. Lorraine zawsze zdumiewało, ile rzeczy umyka człowiekowi za pierwszym razem. – Pani Frith?

– W zeszłą sobotę – wtrącił oschle pan Frith. Prawie się nie odzywał. – Daphne poszła ją odwiedzić, nie? – Wpatrywał się w żonę.

Lorraine podejrzewała, że wciąż jest w szoku i cierpi na swój sposób, choć nie okazywał emocji i zachowywał się tak, jakby zawracali mu głowę.

Pani Frith potwierdziła skinieniem głowy.

– O której godzinie? – spytała Lorraine. Przysunęła się bliżej w nadziei, że tym razem kobieta sama odpowie.

– Rano – powiedziała cicho pani Frith. Dygotała jak w febrze.

– Przed południem – uściślił pan Frith.

– Jakie wrażenie zrobiła na pani Sally-Ann? – Lorraine zerknęła na Ainsleya.

– Normalne. Była podekscytowana, ale denerwowała się przed zabiegiem.

– Miała mieć przeprowadzoną cesarkę, tak?

– Zgadza się.

Nie było sensu pytać o powód. W szpitalu potwierdzono, że Sally-Ann miała przodujące łożysko – blokowało dziecku naturalną drogę na zewnątrz. Ginekolog próbował wytłumaczyć Lorraine podstawy do przeprowadzenia zabiegu, ale przerwał, kiedy powiedziała mu, że jej córki przyszły w ten sposób na świat z dokładnie tego samego powodu. „Pech”, skwitował, a Lorraine nie mogła się z nim nie zgodzić.

– A zatem chodziło o to, aby nie dopuścić u niej do naturalnego porodu – uzupełniła Lorraine. Pani Frith pokiwała głową. Lorraine przypomniała sobie, jak ginekolog powiedział jej przed laty, że poród siłami natury grozi u niej krwotokiem wewnętrznym i pozbawieniem dziecka dopływu tlenu. Ryzyko było za duże i z góry zaplanowany zabieg okazał się najlepszym rozwiązaniem. Czas odgrywał kluczową rolę.

– Jakie to straszne – wykrztusiła pani Frith. – I tak umarła. – Zerknęła ukradkiem na męża, jakby wiedziała, co się święci. Łzy



napłynęły jej do oczu.

– Bóg chciał zabrać ją i tego jej bękarta, tak czy inaczej – oznajmił pan Frith, a następnie się przeżegnał.

– Rozpacz przez pana przemawia, panie Frith – Lorraine próbowała rozładować atmosferę, bo wszystkich aż zmroziło.

– Nieprawda – rzekła płacząco pani Frith. – Był wściekły, kiedy Sally-Ann zaszła w ciążę.

– Dlaczego? – Właśnie z tego powodu Lorraine postanowiła nagrać rozmowę.

– Nie była mężatką – wyszeptła pani Frith, jakby samo wypowiedzenie tych słów stanowiło grzech śmiertelny.

– Nie życzyłem sobie wnuka z nieprawego łoża. Na dodatek spółzonego z tym idiotą Russellem Goodallem. – Pan Frith aż poczerwieniał z gniewu i nienawiści. Żyłki nabrzmiały mu na policzkach i truskawkowym nosie, wskazującym na zgoła bezbożne zamiłowania.

– Czy są państwo pewni, że ojcem dziecka był Russell Goodall? – Badania wkrótce to pokażą, ale chciała usłyszeć zdanie rodziców.

– Sally-Ann tak powiedziała – odparł pan Frith. Wydał z siebie jakiś pomruk, a może było to westchnienie.

– Nie, Sally-Ann nie była pewna, Bill – zaproponowała jego żona. – Miała... powodzenie.

– Była zdziwka, chciałaś powiedzieć.

– Proszę mówić dalej – powiedziała Lorraine do pani Frith.

– Miała dwóch chłopaków. Nie mogła się zdecydować. Kiedy Liam dowiedział się o dziecku, zerwał z nią kontakt. Powiedział, że to nie jego – tłumaczyła potulnie pani Frith.

– Zastrana dziwka, nic więcej.

– Bill! – nie wytrzymała pani Frith. – Nasza córka nie była... taka.

– Czy zna pani nazwisko Liama, pani Frith?

– Rider. Liam Rider.

– Na dodatek ma rodzinę. – Pan Frith zacisnął pięści. Łapczywie chwycił powietrze, jakby w pokoju nagle zabrakło tlenu. – Nic

dziwnego, że drań dał drapaka, kiedy Sally-Ann zaszła w ciążę.

– Czyli nie są państwo pewni, kto był ojcem dziecka?

– Sally-Ann była zrozpaczona. Kiedy Liam się od niej odwrócił, próbowała o nim zapomnieć – dodała pani Frith. – Chciała wykreślić go ze swego życia, ale to nie było łatwe. Kochała go.

Dosłownie, pomyślała Lorraine na wspomnienie przekreślonego nazwiska w karcie zdrowia.

– Russell stanął na wysokości zadania. To dobry chłopak – podjęła matka.

– Frajer, ot co – nie darował sobie jej małżonek.

– Gdzie Sally-Ann poznała Liama Ridera? – zapytała Lorraine. – Którego z nich poznała najpierw?

– Russa znała od podstawówki. Liama spotkała dopiero na kursie. Uczył ją księgowości. Wszystko się zmieniło, kiedy poznała Liama.

– Uczył ją niemoralności – burknął pan Frith. Wydał policzki i krew napłynęła mu do twarzy, po czym z jego gardła wyrwał się ochryply szloch. Zasłonił twarz i zwiesił głowę. Zobaczyli tłuste, siwe kosmyki zaczesane na łysinę na czubku głowy.

Lorraine zerknęła na Patricka. Taktownie odczekali chwilę.

– Ulżyj sobie, kochany – powiedziała pani Frith, lecz on strząsnął jej dłoń z barku.

– Jeszcze jedno pytanie – zaczęła Lorraine, ale urwała. Chciała zapytać, dlaczego ich zdaniem Sally-Ann jako najbliższego krewnego wskazała Russa Goodalla, a nie żadne z nich. Ale wystarczyło na nich spojrzeć i odpowiedź nasuwała się sama.

Liama Ridera nie było w domu. Drzwi otworzyła oszołomiona kobieta lat około trzydziestu pięciu, z dwójką dzieci widocznych w tle korytarza. Dom był ładny: bliźniak z lat pięćdziesiątych, z zadbanym ogródkiem od frontu oraz donicą bratków przy drzwiach. Kiedy kobieta oglądała legitymację, z wnętrza doleciał zapach obiadu – pieczonych ziemniaków lub frytek. Lorraine zaburczało w brzuchu.

– Czy wszystko w porządku? – spytała tamta, jakby blednąc. – Chodzi o Liama? – Uczepiła się framugi, ale Lorraine zapewniła ją, że

nie ma powodów do obaw, nie chodzi o wypadek. Nie zdobyła się na zapewnienie, że nikt nie umarł.

– Chciałabym porozmawiać z panem Riderem – dodała. – Czy pani wie, gdzie go zastanę?

– Chyba na uczelni – odpowiedziała kobieta. Strzelała oczami spod równo przyciętej jasnej grzywki. Nie wyglądała na zdradzoną żonę. Lorraine też nie sądziła, że wygląda, dopóki Adam, dręczony wyrzutami sumienia, nie postanowił wyznać jej prawdy o swoim krótkim – bardzo, bardzo krótkim – romansie. Pospiesznie odsunęła tę myśl. Nie czas i miejsce.

– Craven Road Campus? – spytała.

Kobieta potwierdziła. Było to miejsce, gdzie jej mąż pracował i używał życia, o czym nie wiedziała. Coś nas łączy, miała na końcu języka Lorraine, ale się powstrzymała.

*Krótki... bez znaczenia... to już przeszłość...* Adam powiedział jej, że był pijany, głupi, przechodził kryzys, tamta go sprowokowała i to nie była jego wina. Jakiej rady udzieliłaby tej młodszej kobiecie? Uciekaj, póki możesz? Odpłać mu pięknym za nadobne? Puść go z torbami? Dom robił wprawdzie miłe wrażenie, ale było jasne, że Liam Rider nie śmierdzi groszem. Podobnie zresztą jak Adam, co nie przeszkodziło jej się w duchu odgrażać.

– Jeśli wróci do domu, zanim go znajdę, proszę mu powiedzieć, żeby do mnie zadzwonił. – Lorraine podała kobiecie wizytówkę. – To pilne.

– Ma kłopoty? – Dzieci podeszły do drzwi, ale zagoniła je z powrotem.

– Nie. Musi tylko odpowiedzieć nam na kilka pytań. – Lorraine posłała jej zdawkowy uśmiech i udała się pod wskazany adres.

– Czy wiesz, jak brzmiały jego pierwsze słowa? – Lorraine przysiadła na barowym stołku w kuchni. Z chwilą gdy dziewczynki poszły do siebie, ona wróciła myślami do służby.

Adam potrząsnął głową.

– „Ale nie powie pani mojej żonie?”.

Adam się skrzywił. Nie uczestniczył w tamtej rozmowie.

– Typowe.

Przed chwilą wrócił z biegania i ociekał potem, chociaż na zewnątrz ścisnął mróz. Wytarł twarz kuchennym ręcznikiem. Lorraine wyszarpnęła mu go i wrzuciła do pralni.

– Obrzydliwość – oznajmiła. – Mówię o jednym i drugim.

Czasem nie mogła się powstrzymać od aluzji. Jeszcze nie minął rok. Zwykle jakoś sobie radziła, nie myślała o tamtym, żyła dalej. Ale przychodziły chwile, kiedy nie mogła i marzyła jedynie o tym, aby mu dopiec.

– Miał coś jeszcze do powiedzenia? – Adam ugryzł jabłko. – Zgodził się na badanie DNA?

– Słyszał o Sally-Ann w wiadomościach, więc miał parę dni, żeby to przetrwać. Nadal jest roztrzęsiony, to był dla niego szok. Powiedział, że była obiecującą uczennicą, próbowała coś osiągnąć, i takie tam. – Wzięła głęboki oddech. Później. – Tak, od razu zgodził się na badanie.

Adam zdjął jaskrawą koszulkę do biegania i cisnął ją do pralni w ślad za ścierką.

– Ustalono już czas zgonu? – spytał.

– Rozmawiałam z patologiem. Przyjmuje się, że nie żyła od co najmniej trzydziestu ośmiu godzin do maksimum czterdziestu jeden. Rider bez pytania przedstawił mi szczegółowe alibi na zeszły tydzień. Dosłownie błagał mnie, żebym go nie wydała przed żoną, bo „to by ją zabiło”, czy coś w tym stylu.

Lorraine przygryzła wewnętrzną stronę policzka. Adam nawet nie mrugnął.

– Zerwał z Sally-Ann przed paroma miesiącami, kiedy upierała się, że to jego dziecko. Domagała się od niego pieniędzy, których nie miał. No i oczywiście nie chciał, aby żona dowiedziała się o romansie i dziecku. Jeśli chcesz znać moje zdanie, sporo ryzykował tym zerwaniem. Przyznał, że gdyby sprawa wyszła na jaw, wszystkiemu by zaprzeczył. – Lorraine wstała i oparła się o blat. – Wiesz, co mi jeszcze powiedział? – Zawiesiła głos. – Powiedział, że grunt to nie dać się

przyłapać. W ten sposób nikt niczego nie udowodni. – Słyszając to, miała ochotę mu przyłożyć.

– Zapamiętam – rzucił kwaśno Adam i poszedł na górę wziąć prysznic.

## Rozdział 9

Kiedy nie jesteś w ciąży, najgorsze jest to, że cały świat zdaje się kręcić wokół dzieci. A konieczność wymyślania coraz to nowych bajeczek – ba, życie w ciągłym kłamstwie – oznacza, że człowiek się zapętla i traci poczucie tego, kim naprawdę jest.

Ale biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, życie w obcej skórze nie jest takie złe, natomiast ujawnianie mojego prawdziwego ja w obecnym stanie rzeczy okazałoby się dość ryzykowne. Jestem tu wyłącznie z jednego powodu i długo nie zabawię. Samo oczekiwanie jest jak ciąża.

– No więc... – mówi Pip, usiłując wypełnić ciszę. Kończą nam się tematy do rozmowy. Lilly bawi się z chłopcami w pokoju obok. Chyba dobrze się dogadują. Zachowują się dość hałaśliwie, ale przynajmniej nie skaczą sobie do oczu. Pip i ja siedzimy przy stole Claudii (wszystko w tym domu traktuję jako własność Claudii) i rozmawiamy o dzieciach, ciąży i porodzie. Nagle Pip wypala z grubej rury:

– Nigdy nie chciałaś mieć własnych dzieci?

Oto jedno z pytań bez odpowiedzi. Przynajmniej jeśli mam zachować pozory. I posadę. Jeden fałszywy ruch i koniec. Wyjaśnienia nie wchodzi w rachubę.

Próbuję zbyć to śmiechem. Następnie długo piję z kubka i sprawdzam, czy dzieci nadal się grzecznie bawią. Zerkam na zegarek, potem na zegar ścienny, ale Pip przysłała dopiero dziesięć minut temu i wyjdzie nieprędko. Poza tym nie odpowiedziałam na jej pytanie.

*Nigdy nie chciałaś mieć własnych dzieci?*

– Ja... – Urywam. Nie mam pojęcia, co powiedzieć. – No cóż...

Uprzejmy uśmiech Pip zbladł; widzę, że chce mi oszczędzić

męczarni. Ciało mnie zdradza: kurczowy grymas, palce splecione na płaskim brzuchu. Nerwowo postukuję stopami o kafelki. To jasne, że nie chcę o tym rozmawiać. Ale teraz nie mam innego wyjścia.

– To skomplikowane – mówię. Słowa kłują w język.

Pip patrzy na mnie z nieszczęśliwą miną; żałuje, że się tak wyrwała. Siedzi na ładnym, sosnowym krześle Claudii, krągła, z wielkim brzuchem, pełna życia, nadziei i miłości. Obrzmiałe piersi kołyszą się pod obszernym, wełnianym swetrem. Pewnie sama go zrobiła na drutach, do kompletu z dzidziusiem. Jakie to urocze. I zupełnie do mnie niepodobne.

– Chyba nie spotkałam właściwej osoby.

Nie muszę dodawać nic więcej. Powinam uciąć temat. Ona nigdy nie zrozumie. Odetchnie, że gafa przeszła niezauważona, i znów będziemy mogły wrócić do rozmowy o pieczeniu, szkole oraz o tym, jak długo zna Claudię. Lecz nie wiedzieć czemu brnę dalej.

– Nie żebym nie próbowała, możesz być pewna. Wiem, co myślisz: że jako trzydziestokilkuletnia singielka powinnam się pospieszyć, ale jak mam to zrobić bez faceta?

Co ja gadam?

Wbijam paznokcie w dłonie, żeby się uciszyć. Sama dobrze wiem, że istnieje wiele sposobów na dziecko bez stałego partnera. Na razie wszystkie zawodzą.

– Masz skończone trzydzieści lat? – Pip podejmuje żalosaną, lizusowską próbę zmiany tematu. Mieni się na twarzy. Ciężarne miewają uderzenia gorąca.

– Trzydzieści trzy – informuję. – Trzydzieści trzy i jestem bezdzietną starą panną. – Śmieję się jak nienormalna. Słyszę zza grobu głos matki: *Patrzcie, niezamężna, bezdzietna. A nie mówiłam...* Kolejny rechot dla rozładowania atmosfery. Z jednej strony chcę, żeby Pip – lub jakakolwiek inna osoba – zrozumiała, co czuję, ale nie mogę nic zepsuć. Stąпам po kruchym lodzie. – Ale co tam. Na szczęście pracuję z dziećmi. – Znowu śmiech, tym razem bardziej przekonujący.

– To dobrze – uzupełnia Pip z westchnieniem, chyba ulgi. W ramach

kropki nad i.

– Mamusiu, Noah zepsuł Barbie! – woła Lilly i rzuca mamie gołą, powykrzywianą lalkę.

– Ojej. – Pip zerka na mnie z ukosa, jakby to była moja wina. – Pokaż.

– Noah – siłę się na karcący ton. – Dlaczego to zrobiłeś? – Najchętniej poklepałabym go po głowie z wyrazami uznania.

– Bo Barbie jest głupia i nieprawdziwa – oznajmia, jakby czytał w moich myślach.

– To nie powód, żeby psuć cudzą lalkę – oznajmiam. – Co się mówi? Noah wzrusza ramionami. Przygryza wargę do krwi.

– Powiedz: przepraszam – naciskam.

– Gotowe. – Pip wręcza córce naprawioną lalkę. – Tylko trochę powyginana.

Patrzę, jak Noah odprowadza wzrokiem Lilly i jej naprawioną Barbie. Wiem, że nie odpuści. Zaczynam rozumieć, że jest do mnie podobny: rzeczy zbyt doskonale same się o to proszą.

Kiedy Pip wreszcie wychodzi z naburmuszoną Lilly i obietnicą cotygodniowych spotkań, biorę się za kolację dla chłopców. Przecież obiecałam domową zupę.

Zaglądam do salonu i widzę, że siedzą przyklejeni do telewizora. Oscar przysnął na oparciu fotela i ślini się w tapicerkę. Noah łypie na mnie na mocy niemego porozumienia i bez słowa odwraca się z powrotem do kreskówki.

Zamykam drzwi, po czym łapię kurtkę, torebkę i klucze. Staję na schodkach i rozglądam się na wszystkie strony. Nikogo nie ma, nikt nie zwraca na mnie uwagi. To zaledwie parę kroków: nabieram powietrza w płuca, zbiegam po schodach i wypadam przez furtkę. Pędzę do osiedlowego sklepiku, kupuję co trzeba, w duchu przeklinając staruszkę, która przede mną odlicza uciulane drobniaki. Po chwili wpadam z powrotem do przedpokoju i w biegu zrzucam kurtkę. Zziajana ponownie zaglądam do salonu. Chłopcy siedzą na swoich miejscach, ale nagle robi mi się ciemno w oczach, bo czuję czyjąś dłoń na



ramieniu.

– James – mówię odruchowo. Uśmiechem tuszuję strach.

– Zoe – słyszę w odpowiedzi i mam sekundę, aby ocenić, czy jest zły, czy wie, że zostawiłam jego synów bez opieki. – Jak ci minął dzień?

– Dobrze – odpowiadam wciąż niepewnie i wyrzucam sobie brak podstawowych zdolności kulinarnych.

– Zmarzłaś – zauważa i się przeciąga.

– Wnosiłam puszki. – Niedawno naprawdę to zrobiłam i gratuluję sobie refleksu. Pełne pojemniki w kuchni świadczyłyby na moją niekorzyść. Dyskretnie przesuwam nogą siatkę z zakupami, ale niepotrzebnie, ponieważ James siada z powrotem na kanapie i obejmuje synów.

– Świetnie – mówi z głupia frant. Oscar otwiera oczy i James przenosi na niego całą uwagę.

– To ja idę zrobić kolację – mamroczę i wycofuję się do kuchni.

– Coś tu ślicznie pachnie – mówi Claudia. Jest zmęczona i zestresowana, ale robi dobrą minę do złej gry. Chyba nie do końca przywykła do mojej obecności. Musi zrozumieć, że to dla nas obu konieczność.

– Zupa – oświadczam z dumą. Wielki gar pyrkocze na kuchence. Instrukcję obsługi tego cholerstwa znalazłam w sieci, zaklinałam się przecież, że moi poprzedni pracodawcy jedli taką samą. – Oczywiście sama ugotowałam. – Dziesięć pustych puszek (kiedyś dowiedziałam się od ciotki, że domową zupę gotuje się w ilościach hurtowych) spoczywa bezpiecznie na dnie pojemnika do segregacji. Garść świeżych ziół i nikt nie zakwestionuje jej pochodzenia. Niech myślą, że całe popołudnie w pocie czoła obierałam i siekałam marchewkę. – Wpadła Pip z wizytą – rzucam z innej beczki, ale Claudia stoi nad garnkiem z brzuchem przyciśniętym do kuchenki i z lubością wdycha zapach mojej kulinarnej mistyfikacji.

– Założę się, że masz jakiś sekretny składnik – mówi, przysmykając oczy.

Stoimy obok siebie, dzieli nas tylko oddech. Prawie słyszę bicie

dwóch serc.

– Gdybym ci powiedziała – mówię z uśmiechem – musiałabyś zabrać tę tajemnicę do grobu.

Później, kiedy chłopcy wylizali talerze i poprosili nie tylko o drugą, ale i trzecią dokładkę, kiedy zjedli na deser ćwiartki brzoskwini i oblizali palce, po kąpieli w towarzystwie kilkunastu dinozaurów i czytaniu mówię Claudii i Jamesowi dobranoc (dyskretnie wypytawszy tę pierwszą o samopoczucie) i padam na łóżko, jakby siły mnie opuściły ze zmęczenia i żalu. Łzy wsiąkają w poduszkę, a gdy przychodzi złość, bezsilnie wbijam zęby w poszewkę.

Czemu właśnie teraz?

Wyciągam torbę z dna szafy. Otwieram wewnętrzną kieszeń i wyjmuję mały, niebiesko-biały kartonik z napisem „Clear Blue”. Wiarygodność dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Dwa testy.

Od tego widoku robi mi się tęskno za domem. Czuję się kompletnie bezużyteczna i pusta w środku.

## Rozdział 10

Paliła papierosy. – Krążę tam i z powrotem po pokoju.

– Bzdura – oponuje bezsilnie James. – Ona nie pali. Nie pamiętasz, że pytaliśmy o to w czasie pierwszej rozmowy?

– Przecież czułam.

Zastanawiam się chwilę. James ma rację. Zapewniała nas, że nie pali. Ale nie życzę sobie, żeby chłopcy widzieli, jak wymyka się na papierosa, czy choćby czuli od niej nikotyne. Ani się obejrzymy, jak sami zechcą spróbować. Nie tak chcę ich wychować.

– Zapytaj wprost, jeśli cię to dręczy – proponuje James.

– Jak to sobie wyobrażasz? – odpowiadam. Chodzę pomiędzy nim a kominkiem. – Jeszcze pomyśli, że jej nie ufamy.

– Głupstwa opowiadasz. – Nie wiedzieć czemu James wskazuje na puste palenisko. W tym pokoju zawsze panuje chłód, ale uparł się, żebyśmy porozmawiali tutaj, jak najdalej od pokoju chłopców i schodów na górę. – Nie pamiętasz, że rozpałała w kominku w salonie i narzekała, ile się musiała namęczyć? Przepraszała, że nakopciła. Pewnie czułaś zapach opału.

Oboje wiemy, że umiem odróżnić opał od nikotyny. Może jestem w ciąży, ale węchu nie straciłam.

– Nie, nie, mylisz się. Pachniało od niej papierosami.

Nagle milkniemy, bo drzwi otwierają się w momencie, gdy słyszymy pukanie.

– To tylko ja – melduje Zoe. – Wybaczcie, że przepraszam. – Ma zatroskaną minę.

Słyszała, że o niej rozmawialiśmy?

– Wejdz – zaprasza James.

Oby nie słyszała, co mówiłam.

– W sumie to nic ważnego – mówi, jakby wyczuwała nasze zakłopotanie. – Możemy porozmawiać jutro, jeśli teraz nie macie czasu.

Nerwowo czeka w drzwiach, patrzy to na mnie, to na Jamesa. Na jej twarzy maluje się na poły błagalny, na poły przepraszający wyraz. Coś ją dręczy i nie jest pewna, jak to ująć. Wygląda, jakby już się kładła, może nie mogła zasnąć. Włosy sterczą jej po jednej stronie, po lekkim makijażu nie zostało ani śladu. Błada skóra na czole i policzkach błyszczą od kremu na noc, a podkoszulek założony tył na przód i wełniane skarpety do spania też mówią same za siebie.

Ciekawe, po co przyszła?

– Mamy czas – mówię w przypiływie lekkiego współczucia. Klepię miejsce obok siebie, a kiedy Zoe niepewnie siada, dyskretnie rzucam Jamesowi znaczące spojrzenie.

*Nie ma dymu bez ognia*, dźwięczy mi w uszach powiedzenie matki.

– Co cię gryzie? – Nagle uderza mnie myśl, że zaraz, po zaledwie dwóch dniach pracy, wręczy mi wypowiedzenie. Nie przewidziałam, że może zechcieć odejść.

– Właściwie to nic. Tylko...

– Mam was zostawić? – pyta James.

– Dobry pomysł – mówię. – Może nastawisz wodę?

James kiwa głową i wychodzi, zadowolony, że mu się upiekło.

– Tylko co? – Ponownie zwracam się do Zoe, podejmując przerwany wątek.

– Nie jestem pewna, jak to ująć. Chyba zapytam wprost.

Skubie krótko przycięte paznokcie. Nad uszami sterczą jej kępki włosów. Gdybym była jej matką, przyglądałabym jej palcami i ujęła ją pod brodę. Popatrzyłabym w jasnoszare oczy i w lot odgadła, co ją trapi. Przytuliłabym ją i dała do zrozumienia, że może na mnie liczyć w każdej sytuacji.

– Chodzi o weekendy – mówi nieśmiało.

– Tak?

– Nie wiem, co o tym sądzisz... byłabym wdzięczna, gdybym... –

Jeszcze niżej pochyła głowę.

– Ja nie gryzę, Zoe.

Wreszcie podnosi głowę i patrzy mi prosto w oczy. Zarys podbródka ma miękki, jak wyrzeźbiony w marmurze. Wyżej rysują się kości policzkowe, nad którymi lśnią zamglone oczy. Zawsze wygląda jak na skraju łez.

– Tak naprawdę nie mam gdzie się podziać w weekendy.

Usiłuję dociec, co to znaczy, ale słowa cisną się same.

– Wobec tego musisz zostać tutaj. – To z ulgi, że wbrew moim przypuszczeniom nie złożyła wymówienia.

– Serio? – Unosi głowę, oczy jej rozbłyskują. Na ustach pojawia się cień uśmiechu.

– Tak – mówię z lekkim wahaniem: mogłam najpierw spytać Jamesa, zwłaszcza po tym, o co przed chwilą ją oskarżyłam. Ale na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu. Poza tym niedługo znów wyjeżdża i sam nalegał na znalezienie kogoś do pomocy. – Wszystko w porządku, Zoe? – czuję się zobowiązana zapytać. Mimo rozmowy kwalifikacyjnej, jej CV i referencji w gruncie rzeczy mam znikomą wiedzę na temat jej życia osobistego.

– To miło z twojej strony. – Z wdzięcznością kiwa głową. – Tak, wszystko gra. Po prostu... – Minę znów ma smutną i niepewną.

– Co takiego, Zoe?

– Nie układa mi się z osobą, z którą mieszkam... – Urywa z namysłem. – ...mieszkałam. Nie możemy dojść do porozumienia. Nie chcę, żebyś myślała, że nadużywam twojej uprzejmości.

– Zerwanie?

Zoe wzrusza ramionami, a ja uświadamiam sobie, że przyjęliśmy ją pod nasz dach z całym bagażem osobistych doświadczeń.

– W pewnym sensie – kwituje. – Na pewne rzeczy nie ma rady.

I z sobie tylko znanych powodów tęsknie wpatruje się w mój brzuch.

Wyczerpana leżę w łóżku. Niedługo przejdę do gościnnego pokoju, ale na razie wiem, że nie zasnę. James zasypia, ale ja muszę się

wygadać. Słucha jednym uchem.

– Nie mogę powiedzieć, że dostałam gęziej skórki – ciągnę. – Ale prawie. – Lekko szturcham go w ramię.

Leżę na kołdrze w obszernej nocnej koszuli w łączkę i grubym szlafroku ledwie zakrywającym brzuch. James często żartuje, że ostatni raz widział mnie nago, gdy miałam sześćdziesiąt osiem centymetrów w talii. Mam nadzieję, że przed jego powrotem wrócę do dawnego rozmiaru. Kobiety w szkole rodzenia zawsze porównują swoje rozstępy i obwody w pasie. Ja wolę nie myśleć o swoim ciele, gdyż budzi to we mnie panikę. Doznałam zbyt wielu rozczarowań.

– Słyszałeś, co powiedziałam, James? Mówiłam, że nie mogę powiedzieć, że dostałam...

– To nie mów – mamrocze. Ma zamknięte oczy. Leży na boku, plecami do mnie.

– Spojrzała na mnie tak... jakoś... – Nie chcę popaść w przesadę. – Prawie jakby mi zazdrościła.

James otwiera oczy i przewraca się na plecy. Patrzy na mnie. Leżę podparta na łokciu, w niezbyt wygodnej pozycji.

– Już późno, Claud. – Znowu przymyka oczy. – Nie pleć.

– I ten zapach papierosów... Myślisz, że mnie okłamała?

Ponownie czuję na sobie wzrok Jamesa.

– To hormony, Claud. Zoe nie jest dziwna ani zazdrosna. Koniec kropka. Chciała tylko zostawać na weekendy. Jeszcze na tym skorzystasz, zobaczysz.

– Czy ja wiem? – mówię cicho, ale on już zdążył odpłynąć.

Padam z powrotem na poduszkę i jeszcze raz przywołuję tamtą scenę. To było wówczas, gdy powiedziała: „Na pewne rzeczy nie ma rady”. Ileż smutku było w jej słowach. „Brzmi poważnie”, odpowiedziałam, ale nabrała wody w usta.

– Wyciągnęła rękę i dotknęła mojego brzucha, James – mówię do drzemającego męża. – James – powtarzam głośniej. – Powiedziałam, że położyła ręce na dziecku.

James z jękiem przewraca się na drugi bok.

– I co z tego? – mamrocze. – Kobiety tak robią, nie? – Naciąga poduszkę na głowę.

Oczywiście ma rację. Odkąd się zaokrągliłam – dopiero w piątym miesiącu – przyciągam mnóstwo nie zawsze pożądanej uwagi. Początkowo nie mówiłam o ciąży nikomu prócz rodziny i najbliższych znajomych, choć z nimi też uważałam. Biorąc pod uwagę moje doświadczenia, wolałam sobie darować sprawienie wszystkim zawodu kolejnym poronieniem. Dostałam nauczkę. Poza tym ludzie nie szczedzą mi czasem cierpkich komentarzy z tytułu mojej pracy.

– Chodzi o to, jak mnie dotknęła, James. Jakby... – Milknę i zmieniam pozycję. Jestem zmęczona i pewnie bredzę od rzeczy. – Och, sama nie wiem. Ale położyła obie ręce tutaj. – Dotykam brzucha, chociaż James wcale nie patrzy. – I za długo je tam trzymała. Patrzyła mi prosto w oczy. Wcale mi się to nie spodobało.

– Pewnie czekała, aż kopnie – mruczy James.

– Może – wzdycham. – Jestem wykończona. Idę spać. – Całuję go w bok głowy i przechodzę do pokoju gościnnego. Dzięki temu oboje się wyśpimy.

Po umyciu zębów, kiedy leżę na łóżku, rozgrzana mimo uchylonego okna, myślę o tym, czego nie powiedziałam Jamesowi. O słowach, od których zamarło mi serce.

„Masz takie szczęście”, powiedziała z dłońmi na moim brzuchu. Oczywiście miała pełne łez, jakby wezbrała w nich cała szarość. „Masz takie szczęście, że jesteś w ciąży”.

## Rozdział 11

Po drodze na górę wydaję głębokie westchnienie ulgi. Rozwiązanie kwestii weekendów okazało się łatwiejsze, niż zakładałam, więc uniknę całej masy zamieszania i udręki. Czuję, że znowu mogę odetchnąć. Poza tym nie chcę, żeby coś się stało bez mojego udziału. Claudia sama wyciągnęła wnioski, nim zdążyłam zaproponować, na temat mojego życia uczuciowego; uznała, że jestem chodzącą ofiarą losu. A na końcu dyskretnie ugryzła się w język. Bardzo rozsądnie. Dam głowę, że nie wróci do tematu. Sądząc po jej minie, myślała, że zamierzam rzucić pracę. Nic z tych rzeczy. Przynajmniej na razie.

Odłączam telefon od ładowarki i patrzę na wyświetlacz. Nic nie przyszło, odkąd ostatnio sprawdzałam. Wystukuję wiadomość, po czym zachowuję jako kopię roboczą, uznawszy, że nie powinnam jej wysłać: byłoby to nieostrożne i namąciłoby jeszcze bardziej. Sięgam po torbę z dna szafy i wydaję pół butelki szkockiej. Opiekunce nie wypada, ale jestem zmordowana i plecy mnie bolą od noszenia chłopców po schodach. To dobre dzieciaki, żywiołowe i ciekawe świata, przy czym na podstawie mojego ograniczonego doświadczenia rzekłabym, że z dziewczynkami jest łatwiej.

Na samą myśl o tym pociągam łyk z butelki – tylko mały – i znów sięgam po telefon. Przeglądam kopie robocze, które pisałam dla odreagowania napięcia. Następnie wracam do wiadomości, którą przed chwilą wystukałam. Łaskocze mnie w brzuchu i czuję lekkie mdłości, kiedy wyobrażam sobie, że czyta ją osoba, do której jest skierowana. Ponownie przystawiam butelkę do ust i tym razem pociągam solidnie. Czuję żar w przetyku i naciskam „wyślij”. To silniejsze ode mnie.

„Wiesz, że zawsze będę cię kochać”, płynie w wirtualną przestrzeń.



Kiedy rano w asyście bliźniaków schodzę na dół, Claudii już nie ma. James wkracza w mundurze do kuchni i chłopcy robią raban przy śniadaniu.

– Spokojnie, jeszcze nie wyjeżdżam – perswaduje, gdy zrywają się od stołu i łapią go za nogi. To musi być dla nich straszne, rozstawać się z nim na tak długo, zwłaszcza po śmierci mamy. Dobrze się stało, że poznał Claudię. Która na szczęście zatrudniła mnie. Dzieci przechodzą z rąk do rąk. Pytanie, co będzie dalej. – Mam spotkanie służbowe – informuje po zdawkowym „dzień dobry”. Nadstawiam uszu. Chyba za mną nie przepada. Kiedy wyjedzie, zostanę z jego żoną i dziećmi, będę się nimi opiekować pod jego nieobecność. Stanę się nową głową rodziny. – Do szóstej powinienem wrócić, Claudia tak samo. Wyszła wcześniej, zajmuje się jakimś trudnym przypadkiem.

– Tak? – wysilam się na obojętny ton, ale ciekawość mnie zżera. Tyle muszę się o nich dowiedzieć i mam na to tak niewiele czasu. Najchętniej wypytałabym Jamesa o to spotkanie służbowe.

I muszę przyznać, że intryguje mnie praca Claudii. Wiem, że pracuje w opiece społecznej, stoi na czele zespołu do spraw dzieci. Ale nie mam pojęcia, na czym polegają jej obowiązki. Przypuszczam, że stara się poprawić ludziom byt, narzucić im określony sposób postępowania. Nie zanedbuj dzieci, nie zachodź w ciążę w wieku piętnastu lat, nie bij narzeczonej, nie ćpaj.

Potem przychodzi mi do głowy, że przecież musi regularnie współpracować z policją. Na samą myśl czuję przyływ adrenaliny, dokładnie w chwili gdy Noah przewraca swoją szklankę z sokiem pomarańczowym. W pierwszym odruchu mam ochotę na niego nakrzyczeć, ale zachowuję spokój. James jeszcze nie wyszedł. Słyszę, że wchodzi do gabinetu.

– Masz babo placek – mówię ze śmiechem. – Noah, przynieś ścierkę, dobrze? – Idzie posłusznie, a Oscar nazywa go niezdarą. Zamiast wytrzeć plamę, pakuje do niej palec. – Daj, ja to zrobię. – Rozmaże sok po kafelkach. Jeszcze mi potrzebne szorowanie podłogi. Mam ważniejsze sprawy na głowie.

– Może wybierzecie się z nami po szkole do sali zabaw dla dzieci? – Pip przytupuje i zaciera gołe ręce. Jest lodowato.

Skreca mnie na samą myśl, ale nie odmawiam. Niewątpliwie znajdę się w otoczeniu obłączonych przez małąletnią działość ciężarnych, które gładząc się po obowiązkowo wielkich brzuchach, snują filozoficzne rozważania o macierzyństwie. Gdzie nie spojrzeć, wszędzie ich pełno. Nie ułatwia mi to życia – sprawia, że czuję się wydrażona oraz jeszcze bardziej samotna, bezużyteczna i bezsilna niż zwykle. Mówię sobie, że już niedługo; to nie potrwa wiecznie. Wszystko się ułoży.

Telefon wibruje w kieszeni. Nie mogę teraz go wyjąć. Serce podskakuje mi w piersi.

– Wymęczymy chłopców przed spaniem – ciągnie Pip. Ma na sobie sztuczne futerko z wielkimi mankietami i czapkę do kompletu. – Lilly uwielbia tam chodzić. Mają basen z piłkami, w którym może cała się schować... – Rozwodzi się nad tą salą zabaw, a ja ze śmiechem kiwam głową, wydecham kłęby zmrożonego oddechu i gorączkowo szukam wymówki, żeby odejść. Muskam palcami telefon w kieszeni.

– Patrz, wchodzi do szkoły – mówię, kiedy dzieci rozchodzą się gęsiego do swoich klas. Macham jak szalona, gdy bliźniaki znikają za drzwiami, nie oglądając się ani razu. W końcu nie jestem ich matką.

– To co, widzimy się po szkole? – chce wiedzieć Pip, kiedy wychodzimy przez bramę.

– Jasne – mówię i rozmyślam, jak tu się wykręcić.

Wreszcie ulatniam się, pozostawiając Pip w towarzystwie innych matek. Skrećam za róg i dopiero wtedy wyjmuję telefon.

„Ja ciebie też kocham”. Te słowa dają mi siłę do tego, co czeka mnie w następnej kolejności.

Kiedy otwieram drzwi, w sypialni Claudii i Jamesa pachnie dezodorantem, lakierem do włosów i perfumami. Mieszanka wszystkich trzech aromatów w połączeniu z subtelną wonią snu nasuwa poczucie, że nie jestem sama w pokoju. Zasłony wciąż są zaciągnięte, co pozwoli mi uniknąć ewentualnych wścibskich spojrzeń z sąsiedztwa. Zapalam światło i wchodzę do środka. Grunt to od czegoś

zacząć. Na przekór mojej paranoi, prócz mnie na pewno nie ma nikogo w domu. Nawet sprawdziłam w garażu, czy James zabrał samochód. Żeby zdobyć to, po co przyszłam, muszę jak najwięcej się o nich dowiedzieć. Nie odważę się wejść do gabinetu, póki James nie wyjedzie. Nie mogę nawalić. Druga szansa się nie powtórzy.

Wchodzę do sąsiadującej z sypialnią łazienki. Zapach Claudii jest tu wyraźniejszy, a para z jej porannego prysznica wisi w powietrzu jak smog. Ręcznik leży na podłodze, a na półce nad umywalką panuje chaos: pełno tam pootwieranych flakonów i słoiczków z kosmetykami. Dynda porzucona niedbale nic dentystyczna, a szczoteczka do zębów tkwi w umywalce. Włosie dotyka kleksa pasty do zębów, który przywarł do porcelany, jakby ktoś uciekł stąd w popłochu.

Rozglądam się dokoła. Co spodziewam się odkryć w tym przybytku prywatności Claudii i Jamesa? Myszkowanie tu nie ma sensu, ale nie mogłam się powstrzymać. Do stworzenia całości obrazu niezbędny jest każdy strzęp informacji.

Wyobrażam sobie, jak Claudia rzuca się w wir pracy w oparach perfum oraz ludzkiej niedoli i podejmuje przełomowe decyzje w sprawach rozbitych rodzin, o których musi ucziwie przyznać, że wie za mało. Widzę, jak siedzi w biurze, gryzie długopis i na zawsze odmienia ludzkie życie, ale ni stąd, ni zowąd dusi się pod lawiną zasyпки i stosem brudnych pieluch, głuchnąc od wrzasku tysiąca rozwrzeszczanych noworodków. Dławi się, dygocze na całym ciele. Odruchowo łapie się za brzuch i zaczyna rodzić w konwulsjach. Pada na ziemię z rozrzuconymi nogami... spieszę na pomoc...

– Przestań!

Patrzę na swoje odbicie w lustrze. Co się ze mną dzieje? Mam zapadnięte policzki i szare cienie pod oczami. Muszę wziąć się w garść. Biorę głęboki oddech i gaszę światło w łazience.

W odróżnieniu od niechlujnej łazienki szafa Claudii robi lepsze wrażenie. Po lewej stronie wiszą bluzki i sukienki, a po prawej luźne spódnice oraz spodnie z elastyczną talią. Większość z nich jest utrzymana w ciemnych kolorach, w przeciwieństwie do obszernych,

jaskrawych tunik, których nagromadziła sporą kolekcję. Wyobrażam sobie, jak wkłada te stroje, idealnie dopasowane i zakupione w drogich butikach. Ja, gdybym była w ciąży (aż mnie mdli z zazdrości na samą myśl), nosiłabym dopasowane podkoszulki w odcieniach brązu i szarości, opięte na brzuchu. Na to narzucałabym rozpinany męski sweter z głębokimi kieszeniami, w których upychałabym chusteczki. Bez chusteczek ani rusz. Byłabym bardzo uczuciowa, przeżywałabym hormonalne wzloty i upadki wraz z towarzyszącą im huśtawką emocji. Ale na razie brzuch mam płaski jak deska i nie dla mnie hormonalne zmiany nastroju. Jestem na nie obojętna.

Dotykam jednej z ciążowych sukienek, a ona ześlizguje się z wieszaka. Patrzę, jak leży na dnie szafy. Podnoszę ją i przykładam do siebie. Claudia jest wyższa ode mnie. Przed ciążą nosiła pewnie rozmiar czterdzieści, ja noszę trzydzieści sześć. Ginę pod jaskrawym, różowo-pomarańczowym deseniem Pucciego. Sięga mi do połowy łydki, do kolan pewnie prezentuje się lepiej. Kontrastowy wzór musi cudnie podkreślać ciemne włosy i porcelanową karnację właścicielki. Mnie zredukowałby do zera.

Rzucam sukienkę na podłogę i depczę skarpetkami. Szloch wzbiera w gardle, jakby ktoś zaciskał mi palce na szyi, coraz mocniej. Kiedy przestanę się dusić?

Przytrzymuję się szafy, żeby nie upaść, wciskam głowę w ramiona. Co ja sobie wyobrażałam? Muszę się opanować. Podnoszę i strzepuję sukienkę. Nie może być wygnieciona. Odwieszam ją do szafy i już mam zamknąć drzwi, kiedy zauważam coś na dnie. Ładna, biało-zielona szkatułka z napisem „Pamiętki” na wieku.

Widywałam podobne. O tak, wiele razy podczas licznych wypraw do działu niemowlęcego w domu towarowym, wśród albumów w rodzaju „Pierwszy rok życia dziecka” i miękkich książeczek w modnym butiku dziecięcym niedaleko mojego mieszkania. Mojego dawnego mieszkania.

Zastygam i zadzieram głowę do sufitu, żeby powstrzymać napływające łzy.

Oddycham głęboko. To szkatułka do przechowywania pierwszych fotografii przewiązanych wstążeczką, buczków i kosmyków. Tutaj się chowa mleczaiki – drobne, o nierównych krawędziach – i zdjęcia z porodówki, które nie nadają się do rodzinnego albumu. Pierwsze kartki urodzinowe, świadectwo chrztu i dziecięce bazgroły. Ta szkatułka skrywa najczulsze wspomnienia, najcenniejsze pamiątki, genezę życia. Jest otwierana raz na parę lat i z biegiem czasu coraz mniej w niej przybywa.

Wyciągam ją z szafy. Okazuje się cięższa, niż przypuszczałam. Potrzęsam lekko. Coś w niej jest. Czyżby Claudia już gromadziła w niej pamiątki z ciąży? A może to szkatułka bliźniaków, wypełniona przez Jamesa i jego pierwszą żonę? Warstwa kurzu pokrywa wieko, dawno nikt tu nie zaglądał.

Dmucham, po czym stawiam szkatułkę na wykładzinie i klękam obok. Zastygam i nasłuchuję. Coś słyszałam czy mi się zdawało? Serce podchodzi mi do gardła. Co bym zrobiła, gdyby Claudia wróciła do domu, wpadła do sypialni i przyłapała mnie na szperaniu w szafie? Nie gniewaj się, Claudio, chciałam tylko sprawdzić, jak to jest być w ciąży, mieć ciążowe rzeczy, nosić ciążowe ubrania. Czy przyjęłaby moje tłumaczenia? Czy zrozumiałaby, że pewnie chcę – nie, potrzebuję jej dziecka bardziej niż ona sama?

Podnoszę wieko i patrzę na zawartość.

Czuję, jakbym zajrzała w głąb macicy, intymnego przybytku zarania życia. Palce mnie świerzbią, aby przetrząsnąć zawartość, złożoną z... z... co to w ogóle jest? Pamiątki? Skarby? Oczy zachodzą mi mgłą na ich widok.

O mój Boże.

Serce bije mi jeszcze szybciej, jeśli to w ogóle możliwe. Wstrzymuję oddech i pochylam się nad szkatułką. Na wierzchu leży zdjęcie. Trochę rozmazane, ale przedstawia dziecko – maleńkie, gołe, pomarszczone dziecko – w szpitalnym łóżeczku z przezroczystego plastiku. Jest sino-szaro-fioletowe, a między żabimi nogami nie ma pieluszki. Rączka wydaje się nieproporcjonalnie cienka w stosunku do białej, plastikowej

opaski na nadgarstku.

Ktoś podpisał niebieskim pisakiem: „Charles Edward. Urodzony przedwcz. w 22 tyg. 20/09/07 – 24/09/07”.

Zdrętwiałymi palcami podnoszę zdjęcie. Cała się trzęsę. Pod spodem leży tycia, wełniana czapeczka, wydziergana z najdelikatniejszej błękitnej włóczki. W środku tkwi zakrwawiony żółty zacisk od pępownicy. Następnie widzę ciąg zdjęć USG, o brzegach pożółkłych ze starości. Widywałam podobne w telewizji i oglądałam w sieci, zachodząc w głowę, jakie to uczucie, kiedy lekarz tłumaczy, gdzie jest rączka, określa płeć i pokazuje serduszko tłoczące krew w cienkie sploty żył.

Na ciemnym tle wydrukowano nazwisko: Claudia Brown. Czyli to jej zdjęcia, ale data – 19/04/2003 – wskazuje na inną ciążę. Widać macicę – ciemną, owalną przestrzeń – a w środku rozmazany, biało-szary kleks. Jeśli to płód, nie wygląda na zbyt duży. Zaglądam do brzucha Claudii i ta świadomość sprawia, że dygoczę jeszcze bardziej. Ktoś napisał na odwrocie: „Mała Ella. 18. tydzień. Martwo urodzona”.

Ślina napływa mi do ust, jakbym miała wymiotować.

Brnę dalej tym szlakiem ludzkiej tragedii. Szkatułka kryje wiele podobnych pamiątek, każda upamiętnia utracone dziecko. Są jeszcze trzy zdjęcia USG, każde z innej ciąży, wykonane około czternastego tygodnia i z datą poronienia na odwrocie. I wiersze zrodzone z rozpacz – „Wyciągam do ciebie puste ramiona... Maleńkie paluszki, nosek... kobieta jałowa jak ja” – oraz zmięta kartka z dwoma odciskami stóp: „James Michael, zm. 07/10/2008”.

– Jak lalka – szepczę, wpatrzona w dziesięć idealnie zarysowanych paluszków.

Z wierszy bije rozpacz Claudii i niechęć do samej siebie. Zakładam, że to ona je pisała. Jak można tyle wycierpieć, a jednak nie ustawać w staraniach o dziecko? Opuszczam ręce na kolana. Czuję się jeszcze bardziej podle w świetle tego, co czeka tę rodzinę z mojej strony.

– Ale tamto ją wzmocniło, jest silna – mówię do siebie i głaszczę szkatułkę. Byle uciszyć wyrzuty sumienia.

Nagle nieruchomieję. Coś słyszę czy mi się zdaje? O, znowu.

Zamykam szkatułkę i wpycham ją z powrotem do szafy. Wypadam z sypialni i zbiegam po schodach. Ktoś wali do drzwi. Gdy otwieram, kurier stoi w progu i bębni palcami w dużą paczkę, którą trzyma wspartą o udo.

– Proszę pokwitować – mówi niecierpliwie, po czym wręcza mi elektroniczny gadżet i rysik. Podpisuję, a on podaje mi karton. Odchodzi bez słowa, a ja taszczę paczkę do środka.

Jest zaadresowana do Claudii i mocno wgnieciona po jednej stronie. Przez dziurę widzę coś wiklinowego, owiniętego folią. Czy nie mówią, żeby niezwłocznie sprawdzać zawartość? A może to moja ciekawość bierze górę? Tak czy inaczej, nie chcę narobić sobie kłopotów.

Targam paczkę do kuchni i przecinam pozostałą taśmę. Otwieram karton i widzę w środku owinięty folią koszyk dla dziecka. Odwijam folię; pod spodem tkwi szeleszczący komplet białej pościeli i zasłonka. Rozkładam materacyk i stawiam koszyk na białym metalowym stojaku, dołączonym do zestawu.

Cofam się i podziwiam swoje dzieło, usiłując wyobrazić sobie nowo narodzone dziecko Claudii w kołysce. I z jakiegoś powodu nie mogę.

– Co ty tu robisz?

Odwracam się, ręce mi dygoczą. Przyłapała mnie, choć robiłam dla niej coś miłego. Nie dotykam jej rzeczy.

– Odebrałam paczkę – tłumaczę. – Śliczna, prawda? Pomyślałam, że zrobię ci niespodziankę i ją rozstawię. Karton był zniszczony, chciałam się upewnić, czy nie jest uszkodzona. Przyniosłam na górę, żebyś nie dźwigała. – Odsuwam się od kołyski. Zasłony nadal są zasunięte, na zewnątrz panuje mrok. – Śliczna, prawda? – powtarzam, gdy w milczeniu podchodzi do koszyka. Postawiłam go przy jej łóżku.

– Tak – mówi zagadkowym tonem i patrzy na mnie zmrużonymi oczami, jakby mi nie ufała. Nie zdjęła płaszcza ani skórzanych rękawiczek do jazdy. Torebkę ma przewieszoną przez ramię i pachnie zimą. Buja kołyskę, po czym patrzy prosto na mnie, prosto w oczy. I widzę, jak lekko drga jej mięsień na policzku.

## Rozdział 12

Liam Rider siedział w poczekalni z szeroko rozstawionymi nogami i łokciami na kolanach. Głowę zwiesił nisko, a przez siwiejące, tłustawe włosy przeświecały zaczątki łysiny. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie delikwenta z sobotniej obławy na melinę, nałogowego amatora kieliszka, który za chwilę ma puścić pawia lub odpłynąć w niebyt. Kiedy Lorraine go zawołała, upłynęła dłuższa chwila, zanim to do niego dotarło. Pozostali oczekujący rzucili mu wrogie spojrzenia. Zakolczykowana kobieta z rozbrykanym malcem, facet w garniturze i dwóch dresiarzy – wszyscy chętnie wskoczyliby na jego miejsce w kolejce.

– Panie Rider – powtórzyła. – Mogę pana przyjąć.

Stała, przytrzymując drzwi, aż Rider zrozumiał, że go wołają. Powoli dźwignął się z krzesła z wysiłkiem człowieka, któremu wali się świat. Lorraine była zadowolona. Ostatecznie przyszedł tu z własnej inicjatywy, toteż obiecała sobie, że będzie... będzie dla niego miła i wysłucha, co też ciekawego ma do powiedzenia. Gdy mijał ją w drzwiach, poczuła zapach człowieka na krawędzi, który zepchnął higienę na dalszy plan. W imię czego? Paru numerków ze studentką? Była ciekawa, czy teraz pluje sobie w brodę.

– Niech pan siada – zachęciła, gdy znaleźli się w pokoju przesłuchań. Było to szare, nieciekawe pomieszczenie, do którego docierało niewiele światła. Lorraine nie zawracała sobie głowy zapaleniem jarzeniówek. – Co pana sprowadza? – zapytała, przysiadając na skraju drugiego, mniejszego stolika. Zajęcie miejsca naprzeciw Ridera wskazywałoby na aprobatę dla jego obecności oraz – co za tym idzie – postępowania. Tego by nie zniosła. Jeśli powie coś pożytecznego,



świetnie. Jeżeli nie, szybko się z nim uwinie.

– To ja jestem ojcem dziecka Sally-Ann – powiedział cicho, wyrrywając ją z zamyślenia. Dłonie miał zaciśnięte, splecione palce wystawały z tweedowych rękawów. – Nie sypiała z nikim innym.

Co za pajac, pomyślała Lorraine, gdy dotarła do niej pycha zakamuflowana w tej wypowiedzi. Niby skąd wiedział, że Sally-Ann nie sypiała z nikim innym? Pewnie na tej samej zasadzie żona wierzyła w jego wierność. Ujrzała oczami wyobraźni, jak Rider gawędzi z innymi wykładowcami, rechocze, wymienia żarciki. Potem przypomniała sobie, że jest tylko nauczycielem w miejscowym college’u – daleko mu do profesora Oksfordu – i skórzane łąty na łokciach, rozczochrane włosy oraz okulary w cienkich oprawkach raptem straciły całą otoczkę intelektualną. Lorraine nie mogła się nadziwić, co, u licha, Sally-Ann, młoda, atrakcyjna kobieta, w nim widziała.

– Wiem – odparła. Właśnie przyszły wyniki z laboratorium.

– Ale przysięgam, że jej nie zabiłem. – Zwiesił głowę.

To też wiem, pomyślała Lorraine, ale nie powiedziała tego na głos. Miał żelazne alibi: tamtego dnia prowadził zajęcia, co potwierdził zapis kamery. Poczynania Russella Goodalla budziły za to pewne wątpliwości.

– Na jakiej podstawie mam panu wierzyć? Miał pan motyw.

– Nawaliłem na całej linii jako mąż, ale nie jestem mordercą, na miłość boską. – Rider złapał się stołu, jakby miał wybuchnąć płaczem. – Postąpiłbym jak człowiek, pomógłbym Sally-Ann i dziecku. Wziąłbym drugi etat czy coś. Tylko proszę nie mówić mojej żonie. – Ponownie spuścił głowę. – Proszę.

– Czy to jedyny powód, dla którego chciał pan się ze mną widzieć? – Lorraine nagle poczuła, że ma władzę. Przyszedł się pokajać.

– Nie. – Podniósł głowę i przełknął ślinę. – Znam kogoś, kto mógłby pani pomóc.

– Tak? – Łajdak, pomyślała. – I udzieli pan tej cennej informacji w zamian za obietnicę, że nie pogrążymy pana przed żoną?

Potwierdził.

– Czy jest pan świadomy, że mogłabym pana za to aresztować?

Rider ponownie przełknął ślinę.

– Ja... ja nic nie zatajam. Chciałem, żeby było fair. Sally-Ann i ja...

– Zdradzał pan żonę, panie Rider. Gdzie tutaj miejsce na sprawiedliwość? – Serce zabiło jej mocniej w piersi. To było jak narkotyk, któremu nie mogła się oprzeć; narkotyk, o którym wolałaby się nigdy nie dowiedzieć.

– Fair wobec mojej żony – uściślił. – Wiem, że postąpiłem jak świnia. Ale z tym już koniec.

– To oczywiste – nie darowała sobie Lorraine.

– Więc nie ma powodu, żeby ranić Leslie, prawda? – Odchylił się na plastikowym krześle.

– Niech pan spyta dziennikarzy – burknęła Lorraine. Spojrzała na zegarek. – Napiszą, co chcą.

– Proszę posłuchać, Sally-Ann chodziła do szkoły rodzenia. Znalazła ogłoszenie w lokalnej gazecie. Raz czy dwa pytała, czy z nią pójdę, ale oczywiście odmówiłem. To nie byłoby w porządku. Chyba liczyła na coś więcej, miała nadzieję, że zostawię Leslie i dzieciaki. W ogóle nie brałem tego pod uwagę. W każdym razie nawiązała tam parę znajomości. Szczególnie zaprzyjaźniła się z jedną kobietą, Amandą Simkins. Od razu przypadły sobie do gustu.

– I? – zgubiła się Lorraine. – Widział ją pan?

– Parę razy – odpowiedział Rider. – Ale od początku jej nie lubiłem.

Lorraine nie rozumiała, w czym właściwie rzecz, ale mu nie przerywała.

– Chodziły na jogę, uczyły się oddychania, tego, jak rozpoznać oznaki porodu i zmieniać pieluchy. – Rider urwał. – I tak dalej. – Skrzywił się na znak, że dla niego to czarna magia.

– Nie widzę w tym nic niezwykłego – stwierdziła Lorraine i zsunęła się ze stołu. Stała z założonymi rękami. – Kobiety w ciąży chodzą do szkół rodzenia i nawiązują znajomości. Proszę mi nie mówić: dam głowę, że chodziły też razem na kawę. – Zaśmiała się pod nosem.

– Owszem – potwierdził. – Ale chce pani coś usłyszeć o tej babce? –

dodał, też podnosząc się z miejsca.

Był znacznie wyższy od niej, więc musiała zadrzeć głowę, aby spojrzeć na jego nieogoloną twarz.

– Słucham. – Oparła dłoń na klamce. Nie mogła się doczekać, kiedy stąd wyjdzie.

– Amanda Simkins nawet nie jest w ciąży.

Nie uprzedzili instruktorki o swojej wizycie. Czekali w korytarzu starego Baptist Church Hall, podglądając przez szybkę w drzwiach kilkanaście kobiet na różnych etapach ciąży, wyginających się na matach.

– Ty nic takiego nie robiłaś, kiedy byłaś w ciąży – stwierdził z kwaśnym uśmiechem Adam.

– Fakt – przyznała Lorraine. – Byłam zbyt zajęta łapaniem przestępców, żeby sobie pozwolić na takie luksusy.

Kobieta prowadząca zajęcia, Mary Knowles, zerkała na nich z coraz większym marsem na czole. W końcu ciekawość wzięła górę i gdy uczestniczki legły pod kocami i przygaszono światła, podeszła do drzwi i wyjrzała na zewnątrz.

– Czym mogę służyć? – spytała ostrym szeptem.

– Jestem detektyw Lorraine Fisher, a to detektyw Adam Scott. – Pokazali odznaki. – Z wydziału śledczego. – Lorraine zawiesiła głos, żeby informacja odniosła spodziewany efekt. – Chcieliśmy zaczekać do końca zajęć, ale... – Urwała i podniosła brwi.

– Chodzi o biedną Sally-Ann, prawda?

Lorraine skinęła głową.

– Interesuje nas, co pani o niej wie. I osoby, z którymi przyjaźniła się na zajęciach, na przykład Amanda Simkins.

– Rozumiem – odrzekła Mary Knowles niemal przeproszającym tonem. – Chodzi o grupę z Bordesley Green. Prowadzę zajęcia w różnych częściach Birmingham. Są dosyć oblegane.

– Jeśli pani woli, możemy zaczekać, aż skończycie – wtrącił Adam, zaglądając przez drzwi na leżące kobiety. – Porozmawiamy swobodnie. – Kilka pań kręciło się niespokojnie.

– Proszę dać mi pięć minut – rzuciła Mary. – Teraz się relaksują. To ważne.

Lorraine i Adam przysiedli na drewnianej ławce i czekali. Lorraine też chciałaby się zrelaksować. Westchnęła głęboko i wykręciła się do tyłu. Na tablicy ogłoszeń nad ich głowami widniały informacje na temat różnych wydarzeń. Gięda samochodów, kiermasz ciastek, dyskoteka dla młodzieży. Niektóre ogłoszenia były nieaktualne. Nie zabrakło reklamy szkoły rodzenia Mary Knowles. Wyglądało na to, że prowadzi wypożyczalnię basenów do rodzenia.

– Wracają wspomnienia? – spytał Adam.

– Nie bardzo – odpowiedziała Lorraine, ale zaraz tego pożałowała, bo drzwi otworzyły się i na korytarz wyległy ciężarne. Niektóre nie mieściły się w jednym skrzydle.

Ich córki miały po czternaście i siedemnaście lat i Lorraine poczuła żal z powodu nieubłagalnego upływu czasu. Te kobiety znajdowały się na początku drogi, dopiero miały poznać smak nieprzespanych nocy, stosu pieluch i podszytego wyrzutami sumienia poczucia bezradności. Lecz nagle ogarnęła ją ulga na myśl, że w miarę bezboleśnie przetrwała ten okres. Nie miała sobie nic do zarzucenia. Teraz, gdy dziewczynki były już starsze i bardziej niezależne, a do tego śliczne, dobrze wychowane, lubiane i pracowite, teoretycznie rzecz biorąc, zyskała więcej czasu dla siebie. Sęk w tym, że zawsze cierpiała na jego brak. W przeciwieństwie do niektórych, pomyślała i rzuciła Adamowi wściekłe spojrzenie.

– Zapraszam – dobiegł z sali głos Mary po wyjściu ostatniej z kobiet. Rozsunęła zasłony wysokich okien i do środka zajrzało blade, zimowe słońce, oświetlając zakurzony parkiet. Naciągnęła szarą bluzę dresową, po czym zapięła zamek, moszcząc pod spodem sterczące piersi. Lorraine nie omieszkała zauważyć, że nie uszło to uwadze Adama. Żałosne.

A może żałosne było to, że go na tym przyłapała? Może wcale nie zwrócił uwagi na piersi Mary, tylko ona to sobie wyobraziła? Na pewno miała paranoję. Może jednak powinni zwrócić się do innego terapeuty.

– A więc – zaczęła z werwą Mary, jakby to jej należały się wyjaśnienia. – Sally-Ann Frith.

Dzieliła wyrazy na precyzyjne sylaby, co zdaniem Lorraine nasuwało nieodparte wrażenie, że biedna dziewczyna żyje i ma się dobrze. Przypomniała sobie Daphne, jej matkę, dziwnie opanowaną na przekór strasznej śmierci córki. Gdyby chodziło o którąś z jej dziewczynek... zadrżała i odpędziła tę myśl. Żelazna zasada: żadnych osobistych odniesień. Przenigdy.

– Niedługo miała rodzić, jeśli dobrze pamiętam. Chwileczkę... tak, miała zaplanowaną cesarkę, prawda? – Świdrowała ich bystrymi oczami znad długiego nosa. Całą twarz miała długą, jak koń, pomyślała Lorraine.

– Tak. Obawiam się, że ktoś uprzedził lekarza, jak zapewne pani słyszała – potwierdziła.

– Moje klientki są niespokojne – powiedziała tonem nagany, jakby miała im za złe, że jeszcze nie złapali mordercy.

– Niespokojne? – powtórzył idiotycznie Adam. Pewnie uznał to za jakiś efekt uboczny ciąży.

Szczupły palec z nieprawdopodobnie długim czerwonym paznokciem odgarnął kosmyk włosów.

– A jeśli to jeszcze nie koniec? Jeśli to seryjny morderca, który atakuje ciężarne kobiety? – Jej głosik dosłownie błagał Adama o pomoc.

– Nie mówimy o kobietach – zaznaczyła Lorraine na znak, że to odosobniony przypadek. Oczywiście w odpowiedzi na oświadczenie policji parę ogólnokrajowych dzienników przytoczyło garść podobnych spraw ze Stanów. Co dało początek fali spekulacji. – Nie mamy podstaw, aby sądzić, że Sally-Ann została zaatakowana z powodu ciąży. Proszę powiedzieć nam o niej coś więcej.

Mary chwilę się zastanawiała.

– Była miłą i lubianą uczestniczką moich zajęć. – Głos zadrżał jej lekko. – Dbała o siebie i dziecko. Wiecie, przywiązywała dużą wagę do zdrowia i prawidłowego odżywiania. Nie planowała tej ciąży, ale pogodziła się z myślą, że zostanie matką.

Lorraine kiwnęła głową.

– A Amanda Simkins? Czy pani ją zna? Przychodziła na zajęcia?

– Amanda? – powtórzyła ze śmiechem Mary, nie odpowiadając na żadne z pytań. – Artystka, jeśli chcecie znać moje zdanie.

– To znaczy? – spytał Adam.

– No wiecie. Ktoś, kto się wyróżnia, niekoniecznie z właściwych powodów.

– W jaki sposób się wyróżnia? – naciskał Adam.

Mary przeniosła wzrok za okno, jakby szukała tam natchnienia. Zmarszczyła nos.

– Mówię na takie „pijawka” – powiedziała wreszcie. – Zawsze na pierwszym planie, zawsze w centrum uwagi. No wie pan, dusza towarzystwa.

– Rozumiem – odparł Adam, chociaż Lorraine widziała, że bynajmniej.

– Reasumując, powiedziałabym, że jest nadgorliwa. – Mary sprawiała wrażenie zadowolonej z tego określenia.

– Na kiedy ma termin? – zapytała Lorraine na wspomnienie dziwnego komentarla Liama Ridera. Zerknęła na Adama.

– No właśnie o to mi chodzi – oznajmiła Mary. – Nawet nie jest w ciąży. Chodzi na moje zajęcia, bo myśli, że to pomoże. – I dodała szeptem: – Coś jej nie wychodzi. No wiecie...

– Czy to nie dziwne, chodzić do szkoły rodzenia, nie będąc w ciąży? – Lorraine uważała, że owszem.

– Może trochę, ale częstsze, niż się wydaje. Część pań po prostu szuka odprężenia. Nie będę im odmawiać.

– Namiastka stanu błogosławionego – wtrącił gruboskórnie Adam.

– Właśnie – przytaknęła Mary. – Ale jej obecność oznacza dodatkowe pięć funtów tygodniowo, więc nie narzekam.

– Poda nam pani jej adres? – spytała Lorraine.

– Wykluczone – oświadczyła Mary. Porwała ze stołu papierową teczkę i wepchnęła ją do wielkiej torby, którą miała przerzuconą przez ramię. – Dane moich klientek są ściśle poufne.

– Mary – powiedział Adam, uprzedzając Lorraine. – Jesteśmy z policji. Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa.

Oboje utkwili w niej wzrok. Lorraine nagle przypomniała sobie, że Grace ma w czasie przerwy obiadowej jazdę kursową; zapomniała jej wypisać czek. Adam odchrząknął, głośno i ze zniecierpliwieniem.

– No dobrze – ustąpiła Mary i po jej twarzy przemknął cień strachu.  
– Ale nie mówcie jej, że wam powiedziałam. Nie chciałabym stracić kolejnej klientki.

– Kolejnej? – rzuciła bez zastanowienia Lorraine.

Mary wyjęła teczkę. Otworzyła ją i nabazgrała adres na kartce, którą następnie wyrwała z notesu.

– No, Sally-Ann już raczej nie przyjdzie, prawda?

## Rozdział 13

Była w naszym pokoju, James? Czy ty nie słyszysz, co do ciebie mówię? – Cała się trzęsę. Ze złości czy strachu? Najchętniej łknęłabym coś mocniejszego, ale nie mogę.

– I co z tego? – James nie widzi problemu. – Pracuje dla nas, Claudio. Mieszka tutaj. Musisz się przyzwyczaić, że będzie się pojawiać w dziwnych miejscach o dziwnych porach. Czekaj, aż kiedyś zastanę ją w kąpieli albo przyłapię na obściskiwaniu jakiegoś chłopaka na schodach. – Smaży wątróbki jagnięce. Pachną i wyglądają obrzydliwie.

– Mam szczerą nadzieję, że ten etap ma za sobą. – Uspokajam się nieco. – Dlatego wybrałam nieco starszą osobę i, miejmy nadzieję, rozsądniejszą.

– No właśnie. Zapytałaś, co robiła w naszej sypialni?

– Rozkładała łóżeczko. Przyszło dzisiaj poczta.

– O nie! – woła kpiąco James. – Trzeba ją natychmiast wylać! – Macha drewnianą łopatką, a ja pokazuję mu język. Przyrządził już sos z karmelizowanej czerwonej cebuli, który pachnie przepysznie, a także kremowe purée i brokuły na parze. Ale plastry wątróbki, obtoczone w mące i skwierczące na maśle wyglądają niezbyt zachęcająco.

– Śpią jak susły! – obwieszcza triumfalnie Zoe, wyrastając jak spod ziemi. – Przegoniłam ich dzisiaj za wszystkie czasy. – Ręce ma wciśnięte głęboko do kieszeni szarych rurek. Ubrana jest w spłowiały, zielony podkoszulek, na wierzch narzuciła rozpinaną bluzę. Nie wygląda na swoje trzydzieści trzy lata. Skórę ma czystą, gładką i bez zmarszczek, co sprawia, że czuję się od niej starsza nie o sześć, ale dwadzieścia lat. Wyglądam zmiętą, szarą sukienkę, w którą się dzisiaj wbiłam. W grubych rajstopach i botkach do kostek rano wyglądałam nieźle, ale cały



dzień niekończących się spotkań i jedna szczególnie kiepska domowa wizyta nie wpłynęły najlepiej ani na mój wygląd, ani nastrój. Czuję się zmęczona i poirytowana. – Byliśmy w sali zabaw z Pip i Lilly – ciągnie z dumą, jakby odkryła Amerykę. – Było fantastycznie. Wylądowałam w basenie z piłkami, aż po czubek głowy. – Ze śmiechem wchodzi do kuchni. – Wybacz, jeśli cię dzisiaj zdenerwowałam, Claudio. Postąpiłam bezmyślnie. Nie powinnam była wchodzić do waszej sypialni.

James patrzy na mnie wyczekująco. Podnoszę ręce.

– Hej, nie ma sprawy – mówię. – To miło z twojej strony, że wniosłaś łóżeczko po schodach. Jest takie śliczne, James. Nie mogę uwierzyć, że za parę tygodni będziemy mieli córkę. – Przełykam kulę w gardle. Nie lubię mówić takich rzeczy, kusić losu. A jeśli coś się nie powiedzie? Nie odetchnę, dopóki mała nie będzie w moich ramionach.

– Możesz urodzić po terminie – oświadcza Zoe z miną znawczyni tematu. – To może potrwać jeszcze z miesiąc, prawda? Po czterdziestym drugim tygodniu może zająć konieczność wywołania porodu.

– Masz rację – odpowiadam.

– Zbyt długa ciąża powoduje wzrost ryzyka śmiertelności wśród noworodków. Istnieje też możliwość innych komplikacji, w rodzaju niewydolności łożyska i nadciśnienia.

– Jestem pod opieką położnej – zapewniam, zaskoczona jej wiedzą o ostatnim trymestrze. Ciekawe, skąd ją ma.

Do weekendu oswajam się nieco z obecnością Zoe. Dobrze się składa, bo od poniedziałku zostajemy we dwie z bliźniakami. James proponuje wspólne wyjście, coś w rodzaju integracyjnego budowania tratwy albo mostu z patyków po lizakach, zdolnego utrzymać człowieka. Wiem, że chce wyjechać z czystym sumieniem i świadomością, że nie zostawia mnie w szponach psychopatki.

– Przecież pada – oponuję. W łóżku jest ciepło i przytulnie, a zza okna dobiega bębnienie deszczu o dach, samochody i przesiąkniętą ziemię.

– Ale niezbyt mocno.

James przysuwa się i próbuje opasać ręką mój brzuch. Odpycham go

delikatnie. Niewygodnie mi tak. A może po prostu mam niemiłą świadomość, że nie możemy skończyć tego, co zaczęliśmy, i wkrótce przyjdzie się rozstać. Kładę mu głowę w zagłębieniu ramienia. Pachnie snem i dezodorantem; aż mnie mrozi na myśl, że tak długo go nie będzie.

– Cudownie było cię zobaczyć po przebudzeniu – mruczy.

Wpełzłam mu do łóżka o czwartej nad ranem. Nie spałam od trzeciej. Myśli o przyszłości nie dawały mi spokoju.

– Musimy dzisiaj wychodzić? Na zewnątrz jest tak zimno i ponuro. – Najchętniej nie ruszyłabym się z łóżka. Czuję się większa niż zwykle, opatulona ciepłą piżamą i grubym szlafrokiem. James zawsze się ze mnie nabija. Raz narzekam, że za gorąco, a za chwilę trzęsę się z zimna.

Zniża głos, chociaż Zoe nie może nas słyszeć.

– Myślę, że powinniśmy razem wyjść. Chciałbym się ostatecznie co do niej upewnić. Dla świętego spokoju.

– A co zrobimy, jeśli nie będziemy przekonani? – James milczy, ale prawie słyszę, jak każe mi rzucić pracę. – Słuchaj, nie będę owijać w bawełnę. Wiesz, czemu naprawdę przyszłam?

James śmieje się dźwięcznie.

– Żebym pocierpiał z tobą na bezsenność?

– Usłyszałam na gorze hałasy. – Teraz dla odmiany ja szepczę.

– Bo nasza niania tam mieszka, Claud.

– Tłukła się po całym poddaszu. Wiem, co mówię. Śpię tuż pod nią.

– Może szła do łazienki. Albo zgłodniała. A może czuje się nieswojo pod cudzym dachem i też nie mogła spać.

– Nie. Nic z tych rzeczy.

– Skąd ta pewność? – James przewraca się na bok i podpira na łokciu.

– Nie słyszałam spuszczenia wody. Wiesz, jak hałasują te stare rury. Gdyby była głodna, zesłaby na dół, a tego nie zrobiła. Znam wszystkie odgłosy tego domu. I wcale nie czuje się nieswojo. Wręcz przeciwnie. Przecież pytała, czy może zostawać w weekendy, prawda? – Zaczynam żałować, że się na to zgodziłam. Liczyłam na te dwa dni w tygodniu z

dziećmi.

– Oczywiście masz rację. – Próbuje mnie przyciągnąć. – To na pewno obłąkana morderczyni lunatyczka, która załatwi nas wszystkich w środku nocy.

– Przestań, James. – Odsuwam się i stawiam nogi na podłodze, a za nimi dźwigam resztę ciała, z dala od jego rąk. Nagle straciłam ochotę na przytulanie.

Odsuwam zasłony i jęcę. Fatalna pogoda na wyjście z domu. Strugi deszczu płyną z pochmurnego szarego nieba, które zdaje się łączyć z dachami, jakby ktoś rozmazał farbę na płótnie. Rozglądam się po naszej ulicy. Ludzie spieszą chodnikami na przekór aurze, pochłonięci załatwianiem zwykłych, sobotnich spraw. Pan Ford, staruszek mieszkający naprzeciw, idzie ścieżką z Nedom, swoim terierem, na długiej smyczy. Powiedział mi kiedyś, że urodził się w tym domu i miały tam miejsce wszystkie wydarzenia w jego życiu – zgony, śluby, rozwody, kłótnie, romanse, śmiech i łzy. Przedstawił się, gdy tylko zamieszkałam z Jamesem. „Ten dom był kiedyś pełen ludzi, kochana Claudio – rzekł, markotnie wpatrzony w swoje stopy. – Tętnił gwarem i życiem. Zawsze ktoś ćwiczył na skrzypcach lub katował fortepian”. Zaśmiał się bezzębny śmiechem, ale w jego oczach błysnęły łzy. Opanował się mężnie. „Teraz zostaliśmy tylko ja i Ned”.

Wyobrażam sobie, jak błąka się po wielkim, wiktoriańskim domu wśród jego brązowych balustrad i skrzypiących drzwi, po czym nakrywa stół dla jednej osoby.

„Pusto”, uzupełnił, bijąc się w pierś, a ja doskonale wiedziałam, co ma na myśli.

James staje obok mnie, wygląda na ulicę.

– Podglądaczka – mówi czule. Ciasno oplata mnie ramionami. Nie mogę oddychać, więc mu się wyslizguję.

– Biedak, jest zupełnie sam – szepczę, gdy zgarbiona postać pana Forda w jaskrawym prochowcu powoli znika nam z oczu.

– Nic mu nie będzie. Idzie po gazetę, wyprowadzi Neda. W tym wieku liczy się rutyna.

– Pewnie masz rację. – Odwracam się i całuję Jamesa. Ma ciepłe, czułe wargi i przepelnia mnie wdzięczność, że należę do tej rodziny.

Dwie godziny później staję twarzą w twarz z rybą młotem. Jestem pod wrażeniem, a zarazem czuję się trochę nieswojo na widok dwóch istot o paciorkowatych oczach, które podpływają blisko do szyby, aż Oscar i Noah wstrzymują oddech, urzeczeni ich brzydota i bliskością zagrożenia. Rekiny są szpetne, a zarazem piękne, i nie mają pojęcia, że znajdują się w centrum Birmingham. Sprawiają wrażenie zadowolonych, mimo pobytu z dala od domu.

– Widzą nas? – pyta Oscar. Wciska dwa palce do małego pudełeczka z rodzynkami.

– Nie wiem. A jak myślisz? – Zoe kuca między bliźniakami, patrząc to na nich, to na rekiny. Odsuwa się nieco, kiedy jeden z nich z impetem podpływa do szyby i zawraca w ostatniej chwili.

– No. I myślą, że to my jesteśmy w zoo – odpowiada przytomnie Noah. Wsuwam rękę pod ramię Jamesa, a nasz syn chichocze na myśl, że ryby przypląnęły oglądać nas, a nie na odwrót.

– Ale co, jeśli uciekną? – podsuwa Oscar.

– Wtedy my uciekniemy! – odpowiada z zabawną miną Zoe.

– Ale dlaczego? – pyta Noah i gniecie puste opakowanie po rodzynkach. – Nie mogą nas dogonić. Nie mają nóg. Ja bym im pomógł.

– To miło z twojej strony, kochanie – mówi James. – Zrobić wam zdjęcie z rekinami?

– Tak! – krzyczą chórem chłopcy. Opierają się o szybę.

– Ty też, Zoe – zachęca James. – Do rodzinnego albumu.

– Ale cię wzięło – wtrącam. James wpadł ostatnio na pomysł zeskanowania starych zdjęć i umieszczenia ich na stronie internetowej, tak aby reszta rodziny mogła patrzeć, jak chłopcy dorastają.

– O nie, nie, beze mnie – zapiera się spłoszona Zoe. Różowieje i odsuwa się jak oparzona.

– Ależ z tobą – mityguje James. – Dalej, stań między chłopcami.

– Nie, naprawdę – mówi. – Nie stanę.

Widzę, że poczerwieniała jak burak i poci się ze zdenerwowania.

– Nie zmuszaj jej, James.

– Muszę do łazienki – oznajmia Zoe i już jej nie ma.

– Pomyślałby kto, wielkie rzeczy. – Jamesowi głupio, że wyprowadził ją z równowagi. Pstryka kolejne zdjęcie.

– Nie bądź zbyt ostry – mówię. Nie wiedzieć czemu stoję w obronie Zoe, choć faktycznie zachowała się dziwnie.

– I kto to mówi? – James zerka na mnie, a następnie przegląda zdjęcia. Oscar i Noah podskakują, żeby też zobaczyć.

– Patrz, to my! – woła podniecony Noah.

– Ale bez rekinów – zauważa Oscar. Fakt. Na niebieskim, zamazanym tle widnieje wprawdzie jasna plama, lecz trudno rozpoznać w niej rekina.

– Jeszcze jedno, tatusiu – domaga się Noah, ale wraca Zoe i James go ucisza.

– I co – wtrącam. – Idziemy poszukać mątwy?

– Kałarnicy? – ożywia się Oscar.

Główkuje, o co mu chodzi, ale Zoe jest szybsza.

– Masz na myśli kałamarnicę – objaśnia ze śmiechem. Chyba już jej przeszło.

– Kałamarnice je się z majonezem. – Noah oblizuje się łakomie.

– Chłopcy odkryli je na wakacjach w zeszłym roku – tłumaczę Zoe. – Początkowo myśleli, że to krążki cebuli – dodaję szeptem. Trzymam się za brzuch, gdy lawirujemy wśród gablot i zbiorników z wodą. Od natłoku światła i barw kręci mi się w głowie, więc ujmuję Jamesa pod ramię.

– Dobrze się czujesz? – pyta zatroskany. Kiwam głową.

– Raju, patrzcie! – Zoe łapie chłopców za ręce i ciągnie ich ciemnym przejściem. Słyszę ich westchnienia podziwu, kiedy pokazuje im coś w ogromnym akwariu. Doganiamy ich w momencie, gdy największy krab, jakiego w życiu widziałam, celuje w nas chudą nogą.

Oscar z krzykiem zasłania twarz.

– Dzieciak jesteś – oznajmia Noah. – To tylko głupi, stary krab. – Ale widzę, że z całej siły ściska rączką dłoń opiekunki. Zoe ma krótko

przycięte paznokcie i nosi tylko jeden pierścionek.

– Nieprawda – oponuje Oscar. I przywiera do ojcowskiej nogi.

– Ale ma oczy – dodaje z podziwem Noah. – Są z kawioru?

Wybuchamy śmiechem, ale Oscar pojękuje pod nosem.

– Wygląda jak straszny pająk – mówi. I odwraca się plecami do akwarium, w którym aż roi się od ryb i skorupiaków.

Kiedy przechodzimy tunelem, z rybami pływającymi nam nad głową jak ptaki, w otoczeniu niezidentyfikowanych stworzeń i koralowca jaskrawego jak klejnoty, Oscar zaczyna płakać.

– Co się dzieje, kochanie? – Usiłuję przykucnąć. James będzie musiał pomóc mi wstać.

Oscar chowa twarz w płaszczu Jamesa, miętosi klapę i zostawia na niej ślady smarków.

– Wszędzie pełno cieni – chlipie. Lękliwie rozgląda się po tunelu. Racja. Otaczają nas plamy kolorów i czerni, jakbyśmy naprawdę znaleźli się w głębinie. Jest pięknie, ale dla wrażliwego czteroipółlatka to duże przeżycie.

– Nic ci nie zrobią – zapewniam, a Zoe spieszy na pomoc z chusteczkami i słowami otuchy. – Po prostu światła nadają nam dziwne kolory. A to tylko odbicia. – Podskakuje, gdy mija nas inna rodzina i na szybach mającą twarze upiornie zniekształcone w szkle. – Nie ma się czego bać.

– Boję się, mamusiu. – Oscar puszcza klapę Jamesa i chwytą moją dłoń. – Ten cień wygląda jak zły człowiek w moim pokoju dziś w nocy.

Patrzę na Jamesa dokładnie w chwili, kiedy oczy Oscara robią się wielkie jak spodki. I nie wiem, co mnie bardziej szokuje: to, że nazwał mnie „mamusią”, czy może to, że ktoś zakradł się rzekomo do jego pokoju.

## Rozdział 14

Teraz chyba mnie wyleją, gdyż zapewne to ja włączę się nocami po domu i straszę ich dzieci. I pewnie mają mnie za wariatkę z chorobliwą awersją do rodzinnych zdjęć. Gdy wracaliśmy do samochodu, podsłuchałam, jak Claudia mówi o hałasach dochodzących nocą z mojego pokoju. James odpowiedział jej ostrym szeptem, żeby nie była niemądra, bo to „na pewno hormony”

No ba, miałam na końcu języka, kiedy w ciszy jechaliśmy do domu.

James i ja wyciągamy śpiących chłopców z fotelików, ale nim zdążymy wnieść ich do domu i wyłuskać z grubej odzieży, budzą się i marudzą. Na dodatek Oscar się zmoczył.

– Ja go przebioreę – mówię na widok miny Claudii. Sprawia wrażenie wykończonej. Na pewno myśli, że to moja wina: siedział w swoich siuśkach, trzeba wyprać fotelik, a brat wyśmiewa go, że jest dzidziusiem. Sądzi, że to ja czałam się nocą w jego pokoju niczym jakiś podwodny stwór i przeze mnie nabawił się koszmarów. – Żaden problem – dodaje, kiedy pyta, czy jestem pewna. Musi jakoś zagłuszyć wyrzuty sumienia.

– W takim razie ja ugotuję makaron z serem – mówi z ulgą. Ociężałym krokiem idzie do kuchni, podczas gdy James wiesza kurtki i rozstawia buty na stojaku w sieni. Podchwytuje mój wzrok, gdy prowadzę kwękających chłopców na górę. Drga mu wiotka, poszarzała skóra pod okiem.

Pół godziny później schodzimy z bliźniakami na dół w znacznie lepszych nastrojach. Kąpiel rozgrzała ich i rozbudziła; w czystych piżamkach i ulubionych kapciach z bohaterami kreskówek pędzą do stołu, zwabieni zapachem makaronu.

– W samą porę – mówi Claudia, rozkładając porcje na pięć talerzy. Stół jest już nakryty – sok jabłkowy w dzbanku, otwarta butelka białego wina, szklanki, noże i widelce, a pomiędzy nimi serwetki w kratkę.

– Dla mnie nie nakładaj – mówię, kiedy sięga po ostatni talerz. Zastyga, patrzy na mnie. – Wy... wychodzę. Jeśli nie macie nic przeciwko temu. – Pochyliłam głowę. Właśnie się dowiedziałam. To szalone i niebezpieczne, wiem, ale nie mogę się opanować. Czuję, że się rumienię.

– Nie zjesz przed wyjściem? – pyta słodko. – Wystarczy dla wszystkich. – Potrząsa łyżką i porcja makaronu spada z powrotem do garnka.

– Zamówię coś na mieście. – To kłamstwo. Wcale nie mam ochoty na jedzenie, ani w domu, ani poza nim.

– Jak uważasz – kwituje. Słyszę ulgę w jej głosie. Zjedzą beze mnie, tylko we czwórkę, jak za dawnych czasów przed moim przybyciem. – Podaj chłopcom, James – prosi Claudia i jej mąż w milczeniu stawia przed dziećmi talerze. Razem odprowadzają mnie wzrokiem.

Idę na górę po torbę i płaszcz, po czym siłę się na wesołe „do zobaczenia”. I zamykam drzwi, jeszcze zanim dolatuje odpowiedź.

W pubie panuje tłok, ale jestem pewna, że jeszcze jej nie ma. Czułabym to całym ciałem, wszystkimi nerwami. Włosy nie jeżą mi się na karku i nie wyczuwam piżmowych nut jej perfum.

– Poproszę gin z tonikiem – mówię do barmana, kiedy już udaje mi się dopchać do kontuaru. Ma długie, rozczochrane włosy i koszulkę z napisem „Boże, chroń królową”. Odwraca się po szklankę. Zwykle nie piję ginu, ale dzisiaj coś mnie do tego skłania. Pasuje do sytuacji. Chłopak stawia drinka na białej podkładce, podaję mu pieniądze.

Odwracam się, popijając gorzkawą lemoniadę, i rozglądam się za wolnym stolikiem. Potrzebujemy cichego kącika dla dwojga, niszy, gdzie nikt nie zwróci na nas uwagi. Nie życzę sobie wścibskich spojrzeń. Ale wszędzie pełno ludzi, głównie facetów, którzy przyszli się wykrzyzczyć, zanim wrócą do żon. Widzę kilka grup kobiet na niemożliwie wysokich obcasach i w kusych sukienkach. Przeciskam się



przez stadko biznesmenów i stoję na palcach, wypatrując stolika. Bezskutecznie. Mogłam wybrać lepsze miejsce.

Wiadomość wysłałam spontanicznie, ale rozmyślałam nad nią całą ubiegłą noc, chodziłam po pokoju i ze zmartwienia nie mogłam zasnąć. „Chcę się z tobą zobaczyć. O 8 The Old Bull na rogu Church i Brent Rd. X”.

Odpowiedź nadeszła dopiero, kiedy wracaliśmy z zoo, mrużąc oczy w słońcu, które wreszcie raczyło wyłonić się zza chmur. Świat zdawał się niebezpieczny i przejrzysty, jakby odbijało się w nim wszystko, na co starałam się przymknąć oko. Nie zdołam wiecznie skrywać tego, co czuję.

Zgodziła się ze mną spotkać. „OK” brzmiała zwięzła odpowiedź, bez zwyczajowego „x” na końcu. Samo to wystarczyło, żebym zaczęła się o nią zamartwiać.

Przy drzwiach jest trochę luzu, więc przenoszę się tam, aby nie przeoczyć jej wejścia. Tłok, że ani szpilki wetknąć. Zewsząd otaczają mnie ludzie, przepychają się, by wyjść na papierosa lub do łazienki.

Najpierw dostrzegam jej włosy, jak zawsze. Jakby cały pub stanął w ogniu, a my razem z nim.

Potrząsam głową. Co ja wymyślam.

– Cecelia! – wołam, o wiele za głośno. Unoszę rękę nad głowę i macham jak dzika. Wszyscy się gapią. Opuszczam rękę z chwilą, kiedy ściągam na siebie jej wzrok, a potem się rumienię.

Patrzę, jak idzie w moją stronę, z łatwością lawirując przez tłum. Świat zwalnia, a za nią sunie cała nasza przeszłość.

– Heather – mówi. Jej głos, słodki i gęsty jak melasa, przyprawia mnie o dreszcz, chociaż nie minęło wiele czasu, odkąd słyszałam go po raz ostatni. Unosi prawie pełny kieliszek, a ja nie mogę pojąć, jakim cudem jej nie zauważyłam.

Następuje niezręczna chwila, kiedy żadna z nas nie wie, czy przysunąć się i cmoknąć na powitanie, po czym diabli nadają jakiegoś durnia, który mnie trąca, i rozlewam drinka. Gin spływa mi aż do łokcia. Piorunuję tamtego wzrokiem, a Cecelia rzuca się mnie wycierać.

Parskam nerwowym śmiechem. To do niej niepodobne.

– Miło, że przyszedłeś – mówię. Słowa potykają się o siebie. Pewnie myślisz, że się upiłam.

– Myślałam, że to... ważne – odpowiada. – Że coś się stało. – Nie wiem, jak to wyczytała z tak lakonicznej wiadomości, no ale my tak mamy. Nagle przypominam sobie bliźniaki, tę łączącą ich nic wzajemnego porozumienia, jakby czytali sobie w myślach. Odkąd pracuję u Claudii, kilkakrotnie zwróciłam na to uwagę, jakby ich więź oznaczała znacznie więcej aniżeli wspólną przestrzeń w macicy.

O Boże, Claudia.

Przewraca mi się w żołądku, jakbym miała zwymiotować. Nie chcę teraz o niej myśleć, ale znów gryzie mnie sumienie, że zamierzam zburzyć ich świat. To tylko kwestia czasu.

– Szukałam stolika, ale wszystko zajęte. – Wolałabym nie mówić jej o tym na stojąco. Tak to już jest z Cecelią i nikt nie wie tego lepiej ode mnie: wszystko musi być pierwsza klasa. Począwszy od pozornie niedbałego stroju, poprzez różnokolorowe paznokcie, każdy szczegół jej wizerunku jest dopracowany z największą starannością, łącznie z burzą rudych włosów, które wyglądają, jakby ich nie czesała przez tydzień, choć układała je pół godziny, aby każdy kosmyk leżał jak trzeba.

– Nogi mnie boją – informuje. Opuszczam wzrok. Mimo butów na nedorzecznym wysokich, szaro-żółtych koturnach wciąż jest niższa ode mnie.

– Biedactwo – mówię, chociaż wcale tak nie myślę. Czuję przyływ irytacji.

Rozkojarzona ponownie staję na palcach i widzę stolik zastawiony pustymi butelkami.

– Szybko – ponaglę, nachylając się ku niej. Pachnie cynamonem. – Coś się zwolniło. – Bez pardonu przeciskam się przez tłum i rzucam na jedno z trzech wolnych krzeseł w chwili, gdy podchodzi tam jakaś para. Kobieta jest w widocznej ciąży. Odwracam wzrok i udaję, że nie zauważyłam.

– Dobra robota – komentuje Cecelia. Ma na sobie jaskraworóżowe

rajstopy i minispódniczkę z łątek. Obciąga ją, siadając, po czym odsuwa nogi jak najdalej ode mnie.

Nie wiem, jak zacząć, więc popijam drinka. Żałuję, że nie zamówiłam podwójnego. Albo potrójnego. Najlepiej całej butelki. Lub gorzelnii.

– Jak praca? – pytam, a ona nachyla się i odgarnia włosy. – O rany – mówię. – Cudowne.

– To Diana. Bogini płodności.

Serce podchodzi mi do gardła. Założyła je specjalnie? Przysuwam się, żeby lepiej widzieć. Cokolwiek, byle zagrać na zwłokę.

– Jest półdrzewem – zauważam idiotycznie.

– Jej nogi przechodzą w drzewo. Diana to także bogini łowów. W pewnym sensie moja bohaterka. – Śmieje się od niechcienia znad brzegu kieliszka i bierze łyk.

Wiem. Słyszałam to milion razy. Raptem czuję się do niczego. Cecelia jest bardzo utalentowana. Zmieniam pozycję i trącam ją butem w nogę.

– Przepraszam.

– Jak tam nowa fucha?

Nie wierzę własnym uszom. Marszczę nos i rozchylam usta, ale nie wydobywam głosu. Co mam jej powiedzieć?

– Rozmawialiśmy o twojej pracy – zaznaczam.

Z chęcią wraca do tematu biżuterii. To nieodłączny aspekt jej życia.

– Dostałam dziś nowe zamówienie.

Kiwam głową.

– To dobrze. – Wyobrażam sobie klientkę, która będzie nosić te dziwne błyskotki. Cecelia zaprojektowała kiedyś kontrowersyjną serię o nazwie „Gwałt”. Napisano o niej nawet w świątecznych gazetach. Następnego dnia posypały się skargi na załączone zdjęcia. A czego się spodziewała? Skuta kajdankami, zakrwawiona półnaga modelka, obsypana czymś, co wyglądało na zużyte kondomy, a nad nią zamaskowany facet, też prawie goły, wśród połyskującej tu i ówdzie biżuterii. Oskarżono ją o gloryfikację przestępstw na tle seksualnym.

Nie powiedziałabym, że ta biżuteria była szczególnie ładna lub nadawała się do noszenia, ale pomogła Cecelii się wybić. W rezultacie kilka londyńskich sklepów zaczęło u niej regularnie zamawiać, przy czym na ogół nie dostarcza im fallicznych naszyjników z ruchomymi elementami w postaci żeńskich organów. Musiała być wtedy na prochach.

– No więc co tam słyhać? – rzucam bez sensu, byle odwlec w czasie to, co nieuniknione.

– Przecież mówiłam, że w porządku – zaznacza i patrzy na mnie znad kieliszka.

– Cecelio... – Wyciągam rękę, ale powstrzymuje mnie wzrokiem.

– Zostaw – mówi. Przechyla głowę. – Czemu chciałaś się ze mną widzieć? – Wypija duszkiem resztkę wina. To znak, że zaczyna tracić cierpliwość. I że wyprowadzka była dobrym pomysłem.

Zatem klamka zapadła. To koniec i nie ma odwrotu. Raz kozie śmierć.

– Uznałam, że powinnaś wiedzieć, po tym wszystkim... – po swoich nadziejach, planach, marzeniach... – że nie jestem w ciąży.

Patrzy na mnie długo, a następnie wstaje i wychodzi.

## Rozdział 15

Lorraine zostawiła Adama w pracy. Sprawa Sally-Ann pochłaniała teraz większość ich czasu; wspomniał, że ma co nieco do nadrobienia. Owinęła szyję szalikiem, włożyła skórzane rękawiczki do jazdy i zarzuciła torbę na ramię. Liczyła, że wyjadą razem.

– Wybacz – powiedział, wyglądając zza sterty papierów. Wyszła z jego biura w poczuciu pustki i osamotnienia. Dawno nie wzbudził w niej takich uczuć. W zasadzie, odkąd wyznał jej prawdę.

– Grace? – zawołała po powrocie do domu. – Stella? Jesteście?

W kuchni zastała starszą córkę przy stole zawalonym notatkami i podręcznikami. Wśród tego wszystkiego stał talerz z przypaloną grzanką i szklanka wody. Że też mogła się uczyć w takich ciemnościach. Paliły się tylko lampki pod szafkami, rzucając bladą poświatę na całe pomieszczenie.

– Cześć, skarbie. Apetyczna ta grzanka. Nie widziałaś, co ci napisałam? – Pomachała Grace przed nosem liścikiem, który nagryzmoła rano przed wyjściem. – Gulasz w lodówce. Odgrzej w mikrofalówce. Za trudne? – Miała zapytać o Stellę, ale przypomniała sobie, że młodsza córka miała spędzić wieczór u swojej koleżanki Kate. Pewnie zadzwoni koło dziesiątej, żeby po nią przyjechać.

Grace milczała. Zdaniem Lorraine, siedziała jak zabiedzone dziecko, gryząc ołówki i nie zwracając najmniejszej uwagi na książki. Chciała ubiegać się o przyjęcie na studia, ale to nie wyglądało na zapał.

– Źle się czujesz, kochanie? – Lorraine stanęła za krzesłem córki i pogłaskała ją po długich włosach. Dziewczyna uchyliła się, więc Lorraine obeszła stół i usiadła naprzeciw niej. – Co się stało, Gracie? Miałaś kiepski dzień? – I głęboko westchnęła na znak, że sama też miała

nie najlepszy i w razie czego mogą wymienić się doświadczeniami i pośmiać jak zwykle. – Gracie?

Grace siedziała ze wzrokiem wbitym w stół. Na wysłużonym sosnowym blacie widniały stare plamy po rozlanym winie, krążki po gorących kubkach z kawą oraz liczne pamiątki po ołówkach i paznokciach znudzonych dzieci, a na podkładkach wzorki z resztek wczorajszej kolacji. Trudno przypuszczać, aby to ich widok tak zauroczył Grace. Nie, wzrok dziewczyny spoczął gdzieś hen daleko i siedząc tak w pogniecionym mundurku – nie mogła przeboleć, że wciąż musi go nosić w ostatniej klasie – bardziej przypominała obrażoną czternastolatkę niż rozkwitającą, wesołą, młodą kobietę, którą znała Lorraine.

– Wyprasuj sobie czystą bluzkę na jutro – powiedziała i przejechała palcem po białym kołnierzyku córki. – Trochę brudnawa. – Chciała ją pstryknąć w nos, ale Grace ponownie zrobiła unik. – Napijesz się herbaty?

Cisza. Zero reakcji.

Lorraine miała tego dość. Wstała.

– Jeśli nie powiesz mi, co się dzieje, nie mogę ci pomóc, więc sobie darujmy.

– Tak przesłuchujesz bandytów? – odezwała się nagle Grace. Głos jej zadrżał.

– Nie, jestem dla nich miłsza – rzuciła możliwie lekkim tonem Lorraine i nastawiła czajnik. Oparła się o blat i utkwiała wzrok w plecach córki, nieco skulonych, jakby ta starała się osłonić barkami uszy. Bluzka wylazła jej z szarej, kraciastej spódniczki, którą upierała się nosić prawie pod brodą. Na nogach miała różowe, welurowe kapcie z kokardkami, znoszone i wytarte na czubkach.

To jeszcze dziecko, pomyślała Lorraine.

– Nie jesteś głodna czy masz zastrzeżenia do mojej kuchni?

– Nie mam – padła krótka odpowiedź.

– Odgrzać ci obiad? Możemy zjeść razem, tata późno wróci. – Starła się nie mówić z przekąsem. Zataili jego wyznanie przed dziewczynkami

i niech tak zostanie. Ale czasami, tylko czasami, miała ochotę wylać żal przed starszą córką, aby to ona tym razem pogłaskała ją po włosach oraz przyniosła chusteczki i termofor, a potem żeby razem obejrzały durny film i pochłonęły stos czekoladek. Przypomniała sobie, ile razy robiła to z dziewczynkami w ramach lizania ran po niezliczonych fałszywych przyjaciółkach, złych ocenach (w przypadku Stelli) i zawodach miłosnych (Grace). Każda z tych spraw była dla córek zgryzotą na miarę drzazgi, która ją w tej chwili uwierała. Co gorsza, wciąż kochała Adama.

– Hm? – Grace drgnęła, a następnie odwróciła się na krześle, podchwytyjąc jej spojrzenie.

Rany boskie, czyżbym powiedziała to na głos?

– Jesteś blada i zmęczona. Nie chcę słyszeć protestów. Odgrzeję gulasz i...

– Odchodzę – oznajmiła rzeczowo Grace. Odwróciła się z powrotem do książek, jakby otrząsnęła się z letargu.

Lorraine zmarszczyła brwi. Wstawiła garnek do mikrofalówki.

– Na pewno zdążysz zjeść. – Usiłowała przypomnieć sobie rozkład zajęć córki. Dokąd się wybiera? Ma wieczorem kółko teatralne? Matt po nią przyjedzie? I dokąd pojedą – do kina, na kręgle? Po kuchni rozszedł się kojący zapach cebuli, czosnku i czerwonego wina. Nalała sobie kieliszek merlota.

– Mówię, że odchodzę, mamo.

– Nie masz dzisiaj kółka, prawda? – spytała Lorraine ze zdziwieniem. Grace nie odpowiedziała. Pewnie umówiła się z Mattem.

– Dokąd to państwo się wybierają? Tylko postaraj się wrócić do wpół do jedenastej. – Wielokrotnie musiała powstrzymywać Adama przed wyskoczeniem na ulicę i rozdzieleniem dwojga nastolatków złączonych w czułym pocałunku na dobranoc. Chłopak był w porządku, ale jako starszy od Grace – i posiadacz własnego samochodu – miał dużo swobody. I spodziewał się korzystać z niej z ich córką.

– Nie powiedziałam, że wychodzę – burknęła niecierpliwie Grace. – Ja odchodzę z domu. Na zawsze.

Lorraine upuściła drewnianą łyżkę do garnka i patrzyła, jak tonie. Pociągnęła solidnie z kieliszka i pstryknęła światło. Blask zalał kuchnię.

– Co ty opowiadasz?

– Chyba wyraziłam się jasno. – Grace znów utkwiała wzrok przed siebie. – Mam tego powyżej uszu.

Lorraine utkwiała wzrok w córce; próbowała rozszyfrować wyraz niechęci kryjący się w jej zmęczonych oczach. Grace sprawiała wrażenie wykończonej. Czy się odpowiednio odżywia? Lorraine nie była pewna. W świetle nadchodzących egzaminów i licznych zajęć pozaszkolnych nic dziwnego, że ma głupie pomysły i snuje szalone plany. Pewnie do rana jej przejdzie.

– Doskonale rozumiem, co czujesz. – Sztandarowa odpowiedź, żywcem wyjęta z poradnika dla rodziców. Lorraine zdawała sobie sprawę, że te słowa nic nie znaczą: musiała uczciwie przyznać, że nie ma bladego pojęcia, co czuje Grace.

– Szkoda fatygi, mamo. Wprowadzam się do Matta. To już postanowione. Rzucam szkołę, niedługo się pobierzemy.

Nie! Lorraine siłą woli powstrzymała wybuch. To było tak kategoryczne i niespodziewane... Co, u licha, wstąpiło w Grace? Dołała sobie wina i odwróciła się z powrotem do stołu, przy którym córka pakowała książki.

– Co robisz? – Lorraine wzięła kolejny łyk, wino zapiekło ją w przetyku.

– Chowam rzeczy. Tylko nie próbuj skłonić mnie do zmiany zdania.

– A zdradzisz mi, jak zamierzasz się utrzymać? – Zadrzała na samą myśl. Jej córka, jej kochana Gracie, wyprowadza się z domu, rzuca szkołę i wychodzi za mąż. Kiepski dzień właśnie awansował na najpodlejszy dzień jej życia.

Grace spojrzała na zegarek.

– Matt i ja oczywiście pójdziemy do pracy. Złożyłam już kilka podań. – Uśmiechnęła się zdawkowo i Lorraine poczuła, że to wszystko jej wina. Naturalnie, że to wszystko jej cholerna wina! – Spokojnie, wszystko obmyśliliśmy.



– A co twoim zdaniem powie ojciec na ten cały kretyński plan? Co z egzaminami, studiami, resztą życia? Czy rodzice Matta wiedzą? – Lorraine poczuła, że się czerwieni, pot wystąpił jej na twarz. Nie było czasu na hormonalne uderzenia gorąca.

– Mamo – powiedziała Grace ze śmiechem – ze śmiechem! – jak zwykle przesadzasz. Nie możesz mi niczego zabronić. Owszem, rodzice Matta wiedzą. Udostępnią nam pokój, dopóki nie znajdziemy czegoś własnego.

Lorraine poczuła się nagle dziesięć lat starsza niż w chwili powrotu do domu.

– Nawet nie wiedziałam, że ty i Matt... – Urwała, próbując oddalić cisnącą się wizję nastolatków w łóżku. – Nie wiedziałam... – ...że to poważne, dokończyła w myśli. – Dlaczego nie możesz zostać w domu, z rodziną? Co ze Stellą?

– Przestań, mamo. – Grace strząsnęła włosy z ramienia. – My się kochamy. Jesteśmy zaręczeni. – Wystawiła lewą dłoń, demonstrując cienki, złoty pierścionek z połyskującym kamykiem. – Kupi mi ładniejszy, kiedy będzie go na to...

– Ty niemądra, niemądra dziewczynko! – krzyknęła Lorraine. – Naprawdę myślisz, że mam na to czas? – Cała się trzęsła. – Natychmiast wybij to sobie z głowy i wracaj do nauki albo zrób coś pożytecznego, na przykład wyprasuj koszulę.

– Już zapomniałaś, co? – Grace stała podparta pod boki, z wysuniętym podbródkiem. Spiczasta twarz jej poróżowiała. Oczy miała zapadnięte, z szarymi obwódkami pod spodem, i wyglądała strasznie chudo. Jak długo nosi tę spódnicę? – Kiedyś mi obiecałaś, że cokolwiek będzie, cokolwiek zrobię i kimkolwiek się stanę, zawsze będziesz mnie kochać, wspierać i szanować.

Słowa były jak strzał prosto w serce. Faktycznie, Lorraine powiedziała coś w tym stylu, kiedy Grace miała sześć–siedem lat.

– Udowodnij, że mówiłaś poważnie – uzupełniła Grace, po czym wyszła z kuchni i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Do powrotu Adama prawie opróżniła butelkę.

Przed godziną zaniósła córce jedzenie.

– Kochanie? – Zapukała do drzwi i postawiła tacę na podłodze. – Zostawiam ci obiad. – I wróciła na dół, mając nadzieję, że Grace prędzej otworzy drzwi, jeśli matka nie będzie czatować za progiem. Dołała sobie wina.

Jezu, ależ miała ochotę na papierosa. Nagle przypomniała sobie awaryjną paczkę, wciśniętą w tył barku, głównie na użytek Sal i Dave’a, którzy czasem wpadali na kolację. Przycupnięci na ganku wydmuchiwali kłęby dymu i nabijali się z Adama, który nie palił i siedział samotnie przy stole, racząc ich obelgami i statystykami na temat raka. „Biedny Adam, też chciałby sobie podmuchać”, zachichotała kiedyś Sal. Mało nie pękli ze śmiechu.

Odsunęła lepkie butelki likieru, który pili tylko w święta. Jest. Na samym końcu. Wyciągnęła paczkę i potrząsnęła. Niepełna, ale coś zostało.

Po chwili stała na podwórku w cieniu szopy i drżąc z zimna, żałowała, że nie wzięła kurtki ani szalika. Dawno nie paliła i zaciągnęła się aż do pępka. Cudowne uczucie.

Przytupując w miejscu, z wolna trawiła rewelacje córki. Wyprowadza się z domu? Wychodzi za męża? Grace mówiła poważnie. Adam jeszcze nie wie, co go czeka; przynajmniej wyprzedzała go o krok, ale żałowała swego wybuchu. Wiedziała, że przesadziła, jednak po słowach Grace coś w niej pękło. Czyżby życie córki było aż tak nieznośne, że wołała zamieszkać z inną rodziną? Chyba to zapiekło Lorraine najbardziej.

Usłyszała hałas i na trawnik padło światło z otwartych drzwi.

– Ray? – Nie nazywaj mnie tak, do diabła! – Jesteś tam? – Potem nastąpiło mamrotanie, zwieńczone zdaniem „Miałas odebrać Stellę”. I drzwi się zamknęły.

Cholera.

Lorraine upuściła na wpół wypalonego papierosa, dopiła wino i zostawiła kieliszek na murku przy szopie. Na chwiejnych nogach popędziła do drzwi. Weszła do kuchni w chwili, kiedy Adam

wychodził, obejmując młodszą córkę ramieniem.

Odwrócił się i z wyrzutem spojrział na żonę.

– Zapomniałaś o niej. Dzwoniła do ciebie, ale nie odbierałaś.

– Stel, tak mi przykro, kochanie. Straciłam poczucie czasu i... – Podbiegła do zlewu, nalała wody do szklanki i wypila duszkiem. Śmierdziały jej palce.

– Co się stało, mamó? Jesteś zła na tatę?

– Nie, skarbie, nie jestem. – Bardziej na siebie, uzupełniła w myślach.

Zerknęła na zegarek. Wpół do jedenastej. O szóstej musi być w pracy.

– Muszę się wypać, ty tak samo. I chciałabym jeszcze zamienić dwa słowa z twoim ojcem.

„Twój ojciec” zamiast „tata” lub „Adam” nie wróżyło nic dobrego. Adam skrzywił się i ziewnął.

– Dobranoc, mamó. Nie szkodzi, że nie przyjechałaś. Mama Kate nie miała nic przeciwko temu. Powiedziała, że pewnie pracujesz. Łapiesz bandytów i tak dalej. – Stella cmoknęła rodziców w policzki i poszła na górę.

Lorraine odezwała się dopiero na dźwięk zamykanych drzwi.

– Nie spodoba ci się to – uprzedziła. – Lepiej usiądź.

Adam zmarszczył brwi, ale stał.

– Chodzi o sprawę?

Lorraine potrząsnęła głową.

– Grace. – Uniosła ręce na widok stroskanej twarzy Adama. – Siedzi na górze. Nic jej nie jest. – Urwała. – Tak jakby.

– O co chodzi? – Stał z założonymi rękami.

Lorraine odnotowała z ulgą, że ma silne przedramiona; odetchnęła, że nie musi dłużej dźwigać tego ciężaru sama. – Powiedz mi.

– Rzuca szkołę i wychodzi za męża, tylko tyle. – Nie wiedziała, jak to inaczej ująć.

Adam podszedł do barku, wyjął butelkę szkockiej i napełnił szklankę. Usiedli i popatrzyli na siebie nad stołem. W domu panowała cisza, nie licząc tykania zegara, które nagle wydało się wręcz

ogłuszające.

Przetarł rękami twarz.

– Jezus Maria. To jakiś żart, co?

Jest nieprzytomny ze zmęczenia, pomyślała z cieniem współczucia Lorraine. Czuła, jakby jej rodzina rozpadała się na kawałki.

– Nie, zamieszka z rodzicami Matta do czasu, aż oboje znajdą pracę i „coś własnego”.

– Podpuszcza cię. To blef.

– Mam wrażenie, że jednak nie. – Lorraine wiedziała, kiedy córka rzuca czcze pogrożki. Tym razem było inaczej.

– Ale dlaczego?

– Bo najwyraźniej nas nie cierpi. A dokładniej nie cierpi mnie. I wyczytałam między wierszami, że sypia z Mattem.

– Psiakrew – mruknął Adam. – Próbowałaś przemówić jej do rozsądku?

Nagle otworzyły się drzwi kuchni i weszła Grace z tacą. Talerz był pusty.

– Dzięki, mamó – rzuciła pogodnym tonem, jakby nigdy nic. Włożyła talerz do zmywarki.

Adam utkwiał w niej wzrok. Mowę mu odjęło.

– Wiem, o czym rozmawiacie – dodała wyprostowana jak struna. Lorraine zauważyła, że płakała, chociaż dobrze starała się to ukryć.

– Kochanie... – Lorraine nie dokończyła. Kochanie, co? Kochanie, idźże po rozum do głowy? Kochanie, czy nie możesz być podobna do siostry? Kochanie, dlaczego nie masz jedenastu lat?

– Tak, mamó?

– Tata i ja rozmawialiśmy... rozmawialiśmy o... no wiesz, twoim ślubie. I wyprowadzce.

– Mówię absolutnie poważnie – oświadczyła. – Na wypadek gdybyście myśleli, że sprawa rozejdzie się po kościach. – Błysnęła ojcu pierścionkiem. – Otóż się nie rozejdzie.

Każde z rodziców zareagowało na swój sposób. Matczyne serce Lorraine załomotało o żebra, Adam zaś siedział zgarbiony, na przemian

rozwierając i zaciskając pięści. Nie taką przyszłość wymarzyli sobie dla córki.

Wreszcie Adam walnął pięścią w stół, aż podskoczyły szklanki. Wstał, górując nad dziewczyną. Grace cofnęła się przezornie.

– Ja nie pozwolę! – ryknął.

Grace uciekła z kuchni.

Z westchnieniem i pełnym wyrzutu spojrzeniem na męża, który dołał tylko oliwy do ognia, Lorraine podniosła się od stołu i poszła za córką.

Na górze usiadła obok Grace, która w ubraniu wskoczyła do łóżka. Głaskała ją po włosach, plecach i barkach, nie mogąc się nadziwić, skąd u nastolatki tyle zapału, by zmarnować sobie życie. Wiele ją kosztowało, aby szeptać, że wszystko będzie dobrze, że jakoś się ułoży i że wcale się nie gniewa. W trakcie musiała zasnąć, bo kiedy się obudziła, kiedy rozwarła najpierw jedno oko, a potem drugie, leżała zwinięta w znak zapytania na łóżku córki, a za oknem wstawał dzień.

## Rozdział 16

Dzisiaj tracę mojego męża.

Przewracam się na bok w nadziei, że jeśli nie otworzę oczu, nie obudzę się w pełni, może to nie nastąpi. Tak bardzo go kocham. Chcę, żebyśmy tworzyli pełną rodzinę. Niedługo będzie nas pięcioro. Czuję przyływ adrenaliny na myśl, że to stanie się pod jego nieobecność.

„To jedne z najważniejszych ćwiczeń tego roku, kochanie”.

„Ale aż na Morzu Śródziemnym”.

Nawet nie było mu wolno zdradzić mi kryptonimu operacji. Wiem tylko, że odbędzie się na Morzu Śródziemnym, nic więcej. W bliżej nieokreślonym miejscu. I może potrwać dwa miesiące. Poczułam ukłucie zazdrości. Region śródziemnomorski zawsze kojarzył mi się ze słońcem, bikini, romantycznymi kolacjami i tańcami do późnej nocy. Dla Jamesa to długie tygodnie na pokładzie łodzi podwodnej z setką załogi, sześciogodzinne wachty i spanie z pociskami pod bokiem, oddychanie sztucznie wytwarzanym powietrzem.

Podnoszę się i wymacuję stopami kapcie. Wreszcie narzucam szlafrok i drepczę do sypialni, ale łóżko jest puste. Już wstał, musi wyjść punktualnie o dziesiątej. Nie może dokładnie określić terminu powrotu, lecz nastąpi on w granicach sześciu–ośmiu tygodni. Musiał zauważyć ból w moich oczach.

– Kiedy wrócisz, ona już tu będzie. – Staję na progu kuchni i głaszczę się po brzuchu. Przybieram pogodny ton. James gryzie grzanekę i podczytuje „Timesa” rozłożonego na blacie, w ręku ma filiżankę kawy. Podnosi wzrok. – Powiedziałam w pracy, że się spóźnię. Odprowadzę cię do wyjścia.

– Kochanie – mówi i podchodzi się przywitać. Jest silny i ciepły,

jakby nastrojał się na długie dni i noce pod wodą. Nie zobaczy słońca ani księżyca. Ominie go chwila, kiedy po raz pierwszy wezmę na ręce naszą córkę, kiedy wtuli się we mnie, szukając mleka. Nie usłyszy jej pierwszego krzyku. – Ostrzegalem cię – dodaje czule, ale półzartem – co znaczy ślub z marynarzem. – Wyczuwa moje przygnębienie.

Czasami chciałabym, aby rzucił to wszystko, poszedł na emeryturę, do cywila. Przecież nie musielibyśmy zaciskać pasa, wręcz przeciwnie. James ma pieniądze, niezależnie od swojej kariery. „Za dużo, aby o nich mówić”, wyznał żartobliwie ściszoneg głosem, kiedy zapytałam wprost. „Pozostawiam te sprawy księgowym”. W takim razie po co godzinami ślęczy nad biurkiem? Gdy zasugerowałam, by poszukał lepszych księgowych, stanowczo zaoponował. „Firma z Jersey od lat zajmuje się sprawami rodziny. To stara fortuna. Takich rzeczy się nie kwestionuje”.

Mówiąc o „sprawach rodziny” i „starej fortunie”, ma na myśli Sheehanów. Odziedziczył spory majątek po swojej zmarłej żonie, Elizabeth. Pamiętam, że na początku naszego związku przyjeżdżali jej bracia i toczyli z Jamesem długie rozmowy za zamkniętymi drzwiami. Kiedyś usłyszałam krzyki. Nie chciałam się wtrącać, ale po części dlatego nie rzuciłam pracy, żeby nie wydawać pieniędzy zmarłej kobiety. Nie czułabym się z tym najlepiej. Myślę, że James z tego samego powodu nadal jest w marynarce.

– Kawy? – pyta i zaraz nalewa, nie czekając na odpowiedź. Podaje mi kubek, a ja przysiadam na stołku. – Chcę, żebyś sama wybrała dla niej imię – dodaje uroczystym tonem. – Mam do ciebie zaufanie. Niech chłopcy ci pomogą.

Braliśmy pod uwagę różne opcje, ale jeszcze nie podjęliśmy decyzji. Uznałam, że najpierw musimy ją zobaczyć, ale potem James wyskoczył z nowiną o wyjeździe.

Uśmiecham się na myśl, że chłopcy mieliby wybierać imię dla siostry. Słyszę harmider na górze, gdzie Zoe przygotowuje ich do szkoły. Kocham ich całym sercem i zamierzam traktować jednakowo całą trójkę, lecz nie mogę oprzeć się myśli, że z tym dzieckiem, z moim

dzieckiem, będzie trochę inaczej. Będzie naprawdę moja i Jamesa, owoc naszej miłości, wzajemnego przywiązania. Nie mogę się doczekać chwili, kiedy się pojawi. Mam tylko nadzieję, że bliźniacy pokochają ją tak jak ja.

Wstaję i podchodzę do lodówki, ale potykam się po drodze.

– Ojej, kopie! – Chyba obudziłam ją tym potknięciem. – Dotknij, szybko. – James podchodzi, naprowadzam jego rękę. – Tutaj.

– Tak, tak, czuję. Może chce się ze mną pożegnać. – James uśmiecha się rozanielony.

Chłopcy wpadają do kuchni, czyści i schludni w białych koszulach i szarych sweterkach. Muszę przyznać, że Zoe radzi sobie świetnie, aż mi głupio z powodu początkowej nieufności. Prawdę powiedziawszy, cieszę się na myśl, że pod nieobecność Jamesa będę miała towarzyszkę.

– Chłopcy! – mówi James. Przyklęka i obejmuje synów. – Wiecie, jaki dzisiaj dzień?

– Tak – potwierdza markotnie Noah. – Dzień wyjazdu tatusia. Do kitu.

Oscar zwiesza głowę i wydaje zduszony szloch. James przytula go mocniej, a mnie ogarnia duma i coś na kształt zazdrości o tę męską więź.

„Kto by pomyślał – powiedział do mnie kiedyś w sylwestra, gdy oboje za dużo wypiliśmy – kto by pomyślał, że o chłopców zatroszczy się ktoś, kto nie jest mną ani Elizabeth?”. Opowiadał mi o pierwszej żonie, jak to marzyli o domku na wsi, czwórce dzieci, kucykach i psach, po czym musieli porzucić to marzenie w ciągu pół roku od diagnozy do jej śmierci. Wspomniał, że Elizabeth wymogła na nim obietnicę, że starannie wybierze chłopcom matkę. To zdanie kołatało mi w głowie, kiedy mężnie brylowałam na przyjęciu w nowej, czerwonej sukience. Przeprosił mnie następnego ranka.

– Hej, głuptaski. Wróć, zanim się obejrzyicie, i wiecie co?

– Co? – pytają równocześnie.

– Będziecie mieli dla mnie wspaniałą niespodziankę, prawda?

Podnoszą głowy z zadowolonymi minami. Patrzą na mnie.

– Małą siostrzyczkę – oznajmia Noah.



Wszystko im wytłumaczyliśmy. Powinni mieć jasny obraz sytuacji. Nie pamiętają Elizabeth, ale James i ja wspominamy o niej przy różnych okazjach. To trudne, ale konieczne. Była ich mamą. Ja dopiero próbuję.

– Chcę, żeby się urodziła – mówi z pretensją Oscar.

Tymczasem Zoe rozstawia na stole talerze, płatki oraz owoce. Na środku umieszcza dżem truskawkowy, mleko i kartonik soku, po czym bierze kubek i nalewa sobie kawę. Nagle czuję się szczęściarą i drżę w radosnym oczekiwaniu na chwilę, gdy przytulę dziecko, chociaż wolę nie myśleć o tym, co ją poprzedzi, ani o powrocie do pracy. Po tym wszystkim, co przeszliśmy, rzecz wydaje się nierealna i wciąż poza zasięgiem ręki.

– Oscar, Noah, pospieszcie się! – woła Zoe. – Bo się spóźnimy.

Poranna gorączka trwa jak zwykle, tyle że kiedy chłopcy myją zęby, chowają śniadania przygotowane przez Zoe, a następnie wkładają buty i kurtki, znowu robi się smutno.

– Pa, tatusiu – szlocha Oscar. – Uważaj na siebie pod wodą. – Przypominam sobie jego strach przed wielkim akwariem i zaczynam rozumieć, że najprawdopodobniej wynika on z obawy o tatę. Wątpię, czy faktycznie widział kogoś nocą w pokoju.

– Pa, tato – dodaje Noah. Woli „tato” zamiast Oscarowego „tatusiu”. Dzięki temu czuje się bardziej dorosły. – Pozdrów rybki. – Z zadowoleniem wyciąga z kieszeni kurtki napoczętą paczkę dropsów. Aż się cały rozpromienia.

– Zapomnij – mówię i odbieram mu cukierki. Od razu traci humor.

– Macie pilnować porządku, kiedy mnie nie będzie, zrozumiano? I opiekujcie się... opiekujcie się mamusią.

Nie ma pojęcia, jakie to cudowne uczucie, gdy ktoś mnie tak nazywa.

– Wróć, zanim się obejrzyicie. – James salutuje zamasyście i nakłada chłopcom kaptury. – Żebyście nie odmrozili sobie uszu – mówi ze śmiechem. – A teraz zmykajcie, bo się spóźnicie. – Wiem, ile go to kosztuje. Malcy patrzą na niego z wyczekiwaniem na bladych twarzyczkach. James nachyla się i całuje ich w policzki. – Kocham was –

dodaje, a ja wzdycham z ulgą.

– My ciebie też, tatusiu – odpowiadają i drepczą za Zoe, która przyjaźnie macha na pożegnanie i życzy Jamesowi powodzenia. Drzwi się zamykają.

– To było okropne – mówię.

James przeciera dłonią twarz.

– Tak mi przykro – szepcze. – Tak mi przykro, że nie będzie mnie w najważniejszym dniu naszego życia. Nie znoszę siebie za to.

Opowiadał mi, że był przy narodzinach bliźniaków. Patrzył, jak lekarz rozcina jego żonie brzuch i wyciąga najpierw Oscara, wijącego się, wrzeszczącego i fioletowego na twarzy. Noah zjawił się po paru minutach, początkowo nieruchomy i szarawy. Podano mu tlen i rozmasowano, ale musieli go zawieźć na OIOM. Elizabeth nie mogła sobie tego darować – cesarka była koniecznością z uwagi na stan jej zdrowia. Biedaczka wiedziała, że nie będzie dane jej zobaczyć, jak dzieci dorastają. Ale następnego ranka pozwolono jej obu potrzymać. Zdrowi, ale mali. Idealni. Ich synowie.

– Nie chcę o tym więcej słyszeć, James. Chyba zwariuję, jeśli nie skończysz z tymi wyrzutami sumienia. Jestem dorosła. Dam sobie radę. No i mam Zoe. – Uśmiecham się na dowód, że pod jego nieobecność wszystko będzie w porządku. – Kiedy wrócisz, twoja córeczka i ja będziemy na ciebie czekać w oknie. Zostaję pilnować ogniska. – Śmieję się nerwowo, żeby zatuszować lęk.

James kiwa głową i kieruje się do gabinetu.

– Muszę jeszcze coś zrobić. Jestem spakowany. Dam znać, jak będę wychodził.

To sygnał, że potrzebuje chwili dla siebie. Wspomniał, że przed wyjazdem zamknie gabinet na klucz. Nigdy przedtem tego nie robił, lecz powiedział mi, gdzie schowa klucz. Nie wydaje mi się, żeby Zoe interesował ten pokój, ale skoro James woli zachować ostrożność, nie widzę przeszkód.

Wracam na górę i zamykam się w łazience. To odruch, a nie przemyślane działanie jak w przypadku Jamesa i gabinetu. Nie

przeżyłabym, gdyby ktoś wszedł i zobaczył mnie w takim stanie. Skłamałabym, mówiąc, że się teraz sobie podobam. Rozbieram się i staję przed lustrem. Odkręcam możliwie jak najgorętszą wodę i staję pod prysznicem. Patrę na kafelki pod stopami; nic się nie dzieje, ani śladu krwi. Obiecałam sobie, że to się więcej nie powtórzy. Pomna przeszłości oddycham z ulgą na widok czystej wody. Myję włosy i piana spływa mi do stóp.

Półtorej godziny później, ubrana w granatową tunikę z czarnym golfem pod spodem i spodnie ciężowe, w mokasynach na nogach, z wysuszonymi włosami i odrobiną makijażu, idę stawić czoło nieuchronnemu rozstaniu.

Dobrze mieć świadomość, że Zoe przyprowadzi chłopców ze szkoły, dzięki czemu rzucę się w wir pracy i do wieczora zabraknie mi czasu na rozmyślanie. Muszę sporo nadrobić. Obiecuję sobie nie myśleć o mężu do chwili, aż znajdę się w łóżku. Wtedy wyobrażę sobie, jak wsiada do łodzi podwodnej, wita się z załogą, wymienia opowieściami o rodzinie, a następnie skupia na obowiązkach i zapada coraz niżej w głębinę, aż nikt nie będzie wiedział, gdzie są. I po „Advance” zostanie tylko fałdka na powierzchni.

Całujemy się. Tulimy. James kuca i przyciska wargi do mojego brzucha.

– Czułeś? – pytam.

– Nie – odpowiada ze smutkiem.

– Mocno kopnęła – zapewniam. – Chce się wydostać.

Kolejny pocałunek, pieszczota i już go nie ma. Taki nasz rytuał.

Słyszę, jak Zoe pobrzękuje w kuchni talerzami.

– I już – mówię, opuszczając ręce wzdłuż ciała. – Pojechał.

– Herbatki? – pyta. Patrzy z ukosa i ze współczuciem przygryza wargę. Nastawia czajnik.

– Szybciutko. – Zaraz muszę wychodzić. Mam tyle do zrobienia.

– Dlaczego jeszcze nie poszłaś na macierzyński? – pyta Zoe.

Śmieję się i z ulgą zmieniam temat, byle nie myśleć o dziurze w sercu.

– Nasz dział zawsze robi bokami. Jestem zdrowa, aktywna, więc nie ma sensu przerywać pracy aż do porodu. – Wyjaśniłam jej pokrótce, na czym polega moja praca, ale nie jestem pewna, czy do końca rozumie. – Zresztą dzięki temu będę miała więcej czasu dla dziecka. Nie chcę się spieszyć z powrotem.

– Rozumiem – mówi Zoe. Patrzy na brzuch, ale odwraca głowę, podchwyciwszy mój wzrok.

– Wiem. Wyglądam jak chałupa, nie? Dwurodzinna. – Śmieję się i siadamy przy stole. Muszę wysunąć krzesło, podczas gdy Zoe z łatwością wślizguje się między ławę a stół. – Mgliście przypominam sobie, że nosiłam kiedyś twój rozmiar. – Zoe jest ubrana w dżinsy i czarny podkoszulek, który podjeżdża jej do góry, kiedy siada. Oplata palcami kubek. – Nie zimno ci? – pytam w przypiływie matczynej troskliwości, chociaż jesteśmy prawie rówieśnikami.

Teraz z kolei ona się śmieje, co upodabnia ją do psotnego chochlika. Widzę niebieski błysk w jej oku.

– Bynajmniej. Bez obaw, chłopcy poszli w kurtkach.

– Wybacz, nie chciałam...

– Miło, że się o mnie troszczysz. – Zwiesza głowę. Wśród jasnych włosów na czubku prześwituje ciemniejszy odrost.

– Nadal przeżywasz? – pytam w nawiązaniu do jej kłopotów sercowych.

Cisza.

– Przepraszam, nie chciałam się wtrącać.

– To skomplikowane – wyznaje.

– Przynajmniej nie macie dzieci.

Gwałtownie unosi głowę, świdruje mnie wzrokiem. Bieleją palce zaciśnięte na kubku.

– Tak – mówi z wysiłkiem. – Przynajmniej nie mamy dzieci.

– Zoe – rzucam bezradnie. Nachyliam się i ją obejmuję; zebra podskakują, kiedy z gardła Zoe wyrывa się szloch. – Przepraszam. Nie wiedziałam...

Znam to spojrzenie – wyraża bezkresną pustkę. Żądzę, pragnienie,

potrzebę, aby się troszczyć. Spojrzenie niespełnionej matki. Bóg jeden wie, ile razy oglądałam je w lustrze.

– Cieszę się, że tu jesteś – uzupełniam szczerze. To na razie wystarczy. Ściskam jej dłoń.

– Muszę wyjść – wykrztusza w końcu i wybiega do przedpokoju.

Po chwili słyszę trzaśnięcie drzwi i zostaję sama w domu.

## Rozdział 17

Lorraine patrzyła, jak fotograf staje okrakiem nad plamą krwi w kształcie Australii. Włożyła foliowe nakładki na buty i z wahaniem weszła do środka. Adam szedł za nią. Jeszcze nie powiedział ani słowa. Nie musiał. Jego zmartwiła twarz mówiła sama za siebie.

Po otrzymaniu telefonu z informacją natychmiast rzucili wszystko i zjawili się na miejscu zdarzenia tuż po tym, jak ciężarną, ledwo żywą dziewczynę zabrano do szpitala. Powiedziano im, że walczy o życie, nie było chwili do stracenia. Miała rozcięty brzuch, ale nie wiadomo było, co z dzieckiem.

Lorraine rozejrzała się po pokoju. Widmo kobiety zdawało się wisieć w powietrzu, stężełe w okrzyku zgrozy i przerażenia, bijących z chaosu dokoła. Gdyby nie koleżanka, która wpadła z niezapowiedzianą wizytą, dziewczyna byłaby martwa. Adam i Lorraine z uwagą łowili każdy szczegół, jakby jeden nieostrożny ruch mógł zniweczyć kluczowy dowód. I podobnie jak ostatnim razem nic z tego nie rozumieli.

– Ktoś, kogo znała? – podsunęła Lorraine. Przymknęła oczy, by powstrzymać kolejny odruch wymiotny. W powietrzu unosiła się woń świeżej krwi.

– Możliwe. Nie ma śladów włamania – zauważył Adam, zerkając na drzwi.

– Kto by się skusił?

Rozejrzeli się po posępnym mieszkanku. Nie było wiele do oglądania. Ciasna kuchnia ze starą kuchenką gazową zajmowała w głębi przestrzeń wielkości kredensu, a nędzny duży pokój – z jedynym oknem zasłoniętym przez drzewo iglaste – mieścił tylko kanapę, obecnie zakrwawioną, i stary, przenośny telewizor. W sypialni wystarczyło

miejsca na dwuosobowe łóżko i drewniane łóżeczko, w którym spiętrzone coś, co wyglądało na wyprane rzeczy. Tak przynajmniej zdawało się Lorraine.

– Koleżanka ofiary znalazła ją na kanapie. – Adam chodził po pokoju dziennym i przeszkadzał fotografowi.

Lorraine przyjrzała się kanapie. Pieczarkowy welur przybrał odcień rdzawej czerwieni. Zakrzepła i pękająca już na krawędziach krew stworzyła makabryczny deseń, który z daleka mógł uchodzić za przejaw celowego działania nawiedzonego artysty.

– Lada dzień miała rodzić.

Wymienili spojrzenia, jakby pozostałe sfery ich życia w tej chwili przestały się liczyć.

– Koleżanka czeka u sąsiada – dorzucił Adam i odebrał telefon.

Lorraine wyszła z powrotem na korytarz. W ciemnym, zimnym przejściu cuchnęło moczem i marihuaną. Na szczycie betonowych schodów zebrała się grupka wyrostków.

– Jazda stąd – powiedziała Lorraine, zdejmując nakładki z butów. Schowała je do worka i oddała jednemu z policjantów. Chłopcy odpowiedzieli jej tępyim spojrzeniem. Jeden beknął. Znowu poczuła się stara.

Drzwi do mieszkania pod numerem siedemdziesiątym trzecim były otwarte, więc Lorraine weszła bez pukania. Usłyszała cichy płacz kobiety na tle krzepiącego tonu policjantki przeszkolonej do takich zadań. Gdy skierowała się do dużego pokoju – mieszkanie miało identyczny rozkład jak to obok – do jej uszu doleciał chrapliwy głos starszego mężczyzny, który dorzuczał swoje trzy grosze. Z kuchni dobiegał szczeł naczyń.

– Halo? – powiedziała i zastukała do drzwi. – Detektyw inspektor Fisher – dodała, wchodząc do środka.

Na zielonym fotelu siedziała zapłakana młoda kobieta. Z gazowego piecyka buchał suchy żar. Para skraplała się na oknach, a parapet aż poczerniał od pleśni, co nasuwało osobliwą analogię z twarzą dziewczyny, zalaną łzami i brudną od rozmazanego tuszu. Nie mogła

mieć więcej niż dwadzieścia lat.

– Przykro mi z powodu tego, co spotkało pani koleżankę. Czy są jakieś wieści ze szpitala? – Jeżeli dziecko żyje, nie prowadzą dochodzenia w sprawie morderstwa.

Kiedy dziewczyna nie odpowiedziała, policjantka odwróciła się i wzruszyła ramionami.

– Wiemy tylko, że jeszcze żyła, kiedy ją zabierali, pani inspektor. Emma jest w ciężkim szoku. Chciałaby odwiedzić przyjaciółkę w szpitalu... Carłę – dodała na wypadek, gdyby pani inspektor nie znała jeszcze imienia ofiary.

– Dzięki, skarbie – odpowiedziała opiekuńczym tonem Lorraine na widok jej dziewczęcej twarzy. Przysiadła na skraju sofy od kompletu.

Starszy mężczyzna, przypuszczalnie właściciel mieszkania, przyszedł z tacą.

– Jeszcze jedna – powiedział gderliwie, wpatrując się w nowo przybyłą. – Z cukrem?

– Proszę sobie nie robić kłopotu – odrzekła Lorraine. Higiena tego miejsca budziła jej wątpliwości. – Miło, że udostępnił pan pokój. Zaraz sobie pójdziemy, jak tylko Emma się lepiej poczuje.

– Nie ma sprawy – odparł stary. Podrapał się po łysiejącej czaszce. Białe płatki posypały mu się na ramiona. Cały sweter miał usiany łupieżem. – Dobijała się do drzwi – ciągnął. Głos miał zachrypnięty od flegmy, próbował odchrząknąć. Odruchowo złapał się za krocze. – Kiedy ją wpuściłem, wrzeszczała, czy może zadzwonić. Myślałem, że dziś wszyscy mają komórki.

– Dziękuję, panie...? – Lorraine chciała porozmawiać z Emmą. Stary mógł zaczekać.

– Duggan – podsunął.

– Muszę porozmawiać z Emmą. Później nam pan opowie.

Stary odmruknął coś i wrócił do kuchni, skąd ponownie doleciał brzęk naczyń.

– Emmo – zaczęła Lorraine. – Opowiedz mi, co się stało.

Policjantka podała Emmie herbatę. Dziewczynie zadrżały ręce i



wylała sobie trochę na szare spodnie od dresu. Lorraine zauważyła, że i tak są brudne. Ale różowo-niebieska bluza, którą miała na sobie, sprawiała wrażenie czystej; miała spłowieły nadruk z nazwą zespołu i pochodziła pewnie z jakiegoś koncertu sprzed lat. Była na dziewczynę o wiele za ciasna. Przetykane jasnymi pasemkami mysie włosy związała w wysoki, ciasny kucyk. Jej życie, wygląd, przeszłość oraz widoki na przyszłość dzieliły ją o lata świetlne od córek Lorraine.

Która właśnie przypomniawszy sobie, że jej pierworodna kosztem rodzinnego domu i kochającej rodziny postanowiła dobrowolnie skazać się na żywot samotnej matki na zasiłku. A więc może jednak tak bardzo się nie różniły.

– Przyszłam zobaczyć się z Carłą – zaczęła głosem przetykanym szlochem, siąkaniem i spazmatycznym chwytniem powietrza. – Miałyśmy iść na koktajl, czy coś. – „Coś” brzmiało raczej jak „cuś”. Lorraine nie traciła cierpliwości. – Pukałam, ale nie otwierała. W końcu usłyszałam jakby skowyt zwierzęcia, co nie? I weszłam. Drzwi nie były zamknięte na klucz.

– Proszę mówić dalej.

– Nie wierzyłam własnym oczom. Najpierw uderzył mnie ten smród. Krwią śmierdziało jak jasna cholera. – Emma wzdrygnęła się na to wspomnienie. – Potem zobaczyłam Carłę na kanapie. Myślałam, że nie żyje, co nie? – Wpatrywała się w Lorraine. Miała oczy w odcieniu aksamitnego brązu; źrenice ginęły w tle, pod mgielką rozpaczy i łez. – Była goła, nie licząc stanika. Wszędzie miała krew. Na twarzy, nogach, ramionach. Boże! – Emma zasłoniła rękami twarz i załkała. Policjantka podała jej chusteczki. – W brzuchu miała dziurę i drgała jak w konwulsjach.

– Czy była sama w mieszkaniu?

Emma pokiwała głową.

– Otworzyła oczy i na mnie spojrzała. Całkiem przytomnie.

– Coś mówiła?

Emma chwilę się zastanawiała.

– Powiedziała tylko „Pomóż mi” i znowu zemdląca. Zaczęłam

krzyżeć i przybiegłam tutaj, żeby zadzwonić. – Ponownie straciła dech. Wydmuchała nos i wytarła oczy zasmarkanymi chusteczkami. – Zadzwoniłam na pogotowie i policję. Przyjechali szybko i ją zabrali. Siedziałam przy niej, ale nie pozwolili mi wsiąść do karetki. Kazali zostać i z panią porozmawiać. Czy ona umrze?

Lorraine wyprostowała plecy.

– Szczerze powiedziawszy, nie znam odpowiedzi na to pytanie. Czekamy na wiadomość ze szpitala. Opowiedz mi o ojcu dziecka, Emmo. Czy wiesz, kto nim jest?

– Nie – odpowiedziała Emma, jakby to było oczywiste. – Carla też nie wie.

Kiedy Lorraine i Adam przyjechali do szpitala imienia królowej Elżbiety, Carla Davis znajdowała się na sali operacyjnej. Dowiedzieli się od oddziałowej, że w ciągu godziny zostanie przewieziona na oddział intensywnej terapii.

– Nie nastawiałabym się na rozmowę – dodała. Była przysadzistą, rudowłosą kobietą mniej więcej w wieku Lorraine. Oczy widoczne zza okularów w zielonych oprawkach zdawały się dwa razy większe niż w rzeczywistości. – Będzie półprzytomna po narkozie i nafaszerowana prochami. Sądzę, że musicie poczekać co najmniej do rana. – Kiwnęła głową na znak, że nie ma gadania. – Możecie poczekać tutaj, jeśli nie macie nic lepszego do roboty. – I obrzuciła ich podejrzliwym spojrzeniem.

Po wyjściu oddziałowej Lorraine ruszyła na poszukiwanie automatu z napojami. Kiedy wróciła, Adam rozmawiał przez telefon. Rozłączył się na jej widok. Poczowała ucisk w żołądku. Przygryzając wargę, podała mu butelkę wody.

– Ile będziemy tu siedzieć? – spytała.

Adam chciał odpowiedzieć, ale przerwał mu hałas od strony dyżurki.

– Chcę ją zobaczyć... jestem jej zasranym ojcem... przepuście mnie... mam prawo...

Poszli sprawdzić, co się dzieje. Młoda dziewczyna z mieszkania,

Emma, próbowała uspokoić mężczyznę w czarnych dżinsach i skórzanej kurtce motocyklowej. Pod pachą miał kask, a na nogach buty z klamrami sięgające kolan. Śmierdział papierosami. Do siostry oddziałowej dołączył sanitariusz i razem bezskutecznie próbowali uciszyć intruza.

– To jest szpital. Proszę nie hałasować i uszanować prośbę siostry. – Ingerencja Adama też spełzła na niczym.

Tamten obrócił się na pięcie.

– A ten to, kurwa, kto? – Z jego twarzy biła mieszanina wściekłości i strachu.

– Jesteśmy z policji, więc proszę się opanować – wtrąciła ze znużeniem Lorraine.

– Nie będziecie mi mówić, co mam robić. – Zrobił krok naprzód. Lorraine i Adam podeszli bliżej, gotowi go obezwładnić. – Ktoś pochlastał moją córkę, więc ani mi się...

– Pan Davis? – przerwała Lorraine. Mężczyzna kiwnął głową i twarz mu się zmarszczyła, jakby miał się rozkleić. – Przyjechaliśmy w sprawie pańskiej córki. Jest operowana.

– Widzisz, Paul? Mówiłam ci, że ją wyleczą, co nie? – Nadzieja Emmy była, co tu dużo mówić, płonna. Z tego, co słyszała Lorraine, szanse Carli wynosiły najwyżej pięćdziesiąt procent.

– Czy możemy z panem porozmawiać, panie Davis? – poprosiła. – Na przykład tutaj. – Wskazała mu drogę do poczekalni, a on nie stawiał oporu.

Usiedli na plastikowych krzesłach rozstawionych wokół starego, drewnianego stolika zawalonego czasopismami. Paulowi Davisowi nerwowo podrygiwała noga i niezmordowane szarpał kosmyki włosów przy uszach. Emma siedziała spokojnie, a bzycząca pod sufitem jarzeniówka nadawała wszystkiemu surrealistyczny wygląd. Czasem rozlegał się pisk urządzenia na oddziale obok i pielęgniarka przebiegała korytarzem. Dzwonił telefon i salowe przejeżdżały z łózkami, czasem pustymi, a czasem z pacjentami podłączonymi do monitorów i kroplówek.

Lorraine zadawała pytania, starannie dobierając słowa.

– Tylko Carla mi została – powiedział Paul. – Jest taka niezależna. Lubi radzić sobie sama. – Głos miał chropowaty, jak u nałogowego palacza.

– A jej matka? – spytała Lorraine.

– Zmarła parę lat temu. – Urwał na chwilę. – Nigdy bym się tego nie spodziewał. Powiedzieli, że ktoś zaatakował ją nożem. Kto zrobiłby coś takiego ciężarnej? – Nie potrafił usiedzieć w miejscu. Twarz miał ściągniętą bólem; przejechał po niej rękami. – Nie mogę jej stracić.

Lorraine zerknęła na Adama. Wiedziała, że też współczuje tamtemu. I była pewna, że również nie może przestać myśleć o Grace.

– Ma chłopaka? – spytał, jakby czytał w jej myślach.

– Miała kilku. Jak to młode, nie? – Zerknął przelotnie na Emmę i Lorraine zrozumiała, że nie interesował się życiem córki. Wyniosła się z domu, żyła z zasiłku i najprawdopodobniej od miesiąca nie miała z ojcem kontaktu. Czy to samo czeka ich i Grace?

– Zaliczyła parę numerków w jedną noc. Ale ucieszyła się, że jest w ciąży – wtrąciła Emma, która stanowiła zapewne najlepsze źródło informacji, dopóki Carla nie odzyska przytomności. – Nie miała szczęścia do facetów. Kiedy była w rodzinie...

Zamilkła, bo Paul Davis kopnął ją w kostkę.

– Zastępczej? – podchwycił Adam.

– To nic takiego – zapewnił pospiesznie Paul. Noga znów zaczęła mu podrygiwać. – Sandy i ja czasami sobie nie radziliśmy. Uważaliśmy, że Carla wymaga lepszej opieki. Bywała trudna.

Adam i Lorraine zanotowali w myślach, żeby zadzwonić do opieki społecznej. Znajdą tam kartotekę z typową historią rodziny rozbitej z powodu braku pieniędzy, narkotyków, alkoholu, lenistwa, przemocy lub wszystkiego po trochu. Może coś się wyklaruje.

Do poczekalni weszła oddziałowa. Patrzyła wyczekująco i z rezerwą. Wszystkie oczy zwróciły się na nią.

– Carla jest już po operacji Jej stan jest stabilny. Lekarze zrobili, co mogli. – Zaczerpnęła głęboko tchu, jakby chciała wyssać cały tlen z

powietrza.

– To znaczy? – Lorraine wstała. Ojciec Carli też wstał i nieco zaczepnie zbliżył się do pielęgniarki. Adam czujnie stanął obok.

– Obawiam się, że... Chodzi o dziecko – podjęła oddziałowa. – Nie zdołali go uratować.

– Ale Carla, co z Carłą? – dopytywał gorączkowo Paul.

– Ma duże szanse – odpowiedziała.

Paul załkał i z pomocą Emmy wrócił na krzesło. Lorraine dała Adamowi znak i wyszli na korytarz. Odczekali chwilę i po dziesięciu minutach przewieziono bladą, młodą kobietę. Salowe skinęły im głowami, kiedy odprowadzali dziewczynę wzrokiem. Nie wyglądała na dużo starszą od Grace. Nieprzytomna, podłączona do kroplówki i przenośnego monitora, raczej nie będzie zdolna do rozmowy, ani teraz, ani w ciągu najbliższych godzin.

– Zaczekam – oznajmił Adam, spoglądając na zegarek. – Jedź do domu. Grace niedługo wróci ze szkoły, potrzebuje mamy. – Ścisnął jej ramię. Lorraine popatrzyła na jego dłoń na swoim rękawie i strząsnęła ją bezceremonialnie. – Może przemówisz jej do rozumu.

W drodze powrotnej zadzwoniła na posterunek z pytaniem, czego się dowiedzieli. Barrett poinformował ją, że prócz trzech miesięcy w zawiasach za kradzież Carla Davis była narkomanką, a jej dziecko widniało już w rejestrze opieki społecznej. Najprawdopodobniej zostałyby jej odebrane zaraz po urodzeniu.

Lorraine zaparkowała pod domem. Zamknęła samochód i weszła do środka.

– Jestem! – zawołała. Jak zwykle nie doczekała się odpowiedzi. Usłyszała z góry stłumione dudnienie muzyki. A potem głośniejszy chichot, kiedy otworzyły się drzwi, ktoś przebiegł korytarzem i załomotał do drzwi łazienki, czemu towarzyszył kolejny wybuch dziewczęcego śmiechu.

Moje piękne córeczki, pomyślała z dumą Lorraine. Z lekkim uśmiechem powiesiła kurtkę na poręczu schodów. A potem znów ścisnęło ją w żołądku na myśl o tym wszystkim.

## Rozdział 18

Drzwi są zamknięte na klucz. Z niedowierzaniem szarpię za klamkę, żeby się upewnić.

Cholera.

Mam ochotę je kopnąć, grzmotnąć pięścią, wziąć łom i wyważyć, aż drzazgi polecą, byle wejść do środka.

Patrzę na zegarek. Nie mam dużo czasu. Muszę dowiedzieć się wszystkiego o tej rodzinie, ile mają pieniędzy, jak funkcjonują, kto odpowiada za co, kto zarządza finansami. Wystarczy choćby strzęp informacji. Chcę zbudować obraz ich przeszłości i terażniejszości; przyszłość znam, nie stanowi dla mnie tajemnicy. Potrzebny mi obraz sytuacji – ogólny i szczegółowy.

Kucam i zaglądam przez dziurkę od klucza. Widzę krawędź biurka Jamesa, ale to wszystko. Ostatni raz byłam w środku, aby zdjąć Noaha z obitego zieloną skórą kapitańskiego fotela za biurkiem. Błagał brata, żeby go pokręcił, ale Oscar stał w progu i ze łzami w oczach potrząsał głową, pojękując, że im nie wolno. „Chodź, Noah”, ponagliłam zza jego pleców, obejmując rękami framugę. Jakby wejścia broniło niewidzialne pole siłowe, którego Oscar i ja nie chcieliśmy przekroczyć, w przeciwieństwie do Noaha, który miał je w nosie. Jak to ujął James niedługo po moim przybyciu? „To mój osobisty gabinet”.

Gdzieś musi być klucz. Rozglądam się po przedpokoju. Widzę dwa stoliki – sfatygowany sosnowy po drodze do kuchni oraz antyczny w kształcie półksiężyca na długiej ścianie prowadzącej do schodów. Jego półokrągły blat zdobi wazon świeżych lilii, a pod spodem widnieje mahoniowa szufladka. Otwieram ją. Kilka rachunków, baterie, osamotniona rękawiczka i parę długopisów. Oraz dwa klucze na

plastikowych breloczkach bez podpisu. Nie sędzę, żeby pasowały do starych drzwi gabinetu, i mam rację. Jasne, że nie pasują.

Przetrząsam kieszenie wszystkich kurtek w sieni i czuję się podle, jakbym zawiodła ich zaufanie. Wysycha mi w gardle, co jest kompletnie bez sensu, i nagle czuję się jak dziecko, które chyłkiem szpera starym po kieszeniach w poszukiwaniu drobniaków na słodycze lub kino. Zawsze znajdowałam funta lub dwa, co pozwalało mi zniknąć w tłumie rówieśników i na pozór nie odstawać od reszty. Jakkolwiek by na to spojrzeć, miałam fart.

Nie znajduję żadnych kluczy. Jedyne kolekcję chusteczek, pół paczki miętówek, opaskę do włosów i słuchawki.

Poprawiam kurtki, główkując ile sił. To na pewno James zamknął drzwi przed wyjazdem. W końcu to jego gabinet. Lecz zabranie klucza byłoby nierozsądne; niewykluczone, że pod jego nieobecność Claudia będzie musiała tam wejść. Kryzys finansowy lub konieczność znalezienia paszportu, aktu urodzenia lub innych ważnych papierów? Na pewno wszystko tam trzyma. Ma do tego specjalne szafki. Wieczorami widywałam przez niedomknięte drzwi, jak ślęczy nad dokumentami. Podnosił wzrok i patrzył, jak przechodzę z praniem lub śpiącym chłopcem w ramionach. W ognioodpornych sejfach jest miejsce tylko na ważne papiery.

Dochodzę do wniosku, że klucz jest gdzieś w domu albo Claudia go ma. Rano, gdy wróciłam po swoim nieplanowanym wyjściu – co miałam robić, skoro uderzyła w strunę tak czułą, że mało nie krzyknęłam z bólu? – zdążyła już pójść do pracy. Zostawiła liścik na stole.

„Przepraszam. Nie chciałam Cię urazić. Pogadamy wieczorem. Pozdrawiam, C.”.

Żadnych całusów pod postacią „x”. Proste, schludne pismo, lekko przechylone na lewo. Co powiedziałyby grafolog? Że to oznaka zahamowań, tajonych emocji, strachu i rezerwy? Śmiać mi się chce, kiedy chowam kartkę do kieszeni. Taki opis bardziej pasuje do mnie niż do Claudii.

Na górze wznawiam poszukiwania w sypialni Claudii i Jamesa. Nasłuchuję echa przebrzmiałych słów. „Zobacz, kochanie, zostawiam klucz w pudełku ze spinkami... gdybyś potrzebowała, klucz jest w szufladzie przy łóżku... pamiętaj, chowam klucz pod skarpetkami...”.

Ale nic nie słyszę.

Patrzę na łóżko przykryte białą lnianą narzutą. Jest ogromne. Przypominam sobie Cecelię, jej szczupłe ciało samolubnie dzielące łóżko na pół. Chłodną jak marmur skórę na szeleszczącej pościeli, włosy jak plama krwi. I siebie, jak stoję w progu, nie wiedząc, co począć z jej żalem.

Nagle odwracam się, łapię oddech. Nikogo tu nie ma. Przysmykam na chwilę oczy, żeby się uspokoić.

Wszystko w porządku.

Myślę gorączkowo, powoli rozglądam się po przestronnym pokoju. Ścianę z kominkiem zdobi tapeta w pawie, pozostałe pomalowano na odcień bladej ochry, pewnie pod jakąś pretensjonalną nazwą. Wielkie łóżko, czyli gwóźdź programu, to rzeźbiony, mahoniowy kolos z czterema kolumnami na wysokość ramion. Narzuta leży równiutko, przystrojona staroświeckimi koronkowymi poduszkami, które – gdybym ja tu spała – wylądowałyby na podłodze.

Wyobrażam sobie, jak James pakuje torbę. Zdziwiłam się jej niewielkim rozmiarem, lecz na łodzi podwodnej nie potrzeba chyba dużego bagażu. Widzę, jak starannie układa wykrochmalone koszule na spodniach zaprasowanych w kancik, wszystko poskładane z wojskową precyzją. Trafiają do luku na pokładzie, ciasnego jak on sam. Widzę, jak Claudia śledzi jego przygotowania do wyjazdu i trzymając się za piękny, krągły brzuch z łezką w oku wyobraża sobie samotny poród. Czy pamięta, gdzie schował klucz, czy może była zbyt pochłonięta perspektywą rozstania?

I czy w ogóle jest sens zaglądać do gabinetu?

Jak błyskawica przetrząsam każdą szufladę, usiłując pozostawić wszystko tak, jak leżało. Z czystej odzieży i bielizny bije słodki zapach płynu do płukania, ale klucza jak nie było, tak nie ma. Przeglądam białą



toaletkę. Ostrożnie zaglądam pod wieczka chińskich puzderek z kolczykami, agrafrkami i dwoma mlecznymi ząbkami. Klucza brak.

Ze wstrzymanym oddechem zaglądam pod wszystkie cztery rogi ciężkiego materaca w nadziei na breloczek z napisem „gabinet”. Znajduję tylko czasopismo z japońską czcionką na okładce oraz zdjęciem młodziutkiej, prawie gołej dziewczyny, patrzącej znad różowych okularów przeciwsłonecznych. Wygląda na stare. I wyświechtane. Zapewne James przywiózł je z jednej ze swych zagranicznych misji. Opuszczam materac, gotowa iść o zakład, że to niejedyne świństwo, które przytargał z dalekiego portu.

Nagle ogarnia mnie współczucie dla Claudii wraz z idiotycznym pragnieniem, aby przestrzec ją przed tym, co mam zrobić.

Daję sobie chwilę na oddech, chociaż igram z ogniem. Claudia może wrócić z pracy, na przykład po torbę do szpitala, bo zaczęła rodzić. Może misja Jamesa została odwołana albo przełożona na inny termin lub uznał, że jednak nie chce zostawiać żony samej. Co, jeśli pod wpływem emocji zrezygnował z wyjazdu i już jest w domu? Może cicho wchodzi na górę, po dwa stopnie naraz, i gdybym spojrzała przez ramię, gdybym tylko lekko odwróciła głowę, ujrzałabym w drzwiach jego cień, jak obserwuje mnie, sięga po wazon z konsolki w przedpokoju i podnosi wysoko, żeby mi go rozbić na głowie.

Widzę skorupy porcelany i osuwam się na podłogę.

– Bezrękawnik – mówię, jakby wyimaginowany cios mnie otrzeźwił. Zamykając wczoraj gabinet, James miał na sobie beżowe spodnie oraz ciepłą, granatową kamizelkę.

Podchodzę do jego szafy. Gdy otwieram na oścież drzwi, w zmatowiałych lustrach widzę swoją rozgorączkowaną, wystraszoną twarz. Oczywiście w środku panuje nienaganny porządek. Zanurzam ręce w odzieży i otacza mnie zapach starego drewna oraz wody kolońskiej. Koszule na lewo, potem swetry, marynarki na prawo. Wśród tweedów i jodełki, rozpinanych swetrów i bluz widzę bezrękawnik. Tkwi głęboko upchnięty i gdy go wyciągam, brązowy sweter na zamek spada z wieszaka. Wyobrażam sobie, jak James popija w nim brandy

przy kominku, z gazetą rozłożoną na kolanach.

Tyle kieszeni. Wsuwam rękę do każdej z nich i kiedy już tracę nadzieję, napotykam palcami chłodny metal i widzę światełko w tunelu.

Na dole wsuwam klucz do zamka. Przekręcam gładko i naciskam klamkę.

Serce zamiera mi w piersi. Ktoś dzwoni do drzwi.

– Pomyślałam, że mogłybyśmy razem pójść po dzieci – oznajmia Pip. Widzę po jej minie, że uważa to za myśl stulecia.

Stoję jak oniemiała, ściskam palce.

W odpowiedzi na dzwonek pospiesznie zamknęłam gabinet i wsunęłam klucz głęboko do kieszeni spodni. Poznałam ją przez witraż – stała bokiem, wielki brzuch nie pozostawiał miejsca na wątpliwości – i w pierwszym odruchu nie chciałam otwierać, niech sobie dzwoni, a potem idzie w cholerę. Ale to wzbudziłoby podejrzenia w późniejszej rozmowie z Claudią. Gdzie byłaś? Co robiłaś? Na razie nie mogę ryzykować zwolnienia.

– Świetny pomysł – mówię niezgodnie z prawdą. Nie podoba mi się, że Pip upodobała mnie sobie niczym nowszą, młodszą wersję koleżanki od zupek i kupek, dostępną na każde zawołanie. Sęk w tym, że kupki i zupki to nie moja specjalność. – Nie wiedziałam, że już pora.

Pip patrzy na zegarek.

– Za kwadrans trzecia – informuje, po czym łapie się ściany i wychyla naprzód. Głośno wydmuchuje powietrze wargami złożonymi w ciup.

– Ojej, Pip. Ależ wejź, proszę. Wybacz. Dobrze się czujesz?

– Tak – odpowiada i prostuje się na dźwięk zaproszenia. Ciężarna zawsze dopnie swego – wydebi miejsce w autobusie, masaż stóp i kolację do łóżka albo wkręci się do kogoś bez zaproszenia.

– Herbatki? – proponuję, gdy wchodzimy do kuchni. Bezbłędnie to zaplanowała.

– Dzięki – mówi, a ja brzęczę kubkami, wyciągam mleko z lodówki i nie robię tego, co powinnam teraz robić w gabinecie. – Słuchaj – dodaje wreszcie. Odwracam się wyczekująco. Czajnik szumi na kuchence. –

Właściwie to przyszedłam porozmawiać o Claudii.

Staram się nie zarumienić, nie drgnąć i nie oblać zimnym potem.

– Tak? – Zdejmuję czajnik z palnika. Nalewam wrzącą wodę do kubków. – Mleko, cukier? – pytam, odwrócona do Pip plecami.

– Dwie łyżeczki poproszę – odpowiada. – Prawdę powiedziawszy, trochę się o nią martwię.

Podaję jej kubek i siadam obok niej przy stole, chociaż mam ochotę wziąć nogi za pas.

– Dlaczego?

Pip wzdycha z namysłem.

– Wydaje się inna, dziwnie zestresowana. Pewnie trudno ci to ocenić, bo znasz ją od niedawna i nie masz porównania.

Nadaję twarzy zamyślony wyraz, jakbym naprawdę starała się pomóc.

– Z jednej strony trudno się dziwić, prawda? Ma wymagającą pracę i wiem na pewno, że w tej chwili zajmuje się paroma naprawdę kłopotliwymi rodzinami. A na dodatek jest w dziewiątym miesiącu ciąży. – Biorę łyk herbaty. – I nie zapominajmy o wyjeździe Jamesa. Wiem, że ma mnie do pomocy, jednak obecność obcej osoby może być trochę... niepokojąca. – I na tym poprzestaję w nadziei, że ostatnie słowo nie wzbudzi jej podejrzeń.

– Ma szczęście, że cię znalazła – oświadcza Pip, chyba szczerze. Spogląda na mnie z prawie tęsknym uśmiechem, jakby chciała mnie uszczknąć trochę dla siebie.

– Liczę, że ułatwię jej życie. – Biorę kolejny łyk, ale omal się nie zachłystuję. Nie cierpię kłamać, ale nie mam innego wyjścia.

– Bardzo lubię Claudię, ale bywa strasznie uparta. Chyba nie zdaje sobie sprawy, ile ma na głowie. Próbowалаm jej to uświadomić.

– Moja mama była trochę podobna. Wszystko musiało być idealne. I wszyscy. Sprawiałam jej wielki zawód.

Pip parska śmiechem.

– Bzdura. Na pewno jest z ciebie bardzo dumna.

– Była – uściślam. – I nie, wręcz przeciwnie.

– Przykro mi to słyszeć.

Wzruszam ramionami, w duchu wyrzucając sobie, że dałam się wciągnąć w tę rozmowę.

– Przestałam się przejmować. – Widzę oczami wyobraźni, jak matka taksuje mój płaski brzuch, cmoka nad życiem uczuciowym i kpiąco mruży oczy na każdą wzmiankę o mojej pracy. *Czyli nie mam co liczyć na wnuki.* Jej drwiący śmiech wciąż prześladuje mnie w snach.

Pip ujmuje moją dłoń. Jest dla mnie bardzo miła. Cała Pip. Miła i koniec. Martwi się o Claudię i martwi się o mnie. Na bank dzierga wszystkim pod choinkę czapki i szaliki na drutach i gotuje kocioł dzemu na szkolną biesiadę. Jest nauczycielką i przezornie wzięła cały rok macierzyńskiego. Należy do kobiet, u których wszystko musi być jak w zegarku, które ściśle przestrzegają rad w stylu „jak zadowolić faceta” i wysyłają pisemne podziękowania za zaproszenie na kolację. Założę się, że uprawia ogródek warzywny, odkłada na hybrydowy samochód i pierze w trzydziestu stopniach na dowód, że, do jasnej cholery, dba o dobro planety.

– Rodzice, nie? – Pip stawia taktowną kropkę nad i. Głaszcze się po brzuchu. – Na co cię skazuję? – mówi słodko do swojego nienarodzonego dziecka.

– Lubią człowiekowi nabruździć – mówię ostrzej, niż zamierzałam.

– Jedno mi obiecaj – prosi Pip. Wyjmuje z torebki notes i pióro. – Jeżeli coś wzbudzi twój niepokój, masz do mnie zadzwonić, bez względu na porę. Telefon zawsze noszę przy sobie. Wiesz, na wszelki wypadek. – Ponownie głaszcze się po brzuchu. Zapisuje numer i wyrywa kartkę. – Miałam nadzieję, że może skłonisz ją do przerwania pracy.

– Ja? – Wątpię, czy brałaby pod uwagę moje zdanie. Patrzę na kartkę i chowam ją do kieszeni spodni. Trącam palcami klucz. – Jasne – obiecuję. – Nie ma sprawy.

Dopijamy herbatę i idziemy do szkoły. Na boisku pełno zmarzniętych matek, płaczących dzieci w wózkach i przedszkolaków wiszących na oblodzonych drabinkach. Pip przedstawia mi swoje

koleżanki, ale nie ma sensu, żebym zapamiętywała imiona. Jeszcze trochę, a zostanę tylko przykrym wspomnieniem, niemiłym posmakiem w ustach, znakiem zapytania w aurze spekulacji i plotek. *To straszne! Jak mogła coś takiego zrobić?*

W domu sadzam chłopców przed telewizorem i każdemu wręczam szklanekę mleka oraz kawałek ciasta. Mam spokój na co najmniej pół godziny. Zamykam za sobą drzwi salonu i wsuwam klucz do zamka gabinetu.

W środku przystępuję do metodycznego, skrupulatnego działania. Wkrótce odkrywam, że to może potrwać. Mam do przejrzania dziesiątki segregatorów. Muszę wszystko sfotografować, opisać. Jak inaczej uzyskam czytelny obraz? Jak zdobędę to, po co przyszedłam?

Dzwoni telefon. W przedpokoju i na biurku Jamesa. Na wyświetlaczu widzę imię Claudii.

– Halo – mówię pogodnym tonem, chociaż ręce mi się trzęsą, a serce podchodzi do gardła. Ależ sobie wybrała moment... jakby wiedziała, co robię.

## Rozdział 19

Amanda Simkins mieszka w nowiułkim domu w dzielnicy, gdzie drogi kończą się żwirowym podjazdem i szkieletami budynków. Adam i Lorraine minęli ciągi identycznych uliczek, aż wreszcie zlokalizowali właściwy zaułek w obrębie gęsto zabudowanego osiedla.

– Numer trzynasty – oznajmiła Lorraine, po czym wrzuciła dwójkę, aby nie przegapić domu. Prawdę mówiąc, oboje nie widzieli większego sensu w rozmowie z Amandą, musieli jednak dopełnić procedury.

Adam popijał kawę ze Starbucksa. Poprzedniego dnia wrócił późno, gdy cała rodzina była już w łózkach. Spał tylko cztery godziny, obliczyła Lorraine, kiedy z chęcią przyjął mocną kawę, którą zrobiła mu do śniadania. W duchu uśmiechnęła się z satysfakcją na myśl o zjeździe, jaki go czeka w porze obiadu, skoro właśnie pił drugą, podwójną americano. Diabli wzięli zdrowe odżywianie.

Zaciągnęła ręczny hamulec i wysiedli. Adam dopił kawę i rzucił kubek obok fotela.

– Zadbany ogródek – zauważyła Lorraine, kiedy podchodzili do drzwi. Nawet zimą po obu stronach piaszczystej ścieżki pyszniły się kolorowe bratki. Na lewo od wejścia wisiał kosz z bluszczem i jaskrawoczerwonymi cyklamenami; oprószony szadzią skojarzył się Lorraine ze świętami. Przewróciło jej się w żołądku. Czy do tego czasu wszystko wróci do normy?

Nacisnęła dzwonek.

Na progu stanęła kobieta w różowym szlafroku. Miała długie, ciemne włosy związane w niedbały kucyk i ślady wczorajszego tuszu rozmazane na policzkach. Uwagę przykuwały czerwone ślady (sińce?) na szyi. Wyglądała jak kompletne przeciwieństwo schludnego ogródka.

– Nie jestem zainteresowana, dziękuję.

Chciała zamknąć drzwi, ale Lorraine pokazała jej odznakę.

– Policja – powiedziała. To słowo działało jak wytrych. – Amanda Simkins? Jestem detektyw inspektor Lorraine Fisher, a to detektyw inspektor Adam Scott.

Kobieta wytrzeszczyła na nich oczy, które zlodowaciały jak ogród. Przełknęła ślinę.

– Czy możemy na słówko?

Nagle jakby życie w nią wstąpiło.

– Ależ oczywiście. Tak, to ja. Przepraszam, wejdźcie. Pewnie zmarzliście na kość. – Otworzyła szerzej drzwi i owinęła się szczelnie szlafrokiem. – Proszę mi wybaczyć ten strój. Źle się czuję.

– Przykro mi to słyszeć – powiedziała Lorraine. Zaproszono ich do pokoju dziennego z dwiema kremowymi sofami. Parkiet lśnił jak lustro. Lorraine miała obawy, że wybrudzi go buciorem. – Postaramy się nie zająć pani dużo czasu.

– Napiją się państwo kawy? – spytała Amanda.

Lorraine przyjęła propozycję, nim Adam zdążył zaproponować. Wzdrygnął się, ale nie powiedział ani słowa. Dzięki temu zostaną choć na chwilę sami.

Obejrzeni zdjęcia w ramach stojące na białym gzymsie kominka. Na jednym z nich stała spora grupa dzieci w nienaturalnych pozach, dwoje starszych, nastolatków, trzymało na rękach niemowlęta. Były tam maluchy, dzieci w wieku szkolnym oraz młodzież. Niektóre się uśmiechały, inne miały znudzone miny, a jedno ewidentnie chciało siusiu. Wnosząc z eleganckich ubrań, zdjęcie pstryknięto z okazji ślubu, chrztu lub innej uroczystości tego typu.

– Szczęśliwa rodzinka – skomentował z przekąsem Adam. Sięgnął po inną fotografię, przedstawiającą bobasa w fioletowych śpioszkach na tle obłoczków. – Ale kicz. – Kiedy dziewczynki skończyły podstawówkę, dali sobie spokój z corocznymi szkolnymi portretami pamiątkowymi. „Sami możemy zrobić”, uciał kiedyś Adam, ale nigdy nie podjął się tego aparatem cyfrowym, który Lorraine kupiła mu na

kolejne urodziny.

– Gotowe – powiedziała Amanda, powracając z tacą zastawioną kubkami. – Przyniosłam też cukier i mleko, gdybyście chcieli.

Lorraine poczęstowała się jednym i drugim, Adam nie skorzystał. Obrzucił kubek podejrzliwym spojrzeniem.

– No proszę – ciągnęła Amanda. – Nie przypuszczałam, że dwoje detektywów zaszczyci mnie o poranku. – Rozpuściła włosy, zasłaniając ślady na szyi. Lorraine zauważyła też, że musiała wytrzeć twarz, bo rozmazany tusz przestał być widoczny. – Mam nadzieję, że to nic poważnego.

Większość ludzi, pomyślała Lorraine, zapytałaby, o co chodzi, przed zrobieniem kawy.

– Przyszliśmy porozmawiać z panią o Sally-Ann Frith – zaczął Adam. Lorraine chciała na niego łypnąć, ale się powstrzymała. Mówił zaczepnym, oskarżycielskim tonem, nieodpowiednim dla Amandy. Lorraine zdążyła się zorientować, że mają do czynienia z kobietą, która lubi mieć wszystko pod kontrolą i ceni sobie bezwzględny posłuch. Całe jej otoczenie – schludnie podpięte zasłony, równo ułożone frędzle dywanika przy sztucznym kominku, ani śladu kurzu – świadczyło, że źle znosi chaos. Z drobnymi ustępstwami w kwestii własnej aparycji, przynajmniej dziś rano.

– Ach, Sally-Ann. – Amanda uśmiechnęła się z czułością. – Czy u niej wszystko w porządku? – Jej twarz zmarszczyła się z wolna w wyrazie troski. – Niedługo ma rodzić.

– Nie, obawiam się, że nie w porządku. – Lorraine ubiegła Adama, nieobliczalnego na kofeinowym haju. – Niestety mamy złe wieści. – Urwała. Czy Amanda naprawdę nie czytała gazet, nie oglądała telewizji? – Parę dni temu znaleziono ją martwą. Tak mi przykro. Myśleliśmy, że pani wie.

Amanda zbladła jak ściana. Lorraine nie spuszczała z niej wzroku w obawie, że zaraz będzie musiała ją cucić.

– O... mój... Boże – wyszeptała. Nagle krew uderzyła jej do twarzy i kobieta zaczęła szlochać. Resztki tuszu na rzęsach znów spłynęły na



policzki.

– Wiem, że to szok. Proszę się nie krępować – wtrącił Adam, o dziwo, wyrozumiale.

– Podobno chodziłyście razem do szkoły rodzenia – dodała Lorraine. – Byłyście przyjaciółkami?

Amanda przestała szlochać. Rękawem szlafroka wytarła twarz.

– Tak jakby – odrzekła zmienionym głosem. – Spędzałyśmy razem czas, przeważnie po zajęciach. Była... taka... wspaniała. Taki dobry człowiek. Jak to się stało? Była chora?

– Mieliśmy nadzieję, że pani pomoże nam to ustalić – powiedziała Lorraine. – Długo pani ją znała?

– Odkąd pojawiła się na zajęciach u Mary, jakieś pół roku temu. Ja chodziłam już od półtora roku. Od razu się polubiłyśmy.

Adam odchrząknął.

– Proszę się nie gniewać, ale po co chodzi pani do szkoły rodzenia, jeśli nie jest pani w ciąży?

– A skąd pan wie, że nie jestem? – burknęła Amanda. – Skąd pan to może wiedzieć?

– Przepraszam – wtrąciła Lorraine w imieniu Adama. – Po prostu odnieśliśmy wrażenie, że od dłuższego czasu uczęszcza pani na te zajęcia, nie będąc w...

– Szpiegowaliście mnie? Umarła kobieta, a wy bierzecie pod lupę mnie? – Amanda zaczęła dygotać. Przycisnęła rozcapierzoną dłoń do płaskiego brzucha.

– To rutynowa procedura. Musimy przesłuchać jak najwięcej osób, które znały Sally-Ann. Na pewno pani rozu...

– I co ja mam wam powiedzieć? – wypluła. – Że ją zabiłam? Rzekłabym, że to równie prawdopodobne, jak moja ciąża. – I z jej oczu popłynęły kolejne łzy.

Adam odstawił kubek. Oboje zauważyli, że Amandzie zmienił się akcent, lokując ją bliżej dzielnicy robotniczej niż eleganckiego osiedla, na którym się znajdowali.

– Przepraszam – wykrztusiła, wyjmując chusteczkę. – Ale ta

wiadomość mną wstrząsnęła.

– Ma pani kłopoty z zajściem w ciążę? – spytała Lorraine. A może to było stwierdzenie? W każdym razie nie brzmiało zbyt taktownie.

– Tak. – Amanda wydmuchała nos. Zmięła chustkę i podniosła wzrok. – Ma pani dzieci?

Lorraine zatańczyło w żołądku, jak ostatnio zawsze na myśl o błyskotliwych planach Grace.

– Dwoje.

– A pan? – Amanda spojrzała wyczekująco na Adama.

– Też dwoje.

– To macie szczęście. Nie wiecie, jakie to uczucie tak pragnąć dziecka, jakby dusza was paliła żywym ogniem, jakbyście nosili w sobie dziurę. Właśnie tak boli serce. – Nastąpiła chwila ciszy, podczas której Amanda Simkins zdawała się czerpać z pokładów siły i rezygnacji. Najwyraźniej oswoiła się z tym uczuciem i trwała kurczowo uczepiona nadziei.

– Czy Sally-Ann kiedykolwiek wspomniała o kimś, kto mógł chcieć ją skrzywdzić? Miała wrogów?

Amanda długo się zastanawiała. Wywróciła oczy w stronę sufitu, następnie powiodła nimi po pastelowych ścianach do kominka, przez wypolerowany stolik i lśniącą podłogę, by ostatecznie znów spojrzeć na kolana, gdzie nerwowo splatała i rozplatała palce.

– Jeśli ktoś miałby kogoś zabijać, stawiałabym na Liama przeciwko Russowi albo nawet... – Ucichła. – Słyszeliście o nich? – spytała z nagłym ożywieniem, jakby powierzono jej wielką tajemnicę. – Sally-Ann mi się zwierzyła.

– Proszę mówić dalej – zachęciła Lorraine. Robiła notatki.

– Russ zawsze kochał Sally-Ann. Dziwak z niego, owszem, ale ma serce po właściwej stronie. On i Sally-Ann chodzili razem do szkoły; to była młodzińska miłość, rozstawali się i schodzili. Wielokrotnie próbowała go splawić. Przyczepił się, mówiła.

– A Liam? – ponaglił Adam. Stawało się jasne, że Amanda należała do ludzi, którzy lubowali się w cudzych problemach, aby nie myśleć o

własnych. Jak to określiła ją Mary Knowles? „Pijawka”.

– Był jej nauczycielem w college’u – podjęła. – Przeżyli ognisty romans. Potajemne spotkania w parku późnym wieczorem, weekendowe „konferencje”, prezenty. Sally-Ann zadzwoniła do mnie kiedyś z pensjonatu, w którym nocowali. Tylko ryba z frytkami i seks, powiedziała. Nic dziwnego, że wpadła.

Jak śliwka w kompot, uzupełniła w duchu Lorraine. Jak niewiele miało to wspólnego z powołaniem do życia ludzkiej istoty.

– W każdym razie Russ był chory z zazdrości. Ale potem dowiedział się czegoś o Liamie i bomba wybuchła.

– Tak? – Lorraine poczuła się nagle, jakby trafiła w sam środek opery mydlanej.

– Podobno – zaczęła konspiracyjnie Amanda – Liam miał równocześnie romans z inną kobietą. Russ opowiedział wszystko Sally-Ann. Strasznie się wściekła i zagroziła, że pójdzie do żony Liama.

– Czy pani wie, kim była tamta druga kochanka? – zapytała z niedowierzaniem Lorraine.

– Wiem, że prowadziła raz zajęcia w college’u. Warsztat projektowania biżuterii czy coś w tym stylu. – Amanda wydmuchwała nos. – Sally-Ann była wdzięczna Russowi, że ostrzegł ją przed Liamem. Dziwne, że sama się nie połąpała.

Lorraine wszystko sobie zapisała.

– Ale bałagan – powiedziała z westchnieniem, które Adam znał na wylot.

Amanda nagle się załamała. Łzy kapały jej z oczu na kolana, kuliła głowę w ramionach. Wiadomość jeszcze w pełni do niej nie dotarła.

– Mamy do kogoś zadzwonić, żeby przyjechał i z panią posiedział? – zaproponowała Lorraine. – Do przyjaciółki na przykład?

Amanda poderwała głowę, ale na jej twarzy nie malował się wyraz smutku, tylko pogardy. Zmarszczyła brwi i zacisnęła usta w wąską kreskę. Ale to jej oczy wstrząsnęły Lorraine najbardziej. W życiu nie widziała równie jadowitego spojrzenia.

– Moja jedyna przyjaciółka jest martwa.

## Rozdział 20

Spiętrzony na biurku stos czeka, aby uwolnić mnie od myśli o Jamesie. Gdy wreszcie docieram do pracy, dużo później, niż zamierzałam, czuję, jakby ktoś mnie wydrążył, pozostawiając tylko pustkę wypełnioną smutkiem. Wykończona wieszam płaszcz, po czym idę prosto do łazienki.

– Cześć. – Tina nie podnosi oczu znad komputera. Stuka jak szalona, pewnie aktualizuje kartotekę. – Myślałam, że nie przyjdiesz. Wszystko gra? – Wiem, że ma dobre chęci, ale jest tak pochłonięta pracą, że pytanie brzmi dość obojętnie.

– No... – odpowiada z roztargnieniem Mark, który nie zauważył mojego przybycia. – Słyszysz, jak mi w brzuchu burczy? Już zdążyłem zapomnieć o lunchu. – Powoli dobiera słowa, skupiony na segregatorze, który właśnie przegląda. – Znowu konam z głodu.

– Przyszła Claudia, głupku – mówi do niego Tina. – Mówiłam do niej.

Mark podnosi głowę.

– O, cześć – rzuca przytomniejszym tonem. – Jak się masz?

Kiwam głową.

– Przepraszam za spóźnienie. Mam kiepski dzień. – Skubię paznokcie i wysilam się na uśmiech.

Przerabialiśmy to mnóstwo razy. Później, jeśli starczy czasu, zjemy pączki i pożartujemy o syrenach, egzotycznych plażach i o tym, że James na pewno bawi się świetnie z dala od rodziny. Tradycyjnie zapytają, czemu nie rzucę pracy i nie zostanę pełnoetatową żoną marynarza, skoro mam ku temu predyspozycje. Mogłabym parę razy w tygodniu jadać obiad z przyjaciółkami z klubu tenisowego, do którego

nie omieszkałabym wstąpić, i popijałabym na siłowni świeżo wyciśnięty sok owocowy po sesji z osobistym trenerem. Brałabym lekcje florystyki i malowania akwarelami oraz wydawałabym przyjęcia, o których rozmawiano by miesiącami, a na ścianach w moim domu zawisłyby dzieła wschodzących artystów, gdyż zapraszano by mnie na wszystkie liczące się londyńskie wystawy.

– James wyjechał dziś rano – uzupełniam, a oni pocieszają mnie krzepiącymi minami oraz kubkiem herbaty.

Siadam przy biurku, ale zamiast skupić się na pracy, myślę o rozmowie, która czeka mnie z Zoe. Sądząc po tym, jak wybiegła z domu i trzasnęła drzwiami, chyba wyprowadziłam ją z równowagi. Nie mam pojęcia, dokąd pobiegła. Czy usiądziemy w milczeniu przed telewizorem, zapytując nieśmiało, co druga chce oglądać, czy jej ciepło, czy jutro spadnie śnieg lub czy napiłaby się czegoś? Czy może będziemy pleść jak nakręcone o facetach, o jej tajemniczej przeszłości i nieudanym związku, o naszych ulubionych książkach i filmach, nadziejach i marzeniach? Nade wszystko potrzebuję dzisiaj towarzystwa, ludzkiego ciepła i pociechy. Zaczynam się zastanawiać, czy zatrudniłam Zoe do chłopców, czy przypadkiem do siebie.

Włączam komputer i nie mogę powstrzymać jęku. Chwila nieobecności i skrzynka odbiorcza pęka w szwach. Ostatni mejl oznaczono jako pilny; za dziesięć dni mam stawić się w sądzie jako świadek. Pobieźnie czytam treść. Czuję przyływ mdłości. To ostatni dzień szkoły rodzenia, jeśli jeszcze będę w ciąży. Nie chciałabym opuścić zajęć.

Klikam następną wiadomość.

– O Jezu – mówię głośno. – Mark, widziałeś link do artykułu o Fletcherach? – Mark figuruje jako drugi z odbiorców.

– Od dziesięciu minut nie sprawdzałem poczty. – Włącza, czyta i blednie.

Wiemy, że to nieodłączny aspekt naszej pracy, ale bierzemy go osobiście. To cios wymierzony w nasz dział, w nas, w osoby odpowiedzialne za tych, którzy mimo starań przeciekli nam przez palce.

– Co za koszmar – dodaję. Jedna porażka przekreśla tysiąc udanych interwencji, z chwilą gdy gazety wezmą ją na żer.

– To nie nasza wina – oponuje Mark. – Nie mieliśmy podstaw, żeby go zabrać. – I dorzuca, że wiedział, co się święci, tylko wolał mi nic nie mówić. Czy myśli, że kiedy urodzę dziecko, będzie mi łatwiej?

– Piszą, że daliśmy go zagłodzić na śmierć – czytam na znak, że oswoiłam się z czymś takim. W rzeczywistości jest inaczej. Wracam myślami do tamtej sprawy. Nie zajmowałam się nią, chociaż widziałam go raz, kiedy poproszono mnie o konsultacje. Nie zgłosiłam powodów do obaw. Pamiętam plamy po zupce na jego ubraniu, zarumienione, spierzchnięte policzki – był pulchny i przybierał na wadze, do cholery. Wyglądało na to, że nastoletnia matka dobrze sobie radzi i ma wsparcie bliskich osób – mama, ciotka, partner – wszyscy garnęli się do pomocy. – Zawiedliśmy go – szepczę.

Nie ma lekko.

Zapada cisza, gdy wszyscy wracamy do pracy i chowamy los dziecka do przegródki zarezerwowanej na takie tragedie. Ciekawe, co będzie, kiedy się zapełni. Co się stanie, gdy zabraknie miejsca dla głodujących dzieci, autodestrukcyjnych nastolatków i zapijaczonych rodziców? Przed oczami staje mi wykafelkowany na biało szpital psychiatryczny, niekończąca się terapia i stos tabletek. Ależ jestem samolubna – niedorzeczna – a nie o to chodzi w tej pracy. Przymykam oczy, lecz osoba w kaftanie bezpieczeństwa to ja.

– Mam spotkanie z Mirandą. – Przywołuję się do porządku. – Ktoś jeszcze ma do niej sprawę?

Pytanie zawisa w gęstej atmosferze dusznego pomieszczenia. Z małego elektrycznego piecyka w rogu bucha suchy żar. Marzniemy bez niego, lecz włączony zdaje się wysysać z nas całą energię. Mark odkrył miesiąc temu, że popsuł się termostat centralnego ogrzewania, a ja nie mam serca poprosić o naprawę, kiedy nie ma funduszy na tyle ważniejszych spraw.

– Pojadę z tobą – ofiarowuje się Tina.

Myśli, że nie widzę spojrzenia, które wymienia z Markiem, ale

owszem. Mark w odpowiedzi lekko kiwa głową. Uśmiecham się w duchu. Miło, że tak o mnie dbają.

– Świetnie – odpowiadam, ucieszona z towarzystwa. – Wychodzimy za dwadzieścia minut. Jak starczy czasu, kupimy po drodze górę pączków.

Jestem nieskończenie wdzięczna za ich troskę, za słodkości, które pochłoniemy razem, za niezliczone kubki herbaty, które stawiają mi na biurku, za to, jak Mark pomaga mi wysiąść z samochodu na oblodzonym chodniku, i za to, że zawsze są gotowi mnie wyręczyć. Ciężko to przyznać, ale wiem, że zapowiada się najtrudniejszy okres w moim życiu.

– Jak tam Mary Poppins? – pyta Tina.

Jedziemy jej samochodem. Od razu widać, że nie ma dzieci: pod nogami nie walają się papierki po cukierkach, komiksy i zepsute zabawki, a tapicerka nie nosi śladów po czekoladzie i gumie do żucia. Nie to co wymiociny na naszej. Nagle nie mieści mi się w głowie, że w ogóle jeżdżę rodzinnym samochodem, bezpiecznym dla dzieci, które nie są moje, z miejscem na niemowlęcy fotelik. I znów ogarnia mnie strach na myśl o odpowiedzialności, którą na siebie wzięłam.

– Wydaje się w porządku – odpowiadam. „W porządku”, myślę ze wstydem. Tylko tyle masz do powiedzenia o kobiecie, która zamieszkała w twoim domu? – Powiedziałam „w porządku” – dodaję świadoma, że do mojego głosu wkradł się lęk – ale, no wiesz, na razie trudno cokolwiek przesądzać. – Przetykam ślinę.

– Trochę dziwnie mieszkać z jakąś studentką, nie? – Tina ostro hamuje na czerwonym. Rzuca mnie do przodu. Pas ciasno opina mój brzuch. – Nic ci nie jest?

– Nie. – Zsuwam pas z brzucha. – Właściwie nie jest studentką. Ma trzydzieści trzy lata i duże doświadczenie. Odbyła nawet kurs Montessori. Weźmie Noaha w obroty – mówię ze śmiechem. Noah, mój mały urwis.

– Bardzo się cieszę, Claudio – uzupełnia Tina, kiedy zajeżdżamy pod ośrodek medyczny Willow Park. Jakieś wyrostki zamazały ostatni człon

nazwy i zastąpiły go brzydkim wyrazem. Tina chichocze pod nosem.

– Dzieciaki nie mają nic do roboty – kwituję po drodze.

Poczekalnia jest pusta, nie licząc kobiety z zawodzącym dzieckiem. Śmierdzi tu chorobą i przygnębieniem. Kierujemy się prosto do biura Mirandy.

– To straszne, prawda? Potworne. Nie mogę w to uwierzyć. – W pierwszej chwili myślę, że Miranda mówi o zdewastowanym szyldzie na zewnątrz, ale potem mój wzrok pada na rozłożoną gazetę ze zdjęciem uśmiechniętej kobiety, opatrzonym nagłówkiem: „Policja bada zabójstwo ciężarnej kobiety”. Na mój widok składa gazetę. Przechodzi mnie dreszcz, bezwiednie opasuję brzuch rękami. Staram się tego nie okazywać, lecz wzmianki o tej sprawie szarpią mi nerwy.

– No – mówi Tina. – Mama Diane zna jej mamę i... – Nie kończy.

– Wiedzą już, co się stało? – pytam.

Miranda z westchnieniem potrząsa głową.

– Nie wydaje mi się. Policja przesłuchiwała ostatnio lekarza Sally-Ann. Zabrali jej kartę. – Znowu wzdycha. – Czy któraś z was słyszała ostatnie wiadomości w radiu? – pyta z wahaniem. Marszczymy brwi i potrząsamy głowami. Nie włączaliśmy w samochodzie. – Wygląda na to, że była powtórka. – Robi minę i znacząco stuka w gazetę.

– Kolejne morderstwo? – pytam wstrząśnięta.

Miranda kiwa głową.

– Podobno znowu ciężarna. Nie podali nazwiska ani żadnych szczegółów. To była wiadomość z ostatniej chwili. – Włącza czajnik i wrzuca do kubków torebki herbaty. – Paskudna sprawa.

Czuję na sobie ich spojrzenia, jakby godziły się z faktem, że następnym razem padnie na mnie.

– Po prostu straszna. – Nie próbuję ukryć drżenia w głosie.

Miranda idzie po mleko do przenośnej lodówki i po drodze krzepiąco ściska moje ramię. Jej wykrochmalony, granatowy fartuch zdaje się fruwać po pokoju jakby sam z siebie, jakby nie rządziło nim ludzkie ciało. Gdyby wróbel był człowiekiem, wyglądałby jak Miranda.

– Słyszałam, że to sprawka kochanka Sally-Ann – mówi Tina z miną



znawczyni tabletołów. Wbijają zęby w różowy wafelek. – Może teraz było tak samo.

– W wiadomościach mówili, że zabrano ją do szpitala, więc może żyje.

Miranda rozdaje kubki z herbatą.

– No, ja na pewno nie wyjdę sama po zmroku – oznajmia bez sensu Tina. – I ty też nie powinnaś. – Celuje we mnie palcem.

– Nie będę – mówię cicho i żałuję, że Jamesa nie ma w domu.

Wkrótce przechodzimy do spraw służbowych i przeglądamy kartę sześciolatka, u którego nauczyciel zauważył siniaki na ramionach i plecach. Jest też sprawa Jimmiego i Annie, bliźniąt zaniedbywanych przez matkę. Tina i Miranda omawiają kwestie zaniedbania, opieki i odżywiania, jakby chodziło o rzeczy, które można kupić. A co ze mną, myślę, wyłączając się z rozmowy. Co z moim instynktem rodzicielskim? Skąd wiedzą, że będę dobrą matką? Czy będę należycie kochać moją córeczkę i o nią dbać? Czy zaspokoję wszystkie jej potrzeby? A jeśli sama miłość nie wystarczy? Wpadam w panikę.

– Claudio? – słyszę jak zza mgły głos Tiny. – Co o tym myślisz?

– Przepraszam – mówię. Przecieram ręką spoconą twarz. Nagle czuję się wykończona. – Przepraszam. – Spuszczam głowę. Nie dotarło do mnie ani jedno słowo z ich rozmowy.

– Nie powinno cię tu być – mówi ze współczuciem Miranda. – W którym ty jesteś tygodniu, trzydziestym ósmym, dziewiątym?

– Naprawdę nie powinno – dodaje jak echo Tina.

– Nic mi nie jest. Ja tylko... – Sama nie wiem co, więc nie kończę. Wiem tylko, że chciałabym znaleźć się w domu, w bezpiecznych czterech ścianach, z Jamesem i chłopcami. A kiedy myślę o Zoe krzątającej się po kuchni w długim, workowatym swetrze, nie rozumiem, co mnie w niej niepokoi, skoro okazuje mojej rodzinie tyle serca. – Chyba wezmę wolne na resztę dnia.

Gdy wstaję, kręci mi się w głowie. Tina podnosi się i podtrzymuje mnie za łokieć. Doceniam jej troskę.

– Czy możemy to przełożyć na jutro, Mirando? Odwiozę cię do

domu, Claudio.

Ale widzę po minie Mirandy, że to niemożliwe. Nie poprosimy rodziców, aby poczekał z zaniepokojeniem swoich dzieci do czasu, aż poczuje się lepiej.

– Nie trzeba. Zadzwoń po kogoś. – Wyciągam telefon z torebki. – Serio, dam sobie radę. Tina przekaże mi wszystko z samego rana. – Wychodzę z dusznego biura Mirandy, zanim wciągnie mnie z powrotem.

Na parkingu przysiadam w półmroku na niskim murku i przeglądam listę kontaktów. Serce bije mi mocniej, kiedy wybieram dom, a potem łomocze, gdy ona odbiera. Na szczęście już przyprowadziła chłopców.

*Położysz mnie spać, pogłaszysz po głowie, szepniesz, że wszystko będzie dobrze?*

– Zoe – mówię możliwie pogodnym głosem. – To ja. Czy możesz coś dla mnie zrobić?

## Rozdział 21

Błyskawicznie odkładam wszystko na swoje miejsce. Zamykam drzwi gabinetu na klucz, nakłaniam chłopców do włożenia kurtek i butów, a następnie zapędzam ich do wielkiego samochodu Jamesa i wyjeżdżam w półmrok ulicy. Jakieś auto miga na mnie światłami i zmieniając bieg, uświadamiam sobie, że nie włączyłam reflektorów.

– Chcę do tatusia – mówi Oscar, pewnie dlatego, że w samochodzie pachnie wodą kolońską ojca, a na siedzeniu między chłopcami leżą jego szalik i czapka.

– Hm, jest pod wodą – odpowiadam, co brzmi trochę gruboskórnie, chociaż wcale nie taka była moja intencja. – W łodzi podwodnej – dodaje.

Chcę, żeby mnie jak najdłużej lubili. Z chwilą gdy dostanę to, po co przyszedłam, nieważne, co o mnie pomyślą, przy czym zdaje mi się, że moja krótka obecność w ich życiu nie pozostawi trwałego urazu. To nie ich wina, że ojciec odziedziczył tyle pieniędzy – choć ustalenie szczegółów okazało się trudne – a matka jest w zaawansowanej ciąży. Powiedzmy, że zawiniły okoliczności.

– Jest w pracy, głupku – wtrąca złośliwie Noah i piszczy, kiedy dostaje od brata sójkę w bok.

Akcja na tylnym siedzeniu robi się gorąca, ale muszę uważać na drogę. Prosto na pierwszych trzech rondach, a potem w lewo na światłach, powiedziała. Mam niezłą orientację w terenie i bez problemu znajduję klinikę, przed którą się umówiliśmy. Miała dziwny głos. Modłę się, żeby nie zaczęła rodzić, to byłaby klęska. Wszystko musi się odbyć zgodnie z planem, a ja nie mam czasu do stracenia.

W pierwszej chwili jej nie zauważam, jakby szary płaszcz i poblądła

twarz wtopiły się w zimowy krajobraz. Gdyby nie brzuch, pewnie bym ją przegapiła. Zajeżdżam na parking i gaszę silnik. Claudia stoi jak zaczarowana.

– Zaczekajcie tutaj – przykazuję chłopcom. Noah znalazł w kieszeni paczkę cukierków i podgrzewa atmosferę, jedząc sam. – Podziel się z bratem – rzucam, nie odrywając wzroku od ich matki.

Zatrząskuję drzwi i podchodzę do niej.

– Dobrze się czujesz, Claudio? Czy z dzieckiem wszystko w porządku?

Powoli unosi głowę. Ma łzy w oczach.

– Dzięki, że przyjechałaś – mówi.

– Powiedz tylko, czy z dzieckiem w porządku.

– Tak – potwierdza, a ja wypuszczam powietrze, które odruchowo wstrzymywałam. – Po prostu nagle zrobiłam się bardzo zmęczona. Jestem do niczego.

– Jedźmy do domu. – Biorę ją pod ramię i prowadzę do samochodu. Kłótnia chłopców rozgorzała na dobre; widzę znękaną twarz Claudii, gdy podciąga się na fotel pasażera. – Cicho tam – mówię możliwie jak najspokojniej. – I o co tyle hałasu? Co powiecie na to, żebyśmy po powrocie do domu skoczyli do sklepu? Będziecie mogli sobie coś wybrać. Może komiks dla każdego, hm? – Włączam silnik i widzę, że rysy Claudii łagodnieją. – Mamusia musi się położyć. Wasza siostrzyczka trochę ją męczy. – Powstrzymuję się, żeby nie pogłaskać jej po brzuchu i na wszelki wypadek mocniej zaciskam ręce na kierownicy.

Rowerzysta pojawia się znikąd. Wszystko dzieje się błyskawicznie – błysk jego jaskrawej kurtki, zgroza na twarzy, kiedy widzi, że jadę prosto na niego, panika, gdy próbuje skręcić. Wciskam hamulec do dechy i mijam go o włos. Claudia ze świstem wypuszcza oddech.

Potem słychać ogłuszający huk i gwałtowne szarpnięcie, gdy z tyłu uderza w nas samochód.

Claudia leci naprzód w zwolnionym tempie, chociaż wszystko dzieje się w ułamku sekundy.

– Matko święta!

Chłopcy wrzeszczą i płaczą, ale Claudia milczy. Jej głowa odbija się od deski rozdzielczej i leci w bok. Nie zapięła pasa.

– Jezu, Claudia, nic ci nie jest? Odezwij się! – Odpinam swój pas i pochylam się nad nią.

Ktoś wali w szybę po mojej stronie. *Ty durna babo...*

Ręce Claudii powoli opasują brzuch.

– Nic mi nie jest – mówi słabo. Jest śmiertelnie blada. – Wszystko w porządku. Naprawdę.

– Tak strasznie cię przepraszam, Claudio. – W pierwszym odruchu nie martwię się o bezpieczeństwo dziecka, tylko że mnie wyleje. Kto pozwoli na to, żeby tak marny kierowca woził jego dzieci? – Nie mogę w to uwierzyć. Ten rower... wyjechał jak spod ziemi i nie mogłam... – Bliźniaki dalej zawodzą wniebogłosy.

Ktoś otwiera moje drzwi.

– Co ty sobie wyobrażałaś, kretynko?! – wrzeszczy. Rozgląda się po samochodzie. – Wszyscy są cali? – pyta na widok dzieci i wielkiego brzucha Claudii.

– Nie, nie są! – burczę. – Sam jesteś kretynem, bo w nas wjechałeś! Rowerzysta mi wyskoczył. – Nagle widzę krew. – O Boże, Claudio, jesteś ranna. – Odruchowo dotykam małego skaleczenia na jej czole. Krew rozmazuje się na palcu jak sok z jagód.

Claudia się wzdryga.

– To nic – mówi. – Mogłam zapiąć pas, ale ostatnio zrobił się niewygodny.

– Muszę cię zawieźć do szpitala – postanawiam, nagle przerażona, że przedwcześnie wywołałam poród. Ale to grozi poważnymi konsekwencjami. Co, jeśli ją zatrzymają, zawiozą na porodówkę, zawiadomią policję o spowodowaniu wypadku?

Odwraca się w moją stronę. Po drodze zerka na tamtego kierowcę i kieruje wzrok na mnie. W jej oczach nie ma dezaprobaty.

– Nie bądź niemądra. Przecież nic się nie stało.

– Musisz jechać na obserwację i koniec – nalegam, jak każdy normalny człowiek na moim miejscu. Odwracam się z powrotem do

kierowcy. Zapisuje coś w notesie.

– Bardzo przepraszam – mówi. – Nie spodziewałem się, że tak ostro zahamujecie. Na waszym samochodzie prawie nie ma śladu. – Daje mi znak, żebym wysiadła i spojrzęła. Spowodowaliśmy korek, inni muszą nas wymijać.

– Wezwać policję?! – słyszę czyjś okrzyk. Serce łomocze mi w piersi.

– Nie trzeba! – odkrzykuje kierowca. – Zostawiam swoje dane, na wszelki wypadek – dorzuca pod moim adresem i wyrzywa kartkę. – Widzi pani? Mała ryska na zderzaku. Czołg, nie auto. – Szczerzy zęby; chce zatuszować złe wrażenie. Ciężarna i dwoje dzieci w samochodzie to nie przelewki. Sam ma wgnieciony zderzak i potłuczone reflektory, ale najwyraźniej chce uniknąć zamieszania.

– Dzięki – mówię i patrzę, jak spisuje numer rejestracyjny Jamesa.

– Jak pani się nazywa? – pyta. Zauważam obrączkę na jego palcu. Ma silne, opalone ręce, ręce robotnika.

– Na... zyvam? – Znów skacze mi ciśnienie. – Zoe Harper – odpowiadam z wahaniem, widząc oczami wyobraźni, jak policja sprawdza setki kobiet o tym nazwisku i żadna nie jest mną. – Zgłosi pan wypadek na policję lub firmie ubezpieczeniowej?

– To chyba zbyteczne, nie uważa pani? – Z zadowoleniem ponownie zagląda do samochodu.

– Owszem. – Trochę się uspokajam. – Na nas już czas.

Wracam do samochodu. Claudia wciąż jest szara na twarzy.

– Naprawdę powinnam zabrać cię do szpitala – rzucam bez przekonania. – Możliwe, że trzeba założyć szwy. – Ranka na czole przestała krwawić i zakrzepła na kształt półksiężyca. Chłopcy ucichli na tylnym siedzeniu. Chwała Bogu, że zapięłam im pasy.

– Zabierz mnie do domu, Zoe – szepcze i rzuca mi błagalne spojrzenie. – Jestem taka zmęczona.

– To może być skutek wstrząśnienia mózgu – ostrzegam.

– Nie jadę do szpitala. Rozumiesz? – Uparła się i koniec. – Nie mam nastroju na przesiadywanie w izbie przyjęć i składanie zeznań, jeśli lekarz uzna za stosowne wezwać policję. Chcę jechać do domu i

odpocząć. Proszę. – Jej drżący głos i błaganie każą mi włączyć silnik.

– Niech ci będzie – mówię z ulgą. – Ale jeśli źle się poczujesz, masz mi zaraz powiedzieć. – Jeżeli zaczniesz rodzić, nie będzie chwili do stracenia.

– Słowo – przyrzeka, i kiedy wrzucam jedynekę, przelotnie muska palcami moją dłoń.

## Rozdział 22

Masz z nią porozmawiać – oznajmił Adam. – Jak kobieta z kobietą.

On mówi poważnie, pomyślała Lorraine, tłumiąc śmiech.

– Serio myślisz, że tak łatwo okiełznać nastoletnią buntowniczkę? – Jeśli uważa, że matka z córką usiądą przy stole i wszystko sobie wyjaśnią, może niech od razu poprowadzą razem dochodzenie?

Adam wzruszył ramionami na dowód, że wie, jak prostacka i wykrętna była jego sugestia.

Lorraine patrzyła, jak mąż próbuje ogarnąć panujący na biurku bałagan. Wyglądało tak, jakby traktowali je jak wysypisko, bo piętrzyły się tu stosy raportów z obu spraw.

– Co myślisz o zeznaniu Amandy Simkins, że Liam Rider miał drugi romans? – spytała, chcąc odsunąć perspektywę rozmowy z Grace. – Warto pójść tym tropem?

– Oczywiście – odparł chłodno Adam. Zmierzył sobie włosy. – Może się tym zajmiesz? – Nie wiedziała, czemu sili się na taką nonszalancję.

Lorraine kiwnęła głową.

– Słuchaj, masz rację *à propos* rozmowy z Grace. – Utkwił w niej nieruchome spojrzenie. – Ale to zadanie dla nas obojga.

Westchnął i podwinął rękawy koszuli. Lorraine wiedziała, że zaraz narzuci kurtkę – skórzaną i całkiem znoszoną, którą kupił wieki temu – po czym sięgnie po kluczyki i wymyśli jakąś bajeczkę o pilnym spotkaniu. Byle uniknąć konfrontacji z niesforną starszą córką. Byle uniknąć konfrontacji ze sprawami osobistymi.

Lorraine zaczerpnęła tchu.

– Pamiętasz, jak wtedy powiedziałam, że nie chcę znać szczegółów?



– Nie wierzyła, że przeszło jej to przez gardło. Aż jej się zrobiło słabo.

Adam zamarł z jedną ręką w rękawie kurtki. Nie odwrócił się, jakby czuł, co będzie dalej.

– No więc zmieniałam zdanie. Chcę wiedzieć wszystko. Kim jest. Co robi. Gdzie się spotkaliście. Jak to się odbyło. – Przełknęła ślinę. – I gdzie. I jak często. – Nie miała nawet pojęcia, na ile to było poważne. Czy rzeczywiście chodziło o jedną noc, czy może o coś głębszego, istotniejszego?

Nastała cisza. Luka iskrząca niewypowiedzianą urazą. Czy faktycznie na tym jej zależało?

Westchnęła.

– Prędzej czy później musimy się z tym zmierzyć, Adamie.

Od razu jakby oprzytomniał. Narzucił kurtkę, porwał kluczyki i znowu zastygł.

– Musimy porozmawiać z opiekunką społeczną Carli Davis – podjęła Lorraine, jak gdyby nic się nie stało.

– Niech Barrett albo Ainsley się tym zajmą – padła sucha odpowiedź.

– Nie trzeba – ucięła ściszym głosem. – Ja to zrobię.

Adam zerknął na zegarek i zmarszczył brwi. Wiedziała, co sobie myśli. Wyraził już swoje zdanie: Lorraine ma poczekać w domu, aż Grace wróci ze szkoły – zakładając, że to w ogóle nastąpi. Miał nadzieję, że wyjaśnią tę bzdurę ze ślubem do jego powrotu. Oboje wiedzieli, że sprawa wymaga natychmiastowej interwencji, przy czym on sam umywał ręce.

– Dostałam wiadomość od Grace – dodała Lorraine w oczekiwaniu na jego reakcję. – Ma mecz koszykówki, będzie po siódmej.

– Przynajmniej wygląda na to, że wróci – odparł z miną, która odzwierciedlała jego rozdrażnienie sytuacją. Lorraine odebrała ją jako wyrzut, że nie wychowała córki lepiej, tak jakby to była tylko jej wina.

Zgasił światło, nie czekając, aż ona wyjdzie z pokoju.

Na szczęście złapała ich, zanim skończyli pracę. Strażnik z ociąganiem wpuścił ją do budynku i odprowadził wzrokiem, kiedy

znikała w szarych trzewiach posępnego korytarza. Opieka społeczna miała drzwi zamykane na klucz magnetyczny, ale ktoś podparł je śmietnikiem i Lorraine swobodnie weszła do środka. Znalazła się w kolejnej recepcji – choć nie wyglądało na to, by podejmowano tu gości – i na dźwięk głosów dochodzących z jednego z pomieszczeń skierowała się prosto w tamtą stronę.

– Dzień dobry, drzwi były otwarte – rzuciła, by zwrócić ich uwagę. Kobieta i mężczyzna, oboje na oko po trzydziestce, trajkotali, przesuwając kartony z dokumentami. Biuro wyglądało, jakby przeszedł przez nie huragan albo właśnie odbywała się przeprowadzka. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. – Lorraine przedstawiła się i machnęła odznaką.

– Przepraszamy za bałagan. Zwykle tak tu nie wygląda. – Kobieta trzymała w ustach herbatnik, ale wyjęła go, żeby się przywitać. Na szyi miała długachny szal robiony na drutach; oboje byli ubrani w płaszcze, ona fioletowy, on z szarego tweedu. Wyglądali na zmęczonych, ale zdeterminowanych. Jeśli chcieli wynieść wszystkie kartony ustawione przy biurkach, czekało ich jeszcze kilka ładnych godzin roboty. – Kursujemy między biurem a archiwum. Dlatego zostawiliśmy otwarte drzwi. I dlatego mamy na sobie płaszcze – dodała. – Można tam zamarznąć.

– Coroczne porządki – dodał tonem wyjaśnienia mężczyzna. – A ręk do pomocy jak na lekarstwo. – Odchrząknął. Był blady, gładko ogolony i robił wrażenie delikatnego. Lorraine przyszło do głowy, że koleżanka odwała za niego większość roboty. – W czym możemy pomóc?

– Przyszłam w sprawie Carli Davis. Zdaje się, że to jedna z waszych podopiecznych. – Lorraine okrasiała wypowiedź uśmiechem. Życzliwość nie boli.

Tamci wymienili spojrzenia.

– Nazywam się Mark Dunn – rzucił oficjalnie mężczyzna. – Pracownik socjalny, wydział dziecięcy. – Urwał niepewny, na ile może uchylić rąbka tajemnicy służbowej w obecności pani detektyw.

– Czy u niej wszystko w porządku? – spytała kobieta, utwierdzając

Lorraine w przekonaniu, że trafiła we właściwe miejsce. – *Á propos*, ja jestem Tina Kent. Opiekunka społeczna *vel* specjalistka od przeprowadzek. – Uśmiechnęła się sympatycznie.

– Niestety, dziś rano została zaatakowana. Dlatego tu jestem. – Na widok wstrząśniętych min obojga wskazała im krzesła. Natychmiast usiedli, a Lorraine przycupnęła na brzegu biurka.

– Czy ona...? – spytała z wahaniem Tina.

– Cudem uszła z życiem. Niestety, jej dziecko miało mniej szczęścia.

– O mój Boże. – Tina przycisnęła rękę do ust. Mark z westchnieniem ukrył twarz w dłoniach.

– Napadnięto ją w mieszkaniu. Jej koleżanka podniosła alarm. Carla zawdzięcza jej życie.

– Jezu – powiedział Mark. – Ostatnio jej nie widzieliśmy, bo jakiś czas temu skończyła osiemnaście lat. – Lorraine wyczuła, że pod takim pretekstem opieka społeczna taktownie umywa ręce. – Była jedną z naszych podopiecznych. Zaliczyła kilka rodzin zastępczych.

– Ale znowu zaczęły się problemy, Mark. Parę miesięcy temu. – Tina mówiła ściszym tonem, jakby przekazywała koleżdze poufną informację. – Kiedy zaszła w ciążę – dodała niemal bezgłośnie.

– Zakładam, że biorąc pod uwagę przeszłość Carli, jej nienarodzone dziecko byłoby dla was priorytetem – powiedziała Lorraine.

Tina pokiwała głową, wciąż poruszona wiadomością.

– Tak, jej tryb życia niekoniecznie sprzyjał macierzyństwu. Próbowaliśmy ją przygotować. W razie niepowodzenia musielibyśmy interweniować. – Tina zaczęła się pocić. Zdjęła z szyi gruby szalik. Poczzerwieniła i przeczesła włosy palcami. – Przez lata każde z nas miało z nią do czynienia. – Zadrzał jej głos.

– Ostatnio ty się nią zajmowałaś albo Claudia, prawda? – wtrącił Mark.

– Ja. Przydzielono mi Carłę, gdy jej lekarz rodzinny poinformował nas o ciąży – wypaliła Tina, jakby to ona wszystkiemu zawiniła. Była na skraju łez. – Ale poznałam ją, kiedy miała osiem lat. Właśnie zaczynałam pracę, była jedną z moich pierwszych spraw. Nie miała

lekką w domu. Wybaczą na chwilę. Przepraszam. – Tina wyrwała garść chustek z pudełka na biurku i skierowała się do drzwi, po czym nerwy jej puściły i w pośpiechu opuściła pokój. Z korytarza dobiegło echo kroków, zagłuszane jeszcze głośniejszym szlochem, kiedy pędziła do łazienki.

– Ciężki tydzień – wyjaśnił Mark.

– Wspomnieliście, że Carlą zajmowała się też niejaka Claudia. Muszę porozmawiać ze wszystkimi osobami zaangażowanymi w sprawę. Trzeba ustalić, kogo Carla znała, z kim się przyjaźniła, co robiła ze swoim czasem. Tego typu rzeczy. Nie chcemy czegoś przeoczyć.

– Nie ma problemu – zapewnił Mark. – Wyjdzie z tego?

– Za wcześniej wyrokować. Próbowaliśmy z nią rozmawiać, lecz na razie bezskutecznie. Odniosła ciężkie obrażenia.

Mark się skrzywił.

– Siedzę w tym od trzynastu lat. Już nic mnie nie zdziwi.

Wróciła Tina.

– Przepraszam – powiedziała sztucznie dziarskim tonem, aby zatuszować chwilę słabości. – Byłam na urlopie, kiedy Carla wyszła spod naszej kurateli. Dostała mieszkanie i wyglądało na to, że dobrze sobie radzi. Ale parę miesięcy temu jej lekarz rodzinny powiadomił nas, że zaszła w ciążę i znów bierze narkotyki. Podobno była też rozchwiana psychicznie. – Tina rozgadała się na dobre. – Dlatego znów mieliśmy ją na uwadze... a dokładniej jej dziecko.

– Prosiłabym o sporządzenie listy osób, które waszym zdaniem znała, miejsc, w których często bywała, skąd brała narkotyki. Wszystko, co miało jakikolwiek związek z jej życiem. Nawet jeśli nie macie pewności, czy to istotne, nie pomińcie niczego. Nie wiem, czy i kiedy Carla będzie w stanie nam pomóc.

Mark i Tina pokiwali głowami.

– Poprosiłabym też o dostęp do jej kartoteki – dodała Lorraine.

– Spróbuję ją znaleźć – oświadczył Mark. – Ale w tej chwili to nie będzie łatwe. – Wskazał na panujący bałagan.

– Wydaje mi się, że Claudia ją ma – wtrąciła ze zmartwioną miną

Tina. – Miałymy razem nadzór nad sprawą i jestem prawie pewna, że kartoteka została u niej. Źle się dzisiaj czuła, wcześniej skończyła. Wątpię, czy jutro się zjawi.

– Czy mogę prosić o jej adres? Odwiedzę ją w domu – zaproponowała Lorraine.

Tamci nie widzieli przeszkód i Tina rzuciła się na poszukiwanie czegoś do pisania. Lorraine wiedziała, że regularnie współpracują z policją, po prostu zwykle nie mieli do czynienia z jej wydziałem ani sprawami takiego kalibru.

Skierowała się do drzwi i przystanęła.

– Spodziewam się, że nazwisko Sally-Ann Firth nic wam nie mówi, prawda?

Mark i Tina wymienili spojrzenia i zastanawiali się chwilę.

– Słyszeliśmy w telewizji – odrzekła Tina. Potem wytrzeszczyła oczy, jakby nadążała myślami za policjantką.

– Dziękuję. – Lorraine ucięła ewentualne pytania. – Nie musicie mnie odprowadzać.

Kiedy wróciła, dom pękał w szwach od nastolatek. Cztery koczowały przed telewizorem, z nogami na kanapie – w butach – oraz miskami chipsów na brzuchach i puszkami coli na dywanie w zasięgu ręki. Oglądały film, dźwięk był rozkręcony na cały regulator. Dwie dziewczyny, których Lorraine nie знаła, powitały ją nonszalancko ze swojej grzędę na schodach, gdzie chichotały nad wyświetlaczem iPhone'a, a większość bandy zgromadziła się w kuchni. Oblegały kuchenkę, debatując nad wielkim garem czegoś, co wydzielało całkiem przyjemny zapach.

Lorraine głośno rzuciła klucze i torbę na stół. Właśnie zdejmowała kurtkę, kiedy Grace odwróciła się z drewnianą łyżką w połowie drogi do ust.

– Hej, mamó – rzuciła wesoło. – Masz ochotę na curry? Ugotowałyśmy.

Jakby nic się, do cholery, nie stało, pomyślała Lorraine z irytacją. Wesołość Grace była ewidentnie na użytek koleżanek.

– Ale co z... – Lorraine nie dokończyła. Nie mogła wydusić: Ale co z wyprowadzką, rzuceniem szkoły, ślubem i cholerną rozmową, którą musimy przeprowadzić? – Ładnie pachnie – powiedziała tylko. – Zjem, jeśli dla wszystkich wystarczy. – Znacząco spojrzała w stronę przedpokoju. – Masz sporo gąb do wyżywienia.

– Ach, to. No tak. Nie masz nic przeciwko temu, prawda? Mówiłam dziewczynom, że jesteś spoko. Widzisz, wygrałyśmy. Dwanaście cztery. To był niesamowity mecz.

– No, dałyśmy im wycisk! – Dziewczyna nosiła aparat ortodontyczny i choć przebrała się po meczu, jej skóra nadal połyskiwała od potu. Ciemne kosmyki kleiły się do czoła.

– Super. – Lorraine wysiliła się na umiarkowany luz. Nie rozumiała, jak Grace może zachowywać się tak normalnie: chyba zdawała sobie sprawę, że stoi o krok od zmarnowania sobie życia. – Ale do wpół do dziesiątej macie posprzątać. – Obie wiedziały, że w przeciwnym razie będą kłopoty, lecz wnosząc z wyzywającej miny Grace, nie pójdzie tak gładko.

Lorraine zręcznie odkorkowała butelkę z winem. Obiecała sobie niebawem weekend abstynencji, ku wielkiemu rozbawieniu Adama, kiedy mu o tym wspomniała. Wzięła butelkę i kieliszek na górę, gdzie nie było tyle hałasu. Zje później, może z Adamem, jeśli wróci o rozsądnej porze. O ile jeszcze ze sobą rozmawiają.

W drodze do łazienki przystanęła pod drzwiami pokoju Stelli. Młodsza córka rozmawiała właśnie przez telefon.

– No wiem... Dostanę jej pokój, kiedy się wyprowadzi. Poprosiła, żebym została jej druhną!

Lorraine zadrżała na myśl, że ostatnimi czasy zaniedbuje młodszą córkę z powodu kłopotów z Grace, o dwóch śledztwach nie wspominając. Ale w życiu tak bywa. Może kolejne tygodnie przyniosą więcej czasu dla rodziny. Przynajmniej taką miała nadzieję.

Wypiła łyk wina i zapukała do pokoju Stelli.

– Cholera. Muszę kończyć.

Odkąd to Stella zaczęła przeklinać?

– Cześć, skarbie. Chciałam się przywitać. Wszystko gra? – Jezu, pomyślała Lorraine. Jakbym wysyłała SMS-a.

– Tak. – Stella zmieniła pozycję na łóżku. – Kiedy te z dołu sobie pójda? – Przewróciła oczami.

– O wpół do dziesiątej, jak Bóg da. Masz coś zadane?

– Już odrobiłam. Nudzi mi się. – Leżała rozciągnięta, z głową wiszącą poza krawędzią łóżka. Włosy sięgały jej prawie do podłogi.

– Chciałam się wykapać, ale mogę zostać, jeśli masz ochotę pogadać.  
– Perspektywa leżakowania na fotelu Stelli i rozmowy o makijażu, kolorowych gazetach i chłopakach nagle wydała się Lorraine szczytem luksusu, który pozwoliłby oderwać myśli od rozmyślania o Carli Davis i Sally-Ann Frith. O niczym innym nie marzyła. Weszła do niechlujnego pokoju córki i wzięła kolejny łyk wina.

– Wybacz, mamó – powiedziała Stella. – Ale, no wiesz. Wejdę na Facebook, czy coś.

Lorraine poczuła ukłucie rozczarowania i w tej samej chwili zabręczał jej telefon. Dzwonił Adam. Stella otworzyła laptop i zaczęła stukać w klawiaturę, jakby matka nie istniała. Lorraine wyszła jak niepyszna do przedpokoju.

– Co? – warknęła nieco zbyt opryskliwie.

– Carla Davis odzyskała przytomność. Podała rysopis.

– Tak? – ożywiła się Lorraine. Oznaczało to wielki krok naprzód. – Szybciej, niż zapowiadali. – Adam długo zabawił w szpitalu po operacji Carli, ale koniec końców musiał przydzielić to zadanie komu innemu.

– Przyjedziesz? Za pół godziny mamy zebranie.

Lorraine zerknęła na parter. Dwie dziewczyny, nad którymi musiała przejść w drodze na górę, znikły bez śladu, ale do salonu ciągnął ogonek sportsmenek z talerzami ryżu i curry. Westchnęła.

– Dobra. Ale powiedz mi coś optymistycznego. Powiedz, że mamy podejrzanego.

– Chciałbym – odpowiedział Adam.

## Rozdział 23

Odebranie dziecka matce jest trudniejsze, niż mogłoby się wydawać. – Rozmawiam z Zoe, która siedzi rozdygotana, z lekko uchylonymi ustami i rozpalonymi policzkami, chociaż w domu jest lodowato. W miarę jak opowiadam o swojej pracy, jej twarz stopniowo przybiera wyraz szoku i niedowierzania. Jakby mała było wrażeń na dziś, zepsuł się bojler, więc ubrane w grube swetry przysunęłyśmy krzesła do kuchenki. Zoe napaliła w kominku w salonie, posadziła chłopców pod kocem i włączyła im ulubioną bajkę.

Grzejemy dłonie kubkami z herbatą. Przykładałam do czoła mrożony groszek, ale już się rozmroził. Zoe wyciąga rękę i odbiera mi kapiącą torebkę.

– Ale jak tak można? Jak można prawnie odebrać komuś dziecko? – Podkreśla słowo „prawnie”, jakby istniała inna metoda.

– To niełatwe. Dostajemy zgłoszenia od różnych osób: policji, lekarzy rodzinnych, lekarzy szpitalnych, położnych, nauczycieli, znajomych, krewnych, sąsiadów, długo by wymieniać.

Zoe słucha z uwagą. Popija z kubka jak czujny ptak, gotów w każdej chwili się spłoszyć.

– Następnie robimy ocenę sytuacji, co z grubsza sprowadza się do spotkań z rodzicami bądź rodzicem lub bez ich udziału, a także składania zapowiedzianych i niezapowiedzianych wizyt. Musimy stwierdzić, czy dziecko lub dzieci, nawet nienarodzone, mogą bezpiecznie pozostać w danym środowisku. Jeżeli nie, wówczas zgłaszamy wniosek do sądu o przeniesienie ich w inne miejsce, zwykle do rodziny tymczasowej, dopóki nie znajdą domu na stałe.

– Czyli dziecko zostaje odebrane matce – mówi beznamyślnie Zoe.



Nie jestem pewna, czy to pytanie.

– Zdarza się – odpowiadam, nie chcąc jej zrazić. – Ale musisz zrozumieć, że zawsze mamy na uwadze dobro dziecka. Po co skazywać je na dorastanie w patologicznym, chorym środowisku, jeśli może dostać w zamian kochające i szczęśliwe? – Nadal boli mnie głowa.

– Ale co z matkami? Co z nimi? – Jest zdenerwowana i wzburzona, jakby miało jej to osobiście dotyczyć.

– No cóż – tłumaczę cierpliwie jak przedszkolakowi. – Niektóre z nich to od początku beznadziejne przypadki. Nawet z pomocą nie dążą do odmiany własnego losu. Czasami są wręcz wdzięczne, kiedy odbieramy im dzieci.

– Mają więcej pieniędzy na prochy i alkohol.

Przytakuję.

– Ale niektóre biorą się za siebie i odzyskują dzieci. – Lekko głaszczę się po brzuchu. Myśl, że po tylu latach prób, tęsknoty i rozczarowań ktoś mógłby mi odebrać córeczkę, jest wręcz nie do zniesienia. Znowu drzę, nie wiem, czy z zimna, czy od natłoku podobnych myśli.

– Kopie?

Z uśmiechem kiwam głową.

– Zobacz. – Biorę jej dłoń i kładę we właściwym miejscu. Zoe marszczy brwi i przesuwając rękę gdzie indziej. Zauważam dreszcz. – Chyba zasnęła – mówię, gdy jej twarz nie zdradza żadnych uczuć.

– Nie myślisz... nie myślisz, że coś jej się stało... po wypadku?

Wybucham śmiechem.

– Och, bynajmniej. Odkąd wróciliśmy do domu, kopłała jak szalona. Nie ma powodu do obaw.

– Naprawdę uważam, że powinnam była zawieźć cię do szpitala. Nie zniósłabym, gdyby coś się stało...

– Nic jej nie jest. Ani mnie. Naprawdę. – Klepię Zoe po rękę. Jest lodowata. – Jeszcze raz zadzwonię do hydraulika. – Wykręcę numer, tym razem odbiera. Obiecuje, że będzie w ciągu pół godziny.

Zoe robi chłopcom późną kolację, a ja postanawiam przeczytać akta, żeby nie myśleć o tym, co zaszło. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny

przyniosły wir emocji i zdarzeń, na które nie miałam wpływu. To na pewno nie był najlepszy dzień, stwierdzam, rozkładając się przy biurku Jamesa z wysłużoną, skórzaną aktówką, którą podarował mi na ostatnie święta. Mieści wszystkie papiery.

– Używana – powiedziałam z zaciekawieniem. Odwinęłam papier i powiodłam palcami po sfatygowanej powierzchni.

– Vintage – sprostował ze śmiechem. – To stara listonoszka. Przyszło mi do głowy, że spodoba ci się myśl o dobrych wiadomościach, które w niej doręczono. – Otoczył mnie ramionami, jakbym to ja była jego świątecznym prezentem.

Ale ja myślałam tylko o złych wiadomościach, które zagoszczą w niej od tej pory.

– A cóż to znowu? – mówię na głos, chowając zapasowy klucz do gabinetu. Coś leży na podłodze. Schylam się i podnoszę guzik. Niezwykły – ciemnozielony, z fioletowymi żyłkami. Na pewno nie należy do Jamesa ani do mnie. Wzruszam ramionami, chowam go do kieszeni i pograżam się w lekturze dokumentów, które muszę przeczytać do jutra. Chociaż nie wiem, czy po jodze pójde do pracy. W kwestii pojawienia się dziecka wolę nie wybiegać zbyt myślnie naprzód. Nikt nie może mieć o to pretensji.

Po dwudziestu minutach szokującej lektury – sprawa nastolatki z innego rejonu – dzwoni dzwonek do drzwi. Słyszę, jak Zoe otwiera. Grzecznie wita się z hydraulikiem i prowadzi go do kotłowni.

Wracam do tragicznego życiorysu piętnastolatki zapłodnionej przez ojczyrna. Uparcie odmawia wskazania winnego, chociaż dla nikogo nie jest tajemnicą, że to jemu zawdzięcza siniaki i złamania. Znaleziono domy zastępcze dla jej dwóch braci, ale nie dla ciężarnej dziewczyny. Może urodzić lada dzień; muszę mieć na uwadze to dziecko. Wyobrażam sobie jej młode ciało nabrzmiałe nowym życiem – życiem zrodzonym ze strachu i nienawiści. Jak zdoła pokochać to dziecko? Wątpię, czy jest zdolna pokochać siebie, a co dopiero drugą osobę. Raport psychologa potwierdza długą historię autodestrukcji, anoreksji, samookaleczania się, nadużywania leków – papier jest cierpliwy. Do

kartoteki dołączono jej zdjęcie. Jest drobna i blada, z mysimi włosami do ramion. Ma na sobie bluzkę w niebiesko-czerwone pasy, a z wielkich, brązowych oczu bije niewysłowiona rozpacz.

Ale w kącikach oczu, jak łzy, którym nie daje popłynąć, błyszczy nadzieja. Rozpaczliwie chciałabym jej pomóc.

Słyszę pukanie do drzwi.

– Proszę – mówię i nagle Zoe staje przed biurkiem z hydraulikiem u boku. Dyskretnie omiata spojrzeniem pokój.

– Witam, pani M-B – mówi hydraulik. Nazywa mnie tak, odkąd rok temu wyremontował łazienkę. – Miło panią widzieć. – Zauważa mój brzuch. – O matko, pan M-B nie próżnował! – Rechocze i wyciera ręce o kombinezon.

– Dzięki, że wpadłeś, Bob. My tu zamarzamy. – Nadal się trzęsę pomimo dwóch swetrów.

– Niestety mam złe wieści na temat bojlera. Potrzebuję części, którą mogę mieć dopiero jutro przed południem. Przeżyjecie noc?

Aż słabo mi się robi.

– Mamy gorącą wodę?

– Grzejnik nurkowy jest włączony, więc owszem. Ale musicie na noc napalić w kominkach. Wrócę około jedenastej. Zastanę kogoś w domu?

Potwierdzam i umawiam się z Zoe. Jeszcze nie wiem, co mi przyniesie jutrzejszy dzień.

Słychać wrzask z kuchni, gdzie chłopcy jedzą kolację. Zoe wybiega pędem, a ja odprowadzam Boba do wyjścia.

– Jeszcze raz dziękuję. – Zamykam drzwi i biorę z przedpokoju stos kurtek i swetrów, na wypadek gdybyśmy potrzebowali kolejnej warstwy odzieży. – Proszę – mówię, kładąc wszystko na kanapie w kuchni. – Wszyscy będziemy wyglądać jak ludziki Michelin. – Zoe i ja równocześnie wybuchamy śmiechem. Widzę po jej minie, że ja już wyglądam...

– To moja kurtka – jęczy Oscar, kiedy Noah wrywa mu okrycie.

– Nie, tu jest twoja – mówię. – Ta z odznaką, pamiętasz? – Duszę konflikt w zarodku. Wyciągam ze sterty nieznany mi, luźny sweter. –

Ładny – dodaję, zachodząc w głowę, do kogo należy. Może Pip kiedyś go zostawiła.

– Ach, to mój – woła Zoe i dygocze teatralnie.

Kiedy go podaję, dostrzegam rząd zielono-fioletowych guzików. Jednego brakuje.

Pip macha do mnie z podłogi. Chcę z nią porozmawiać, ale spóźniłam się i zajęcia już trwają. W porównaniu z moim domem w chłodnej zwykle sali jest przyjemnie ciepło. Osuwam się na matę i z wysiłkiem przewracam na bok. Istna katorga. Mary mówi nam o uspokojeniu naszego *chi* i jaki to ma związek z oddychaniem. Trochę to udziwnione jak na mój gust. Kiedy myślę o porodzie, wyobrażam sobie tylko ból i krzyk. Wbrew zapewnieniom Mary nie ma w nim cienia harmonii i równowagi.

Zaczynam od demonstrowanego przez nią podnoszenia nóg. Nawet to lekkie ćwiczenie już po chwili nadweręża moje bezużyteczne mięśnie brzucha.

– Oddychajcie miarowo: wdech, wydech... wdech, wydech... – Głos Mary jest rytmiczny i kojący. – Wzmacniacie swoją energię przed wielkim dniem... wdech, wydech... o tak. Claudio, kolano prosto i nie podnoś za wysoko.

Zerkam na Pip. Puszczą do mnie oko. Ledwo może unieść nogę. Przysięgłabym, że jest większa ode mnie.

W porządku? – pytam bezgłośnie.

Kiwa głową. A ty?

Marszczę nos. Ona w odpowiedzi marszczy brwi i stuka się w zegarek. Przytakuję. Tęskniłam za nią, odkąd Zoe zaczęła odprowadzać dzieci do szkoły.

– Wstajemy, moje panie, i przechodzimy do ćwiczeń wzmacniających kręgosłup. Pamiętajcie o równowadze. W razie czego opuszczamy nogę. – Mary rechocze swoim sztucznym śmiechem i robi skłon, który w świetle mojego balastu wydaje się niemożliwy do zrealizowania. Omiata wzrokiem każdą z nas. Ciekawe, czy ma dzieci. Nie wygląda.

Dziesięć minut później, kiedy relaksujemy się na matach, łzy napływają mi do oczu. Jeszcze chwila, a któraś spłynie mi po policzku i kapnie na podłogę. Zaciskam pięści, aby stłumić emocje, ale nie dają rady. Wyobrażam sobie Jamesa Bóg wie jak głęboko pod wodą, na ćwiczeniach z innymi mężami, braćmi, synami. Wróc bezpiecznie, najdroższy, mówię w duchu, chociaż wiem, że to tylko rutynowa misja. Skupiam się na dziecku, z którym zaczekam na jego powrót, na tym, że utworzymy pięcioosobową rodzinę i że będzie ze mnie dumny. Ze mnie, kobiety, która poroniła niezliczoną ilość razy, której powiedziano, że nigdy nie donosi ciąży, która marzyła jedynie o szansie zostania matką.

– Jesteś pewna, że to jej? – pyta Pip.

Opychamy się ciastem marchewkowym. To ponad nasze siły.

– Sama przyznała. – Mówię z pełnymi ustami i wycieram okruchy z warg.

– Ależ my jesteśmy żarłoczne świnki – prycha Pip. – Ja tam zawsze gubię guziki. Musiał jej odpaść, kiedy rozmawiała z Jamesem, czy coś w tym stylu.

– Możliwe – odpowiadam. – Ale znalazłam go przy oknie, gdzie siada James. Nie rozumiem, co tam robiła. James nie pozwala tak po prostu tam wchodzić.

– Och przestań, Claud! Może odpadł w drzwiach i ktoś go kopnął. – Kończy swoją porcję i spogląda tęsknie na ciasta wystawione na kontuarze kawiarni.

– Kopnął? – Bismah strzyże uszami. Rozmawiała z Fay, którą od rana męczą mdłości, chociaż jest już w piątym miesiącu. – Kto kopnął? Pokażcie. – Ciemne, lśniące włosy ma związane w kucyk na plecach. Oczy mało nie wypadną jej z orbit na myśl, że mogłaby wymacać rączkę lub nóżkę dziecka.

– Niestety nie dzidzius – informuję i zastanawiam się, co powiedziałyby na to Zoe. Od wypadku ma fioła na tym punkcie.

– Jak tam ta twoja niania, Claudio? – ciągnie Bismah. – Chciałabym, żeby Raheem zgodził się na nianię, mogłabym znowu uczyć. – Śmieje

się cicho i wiem, że tak naprawdę nie ma zamiaru wrócić do pracy, z nianią czy bez. Mówi to jedynie na mój użytek.

– Zoe – wypowiadam jej imię z namysłem, jakbym musiała je sobie przypomnieć.

– Tak, Zoe – powtarza z rozbawieniem Bismah. Wszystkie trzy czekają z zaciekawieniem, co powiem.

– Właściwie to nie wiem, co o niej myśleć – mówię zdziwiona własnym wyznaniem.

– Raju. – Pip jest zaskoczona. – Trochę za późno na zmianę.

– No wiem, wiem. – Robię zbolaną minę. Jeśli nie mogę powiedzieć koleżankom, w tym najlepszej przyjaciółce, to komu mam się zwierzyć?

– Właściwie to nie mogę narzekać. Opiekuje się chłopcami, dba o dom...

– Ale jej nie lubisz – mówi Pip bez ogródek.

– Nie, nie o to chodzi. Prawdę mówiąc, naprawdę lubię. Jest trochę skryta i powściągliwa, ale to zrozumiałe. Chyba ma kłopoty sercowe.

– No widzisz. – Bismah dla wszystkich znajdzie usprawiedliwienie.

– Po prostu coś w niej jest. Nie potrafię tego określić, ale gdybym musiała, powiedziałabym, że... – Patrzę na sufit. – Powiedziałabym, że... och, powiecie, że jestem głupia.

– Nie, mów – zachęca Bismah. Pozostałe słuchają uważnie.

– Powiedziałabym, że miała inne powody, aby podjąć pracę w naszym domu.

Od razu zaczynam żałować tych słów. Przypominam sobie wszystkie miłe rzeczy, które zrobiła dla chłopców, odkąd z nami zamieszkała, nie wspominając o tym, ile robi dla mnie.

– Nie byłam dla niej wstrętą ani nic z tych rzeczy – zastrzegam na widok przerażenia na twarzach koleżanek. – Na pewno wszystko będzie dobrze.

– Hor-mo-ny! – rzuca piskliwie Pip.

– Nieprawda – mówię surowo i wszystkie się śmiejemy. – No, może trochę.

– Daj jej parę tygodni. Jak tylko dziecko się urodzi, a James wróci do domu, wszystko się ułoży, zobaczysz. Zoe oswoi się z sytuacją, ty

będziesz rozkoszować się urlopem macierzyńskim i życie stanie się z grubsza idealne. – Pip wieńczy swoją wypowiedź szerokim uśmiechem. Tunikę ma napiętą na brzuchu; niedługo urodzi. Uwielbiam na nią patrzeć. Uwielbiam patrzeć na nas wszystkie.

– Pewnie masz rację – przyznaję. Lecz wciąż czuję kamień na sercu.

## Rozdział 24

Carla Davis wyglądała jak martwa, ale żyła. Miała igły i rurki wbite w rękę, a do tego podkładki z czujnikami na różnych częściach ciała, odsłaniające fragmenty bladej skóry pod cienką, szpitalną koszulą, w którą ją ubrano.

– To może być oczywiście jedna wielka bzdura – oznajmiła Lorraine, wpatrzona w biedną dziewczynę na szpitalnym łóżku. – Może bredzi po lekach.

– Barrett mówił, że budziła się i zasypiała. – Adam sięgnął po kartę wiszącą na łóżku, ale zaraz odłożył ją na miejsce, bo nabazgrane na niej kropki i znaczki nic mu nie mówiły. – Ale wspominała o kobiecie.

– Co potencjalnie wszystko zmienia – uzupełniła Lorraine.

Pospiesznie rozważyła wiele możliwości, ale żadna nie pasowała jej do mizernego profilu, który dotąd nakreślili. I nadal nie mieli pewności, czy ataki były ze sobą powiązane, chociaż uderzało łączące je makabryczne podobieństwo. Lorraine miała nadzieję, że charakter obrażeń Carli pozwoli uchylić rąbka tajemnicy, ale najważniejsze było ratowanie jej życia, a nie oddanie jej w ręce patologów.

– Powiedz mi jeszcze raz, co zgłosił Barrett – poprosiła. Uważała go za jednego z ich najlepszych detektywów. Był dokładny i miał głowę na karku.

– Już to przerabialiśmy.

Fakt. Omówili wszystko na wczorajszym spotkaniu z udziałem prawie całego zespołu. Przeciągnęło się do późna, po czym Adam i Lorraine wrócili do tematu w domu, sprzątając bałagan po Grace i jej koleżankach.

– Oddziałowa pozwoliła Barrettowi porozmawiać z Carlą tylko parę



minut. Nie sądził, aby miała większe pojęcie na temat tego, gdzie jest i co ją spotkało. Była kompletnie skołowana. Wiedziała, jak się nazywa i gdzie mieszka, ale nie pamiętała samego ataku, tylko chwile go poprzedzające. Powiedziała, że ktoś zadzwonił do drzwi i poszła otworzyć. Bardzo ją to rozstroiło.

– Tajemnicza kobieta – dodała Lorraine, która znała już całą historię na pamięć.

– Właśnie – odpowiedział Adam. – Barrett poprosił o rysopis, na co powtarzała tylko w kółko „chuda”. To nam niewiele daje.

Nagle dziewczyna drgnęła. Adam pochylił się nad nią.

– Słyszysz mnie, Carlo?

Wyglądało to tak, jakby chciał ją wytarmosić za ramię.

– Przestań, wystraszysz ją.

Lorraine także zbliżyła się do łóżka chorej. Kołdra przykrywała to, co do niedawna było wielkim brzuchem. Czy ona w ogóle pamięta, że była w ciąży?

– Cześć, kochana, słyszysz mnie? – powiedziała ściszym tonem. – Jestem detektywem. Chciałabym ci zadać kilka pytań.

Potarła nadgarstek dziewczyny. Z wierzchu dłoni wbito wenflon z cienką rurką prowadzącą do kroplówki. Lorraine przyjrzała się skórze po wewnętrznej stronie łokcia. Wypukłe żyły usiane były śladami po starszych nakłuciach, wyraźnymi na mlecznobiałym tle. One nie były dziełem lekarzy.

– Kochana, słyszysz mnie?

Carla jęknęła, po czym rzuciła głową na prawo i lewo. Na chwilę rozchyliła powieki, ale zaraz znowu je zacisnęła. Lorraine nie miała pewności, czy jest w stanie skupić wzrok.

– Chcę wiedzieć, kto ci to zrobił, kochanie. Czy pamiętasz coś na temat ataku bądź napastnika? Jak wyglądał?

Carla nie odpowiedziała. Maszyna za łóżkiem pikała, monitorując ciśnienie, dotlenienie i częstotliwość oddechu. Lorraine nie rozumiała cyferek, ale rytmiczny dźwięk przynajmniej upewniał ich, że dziewczyna kurczowo trzyma się życia.

– Muszę państwa wyprosić. – Do sali weszła pielęgniarka. – Trzeba sprawdzić jej sącdek.

– Wrócimy później – zapowiedział Adam.

– Dziękuję – odrzekła pielęgniarka, delikatnie zdejmując z Carli kołdrę.

Dziewczyna ponownie jęknęła i machnęła ręką z wenflonem.

– Spokojnie – dodała pielęgniarka ze śpiewnym, irlandzkim akcentem. – Tylko nie wyrwij sobie igły.

– Żeby tak znowu się odezwała – westchnęła Lorraine, kiedy wychodzili z sali.

Przywitali się z młodym policjantem na korytarzu, po czym wymienili spojrzenia na wspomnienie własnych początków służby. Lorraine odsunęła nieuniknione wspomnienie tego, jak poznała Adama, jak go uwielbiała – nie, wielbiła – w tamtym okresie. A teraz kompletnie nie rozumiała, dlaczego wyrósł między nimi mur. Nie mogła i nie chciała uwierzyć, że tylko ona zawiniła.

Stali przy samochodzie Adama. Lorraine zmrużyła oczy w słońcu, które przedarło się przez chmury, zapewne przed zapowiadaną śnieżycą.

– Napijesz się kawy? – zapytała, wskazując na przyczepę serwującą napoje i przekąski. Zapach bekonu był nieodparty.

– Myślisz, że mają zieloną herbatę? – odpowiedział z uśmiechem.

– Sprawdźmy – skwitowała i ku swemu zdziwieniu musnęła w przelocie jego ramię, kiedy skierowali się do baru. – Potem złożymy kolejną wizytę Russowi Goodallowi. Mam do niego parę pytań. Może trochę posprzątał.

Kiedy Lorraine zapukała do drzwi, nikt nie odpowiedział. Zajrzała przez brudny, plastikowy otwór na listy. Ze środka buchnął nieprawdopodobny smród.

– Jezus Maria. – Cofnęła się o krok. – Ktoś tu wykorkował? – Wymienili spojrzenia w nadziei, że się myli.

Adam przystawił nos do szczeliny.

– Nie ma trupa – oznajmił fachowo. – Trzeba wynieść śmieci.

– Obłeśny typ. – Lorraine załomotała pięścią w drzwi, po czym cofnęła się na dźwięk otwieranego w górze okna. – Halo?! – krzyknęła. – Policja. Proszę otworzyć.

Ktoś rzucił przekleństwo, a po chwili usłyszeli tupot na schodach. Drzwi się otworzyły i stanęli oko w oko z Russiem Goodallem w podkoszulku i bokserkach, drżącym tak, jakby od trzech dni tkwił w zaspie.

– Leżałem – mruknął przepaszająco.

– Czy możemy wejść i porozmawiać? – zapytała Lorraine. Prawie wyczuwała bijącą od męża odrazę.

– No, chyba. – Russ usunął się na bok i potknął o worek ze śmieciami leżący obok drzwi.

– Nie możemy go zgarnąć na posterunek? – spytał szeptem Adam, gdy wchodzili na górę. Lorraine wepchnęła się przed nim do ciasnego pokoiku i szturchnęła go na znak, że bredzi. Często zastanawiała się, czy powinni nadal ze sobą pracować, bo w pracy bardziej niż gdziekolwiek indziej czubili się jak małe dzieci. Bóg wie, co by się stało, gdyby wystąpiła o rozwód. Transfer jednego z nich byłby nieunikniony, ale dlaczego miałyby paść właśnie na nią?

– Siadajcie, jeśli chcecie – zachęcił Russ głosem zdradzającym strach i zdziwienie.

Mieli do wyboru brudne plastikowe krzesło ustawione przy małym stole albo rozesłane łóżko służące zarazem jako kanapa. Adam rzucił się w stronę krzesła, więc Lorraine nie pozostało nic innego jak ugrzęznąć w zapadniętym materacu i uwolnić chmurę skondensowanego smrodku ludzkich wyziewów. Później mu za to podziękuje.

– Chcielibyśmy zadać parę pytań w sprawie twojego związku z Sally-Ann, Russell. Nie ma powodów do obaw, po prostu chcemy mieć jasną sytuację. Byłbyś tak miły i założył gatki, hm?

Miał tak cienkie bokserki, że gdyby Lorraine zbłądziła wzrokiem poniżej jego klatki piersiowej, z pewnością zobaczyłaby więcej, niż należało. Przez cienki, szarzejący materiał podkoszulki prześwitywała jego ptasia klata. Kiwnął głową i sięgnął po podarte dzinsy, a następnie

wbił w nie nogi, skacząc po wydeptanym dywaniku i rozsiewając mdlące aromaty. Wreszcie usiadł na łóżku obok Lorraine. Przesunęła się w lewo.

– Klóciliście się z Sally-Ann, Russell? – zaczął Adam.

Lorraine miała na końcu języka to samo pytanie. Chcieli go nieco rozgrzać, aby wyrzucił z siebie prawdę o tym, czego być może teraz żałował.

Przejęła pałeczkę.

– I nie mamy tu na myśli zwykłych utarczek, jakie zdarzają się wśród par. – Popatrzyła na Adama. Nie odwzajemnił spojrzenia, ale zauważyła, że zacisnął zęby. – Bardziej nas ciekawi, czy sytuacja czasem wymykała się spod kontroli, jeśli wiesz, o czym mówię.

– Nigdy jej nie uderzyłem, jeśli to pani sugeruje. – Russell kręcił się niespokojnie.

– Wiemy, jak to jest: nic nieznaczące drobiazgi bywają rozdmuchiwane ponad miarę... – dorzucił Adam, zerkając przelotnie na Lorraine.

– Wiemy też, że owe „drobiazgi” bywają dość istotne; być może jedno z was miało uzasadnione powody do zdenerwowania. – Lorraine podkreśliła słowo „uzasadnione”.

– Przy czym niekiedy te „uzasadnione powody” bywają źle odczytywane przez jedną ze stron – dodał Adam, wściekle zezując na żonę.

– Ale zakładając, że wcale nie zostały źle odczytane – ciągnęła Lorraine, patrząc mężowi prosto w oczy – zakładając, że jedna stron była pewna słuszności swojego stanowiska, zrozumielibyśmy, gdybyś stracił panowanie nad sobą. – Lorraine poczuła, że oblewa się potem. Wzięła się w garść i zwróciła się z powrotem do Russella.

– Ale muszę podkreślić, że nie pochwalamy przemocy. – Adam wysunął podbródek i Lorraine prawie zobaczyła wzbierające w nim napięcie.

– Wezmę to pod uwagę, detektywie. – Uśmiechnęła się przez zaciśnięte zęby. Zanim cię grzmotnę, uzupełniła w duchu.

– Nigdy jej nie uderzyłem, przysięgam – zapewnił Russ, kompletnie nieświadomy spektaklu rozgrywającego się pod jego nosem. – Miewała straszne dołki.

– Słuchamy – zachęciła Lorraine.

– Cięża tylko je pogorszyła. – Russ zwiesił głowę i skubnął rozdarcie na udzie. Spod spodu prześwitywał skrawek białej, owłosionej skóry. – Raz była szczęśliwa... naprawdę szczęśliwa. A po chwili miała wszystkiego dosyć.

– Cierpiała na depresję? – spytał Adam.

– Możliwe. Ja tam nie wiem. Często chodziła do lekarza. Wszystko się zaczęło, kiedy on się pojawił – zakończył z rozpaczą.

– Liam?

Russ skinął głową.

– Wszystko między nami zepsuł. Pewnie byśmy się pobrali, gdyby nie on. Wykorzystał Sally-Ann, o tak. Wziął ją sobie do łóżka, tak jak tamtą biedną kobietę.

– Wiemy na pewno, że to on był biologicznym ojcem dziecka – oznajmił Adam, a Lorraine westchnęła. Wolałaby poczekać z tą informacją.

Russ zareagował z opóźnieniem, lecz po chwili stało się jasne, że do tej pory miał inne zdanie.

– O nie – wykrztusił. – Jakie to smutne.

– Czy to prawda, że ta niepewność spowodowała tarcia między wami?

Zdruzgotany prawdą pokiwał głową.

– Tak. Ale postąpiłbym jak należy. Mogła na mnie liczyć. Chciałem tego dziecka.

– A Sally-Ann? – zapytała Lorraine.

Russ dźwignął głowę.

– Nie – odpowiedział po chwili. – Nie, tak naprawdę chyba nigdy.

– Więc dlaczego nie przerwała ciąży? – zapytał Adam. – Kobiety mają wolną rękę.

– Był czas, kiedy naprawdę myślałem, że to zrobi, że usunie ciążę,

ale zmieniła zdanie.

– Kiedy to było?

– Na samym początku, jak się dowiedziała o ciąży. Gdy minął pierwszy szok, była bardzo podekscytowana. Pojechaliśmy do Bullring poszukać rzeczy dla dziecka w domu towarowym. Oglądaliśmy te różowe i błękitne drobiazgi. Ale nagle spanikowała, że nie podoła, że nie będzie dobrą matką, że wszystko tyle kosztuje. Jakby ktoś coś w niej przełączył.

– W domu towarowym? – upewnił się Adam.

– No. Najpierw głaskała ubranka, po czym coś jej odbiło i zaczęła zrzucać rzeczy z wieszaków. Darła się jak opętana. Zrobiła z siebie widowisko. Prawie zdemolowała sklep. – Skręcało go na samo wspomnienie.

– To okropne. I co było dalej? – ponagliła Lorraine.

– Próbowałem ją uspokoić. Na oślep wymachiwała rękami, kopała. Wrzeszczała, że nie chce tego dziecka, że chce się go pozbyć tu, natychmiast, że sama to robi, jeśli będzie musiała. Krzyczała, że go nienawidzi, że rozwali jej życie. – Russ z trudem dobywał głos, sparaliżowany tą wizją. – Ludzie się gapili, zrobiło się zbiegowisko. Podeszła jakaś pani, żeby jej pomóc. Powiedziała, że rozumie, że musi się uspokoić. Sally-Ann osunęła się na podłogę, po czym przyszła kierowniczką, wzięła ją na zaplecze i poczęstowała herbatą. Potem poszliśmy do domu.

– Ciężka sprawa te hormony.

Lorraine łypnęła na Adama. Bywał skończonym błaznem.

– To musiało być dla ciebie straszne przeżycie, Russell – powiedziała. – Czy sytuacja się powtórzyła?

– Nadal miewała dziwne nastroje, ale już nigdy nie wspomniała o skrobance. Poprosiłem ją o rękę. – Russ uśmiechnął się lekko na tę myśl.

– Tak mi przykro, Russ – powiedziała szczerze Lorraine. – Podasz mi nazwisko kobiety, z którą spotykał się Liam Rider?

Russ podrapał się w głowę.

– Dowiedziałem się przypadkiem – rzekł. – Poszedłem na uczelnię z

nim pogadać, żeby się odczepił od mojej Sal. Zostałem go... no wiecie, z tamtą. To było ohydne.

– Jak się nazywała? – spytał Adam.

Russ długo się zastanawiał.

– Prowadziła kurs wieczorowy. Projektowanie biżuterii czy coś takiego. Pamiętam, że wydała mi się pomyłona.

– Jak miała na imię? – ponaglił Adam.

Russ wzruszył ramionami.

– Imię też miała dziwne. Delia czy Celia. Cholera wie. Zapytajcie w college'u. Miała rude włosy, całe poskręcane.

## Rozdział 25

Nie mam ochoty otwierać drzwi, ale jeśli Claudia się dowie, że nie odebrałam paczki albo nie wpuściłam kogoś znajomego, będzie się głowić, co w tym czasie robiłam. Obiecałam poukładać pościel w szafce i dokończyć szycie, które chyba gromadziła latami. W pralni jest pełno worków z nalepką „do reperacji”.

Kiedy zaczynałam, powiedziała mi, że właśnie takie czynności tworzą prawdziwy dom. Uśmiechnęła się przy tym, jakby to była najważniejsza rzecz na świecie. A ja razem z nią.

Co za banał, pomyślałam, zapewniając ją, że lubię szyć, że mam oko do szczegółów. Może i mam, myślę, podchodząc z ociąganiem do drzwi wejściowych. Może podłapałam to od Cecelii, obserwując ją przy pracy w długie, zimowe wieczory. Siedziała pochylona nad stołem w naszym mieszkanku, a światło padało z góry pod kątem, jakby miała do dyspozycji prywatne słońce na użytek swego małego świata. Czasem pracowała, patrząc przez wielkie szkło powiększające na stojaku. Kiedyś na nią przez nie spojrzalam. Zobaczyłam ciało zniekształcone jak w gabinecie luster. Była wielka i rozdęta jak ciężarne zwierzę. Nic nie powiedziałam. To by ją zabiło, zwłaszcza że nie była w ciąży.

Ależ ten ktoś się dobija.

Przekręcam klucz i otwieram szeroko drzwi.

– Czy zastałam Claudię Morgan-Brown? – pyta kobieta w marynarce.

– Przykro mi – mówię. – Wróci dopiero wieczorem. – Usiłuję sobie przypomnieć, o której.

– Detektyw inspektor Lorraine Fisher – przedstawia się kobieta.

Patrzę na nią. Robi mi się słabo. Ziemia usuwa mi się spod nóg.



Cholera.

– Dobrze się czujesz, skarbie? Zbladłaś trochę. – Robi krok naprzód.

– Nic mi nie jest. – Przytrzymuję się framugi.

– Nie wiesz, kiedy dokładnie mogę ją zastać? – ciągnie, przytupując jakby z zimna i niecierpliwie. Wsuwa ręce do kieszeni kurtki.

– Nie... jestem pewna. – Oby chodziło tylko o wczorajszy wypadek.

– A ty jesteś...? – pyta.

Wargi odmawiają mi posłuszeństwa. Co mam jej powiedzieć? Tego się nie spodziewałam.

– Zoe – rzucam w miarę przyjaznym tonem. – Opiekunka. – Po co przysyłałoby detektywa w sprawie wypadku drogowego? Wolę nie myśleć.

– Aha. – Wierzy mi na słowo. – Ale nie wiesz, o której pani Morgan-Brown będzie w domu?

– Pewnie około szóstej lub siódmej – mówię bez przekonania i zerkam na zegarek. Wracam myślami do rozmowy z Claudią. Wspomniała, że czuje się lepiej i chce iść na jogę, a potem do pracy.

Policjantka sprawia wrażenie poirytowanej moją wymijającą odpowiedzią.

– Proszę posłuchać – mówię. – Jeśli chodzi o wypadek, to nic jej nie jest. Wszystko załatwiliśmy na miejscu zdarzenia. Postanowiłam nie zgłaszać skargi.

– Wypadek? – powtarza.

– Ktoś wczoraj na nas najechał. Claudia jest w ciąży, więc... na szczęście nic się nie stało. – Udaje mi się zbyć to śmiechem.

– Nie dlatego przyszłam – oznajmia. – Proszę to przekazać pani Morgan-Brown, dobrze? Niech do mnie zadzwoni, jeżeli nie złapię jej w międzyczasie.

Biorę od niej wizytówkę i patrzę, jak odchodzi. Zamykam i zaryglowuję drzwi, po czym opieram się o ścianę. Wiele mnie kosztuje, żeby nie osunąć się na podłogę. Patrzę na wizytówkę. Pośrodku widnieje napis „biuro śledcze”. Biegnę do łazienki i wymiotuję.

To na nic. Muszę znów ją zobaczyć. Wystukuję wiadomość, ale nie

mam siły jej wysłać. Chodzę na bosaka po ogrodzie; zimna trawa kłuje mnie w stopy, błoto wdziera się pod paznokcie. Wracam do domu, włączam komputer i loguję się na jednym ze swoich kont pocztowych – na użytek naszej korespondencji – i szybko piszę wiadomość, której nie może zignorować.

Chcę jej powiedzieć, że zawsze będę ją kochać i się nią opiekować. Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić.

„Droga Cecelio...”. Źle. Zbyt oficjalnie.

Cześć, Cecelio,

Wiem, że nasza ostatnia rozmowa przebiegła inaczej, niż się spodziewałaś, ale to nie znaczy, że Cię nie Kocham. Wiesz, że zawsze będę. Obiecałam Ci coś i dotrzymam słowa. Potrzebuję tylko trochę więcej czasu.

Ucałowania, H.

Byle dać jej punkt oparcia, podsycić nadzieję.

Śmieję się pod nosem i kasuję wiadomość. Nie mogę tego wysłać. Jeszcze trafi w niepowołane ręce. Tak łatwo dojść po nitce do kłębka. Nie jestem głupia. Może i łamię zasady, komunikując się z Cecelią, lecz mejl, w którym czarno na białym określłam swoje zamiary, to droga donikąd. Usuвам też kopię roboczą.

Patrzę na zegarek. Mam czas. Chłopcy do szóstej bawią się u Pip. Odruchowo wciągam kurtkę i buty, narzucam szal i łapię kluczyki do samochodu. Jeśli tam pojedę, nikt się nie dowie, o czym rozmawialiśmy.

Parkuję i idę do drzwi. Pamiętam kod i jak zwykle nikt nie przekręcił klucza, więc z łatwością wchodzę do środka. Rower Kim stoi oparty o ścianę. Nie pojechała dziś do pracy? Na stole w korytarzu piętrzy się poczta, na pierwszy rzut oka same śmieci. Butelki czekają na wyniesienie do pojemnika ze szkłem. Wszyscy o nich zapomnieli.

To nie musiało się stać, myślę ze smutkiem. Mogła poszukać

pomocy, postąpić inaczej, posłuchać mojej rady. Jeszcze nie jest za późno, próbuję sobie wmówić i ganię się w duchu za słabość. Latami zmuszała mnie do robienia rzeczy, o których mi się nawet nie śniło. Zawsze tak między nami było – jej nieposkromiona żądza podsycala moje narastające poczucie winy. Idąc po skrzypiących schodach, czerpię pewną otuchę ze świadomości, że to nie tylko moja wina. Z dala od jej szponów widzę wszystko wyraźniej. Cecelia jest silna i wie, czego chce, zawsze taka była – zawsze umiała mnie omotać. Dlatego próbowałam – próbowałam! – od niej uciec, ale obie wiemy, że to trudniejsze, niż się zdaje. Żeruje na mojej słabości; wie, że zrobię wszystko, o co poprosi.

Mijam kolejne piętro, idę do mieszkania na samej górze. Pukam do drzwi. Przyciskam ucho do drewna, ale nic nie słyszę. Przy pracy zwykle ma włączone radio albo wyspiewuje stare kawałki do rytmu. Kiedyś doprowadzało mnie to do szału. Do szału w pozytywnym sensie, bo przez to kochałam ją jeszcze bardziej. Wiedziała, że niczego jej nie odmówię.

– Heather! – mówi wstrząśnięta na mój widok. Ma na sobie powłóczysty kaftan. Sama go uszyła ze starego sari. Gdyby Cecelia czegoś nie tworzyła, nie byłaby Cecelią. – Co ty tu robisz?

– W pewnym sensie mieszkam – mówię.

– Nieprawda – odpowiada natychmiast. – Odeszłaś. Zostawiłaś mnie i to mieszkanie. Oraz większość swoich rzeczy. Po to przyszłaś? Żeby je zabrać? – Wzdryga się i trzęsie pod kaftanem. Jej włosy tworzą wokół głowy aureolę płomieni.

– Nie. Właściwie to przyszłam się z tobą zobaczyć.

– Aha. – Z jej głosu bije rozczarowanie, ale wiem, że to przejaw zadowolenia na mój widok. – Miałam właśnie zaparzyć herbatę. – Zostawia otwarte drzwi i odchodzi.

Cecelia i jej miłość do herbaty. Żadna tam torebka wrzucona do kubka. Nakrywa do stołu (owalnego z rozkładanym blatem, kupionego za trzydzieści funtów na aukcji tuż po tym, jak się wprowadziłyśmy), jakby serwowała trzydaniowy obiad. Zaczyna od nastawienia czajnika. Następnie ściąga z półki poobijany imbryk, który na moje oko jest z

aluminium i nie wychodzi nam na zdrowie, i stawia go na zagraconym blacie. Gdy woda się zagotowuje, podgrzewa imbryk, a w międzyczasie rozkłada widelczyki z kościaną rączką, obtłuczone talerzyki w kwiatki, spodki i filiżanki oraz paterę zakupioną w styczniu na wyprzedaży w Harrodsie. „W każdej kuchni powinno znaleźć się coś z Harrodsa”, powiedziała, odwijając kruche cacko z bibuły. I serce ścisnęło mi się z miłości.

A może tylko było mi jej żal.

– Upiekłam dziś rano – informuje, rozkładając w dolnej części patery baterię babeczek w pomarańczowej i fioletowej polewie. Na górze kładzie pralinki z jadalnymi perełkami zatopionymi w czekoladowej polewie, pewnie też własnej roboty. Każdej nadała nieco inny kształt, każda ma różnić się od pozostałych. Cecelia stawia pieczenie na równi z tworzeniem biżuterii. Rozmach, a zarazem powściągliwość, skromność, ale przepych, a co najważniejsze, wszystko musi być jedyne w swoim rodzaju. Wykrzyczała mi to kiedyś, dobrze pamiętam.

– Pomóż mi odkroić skórki. – Podaje mi nóż i bochenek razowego chleba. Wiem, jak za nim przepada. Rytuał jest dziwnie krzepiący, jakże odległy od tego, co mam na co dzień w pracy. W pracy, o której Cecelia nic nie wie i która chroni mnie przed pójściem w jej ślady – w otchłań szaleństwa, w którą tylko ośmielałam się zajrzeć. Dla dobra Cecelii.

– Krewetki? – pytam. Jej przysmak.

– Dziś mamy wędzonego łososa. – Wkłada kawałek ryby do ust i patrzy ze skruchą, jakbym jej nie znała.

Kładę plastry łososa między kromkami chleba, dosypuję rzeżuchę. Kroję kanapki na ukośne ćwiartki i układam na środkowym piętrze patery. Stawiam wszystko na stole. Cecelia wsypuje lapsang souchong do imbryka i jeszcze raz zagotowuje wodę. Niebawem siedzimy naprzeciw siebie, ja pochylona nad talerzykiem w fiołki i niezapominajki, Cecelia w blasku słońca, które wpada do pokoju. O tej porze roku trwa to zaledwie dwadzieścia minut, za to latem prawie godzinę.

– To bardziej lunch niż podwieczorek – przyznaje Cecelia. – Wiesz,

jaka jestem, kiedy pracuję. Zapominam o bożym świecie.

To niezupełnie prawda. Cecelia ma bzika na punkcie jedzenia, a przy tym jest chuda jak ołówek.

– Wsuwaj – zachęca na widok mojego pustego talerza. – Gdybyś była w ciąży, miałabyś wilczy apetyt.

Jakby uderzyła mnie w twarz.

– Wybacz, że jestem do niczego. – Biorę kanapkę i wbijam w nią zęby. Smakuje jak papier, lecz łyzi się cofają.

Patrzę na Cecelię. Wciąż tam jest, ale jakby odmieniona. Zrobiłam dla niej wszystko, co mogłam, wszystko, co obiecywałam, ale czuję, że dzieli nas niewidzialny mur. Nie widzę sposobu, aby go obejść.

– Nie jesteś do niczego. – Przesuwa rękę obok patery i ujmuje moją. Ścisną ją mocno palcami, aż do bólu. – Po prostu musimy obmyślić nowy plan.

Przytakuje. Gdybym oglądała tę scenę w filmie, zawołałabym: „Wyjdź stamtąd! Uciekaj!”. Nie przewidziałabym szczęśliwego zakończenia. Dlaczego, zapytuję siebie, gdy splatamy palce, zawsze pozwalam jej, żeby mi to robiła? Gdybym była ze sobą szczerą, znalazłabym odpowiedź na to pytanie, ale jestem za głupia, by spojrzeć prawdzie w oczy.

– Tym razem los zrzucił inaczej – zapewniam, jakbym chciała spróbować ponownie, jakby moje postanowienie było dmuchawcem rozwianym przez wiatr. – Pracuję nad planem.

Unosi brwi z zaciekawieniem. Wzdycham.

– I cóż takiego proponujesz? – pyta. – Niepokalane poczucie? – Ze śmiechem sięga po babeczkę. Kładzie ją na porcelanowym talerzyku i oblizuje palce. Dolewa herbatę, obserwując mnie zza chmury włosów. Oczy ma jaskrawozielone; migoczą prowokująco jak zapomniane szmaragdy, które wyszperała w sklepie z używaną odzieżą. Nie mam wątpliwości, że od mojego wyjazdu zgromadziła kolejną tonę drobiazgów.

– Nie mogę ci powiedzieć – mówię ze świadomością, że dolewam oliwy do ognia. – Musisz mi zaufać.

– Wiesz, że nie ufam – odpowiada. Napoczyna ciastko, nie odrywając ode mnie świdrującego wzroku.

– To skomplikowane. Ale będzie dziecko.

Gdybym przeanalizowała racjonalnie własne słowa, to, co znów planowałam, gdy po ostatnim razie minęło tak niewiele czasu, powinnam od razu dać się zamknąć. Co ja wyprawiam? Ale potem patrzę na Cecelię i przypominam sobie, jakie byliśmy kiedyś szczęśliwe; jeśli istnieje choćby najmniejsza szansa powrotu do tamtego stanu, jestem gotowa zaryzykować, bez względu na konsekwencje. Innego wyjścia nie widzę.

– Jak tam twoja praca? – pyta. Z goryczą wypluwa ostatnie słowo.

– Ja...

– Ach... Ależ ze mnie idiotka. Zapomniałam, że nie lubisz o niej opowiadać.

Pochyliłam głowę. Mówienie jej o Claudii i Jamesie, zaangażowaniu w życie bliźniaków... nie zrozumiałyby. Nie mogłyby zrozumieć. Zaczęłyby się od zaciekawienia, umiarkowanego zainteresowania, aż wreszcie zawrzałyby gniewem i zazdrością. W świetle okoliczności lepiej, żeby nic o nich nie wiedziały. To byłoby zbyt okrutne.

– No tak, wiesz, że nie chcę o tym rozmawiać – mówię jak zawsze. Mam kluchę w gardle; zapycham się kanapką, aby przemilczeć to, co mam do powiedzenia. Gryzienie się w język to moja specjalność.

– Ty i te twoje bezcenne prace – prycha niegrzecznie. – Prawda jest taka, że nie możesz utrzymać żadnej z nich na tyle długo, aby mieć o nich coś ciekawego do powiedzenia. Ile razy zmieniałaś posadę przez ostatni rok? Pięć, sześć? Pewnie więcej.

Ma rację. Chwytam się różnych zleceń. I prawdą jest, że żadne nie wypadło najlepiej.

Wstaje i podnosi swój pusty talerz, obraca go w dłoniach.

– Myślę, że miałaś kilkanaście głupich posad i ze wszystkich cię wylano. – Unosi talerz nad głowę. – Powiedz, co mam z tobą zrobić, Heather. Nie chcesz dać mi dziecka i nie masz stałej roboty. – Talerz leci przez pokój w zwolnionym tempie, roztrzaskuje się o ścianę nad stołem

do pracy. Okruchy zasypują jej ostatnie dzieło.

Próbuję przełknąć kanapkę, ale nie mogę; wypluwam ją na stół. Wstaję. Nogi mi się trzęsą.

– Wiesz, że chcę, abyś była szczęśliwa, Cecelio – szepczę, resztki jedzenia wypadają mi z ust. Łapię ją za wąskie ramiona, ona się wzdryga. – Ja tylko...

Milknę na widok jej twarzy – widzę w niej ufność, pragnienie, nadzieję.

Nie zawiedź mnie, czytam w jej oczach.

– Będziesz miała dziecko – mówię i wychodzę, chora na myśl o tym, co muszę zrobić.

## Rozdział 26

Bojler naprawiony, więc odkręcam ogrzewanie na cały regulator. Wspaniale chodzić po domu na bosaka, w luźnym T-shircie i spodniach od dresu. Mróz utrzymał się aż do popołudnia, osrebrzył naszą ulicę. Po jodze zadzwoniłam do pracy i powiedziałam, że nie przyjdę. Jestem zbyt zmęczona. Mogę pracować w domu, tu mi wygodniej. Zoe wyszła, pewnie ma coś do załatwienia; rozkoszuję się spokojem. Ale gdy siadam z plikiem dokumentów i listą telefonów do wykonania, ktoś dzwoni do drzwi. Podnoszę się z kanapy i człapię, żeby otworzyć. W progu stoją mężczyzna i kobieta tak poważni, że na chwilę zamiera mi serce.

Każda żona wojskowego żyje w strachu przed taką chwilą.

– Chodzi o Jamesa? – pytam w popłochu. Wyglądają tak, jak sobie wyobrażałam. Kobieta ma na sobie ciemny kostium ze spodniami i okulary słoneczne nad czołem, mężczyzna stoi sztywno w ciemnym, długim płaszczu. – Boże, powiedzcie mi, że nic mu nie jest. – Bez względu na charakter misji praca Jamesa jest często niebezpieczna. Wspomniał mi kiedyś, że w takich wypadkach przychodzą parami, że chłopcy i ja dostaniemy zapomogę. W ustach mi zaschło, a serce chyba zaraz wyskoczy z piersi.

– Jestem detektyw inspektor Scott, a to detektyw inspektor Fisher – informuje mężczyzna, jakby przeciwiczył tę kwestię tysiące razy.

– Kim jest James, kochana? Czy to pani mąż? – pyta z miłym uśmiechem kobieta. Przytakuję. – Bez obaw, przyszliśmy w innej sprawie. Pani Claudia Morgan-Brown?

Ponownie kiwam głową i biorę głęboki oddech.

– W czym mogę pomóc?

– Już byłam u pani. Rozmawiałam z opiekunką – wyjaśnia.



Czuję się winna, jakby mnie o coś podejrzewali.

– Ach tak? Nic mi nie mówiła.

– Możemy wejść? – pyta kobieta.

– Tak, oczywiście. – Usuwam się na bok. – Zapraszam do salonu.

Dzisiaj pracuję w domu. – Zbieram dokumenty i przekładam je na stolik. – Niech państwo usiądą. – Siadam obok kobiety, jej towarzysz lokuje się naprzeciw.

Żałuję, że nie ma ze mną Jamesa.

– Tak się składa, że przyszliśmy właśnie w sprawie pani pracy – wyjaśnia mężczyzna. – Nie zajmiemy pani dużo czasu.

Oddycham z ulgą.

– Postaram się pomóc – mówię. W pracy bez przerwy mamy do czynienia z policją, ale tylko raz spotkałam detektywów. Co nie zmienia faktu, że to się zdarza. Powoli się odprężam.

– Pewnie słyszała pani w wiadomościach, że doszło do ataku na drugą ciężarną kobietę – zaczyna detektyw Fisher. Zerka na mój brzuch i wiem, co sobie myśli, że nie powinna poruszać tego tematu, żeby mnie nie denerwować. – Na szczęście przeżyła – dorzuca krzepiąco.

– Za to jej dziecko miało mniej szczęścia. – Mężczyzna jest bardziej rzeczowy. – Czyli mamy do czynienia z kolejnym zabójstwem.

– To straszne. – Nie wiem, co powiedzieć.

– Nie chcemy pani denerwować... – Kobieta ponownie zerka na mój brzuch.

– Proszę mi wierzyć, w pracy napatrzę się na krzywdę dzieci – mówię szczerze. – Nie powiedziałabym, że człowiek dostaje znieczulicy, lecz umiem oddzielić życie osobiste od zawodowego. – Chcę, żeby zrozumieli. – Pracownicy opieki społecznej nie mieliby dzieci, gdyby tego nie potrafili. – Próbuję obrócić to w żart, ale mogłam sobie darować. Nawet się nie uśmiechają.

– Obawiam się, że zna pani ofiarę ostatniego ataku. Przykro mi, że jesteśmy posłańcami złych wiadomości. – Następuje chwila ciszy. Przygotowuję się na najgorsze. – Chodzi o Carlę Davis. Bardzo nam przykro.

Moje postanowienie, by nie łączyć życia osobistego z zawodowym, idzie w rozsypkę. Czuję się tak, jakby Carla siedziała w moim salonie i krzyczała, że ją zawiodłam, dopuszczając do czegoś takiego. Jak mogłam temu zapobiec?

Chowam twarz w dłoniach i tłumię szloch. Muszę się opanować. Przez wzgląd na Carlę. Muszę być silna i im pomóc.

– Boże jedyny – mówię. – Nie miałam pojęcia. – Coś mi się obilo o uszy, ale nie wiedziałam, że to Carla. Nie mogę w to uwierzyć. – Siedzę, ale kręci mi się w głowie. To straszna wiadomość.

– Bardzo mi przykro – dodaje detektyw Fisher. – Pani współpracownicy też byli wstrząśnięci.

– Wchodzimy w bliskie relacje z tymi ludźmi – mówię cicho. Trudno mi to ogarnąć. – Poznajemy ich, stajemy się częścią ich życia, czuwamy nad nimi i monitorujemy postępy celem zapewnienia im dzieciom lepszemu startowi w życiu. Wiem, że powiedziałam, że nie angażuję się emocjonalnie, ale to bardzo trudne.

– Doskonale to rozumiemy. – Chyba mówi szczerze. – Niestety, dziecku Carli odmówiono prawa do życia. Musimy pani zadać kilka pytań na jej temat. Jest w szpitalu i jak dotąd niewiele nam powiedziała.

Na te słowa ponownie chowam twarz w dłoniach. Aż mnie coś ściska.

– Proszę... – Unoszę rękę. – Powiem wam wszystko, co wiem, lecz wolałabym nie znać szczegółów... na temat tego, co ją spotkało. – Naprawdę chcę im pomóc. – Powiedzcie tylko, czy z tego wyjdzie?

– Za wcześnie, aby cokolwiek mówić – odpowiada mężczyzna. – Ale lekarze są pełni nadziei.

Uroczyście kiwam głową.

– Poznałam ją, kiedy miała dwanaście lat; znajdowała się już wówczas pod opieką naszego działu. Zdaje się, że to szkoła zgłosiła problem. Stara historia: kłopoty w domu, bezrobotna matka narkomanka, ojciec recydywista. Jej mama zmarła nie tak dawno temu.

– Chętnie dowiedzielibyśmy się czegoś o jej znajomych, zwłaszcza o potencjalnym ojcu dziecka.

Chwilę się zastanawiam. Nie chcę niczego pokręcić.

– Pamiętam, że miała jedną bliską przyjaciółkę. Chyba ma na imię Emily.

– A nie Emma?

– Tak, tak, Emma. Właśnie. Pochodzi z lepszego środowiska i nawet pomagała nam postawić Carlę na nogi. Carla była uzależniona od heroiny, podobnie jak jej matka.

Kobieta wszystko zapisuje.

– Proszę opowiedzieć nam coś więcej o narkotykach.

– Zawsze coś, jak nie marihuana, to tabletki, potem koka, wreszcie heroina. Praktycznie bez przerwy coś brała, odkąd wzięliśmy ją na celownik, aż do osiemnastego roku życia, kiedy zamieszkała we własnym mieszkaniu. Zdaje się, że wtedy przez parę miesięcy była czysta. Cięża chyba ją przywróciła do pionu, dała motywację do uzdrowienia swojego życia. – Wzdycham na wspomnienie naszej wizyty w jej nowym mieszkaniu. Modliłam się, żeby stanęła na nogi. – Nie chodzi o to, że przestaliśmy się nią interesować, miała skończone osiemnaście lat. Po prostu nasza uwaga skupiła się na jej nienarodzonym dziecku. Żadne dziecko nie powinno dorastać w warunkach, jakie miała do zaoferowania. – Potem myślę o jej martwym maleństwie i zbiera mi się na wymioty, a pokój wiruje przed oczami. Nie mogę się pogodzić z tym, co zaszło.

– Czy ma pani pewne przypuszczenia co do osoby ojca? – pyta mężczyzna.

Zastanawiam się.

– Spotykała się z różnymi mężczyznami – oświadczam po chwili. – Lecz o ile mi wiadomo, raczej na krótką metę. Młoda, samotna kobieta jej pokroju zawsze naraża się na pewne ryzyko. – Myślę o sobie. Reprezentujemy z Carlą dwa różne światy, lecz – jakkolwiek by na to spojrzeć – to ja mogłam być celem ataku. Pod nieobecność Jamesa jestem praktycznie samotną matką. – Lepiej zapytajcie Tinę Kent, moją współpracowniczkę. Ona miała ostatnio do czynienia z Carlą, ja tylko monitorowałam sprawę. Powinna mieć więcej informacji o ojcu dziecka.

– Już rozmawialiśmy z Tiną. Wzięliśmy od niej akta sprawy, ale wspomniała, że brakuje części dokumentów. Podobno pani je zabrała.

– No tak – przyznaję. Dawno miałam je oddać, ale są bezpieczne w gabinecie Jamesa. Nikt nie ma do nich dostępu. – Mogę przynieść, jeśli państwo chcą zobaczyć. Jako kierowniczka wydziału regularnie przeglądam akta spraw prowadzonych przez moich współpracowników. Swoista kontrola jakości. – Dźwigam się z kanapy.

– Dzięki – mówi detektyw Fisher. – Bardzo nam pani pomoże. – Po czym dodaje: – Ile jeszcze zostało? – Wskazuje na mój brzuch.

– Za długo – odpowiadam ze śmiechem. – Kilka tygodni, ale gdyby się pospieszyła, nie miałabym nic przeciwko temu.

– Ona?

– Badania wykazały, że to dziewczynka. Mam już bliźniaki, jestem ich macochą. Przyda mi się wsparcie.

– Ja mam dwie córki. Nastolatki. Szkoda gadać – informuje z uśmiechem detektyw.

Człapię do gabinetu i otwieram szafkę, którą James oddał mi do dyspozycji. Jeśli zabieram dokumenty z pracy, nie mogę ich zostawiać w samochodzie i na widoku, ale w sejfie pod kluczem są bezpieczne. Znajduję papiery i wracam do salonu. Na mój widok detektywi przerywają rozmowę.

– Proszę. – Podaję dokumenty. – Powinni państwo podpisać w biurze upoważnienie.

Detektyw Fisher wyjmuje formularz, na którym Tina już wyszczególniła pozostałe papiery. Dopisuję numer akt i zaświadczam parafką obok podpisu pani detektyw. Cieszę się, że postąpiłam jak należy. Przecież nie mogę nic zatajać przed policją.

– Mam nadzieję, że to coś da.

Przez kolejny kwadrans wypytują mnie o kontakty z Carłą, jej uzależnienie od narkotyków i stan psychiczny w czasie ostatniego spotkania, rodzinę, a nawet aspiracje. Chyba powinnam zaproponować im herbatę, ale chcę, żeby już sobie poszli. Z nerwów aż mi niedobrze.

Nareszcie wstają.

– Jeśli mogę coś jeszcze dla państwa zrobić – mówię, prowadząc ich do wyjścia – bardzo proszę o kontakt.

Oboje kiwają głowami i podają mi rękę. Kiedy się odwracają, nadchodzi Zoe z bliźniakami przytwierdzonymi po obu stronach. Ciągnie ich ścieżką w stronę drzwi. Zwalnia i patrzy na detektywów, po czym nagle spuszcza wzrok i odwraca głowę. Tamci prawie nie zwracają na nią uwagi; są pochłonięci rozmową, a gdy wychodzą na ulicę, mężczyzna wyciąga telefon.

Gdy Zoe przechodzi obok mnie, utyskując i mamrocząc pod nosem, jej upiorna chudość i bladość nie dają mi spokoju.

Potem znajduję mejl od Jamesa. Nie spodziewałam się go tak szybko. Serce tłucze mi się na myśl o tych paru liniijkach, które przysłał. Siadam na łóżku z kubkiem herbaty i patrzę na monitor laptopa ustawionego na kolanach. Chłonę wzrokiem nazwisko nadawcy i temat, zawartą w nich obietnicę. Tak strasznie za nim tęsknię.

Co tym razem ma do powiedzenia? Może to, że zawrócili i płyną do portu. A może pędzi już do nas autostradą, gotów porzucić karierę w marynarce. Przecież dalibyśmy sobie radę. Jestem pewna, że pieniądze ze spadku zapewniłyby nam spokojną starość, ale zdaniem Jamesa nie możemy jeszcze ich ruszać; ma poczucie, że do niego nie należą. Nie rozumiem tego, ale nie lubi, kiedy naciskam.

Popijam herbatę i klikam wiadomość. Tak jak podejrzewałam, jest krótka, pewnie na użytek cenzury.

Najdroższa Claudio, bardzo za Tobą tęsknię. Chłopcy zdrowi? Już na Śród, operacja zgodnie z planem. Jak zawsze mało czasu, ale sercem jestem przy Tobie. Jak sprawuje się Z? Mam nadzieję, że się spisuje. Napisz, co słyhać. Będę sprawdzał pocztę. Całuję mocno, James.

Listy zawsze są do siebie podobne, ale tym razem wspomniał o Zoe. Pewnie się cieszy, że nie zostałam zupełnie sama. W pobliżu nie mamy żadnej rodziny: rodzice Jamesa mieszkają w Szkocji, a moja matka przed laty wyemigrowała do Australii. Rodzina Elizabeth zamieszkuje na wyspach Santa Barbara, więc bliźniaki i moja córeczka nie mają kochających dziadków na zawołanie. Ale James widzi dobrą stronę

sytuacji i twierdzi, że przynajmniej mamy dokąd jeździć na wakacje.

Po raz pierwszy zostawił mnie samą dwa tygodnie po tym, jak razem zamieszkaliśmy. Znajomi szemrali, że za bardzo się pośpieszył po śmierci Elizabeth, że wziął sobie opiekunkę do dzieci, ale mnie to nie przeszkadzało. Pokochałam go od pierwszego wejrzenia i wiedziałam, że chcę z nim być, bez względu na uciążliwości związane z karierą w marynarce. Wzięłam go z całym majdanem, bez żadnych zastrzeżeń. Od początku chciałam urodzić mu dziecko, a on był za. Mówił, że w świetle jego częstych nieobecności możemy mieć pewien problem. Chciałam mu powiedzieć, że w takiej sytuacji problem nie będzie leżał po jego stronie.

Kładę głowę na poduszce i nasłuchuję. W domu panuje kompletna cisza. Zoe przed godziną wykapała i położyła chłopców, a ja im poczytałam i ucałowałam zwichrzone czupryny. Tulili się do mnie, pytali, kiedy wróci tatuś.

– Wychodzę – oznajmiła później w kuchni Zoe. Prawdę mówiąc, przyjąłam to z ulgą. Odwiedziny detektywów mnie rozstroiły. Miałam ochotę pooglądać telewizję, ale postanowiłam napisać do Jamesa i zobaczyłam, że mnie uprzedził.

– Zoe, Zoe, Zoe – wzdycham. Odkładam laptop na łóżko. Wciąż się martwię, że myszkowała w gabinecie. Nie podoba mi się myśl, że mogłaby wtykać nos w nasze sprawy.

Sięgam po książkę i próbuję czytać, ale nie mogę się skupić. Napiłabym się jeszcze herbaty. W przedpokoju słyszę, że któryś z chłopców się kręci, więc zaglądam do pokoju. Oscar zrzucił z siebie kołdrę i próbuje ją wymacać przez sen. Nakrywam go, cmokam obu bliźniaków i wychodzę, zamykając za sobą drzwi.

I znowu cisza. Czy Zoe już wyszła? Nie jestem pewna. Może też napiłaby się herbaty, ale nie chcę wołać, żeby nie obudzić urwisów. Wspinam się po schodach na strych, wmawiając sobie, że chcę okazać dobrą wolę, zaproponować jej herbatę, i wcale nie pcha mnie do tego ciekawość. Nie byłam na górze, odkąd się wprowadziła.

Prawie u szczytu schodów wypowiadam głośnym szeptem jej imię. Bez odpowiedzi. Zaglądam przez balustradę do niewielkiego

przedpokoju. Zostawiła włączone światło. Adidasy leżą rozrzucone na dywanie, ręcznik przewiesiła przez oparcie krzesła. Dziwny zapach wisi w powietrzu – trochę kwiatowy, lekko piżmowy, ale jakiś smutny i staroświecki. Przyciąga mnie jak magnes.

– Zoe? – powtarzam, wchodząc na górę. Podtrzymuję krzyż. – Jesteś tam?

Odpowiada mi cisza, więc zaglądam do saloniku. Wstawiliśmy dla niej telewizor, jest też stara kanapa i wygodny puf do siedzenia. Zakładaliśmy, że czasem będzie chciała kogoś zaprosić, ale jeszcze nie miała gości. Dopiero się rozstała z chłopakiem, więc chyba nie jest w zbyt towarzyskim nastroju. Nie wspomniała, dokąd wybiera się dziś wieczorem.

Delikatnie pukam do drzwi sypialni, lecz nie słyszę odpowiedzi. Zerkam w stronę schodów. Słyszę ciche pochrapywanie chłopców. Znam wszystkie dźwięki w tym domu – każde skrzypnięcie podłogi, pisk zawiasów, stukanie w rurach – lecz gdy teraz nadstawiam ucha, ogarnia mnie pewność, że Zoe nie ma w domu.

– Jesteś, Zoe? – próbuję ponownie, moja obsesyjna natura bierze górę. Nie chciałabym, aby pomyślała, że ją szpieguję, choć jeżeli mam być szczerą, chcę rozejrzeć się po jej sypialni. Bądź co bądź, to jednak nasz dom.

Uchylam drzwi i zaglądam do środka. Jest ciemno i niewiele widzę, mimo światła sączącego się z przedpokoju. Wytrzeszczam oczy. W pierwszej chwili zdaje mi się, że ktoś leży na łóżku, ale gdy otwieram szerzej drzwi, widzę tylko stertę odzieży i walizkę. Jakby zaczęła się pakować, po czym zmieniła zdanie.

Co, jeśli wróci? Zamieram i nasłuchuję, ale słyszę tylko własny oddech i szum łęku w uszach. Jeżeli nagle wróci, nie dam rady szybko uciec.

– Dajże spokój – mówię głośnym szeptem. – Przesadzasz. – To mój dom, mogę tu wchodzić, jeśli chcę. Mogłam czegoś szukać, przecież w przedpokoju stoi półka z książkami, a na niej moje stare podręczniki. Powiem jej, że czegoś szukałam.

Podnoszę sztuki rozrzuconej odzieży – jest tu cała masa ubrań, które nosiła ostatnio. Koszulki, dzinsy, bawełniane koszule i dwa rozpinane swetry leżą na łóżku, na skłębionej pościeli. Może to rzeczy do prania. Może chciała znieść je na dół w walizce, choć wydaje się trochę na to za duża.

Widok krwi zapiera mi dech. Cofam się, ze świstem wciągając powietrze, ale zaraz nachylam się nad rdzawą plamą na lewej stronie bluzy. Na podszewce widnieje zaschnięta plama czegoś, co zdecydowanie przypomina krew. Wodzę po niej palcem. Jest sucha i zakrzepła. Podnoszę bluzę do nosa i czuję mdlącą, metaliczną nutę. Dopadają mnie lekkie mdłości, ale zaraz wyrzucam sobie głupotę. Pewnie tylko się skaleczyła, przy czym ranka musiała być dosyć poważna. Odkładając bluzę, zauważam rozdarcie na barku i ciemniejszą wokół plamę krwi.

Ponownie sięgam po bluzę i trzymam ją dwoma palcami. Próbuje przełknąć, ale zaschło mi w ustach. Boże, a jeśli zrobiła krzywdę któremuś z chłopców. W głowie mam mętlik, ale zaraz uświadamiam sobie, że to bezsens. Wówczas krew byłaby też na ich ubraniach, więc na pewno bym coś zauważyła. Chyba że je wyprała...

– Powiedzieliby mi – mówię na głos, zapominając, że Zoe może wrócić lada chwila. Poza tym Noah nie jest typem ofiary.

Ale nie daje mi to spokoju. Ostatnio mam napady paranoi i wcale mi się to nie podoba. James powiedziałby, że to hormony biorą górę nad rozsądkiem, że targają mną niekontrolowane uczucia. Moim zdaniem po prostu martwię się o rodzinę – może za bardzo, ale nic na to nie poradzę. Z chwilą narodzin dziecka będziemy w komplecie i stanę się wojowniczą matką. Jak mam ufać Zoe po tym, co widziałam?

Czując lekkie zawroty głowy, odwracam się od łóżka i pokój wiruje mi przed oczami, jakbym siedziała na rozpędzonej karuzeli. Mam łzy w oczach; wiem, że bez powodu, lecz nie mogę się opanować. Co przede mną ukrywa? Coś na pewno.

W przypiływie lekkomyślności otwieram szafę. Od razu widać, że w kwestii własnego dobytku moja niania nie ma za grosz zmysłu



organizacyjnego. W szafie też panuje nieopisany bałagan. Nagle zauważam test ciążowy – taki sam, jaki wypadł jej z torby zaraz po przyjeździe. Pudełko leży obok butów na dnie szafy, jakby je tam wrzucono. Podnoszę. Z opakowania usunięto folię. Zaglądam do środka: jednego testu brak, drugi przełamano na pół. Chyba nie był używany. Po co Zoe przyjęłaby tę pracę, gdyby myślała, że jest w ciąży?

– Może to ma związek z jej rozstaniem – mówię ściszym głosem, chociaż to nie moja sprawa. Ale byłaby moja, gdyby test wypadł pozytywnie.

Chowam kawałki testu z powrotem do pudełka. Czemu go połamała? Zdenerwowała się wynikiem? Może chciała zająć w ciążę – albo i nie. Dociekania na temat jej życia osobistego nie mają sensu. Lepiej zapytać wprost. Ale domyśliłaby się wówczas, że ruszałam jej rzeczy.

Na widok małego cyfrowego aparatu fotograficznego serce drży mi z ciekawości. Leży na dnie szafy, jakby go tam wrzucono albo wypadł z kieszeni. Ślina napływa mi do ust na myśl o przejrzeniu jej zdjęć, ale serce wali ze zdenerwowania. Tylko dlatego, że Zoe coś ukrywa. Tak przynajmniej sobie wmawiam.

Podchodzę do drzwi i znów nadstawiam ucha. Chrapanie ustało i w domu panuje kompletna cisza, nie licząc stukania w kaloryferze, który znów się rozgrzewa. Wiem, że muszę to zrobić, chociaż James postukałby się w czoło. „Dajże spokój, Claudio. Chodź, posiedzimy przy kominku”. Prawie słyszę jego poirytowany głos.

Podnoszę aparat i wyjmuję go z cienkiego futerału. Wygląda na drogi; to nowszy model niż ten, który mamy z Jamesem. Włączam, na szczęście działa tak samo. Przysuwam się do drzwi, nasłuchując jednym uchem odgłosów z dołu. Czy usłyszałabym stąd szczęk frontowych drzwi?

Przeglądam zdjęcia, uśmiechając się pod nosem. Sfotografowała chłopców w sali zabaw, Lilly też się załapała. Następnym kilkanaście przedstawia Pip, która chyba nie wiedziała, że jest fotografowana. Jest też kilka z naszej wizyty w zoo, ale są ciemne i rozmyte. Następnie parę

zdjęć naszej ulicy. Jakby uwieczniła ją z obydwu końców; na kilku centralnym punktem jest nasz dom. Pewnie chciała je wysłać rodzinie i znajomym, pokazać, gdzie pracuje. To normalne, myślę sobie. Mamy szczęście, że mieszkamy w tak dobrej dzielnicy.

Sens kolejnych zdjęć w pierwszej chwili do mnie nie dociera; cofam i oglądam od początku. To chyba zdjęcia dokumentów. Nie widzę dokładnie, ale jest ich mnóstwo, wszystkie takie same... a zarazem nieco inne. Zawieszam palce nad przyciskami aparatu, niepewna, który służy do zbliżeń, ale zaraz sobie przypominam. Powiększam pierwsze z brzegu zdjęcie: w ustach mi zasycha, a serce tłucze tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Opieram się o ścianę, żeby nie upaść.

– Boże – mówię, a litery tańczą mi przed oczami. – Co to ma...

Wyteżam wzrok, żeby się doczytać, ale nie muszę. Nazwisko w nagłówku mówi wszystko.

Nagle słyszę znajomy dźwięk zatraskiwanych drzwi. Biegnie po schodach, tupot roznosi się po cichym domu.

A niech to wszyscy diabli.

Gorączkowo próbuję wyłączyć aparat i schować go z powrotem do futerału. Chcę go zapiąć, ale zamek się zacina. Wrzucam aparat z powrotem do szafy, a następnie idę kaczym chodem do przedpokoju, zamykając za sobą drzwi. Słyszę zbliżające się kroki Zoe. Nuci pod nosem, jakby miała dobry humor. Jestem zbyt wolna, nie zdążę nawet na pierwsze piętro. Nie ma siły, żeby mnie nie przyłapała na schodach, więc klękam przed biblioteczką. Próbuję uspokoić oddech.

– Tylko się nie przestrasz, Zoe – mówię w miarę normalnie, bez podnoszenia głosu. Nie chcę obudzić chłopców. – Przyszłam po książkę.

– Aha. – W głosie Zoe brzmi zaciekawienie. Między drążkami balustrady widzę jej głowę. Dzieli nas niewielka odległość, jakby jedna z nas siedziała w klatce. Mam przeczucie, że chodzi o mnie.

– Wybacz – dodaję. – Ma tytuł *Opieka społeczna i prawo*, nigdzie nie mogę jej znaleźć. – Wodzę palcem po grzbietach. Wiem dokładnie, gdzie jest, ale udaję, że jej nie widzę.

Zoe podchodzi i kuca obok mnie. Kręci głową na boki.

– Tutaj. – Czuję na policzku jej świdrujący wzrok.

Wyjmuję książkę.

– Dzięki. – Odwracam się do niej. Nasze twarze dzieli kilkanaście centymetrów. – Chyba jestem ślepa. – Słowa rozładowują napięcie. Usiłuję podnieść się z klęczek.

Zoe ze śmiechem podaje mi rękę.

– Dobrze, że wróciłam – mówi. – Bo utknęłabyś tu do rana. – Jakby dawała mi do zrozumienia, że wie, co robiłam.

– Uratowałaś mnie. – Wtóruję śmiechem, po czym idę w stronę schodów.

– Dobranoc – mówi cicho, kiedy znikam jej z oczu.

– Dobranoc – odpowiadam i wchodzę do swojej sypialni.

Natychmiast włączam komputer. Po chwili wpisuję w wyszukiwarkę nazwisko „Zoe Harper”, jakby moje wcześniejsze poszukiwania poszły na marne. Wyskakują wyniki z Facebooka oraz innych portali społecznościowych. Sprawdzam wszystkie, ale to nie ona. Znajduję masę filmów zamieszczonych przez ludzi o tym nazwisku, dane adresowe, nazwy firm oraz całą masę innych wyników. Przeglądam większość, ale jest ich za dużo. Pół godziny później wiem dokładnie tyle samo, co na początku.

Dzwonię do Jamesa, byle usłyszeć jego głos na sekretarce. Nie ma sensu zostawiać wiadomości, i tak odsłucha ją dopiero po powrocie. „Kochanie, potrzebuję cię. Bardzo się boję”, szepczę, kiedy się rozłączam. Zastanawiam się, czy nie wysłać mu wiadomości, ale będzie się tylko zamartwiał.

W ubraniu kładę się na łóżku. Patrzę na sufit. Nie mam pojęcia, co robić. Dlaczego, ach dlaczego moja niania fotografowała kartotekę Carli Davis?

## Rozdział 27

Lorraine odchodziła od zmysłów z niepokoju o Grace. Nie dlatego, że córka nie odbierała telefonu – często to robiła i z opóźnieniem odpisywała na wiadomości – ani dlatego, że tego ranka zapomniała kanapek do szkoły i opuściła jazdę (rozeźlony instruktor zadzwonił w trakcie spotkania). Nie, Lorraine czuła, że któregoś dnia Grace po prostu nie wróci do domu.

Wzięła do ręki butelkę cabernet. Było stanowczo za wcześnie na kieliszek, nawet malutki. Picie wina nie poprawi sytuacji, a już na pewno nie skłoni córki do zmiany zdania. Odłożyła butelkę na stojak.

– Grace, Grace, Grace...

Oparła się o zlew i z namysłem utkwiała wzrok za oknem. Zastanawiała się, ile czasu upłynie, zanim ludzie zaczną plotkować po tym, jak Grace rzuci szkołę, wyprowadzi się z domu, wyjdzie za mąż. Będą się gubić w domysłach: a to rodzice nie dali rady, biedna dziewczyna uciekła, była molestowana, zaszła w ciążę, wyrzucili ją z domu... Lorraine zadrzała. Cokolwiek powiedzą, to ona, matka, zbierze największe baty. Może słusznie. Jeśli Grace była nieszczęśliwa, jeśli wolała zamieszkać z rodziną Matta, to musi być wina jej matki. Ostatnio rzadko gościła w domu, prawie non stop była na służbie. Nie pamiętała, kiedy ostatnio oglądała mecz córki albo zjawiała się na szkolnym zebraniu. Co do kina, wspólnych zakupów i lunchu w sobotę rzecz miała się nie lepiej. A co ze zwykłą pogawędką przy kuchennym stole, jak matka z córką?

Lorraine zasłoniła twarz i znowu sięgnęła po wino. Tym razem je otworzyła.

– Ciekawe, jak niepracujące matki poradziłyby sobie z taką pracą jak

moja, mężem, który myśli, że może... może... – Z rozpaczą przymknęła oczy. – I córką, która uparła się zniszczyć sobie życie. – Napęła kieliszek i wzięła łyk. Siedziała zgarbiona przy stole, mamrocząc pod nosem.

– Co mówiłaś, mamó?

Zanim Lorraine uświadomiła sobie obecność młodszej córki, Stella już myszkowała w lodówce. Czy rozumiała coś z matczynych wynurzeń? Cokolwiek się działo, nie chciała, żeby dziewczynki cierpiały przez to, co zrobił Adam. Nie, to sprawa między rodzicami, chociaż nie była pewna, czemu go chronić. Może upublicznienie słabości męża obnażyłoby jej własną; dowiodłoby, że nie zdołała go przy sobie utrzymać. Pytanie tylko, jak długo podtrzyma tę fikcję.

Ach... odepchnęła tę myśl i przytuliła Stellę.

– Tęskniłam za tobą, malutka – powiedziała.

– Wieki mnie tak nie nazywałaś.

Lorraine poczuła, że córka odwzajemnia uścisk, i na parę sekund życie wróciło do normalności.

– Teraz nazywam. Malutka.

Wymieniły uśmiechy i Lorraine przemknęła myśl, że przynajmniej jedna osoba w rodzinie nie zwariowała.

Stella odsunęła się delikatnie i podjęła przegląd lodówki.

– Co na kolację? Umieram z głodu.

– O której wróci Grace, kochanie? – Przyszło jej do głowy, że jako matka powinna znać odpowiedź na to pytanie. Zawstydziała się, że musi pytać Stellę. Pomyślała też, że powinna była podjechać do sklepu.

– Mówiła, że nie... – Stella nie dokończyła i spiekła raka. Chmura jasnych loków zasłoniła jej twarz, gdy z namysłem pochyliła głowę. – Raju, w sumie to nie pamiętam, czy mówiła, o której będzie.

– Stello... – rzuciła ostrzegawczo Lorraine.

– Może później?

Mimo przypływu paniki Lorraine ujęła córkę delikatnie za ramiona.

– Gdzie twoja siostra?

– U Matta? Z walizką? – Brzmiało to raczej jak pytania niż

odpowiedzi, ale wystarczyło. Czy Grace opowiedziała Stelli o swoich planach? Lorraine wiedziała, że dziewczynki są żywe.

– Dziękuję, kochanie. Kolację zamówimy. – Popędziła w stronę schodów. – Jak tylko przywiozę twoją siostrę.

Na górze zajrzała do pokoju Grace. W środku panował nieopisany bałagan; ciężko było stwierdzić, czy właścicielka znajdowała się w trakcie przeprowadzki, czy przeszła tędy trąba powietrzna. Ale wystarczył rzut oka na toaletkę: większość kosmetyków znikła, a wraz z nimi zdjęcia Matta zatknięte za ramę lustra.

– Kurwa.

Lorraine popędziła z powrotem na dół, złapała kurtkę, torbę oraz kluczyki – na szczęście zdążyła wypić tylko łyk wina – i przygotowała się na konfrontację.

Spisanie numerów rejestracyjnych chłopaka Grace było pomysłem Adama. Wtedy Lorraine zrywała boki ze śmiechu, a teraz znajdowała się na granicy hysterii, wspominając, jak zezował zza firanki, ubrany w same bokserki. Patrzył, jak Grace i Matt czule mówią sobie dobranoc na przednich siedzeniach czerwonej mazdy. Zaparowana przednia szyba utrudniała mu zadanie, dowodząc przy tym niezbitcie, iż sytuacja jest wielce podejrzana.

– Podejrzana? – spytała wówczas Lorraine. – A cóż jest podejrzanego w pocałunku dwojga zakochanych nastolatków?

Było to jeszcze przed pamiętnym wyznaniem Adama. Jeszcze byli szczęśliwi, tak przynajmniej myślała.

– Nie podoba mi się to, i już – wycedził z okiem przyklepionym do firanki.

– Zostaw ich w spokoju. – Lorraine poklepała miejsce obok siebie. – Przynajmniej przywiózł ją o przyzwoitej godzinie. Mogło być znacznie gorzej.

Adam odchrząknął i zaczął się miotać po sypialni.

– Czego szukasz?

– Kartki i długopisu.

– Po co?

– Żeby spisać jego numer rejestracyjny.

– Och, na miłość boską – jęknęła Lorraine, gasząc nocną lampkę. – Kładź się wreszcie. – Ale on dalej tłukł się po ciemku. – Zapisz w telefonie, jeśli nie możesz znaleźć.

– Ładuje się w kuchni.

– Jasny gwint. – Lorraine włączyła z powrotem światło i rzuciła mu długopis. – Masz, weź mój.

Teraz, jadąc w stronę Selly Oak, gdzie mieszkał Matt, dziękowała w duchu za obsesję Adama. Wystarczyły dwie minuty, aby uzyskać przez telefon adres, na który zarejestrowany był samochód. Dotychczas ta wiedza, jak i poznanie rodziców Matta wydawały się zbyteczne. Adam i Lorraine uznali, że związek niebawem się wypali, tak jak wszystkie poprzednie. Po prostu nie mieli czasu bawić się w uprzejmości z teściami.

Wjeżdżając na ulicę Matta, Lorraine wydała zduszone westchnienie. Grace wspomniała kiedyś, że ojciec Matta pracuje w szpitalu, jednak Lorraine nie przywiązała wówczas do tego wagi. Przyszło jej do głowy, że jest portierem, ochroniarzem, może pielęgniarzem. Widok okolicznych domów uświadomił jej, że to najprawdopodobniej lekarz. W normalnej sytuacji bardzo by się ucieszyła. Obecnie myślała tylko o tym, że się szarpnie na wystawne wesele i sprawi nowożeńcom własne lokum.

Cranley Lodge okazało się wielką posesją w stylu Tudorów z rozległym ogrodem od frontu i szerokim podjazdem. Przed budynkiem stały rzędem trzy samochody: range rover, mercedes oraz mazda Matta, smukła MX coś tam, która wzbudziła poważne zastrzeżenia Adama. „Kto kupiłby coś takiego młodemu kierowcy!”. Nadziany rodzic, skonkludowała Lorraine, choć wówczas wzięła stronę Matta i wyraziła przypuszczenie, że może pracował w soboty i odłożył sobie z kieszonkowego. I jak na ironię podkreśliła zdrowy rozsądek chłopaka.

Kiedy wysiadała z samochodu, zadzwonił telefon. Adam. Wysłuchała uważnie, co miał do powiedzenia, prawie się nie odzywała, po czym oznajmiła, że wróci za pół godziny i porozmawiają. Nawet to,

czego dowiedział się o Carli Davis, nie zachwiało jej postanowieniem. Nacisnęła dzwonek, energicznie łomocząc przy tym w skrzynkę na listy.

Chciała odzyskać córkę.

– Dzień dobry. – W progu stanęła drobna kobieta tuż po pięćdziesiątce. Była elegancka i zadbana. Typowa żona lekarza, pomyślała Lorraine z goryczą, odruchowo poprawiając włosy.

– Jestem detektyw inspektor Fisher – oznajmiła grobowym tonem. Patrząc, jak umalowana, przypuszczalnie wybotksowana twarz kobiety produkuje coś na kształt marsa na czole, uznała, że to chyba jedyny punkt na jej korzyść.

– Coś się stało?

– Zastałam pani syna? – spytała Lorraine, nadal urzędowym głosem. Pragnęła, aby tamta doświadczyła chociaż w jednej dziesiątej takich męczarni jak ona.

– Matta? Owszem. A dlaczego?

Lorraine odczekała ułamek sekundy dla wzmocnienia efektu, po czym zmusiła się do uśmiechu.

– To dobrze, w takim razie moja córka również tu jest. – W tej samej chwili zobaczyła znajome walizki w holu. Na ten widok przewróciło jej się w żołądku.

– Aaach – powiedziała uprzejmie kobieta. – Pani jest... proszę wejść.

– Usunęła się na bok. – Chyba oglądają film. Właśnie gotowałam...

– Przykro mi, ale Grace nie zostanie na kolacji. Zabieram ją do domu.

Matka Matta okazała pewne zdziwienie, lecz na przekór gburowatym manierom gościa zachowała niezmałony spokój.

– Zawołam ją. Pewnie chce pani porozmawiać. – I nim Lorraine zdążyła zaproponować, że nie przyjechała strzepić sobie ozora, odwróciła się i poszła.

Po chwili w holu zjawiła się naburmuszona Grace. Lorraine, o dziwo, poczuła treść.

– Co ty tu robisz? – Grace miała kapcie na nogach, ręce wojowniczo skrzyżowała na piersi. Oparła się o ścianę.



– Przyjechałam po ciebie, skarbie. – Lorraine wysiliła się na spokój. Zaschło jej w gardle.

– Nie, mamie – oznajmiła Grace. – Już ci powiedziałam. Mieszkam teraz z Mattem. – Matt stanął u boku dziewczyny i prowokacyjnie opasał ramieniem jej biodro. Jego matka dopełniła szyku: stanęli jak mur graczy przeciwnej drużyny. – Oglądamy film, a Nancy gotuje curry. – Grace obrzuciła tklwym spojrzeniem wyżej wspomnianą.

Nancy, pomyślała z goryczą Lorraine. Zbierało jej się na płacz.

– No cóż, nie obejrzysz filmu i nie zjesz curry. Wracasz ze mną do domu.

– Wykluczone. Wyprowadziłam się i teraz mieszkam tutaj. Nie powstrzymasz mnie. – Grace westchnęła, jakby sama nie wierzyła we własne słowa, ale nie ruszyła się z miejsca. Matt przysunął się bliżej.

– Mama się o ciebie martwi, Gracie – wtrąciła Nancy.

Gracie! Lorraine mało nie eksplodowała.

– Obawiam się, że ona ma to w nosie – powiedziała do Nancy. – Przepraszam za zamieszanie.

– Żaden problem – oznajmiła wspaniałomyślnie Nancy. – Grace jest tu mile widziana.

– To bardzo miło z pani strony, ale... Masz jechać ze mną, Grace. Ale już. – Jeszcze jeden ostrzegawczy błysk w oku, zaciśnięcie ust i błagalne spojrzenie, które córka miała wziąć za ostatnie słowo, ale Grace tylko się uśmiechnęła, po czym odwróciła się na pięcie i poszła.

– Wybacz, mamie – rzuciła przez ramię. – Matt i ja jesteśmy zaręczeni. Mieszkamy razem i koniec. No to cześć. – I znikła w salonie, a Matt za nią.

Po krótkiej rozmowie z Nancy Lorraine musiała dać za wygraną. Nie mogła uwierzyć w to, co zaszło. Dlaczego tak łatwo się poddała? Czemu stała z założonymi rękami? Mogła siłą wywlec Grace, nawrzeszczyć na nią, zakuć w kajdanki! Czuła się bezsilna, wściekła jak osa i beużyteczna, a do tego sfrustrowana jak nigdy w życiu. Wróciła do domu jak w letargu, rozpamiętując całe zdarzenie.

– Odeszła – powiedziała cicho już przed domem. – Zabrali mi ją.

W porównaniu z posiadłością Barnesów ich dom robił niechlujne i z lekka przygnębiające wrażenie. Przed wejściem do środka Lorraine wyjęła komórkę i wystukała wiadomość do Grace. „Musimy porozmawiać. Proszę. X”.

W salonie zastała Adama pochylonego nad swoim laptopem.

– Co tam? – spytał w odpowiedzi na trzaśnięcie drzwiami i odgłos kurtki rzuconej na schody. – Gdzie Grace?

– Wyprowadziła się z domu.

Adam wstał i wyciągnął do niej rękę. Odsunęła się i poszła do kuchni. Tym razem bez skrupułów sięgnęła po napoczęty kieliszek.

– Jest u Matta. Pojechałam po nią. Ledwo raczyła się do mnie odezwać i odmówiła powrotu do domu. Mogłam ją obezwładnić, ale urządziłaby scenę. Sama nie wiem... – Łzy zapiekły ją pod powiekami. – Sama nie wiem, co robić. Ona odeszła. Odeszła!

– Ach, Ray. – Adam podszedł bliżej. Tym razem się nie odsunęła.

– Zmarnuje sobie życie. Co z egzaminami, uniwersytetem, marzeniami o karierze?

Adam westchnął.

– Jeśli postanowiła rzucić szkołę i zamieszkać z Mattem, chyba nie pozostaje nam nic innego, jak ją wesprzeć. Ani się obejrzysz, jak skończy osiemnaście lat i postawi na swoim.

Nie wierzyła własnym uszom. Przecież jeszcze niedawno ryczał „Ja nie pozwolę!”. Patrząc z perspektywy czasu, chyba miał łatwiej. O wiele łatwiej. Jasne, też zmieniał pieluchy i wstawał podać w nocy butelkę, ale gdy chodziło o zwolnienie z pracy – na urlop opiekuńczy lub w razie choroby – pogoń za awansem lub oddelegowanie do ważnej operacji, to ona była na przegranej pozycji. Nawet teraz to Adam kierował sprawą Frith/Davis, jego uważano za najlepszego kandydata – kandydata! – do tej roboty. Lorraine nigdy nie uważała się za walczącą feministkę; żyli, jak żyli, i nie zgłaszała pretensji, jednak czasem doskwierała jej niesprawiedliwość sytuacji, nigdy zaś nie była tak rażąca jak teraz.

– Posłuchaj – zaczęła i uświadomiła sobie, że zapomniała wstąpić po chińszczyznę. – Mówię tylko, że działa pochopnie. Musimy wkroczyć i

zapobiec katastrofie, inaczej będzie tego żałowała do końca życia.

– Myśli, że jest zakochana. I może jest. Dajmy jej czas i poczekajmy na rozwój wydarzeń.

– Kiedy ona nie ma czasu. Co z egzaminami? Musi mieć dobre oceny, żeby się dostać na studia... – Lorraine urwała. Nie było sensu się z nim spierać, poza tym w kuchni pojawiła się Stella w grubych skarpetach i w jednym z obszernych swetrów Adama.

– Konam z głodu, mamó. I zamazam.

Adam zdjął z lodówki menu i sięgnął po telefon. Stella odruchowo wrzasnęła do siostry, że zamawiają chińszczyznę, na co Lorraine objęła ją za ramiona i wyjaśniła, że Grace nie ma w domu i raczej długo nie będzie.

– Mów, o czym chciałeś ze mną porozmawiać – powiedziała później do Adama.

Zawarli umowę, że nie wyjdą już dzisiaj z domu, chyba że stanie się coś naprawdę ważnego. Gdyby przełom, o którym wspomniał przez telefon, faktycznie był tak przełomowy, zdążyłby do niego nawiązać.

– Przeczytałem coś w kartotece Carli Davis.

– W tej, którą kuratorka miała w domu? – upewniła się Lorraine.

Adam kiwnął głową. Wyciągnął się na starej kanapie. Koszula wylazła mu ze spodni, ale Lorraine udawała, że nie widzi. Wiedziała, że jest wysportowany, i piekielnie ją to wkurzało. Jej brzuch przeżył dwie ciąży i popadł w stan poważnego zaniedbania, podczas gdy brzuch Adama był pięknie wyrzeźbiony, wyćwiczony i dokarmiany kielkami. Zwykle nie czuła zakłopotania swoim wyglądem, ostatnio jednak wywiązało się między nimi coś na kształt rywalizacji, przynajmniej tak jej się zdawało. W kwestii wytrenowania mogła się przy nim schować.

– No i?

– Znalazłem wzmiankę, że w szesnastym tygodniu ciąży miała mieć przeprowadzoną aborcję. W znieczuleniu ogólnym.

– Rozumiem. – Lorraine objęła się ramionami.

– Ale najwyraźniej zrezygnowała – uzupełnił.

– Czy wiemy dlaczego?

– Kuratorka dopisała tylko, że Carla zmieniła zdanie. – Adam wzruszył ramionami.

– Tak czy siak, na jedno wyszło – stwierdziła chłodno Lorraine.

– Owszem, ale tak naprawdę to jedyny wspólny mianownik obu spraw, oczywiście pomijając metody działania sprawcy.

Lorraine chwilę się zastanawiała.

– Obie kobiety miały zaplanowaną aborcję, ale zrezygnowały. – W ciszy słychać było jedynie syk gazowego płomyka. Zawsze to jakiś punkt zaczepienia, pomyślała, chociaż raczej niepewny. – A jak tam wyniki drugiego testu próbki DNA z mieszkania Carli? – Chodziło o włos w odcieniu innym niż włosy Carli i jej przyjaciółki. Znalezione go na ubraniu Carli i wysłano do analizy.

– Jest szansa, że będą jutro. Powinniśmy już mieć wyniki z łazienki Sally-Ann, ale mieli jakiś poślizg. – Adam się skrzywił. Opieszałość laborantów nie była niczym nowym. Usiadł i włączył wieczorne wiadomości. – Czekamy też na analizę tego, co Carla miała pod paznokciem, lecz nie wiązałbym z tym większych nadziei.

Lorraine była tego świadoma. Podkuliła nogi i patrzyła, jak mąż ogląda wiadomości. Próbowwała go zrozumieć, rozgryźć jego stosunek do wyprowadzki Grace, ale nie mogła. Stwierdziła, że jeśli nadal będzie rozmyślać o Sally-Ann, Carli Davis, ciążyach i zagubionych nastolatkach, ani chybi nie zmruży oka. Wstała i życzyła Adamowi dobrej nocy w nadziei, że następnego dnia przyniesie lepsze wiadomości.

## Rozdział 28

Moje pierwsze spotkanie z Jamesem miało dość osobliwy charakter. Odbył się w nieprawdopodobnych okolicznościach, choć spotkania tego rodzaju to dla mnie codzienność. Różnica polegała na tym, że nie chodziło o rodzinę patologiczną i nie spodziewałam się zakochać w mężczyźnie, do którego synów mnie oddelegowano.

Gdybym znała całą sytuację, pewnie darowałabym sobie wizytę. Dzieci miały dobrą opiekę. I nie poczułabym ukłucia zazdrości, jadąc wysadzaną drzewami aleją w poszukiwaniu wskazanego adresu. Była to z grubsza ulica moich marzeń: piękne domy pełne uczucia i wzajemnej troski, rozkochani w sobie rodzice, a przede wszystkim szczęśliwe dzieci.

Podobały mi się wszystkie bez wyjątku: wolno stojące wiktoriańskie posesje z czerwonej cegły z wielkimi oknami oraz igławami chilijskimi w wypielęgnowanych ogrodach od frontu i utrzymane na biało georgiańskie rezydencje, których wielkie okna odbijały sielską ulicę. Stanowiły dokładne przeciwieństwo mojego skromnego mieszkania. Lubiłam mój dom wraz z jego pustką, ale to było coś niezwykłego.

Ktoś tu śpi na pieniądzech, pomyślałam, zajeżdżając przed posiadłość, do której mnie przysłano. Domy, w których zwykle bywałam, w niczym nie przypominały tego, co ukazało się moim oczom. Naturalnie byłam jak najdalsza od założenia, że pieniądze są równoznaczne z należytą opieką nad dziećmi. Bogatym rodzicom też zdarza się zaniedbywać swoje latorośle. To po prostu mniej rzuca się w oczy. Lub niewielu ma odwagę na nich donieść.

Podeszłam do drzwi wejściowych, nie mając pojęcia, że za trzy miesiące ten dom stanie się moim. Stałam na przestronnej werandzie z

cienką, nieskalaną kartoteką dwóch bliźniaków, Oscara i Noaha, którzy stracili matkę. Od jej śmierci minął tydzień, ojciec był nieosiągalny. Ponieważ zostaliśmy poinformowani, że jest wojskowym, konieczna była rutynowa wizyta celem zapoznania się z planami rodziny wobec dzieci. Wtedy nie rozumiałam, dlaczego ich ojciec wyjechał i zostawił chorą żonę. Dziś wiem, że nie miał wyboru.

– Proszę, niech pani wejdzie – powiedziała z rezygnacją kobieta, która otworzyła mi drzwi. Była wytworna i chuda jak patyk, szpakowate włosy upięła w luźny kok. Z kościstych barków zwisał rozpinany różowy sweter. Dodała, że ma na imię Margot, i ponownie zaprosiła mnie do środka. W całym domu pachniało nieszczęściem, lecz zносиła je z godnością, która nadawała jej postawie chłodny, a zarazem heroiczny wymiar. Jej córka zmarła na raka trzustki. Prócz Margot nie było nikogo, kto zająłby się bliźniakami. Zięć służył w marynarce i właśnie przebywał na tajnej misji. Jego przełożeni odmówili naruszenia zasad bezpieczeństwa narodowego i przekazania mu wiadomości, nie chcieli też zdradzić miejsca jego pobytu. O śmierci żony dowie się dopiero po powrocie do domu.

– Elizabeth i James byli przygotowani na najgorsze – dodała Margot. – Po prostu nie zdawali sobie sprawy, że to nastąpi tak szybko. Cięża ją dobiła, jeśli chce pani znać moje zdanie.

Jej słowa zapaliły mi w głowie światełko. Czyżby obwiniła za wszystko dzieci?

Poszliśmy do kuchni; podeszła do drzwi ogrodowych i podważyła je butem z czarnej, lakierowanej skóry. Zapaliła cienkie cygaro.

– Dla ścisłości: przy dzieciach nie palę.

– Palenie zawsze stanowi problem – odparłam ze zrozumieniem. Właśnie straciła córkę. Doszłam do wniosku, że na cygaro – po raz pierwszy widziałam je w ustach kobiety – mogę przymknąć oko.

– Wykryli raka dopiero, kiedy zaszła w ciążę. Odmówiła przerwania. Po przyjściu dzieci na świat rozpoczęła chemioterapię. Dawali jej rok, może dwa, z chłopcami. – Westchnienie uleciało z jej ust z obłoczkami szarego dymu, który wpadł z powrotem do kuchni,

niesiony ciepłym wiatrem. Pościel łopotała na sznurku rozwieszonym w ogrodzie. Był to jeden z tych rzadkich, letnich dni, których nie zmać nawet rozmowa o śmierci. – Nie mieli racji. Ale jakaś jej część pozostała przy życiu.

– Ile miała lat? – zapytałam. Nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Trzydzieści dwa – odpowiedziała. – Na pewno chce pani zobaczyć dzieci. – Zgasiła połówkę cygara pod strumieniem zimnej wody, a następnie wrzuciła ją do śmietnika. – Śpią, ale możemy ich obudzić. Niedługo pora karmienia.

– Bardzo chętnie – odrzekłam.

Zostawiłam torbę i kartotekę na stole w kuchni i ruszyłam za Margot po schodach. Dom był wspianały, lecz zachował swojski, lekko wyświechtany wystrój. Pamiętam, że zwróciłam uwagę na wzorzysty chodnik na schodach – potem dowiedziałam się, że to szkarłatno-granatowy axminster – miejscami wydeptany prawie na wylot. Pręty balustrady zaśniedziały, kilku brakowało. Później kazałam je uzupełnić i wypolerować, ale chodnik pozostał. Zmieniłam parę rzeczy, głównie kolor ścian i zasłony, nie chciałam jednak zatracić atmosfery tego miejsca. To byłby cios dla Jamesa.

– To ich pokój – oznajmiła Margot i lekko pchnęła drzwi. Pod przeciwległą ścianą stały obok siebie dwa dziecięce łóżeczka. W przyćmionym świetle zobaczyłam, że jeden maluch kręci się pod wełnianym kocykiem. W powietrzu unosił się lekki zapach brudnych pieluch, na który Margot od razu zwróciła uwagę.

– Któremu z małych króliczków trzeba zmienić pieluszkę? – spytała, zapalając lampkę w kształcie latającego balonu.

– Pewnie obu – zauważyłam ze śmiechem.

Stałam pomiędzy łóżeczkami i pochyliłam się nad jednym, a potem nad drugim, rozkoszując się widokiem maleństw. W przypadku dzieci, którym ewidentnie nic nie zagrażało, taka wizyta była przyjemnością. Nie wiedziałam, na którym się skupić w pierwszej kolejności. Drugi chłopczyk też zaczął się wiercić, więc opuściłam ręce i pogłaskałam ich prawie bezwłose główki.

– Śliczni jesteście. – Lecz mimo ich oczywistego komfortu ogarnął mnie nagły smutek, może nawet większy, niż gdybym musiała umieścić ich w rodzinie zastępczej. To nieoczekiwane uczucie aż ścisnęło mi serce. Ci mali chłopcy żyli w otoczeniu kochającej rodziny i nie brakowało im niczego – oprócz matki. Kogo będą kochać? Kto zatroszczy się o nich w środku nocy? Kto pójdzie na ich szkolny występ, uszyje im kostiumy na jasełka, pobiegnie wraz z nimi w wyścigu matek w dzień sportu? W półświatle ich oczy wydawały się prawie czarne i duże jak kamyki, kiedy tak na mnie patrzyli. Westchnęłam tak ciężko, że zabolало mnie gardło.

Babcia podniosła najpierw jednego, potem drugiego i powąchała ich pieluszki.

– To twoja sprawka, Noah, prawda? – I zaniósła go na matę do przewijania, mamrocząc, że to zawsze jego sprawka.

– A ty to kto? – zacząłam wysokim głosem, jaki rezerwujemy na użytek niemowląt. Sięgnęłam do łóżeczka i podniosłam mały tobołek. Okazał się cięższy, niż przypuszczałam, musiałam podtrzymać główkę. Uniosłam jego twarzączkę do warg. Pokryta ciepłym meszkiem skóra połaskotała mnie w usta.

I nagle zatonełam w miłości, pragnieniu i pustce.

Podchwyciłam spojrzenie Margot i oprzytomniałam. Był to pierwszy i ostatni raz, kiedy wyczułam obecność Elizabeth. Czy była zadowolona, że przyszłam zająć się jej dziećmi? Czy w przeciwieństwie do mnie wiedziała, że zostanę ich matką? Ja wiedziałam tylko, że gdy urodzę własne dziecko, nigdy nie pozwolę go sobie odebrać.

Z półpiętra dobiegł jakiś dźwięk. Był to gardłowy, rozdzierający jęk, któremu towarzyszył odgłos kroków. Spojrzałam na Margot. Zastygła z czystą pieluszką w ręce, a gdy mężczyzna stanął w drzwiach, jej twarz pokryła się siateczką zmarszczek.

– Och, James, kochany – powiedziała i podbiegła do niego. Rzucili się sobie w objęcia i zapłakali w chwili rozpacz, której mimowolnie stałam się niepowołanym świadkiem.

Poczułam się niezręcznie. Nie znałam tych ludzi, a tymczasem los



wepchnął mnie z butami w ich życie. Przeniosłam wzrok na Noaha, który został sam na macie. Był za mały, żeby spaść, ale wyglądał tak bezbrinnie, że podeszłam do niego z Oscarem na rękach i stanęłam plecami do drzwi. Uznałam, że tak należy postąpić.

Słyszałam mamrotanie, stłumione łkanie, które przejmowało do głębi serca, i bluźniercze słowa. Płacz mężczyzny jest straszny, niemal gorszy od płaczu niemowlęcia. Niemowlęta są głodne, chore albo znudzone, ewentualnie trzeba im zmienić pieluszkę. Ale tamten człowiek tonął w rozpacz głębokiej jak ocean i nie można było mu pomóc.

– Przepraszam, panno... – Margot nie dokończyła.

Kiedy się odwróciłam, wciąż stali objęci. Trzymałam obu chłopców, każdego w zgięciu łokcia, co nie było proste. Zakołysałam ich w górę i w dół.

– Brown – odpowiedziałam. Nie było sensu prosić, aby nazywała mnie Claudią. Myślałam, że więcej ich nie zobaczę. Musiałam tylko odhaczyć odpowiednią rubrykę.

– Przepraszam, że musiała pani na to patrzeć. James właśnie się dowiedział...

Pokiwałam głową, żeby nie musiała mi powtarzać, czego dowiedział się James. Ale jemu wystarczyło siły, aby podejść do mnie z wyciągniętą ręką. Wojskowe przyzwyczajenia, jak sądzę.

Dalej kiwałam głową. Nie mogłam odwzajemnić uścisku, trzymając dzieci.

– James Morgan – powiedział zduszonym głosem. – Dziękuję, że pani przyszła.

Margot musiała mu powiedzieć, że jestem z opieki społecznej. Jeszcze nikt nie dziękował mi za wizytę. Ludzie, których odwiedzam, przeważnie mnie nienawidzą, chcą mnie wyprosić, obrzucają różnymi rzeczami, oskarżają o rujnowanie im życia, kradzież dzieci albo zasiłku. W razie gdy coś idzie niezgodnie z planem, prasa wieszka na nas psy, a przypadki dzieci, których życie odmieniło się na lepsze, przechodzą bez echa, podobnie jak wysiłek, jaki w to wkładamy.

– To tylko rutynowa wizyta – odpowiedziałam. – Blisko współpracujemy ze szpitalami. – Miałam nadzieję, że moje słowa nie nasuną mu skojarzenia z ostatnimi chwilami żony. Przy której nie mógł być.

James podszedł bliżej i podałam mu dzieci. Było to poniekąd symboliczne, i chyba właśnie wtedy go pokochałam. Jego widok z dziećmi w objęciach, w obliczu życiowej katastrofy, której świadomość płonęła w jego nieprzeniknionych oczach (chłopcy je po nim odziedziczyli!) sprawił, że przyszło mi to naturalnie jak oddech.

Dwa dni później ponownie znalazłam się w jego kuchni. Zostawiłam mu wizytówkę na wypadek, gdyby potrzebował pomocy. To spotkanie tylko potwierdziło moje uczucia. Chciał porozmawiać o opcjach, jakie widziałam dla chłopców.

– Opcjach? – powtórzyłam.

W normalnych okolicznościach wzięłabym to za wybitnie kiepski wybieg, żeby zaprosić mnie na randkę. Ostatecznie po to zostawiłam mu tę wizytówkę, choć nie spodziewałam się telefonu, przynajmniej tak szybko. Ale James nie mógł sobie znaleźć miejsca. Dopiero stracił żonę; nie próbował mnie poderwać, tylko autentycznie szukał rady w kwestii opieki nad synami. Od początku wzbudził mój podziw swą stoicką postawą, a teraz podziwiałam go za to, że nie waha się prosić o pomoc.

– Musi pani coś wiedzieć – powiedział, gdy siedzieliśmy ze wzrokiem utkwionym w swoich kubkach z kawą. Miał zaczerwienione oczy. – Margot nic z tego nie chce. – Zatoczył ręką krąg. Miał na myśli dom, chłopców, rodzinę. – Mieszka w Jersey. Z resztą Sheehanów – dodał z nutą rozgoryczenia w głosie, jak mi się zdawało. – Jeśli mam być szczerzy, Margot i Elizabeth żyły jak pies z kotem. – Roześmiał się cicho.

– Jak to? – spytałam z zaciekawieniem.

– Elizabeth była wolna jak ptak, miała cygańską duszę – dodał. – Nie żyła jak reszta Sheehanów, a już na pewno nie podzielała ich moralności i stylu życia. Ich interesują tylko fundusze, lokaty i rauty. W ogóle nie przypominała swoich trzech braci. Wszyscy pracują w rodzinnej firmie. Są rodzinną firmą.

– Wygląda na to, że była niezwykłą osobą – powiedziałam. Podziwiam ludzi, którzy nie boją się bronić własnych poglądów. Ale James był pragmatyczny i szczerzy, wiedział, jak sprawy stoją. Szczerość cenię w mężczyznach nade wszystko. – Wystąpi pan z marynarki, żeby się zająć chłopcami? – Dziś wiem, że to było głupie pytanie. Ale wówczas nie zdawałam sobie z tego sprawy.

– Nie wystąpię – odparł rzeczowo. – Muszę znaleźć opiekę na czas mojej nieobecności. Co nie będzie łatwe.

– Ale zostaną z panem, tak? – Cisnęły mi się pytania. Chciał oddać chłopców do adopcji? Poszuka opiekunki na stałe? Zapisze ich do szkoły z internatem, kiedy podrosną?

– Jasne, że zostaną – brzmiała odpowiedź. – Po prostu nie wiem, jak to zrobić. – Było oczywiste, że nie zna się na opiekunkach ani organizowaniu sobie pomocy. – Elizabeth była wspaniała – dodał. – Ze wszystkim sobie radziła.

Zdecydowanie potrzebował pomocy, ale nie takiej, jaką mogłam mu zapewnić jako kurator.

– Mogę skontaktować pana z zaufanymi agencjami – oznajmiłam. – Porozmawia pan z potencjalnymi opiekunkami. To nie będzie łatwe, ale na pewno ktoś się znajdzie.

– Mam nadzieję – odparł, a ja wybaczyłam mu, że dotknął mojej dłoni, bo nie wiedział, co robi.

Po trzech miesiącach się wprowadziłam. I w ciągu roku wzięliśmy ślub.

## Rozdział 29

Mieszkam tu nieco ponad tydzień, a dziś rano znowu przychodzi sprzątaczką. Taki stary dom zdaje się wręcz wydychać kurz, więc Jan zjawia się co parę dni, żeby przywrócić ład i porządek. Po raz pierwszy miałyśmy okazję porozmawiać, po raz pierwszy odstawiła odkurzacz i wiadro z detergentami.

– Dobrze znałam Elizabeth. – Zapina sweter. – Była zupełnie inna niż Claudia – wyznaje znad pianki cappuccino. Wreszcie nauczyłam się obsługiwać ekspres do kawy. – Aż trudno uwierzyć, że ten sam facet wziął je obie za żony.

Strzygę uszami. Niewiele wiem o Elizabeth, poza informacjami wyszperanymi w gabinecie Jamesa – choć żadna z nich nie dowodziła tego, na czym mi zależało. Wiem tylko, że była pierwszą żoną Jamesa i biologiczną matką bliźniaków.

– Elizabeth różniła się od reszty rodziny, to na pewno. – Jan chichocze z aprobatą. – Bez reszty uwielbiała Jamesa. Była w nim po uszy zakochana i przez dwa tygodnie usychała, kiedy wyjeżdżał na misję. Oddawała się pracy i biegała do autobusu na bosaka. Była prawniczką – dodaje prawie z dumą, jakby mówiła o rodzonej córce. – Walczyła o prawa rodziców, których dzieci zostały uprowadzone przez członków rodziny. Tylko sobie wyobraź. Jeden facet porwał swoje córki i wywiózł je do Omanu. Jego żona Angielka więcej by ich nie zobaczyła, gdyby nie Elizabeth. Nosila śliczne ubrania – ciągnie Jan. – Kolorowe i romantyczne, jak ona. – Dopija kawę.

Jestem w szoku, że mówi mi takie rzeczy. Odruchowo mam ochotę bronić Claudii, jakby potrzebowała mojej pomocy w starciu z barwnym wspomnieniem Elizabeth.

– No i miała pieniądze – ciągnie Jan. Widzę po tym, jak stoi, że beczynność ją krępuje, ale nie może się opanować, by nie sprzedać mi jeszcze jednej partii ploteczek. – Rodzina Elizabeth jest obrzydliwie bogata. Mają więcej pieniędzy, niż ty i ja mogłybyśmy sobie wyobrazić. Mówię ci – podkreśla z naciskiem. – Sęk w tym, że Elizabeth nie chciała z tego ani grosza. Nie pochwałała ich sposobów zarządzania kapitałem, ich funduszków i inwestycji ani tego, jak wykorzystywali gaje podatkowe.

– Raje – poprawiam odruchowo. – Masz na myśli raje podatkowe.

– Mniejsza o nazwę, ona była... – Jan z namysłem opiera się o rurę odkurzacza. – Ona była ponad to. Nie miała zamiaru żyć z pieniędzy, które nie zostały uczciwie zarobione. Czasami pracowała za darmo, dla matek, których nie było stać na jej usługi. – Jan z mocą kiwa głową. – Tak między nami, James miał w oczach dolarówki, kiedy się z nią żenił. Nie ustawał w wysiłkach, aby zjednać sobie jej rodzinę, zwłaszcza braci. Lubili go, imponowała im jego kariera w marynarce, jego system wartości. Och, ale się rozgadałam. Nie mogę stać i paplać cały dzień. – Sięga po odkurzacza. – To zupełnie inny świat, ale ode mnie tego nie słyszałaś.

– Jasne – odpowiadam w zadumie.

– Inny świat – powtarza niemal śpiewnie Jan i już ma wyjść, kiedy coś przychodzi jej do głowy. – Elizabeth zawsze dawała mi bonus na Gwiazdkę. – Znowu opiera się na odkurzaczu. – Dwieście funtów w gotówce – szepcze z chytrym uśmiechem. – Claudia? Zapomnij. Kartka i pudełko czekoladek.

Nie zamierzam zabawić do Bożego Narodzenia celem sprawdzenia, jakiego rodzaju prezentem uraczy mnie Claudia. Dawno mnie tu nie będzie. Staram się nie myśleć o paśmie destrukcji, które spowoduje moja obecność.

– Niedługo będzie rodzić, prawda? – rzucam, chcąc wybadać, co Jan wie na temat terminu Claudii.

– Ty tak mówisz – stwierdza Jan. Sięga po herbatnika i dalej ociąga się z powrotem do pracy. – Na moje został jej co najmniej miesiąc.

Serce podskakuje mi w piersi. To mogłoby wszystko zmienić. Więcej czasu jest błogosławieństwem, ale może być i karą od losu. Im dłużej tu jestem, tym większe prawdopodobieństwo, że zostanę przyłapana. Muszę wiedzieć, na kiedy dokładnie ma termin.

– Mogę się mylić – dodaje lekceważąco Jan. – Matma nigdy nie była moją mocną stroną. Ale uważaj, ona będzie jedną z tych zaborczych, nadopiekuńczych matek, które lubią mieć nad wszystkim kontrolę. Będzie ci patrzeć na rękę.

– Jak to? – pytam z lekkim drżeniem w głosie, którego Jan chyba nie zauważa.

– Nie zrozum mnie źle. Lubię Claudię. Ale to nie Elizabeth. Powiedzmy, że miała w życiu pecha do ciąży. I przez to zgorzkniała.

– Nie rozumiem – udaję. – Jest taka szczęśliwa. – Staram się nie myśleć o Cecelii, ale nie mogę powstrzymać pożaru jej włosów, ogromu gniewu i bezmiaru rozczarowania.

– Tyle razy poroniła, że już prawie miała dać sobie spokój. – Jan znacząco kiwa głową i krzyżuje ręce na piersi. – I rodziła martwe dzieci. Bum, bum, bum, jedno po drugim, wszystkie umarły. Sama mi mówiła. – Wyrzuca ręce na boki, jak gdyby przedstawiała noworodki znikające w eterze.

– W takim razie mieli burzliwe pierwsze lata małżeństwa.

– O nie, nie – zastrzega Jan. – To było, zanim wyszła za Jamesa.

Trudno mi sobie wyobrazić, żeby Claudia wywnętrzała się przed sprzątaczką, ale w końcu zaszła w ciążę i może z tej radości miała chęć wykrzyczeć to wszystkim naokoło. Wspomnienie szkatułki z sypialni i jej rozdzierającej zawartości ścisła mi serce. Czuję się jeszcze gorzej z powodu tego, co mam zrobić. Muszę zachować dystans i chłód, inaczej nie podołam. Później, kiedy Jan woła, że wychodzi i wróci jutro, piszę wiadomość do Cecelii. I jak zwykle kasuję ją przed wysłaniem.

Jeszcze później, na boisku przed szkołą, stoję obok Pip. Zimowy plan stopniowo wypełnia się matkami i garstką ojców, którzy przyszli po dzieci. Pip gawędzi z paroma mamami, których nie rozpoznaję. Chcę zapytać ją o Claudię. Może to coś zmienić.

– Matko święta. Nic jej nie jest? – martwi się Pip, gdy pokrótce opowiadam jej o słuczce. – Dopiero teraz mi mówisz? Mam wpaść?

– Nic jej nie jest. Poszła do pracy.

Widzę szok na twarzy Pip. Odruchowo łapie się za brzuch.

– I nie zawiozłaś jej do szpitala? – pyta z niedowierzaniem.

– To nie było nic groźnego. Zresztą odmówiła pójścia do lekarza. – Nie mówię Pip, że nie należałam ze strachu przed policją. – Bałam się, że zacznie rodzić, ale nic takiego nie miało miejsca. – Nadaję głosowi lekki ton, jakby chodziło o drobiazg.

Pip nie podziela mojej beztroski.

– Zadzwoń do niej wieczorem – oznajmia z powagą, wyraźnie poirytowana moją postawą.

– Na pewno się ucieszysz. – Po tym jak zastałam Claudię na strychu, od rana mam mętlik w głowie. Dręczy mnie przecucie, że skłamała z tą książką. I ruszała moje rzeczy, jestem o tym przekonana. Mam szósty zmysł, jeśli chodzi o takie sprawy. Zastanawiam się, czy coś podejrzewa. Chcę wyciągnąć od Pip, czy coś o mnie wspominała, ale nie wiem, jak zagaić. – Idzie Lilly – dodaję, gdy dziewczynka wybiega ze szkoły z ociekającą akwarelą w rączce.

– Czemu nie każą ich najpierw wysuszyć? – jęczy Pip, kiedy mała wymachuje obrazkiem. Bliźniacy też nadciągają, ale bez akwareli.

– Nie macie obrazków do pokazania? – Mrugam do Pip, ale dziękuję Bogu, że nie mają.

– Malowaliśmy, ale pani dała nam burę i postawiła w kącie – informuje niemal z dumą Noah.

– Jak to?

– On mnie zmusił. Ja nie chciałem – zaklina się płacząco Oscar.

– Nieprawda! – odgryza się Noah.

– Prawda! Mamusiu, każ mu... – Oscar ze zmartwiałą miną uświadamia sobie pomyłkę. Uśmiecham się serdecznie, lecz fakt nazwania mnie „mamusią” tylko wzmacnia moje poczucie winy.

Noah opowiada dalej.

– Namalowaliśmy złego pana, który wyciął pani dziecko z brzucha.

Mróz szczypie w oczy, mało nie wychodzą mi z orbit. Co przez to rozumieją? Co mogą wiedzieć? To tylko dzieci.

– To straszne. – Usiłuję zachować spokój.

– Cali chłopcy – mówi Pip i czochna Oscarowi włosy. Odwraca się do mnie i dodaje ściszym tonem: – Pewnie podsłuchali moją rozmowę z Claudią. Wiesz, o tych nieszczęsnych kobietach. Trąbiły o tym wszystkie gazety. W naszym stanie człowiek zwraca uwagę na takie rzeczy. – Ujmuje rączkę Lilly i macha do mnie drugą ręką. – Przekaż Claudii, że zadzwonię.

Jak oniemiała przyatakuję. Wszystko wali mi się na głowę.

Chłopcy szykują kolejny obrazek. Kazałam im namalować autoportret w prezencie dla mamy, w ramach pokuty za upiorną akwarelę w szkole. Zostawiam ich w kuchni, dwie pochylone figurki na wyspie z gazety, i pędzę do swojego pokoju. Nie przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić aparat. Wyrzucam sobie lekkomyślność i głupotę – jak mogłam pozwolić, żeby Cecelia odwróciła moją uwagę? Jak mogłam być tak nierozważna? Od tej chwili będę nosić aparat przy sobie lub ukryję go w mniej oczywistym miejscu niż szafa.

Po chwili odkrywam z ulgą, że wszystkie zdjęcia są na swoim miejscu. Nie mam jak sprawdzić, czy Claudia je przeglądała. Wówczas na pewno zaczęłaby dociekać, jak dostałam się do gabinetu. Zachodziłaby w głowę, kiedy dokładnie je zrobiłam, a co najważniejsze dlaczego.

Wybieram pierwszą z brzegu fotografię i robię zbliżenie. W ustach mi zasycha, a serce bije jak szalone. Co powiedziałyby Claudia, widząc z bliska kartotekę tej ciężarnej dziewczyny? Nazwisko Carli Davis stoi jak byk. Widzę oczami wyobraźni, jak Claudia robi mi awanturę, oskarża o szpiegowanie, o wtrącanie się w cudze sprawy; chce wiedzieć, co zrobiłam i co planuję. Wyobrażam sobie, że uciekam. I tamtą biedną dziewczynę, pociętą nożem i wykrwawiającą się na śmierć.

Dłużej tego nie zniosę. Biegnę z powrotem do kuchni i widzę Claudię siedzącą między chłopcami. Podziwia autoportrety.

– Zoe mówi, że nie wolno malować morderców, mamusi –



oświadcza z pogardą Noah i rzuca mi pełne wyrzutu spojrzenie.

Stoję w drzwiach, zdyszana jakby mnie ktoś gonił. Wciąż trzymam w ręku aparat.

– I ma rację, kochanie. – Claudia nie odrywa ode mnie oczu. Błądzi wzrokiem między aparatem a moją twarzą, jakby szukała odpowiedzi na dręczące ją pytania.

    Nie mam pojęcia, czy wie.

## Rozdział 30

Lorraine przyszło do głowy, czy przypadkiem nie tak czuje się tonący. Jej zmysły wołały o pomoc, domagały się powietrza i ciszy, powrotu do rzeczywistości. Na próżno. Słyszała tylko kakofonię ogłuszających dźwięków, przez które miała ochotę zakończyć rozmowę, jeszcze zanim się rozpoczęła.

– Czy mogłaby pani wyłączyć... – Rozejrzała się w poszukiwaniu źródła zgiełku, a dokładnie źródeł, były ich bowiem co najmniej trzy.

– Przepraszam – powiedziała kobieta. Ręce wystrzeliły w górę w asyście teatralnego uśmiechu. – Ale słuchałam wiadomości i nie mogę żyć bez Chopina, kiedy pracuję. – Weszła w głąb pokoju – co graniczyło z cudem, taki był zagracony – i wyłączyła iPoda. Rzuciła go na przepastną kanapę, gdzie zdaniem Lorraine mógł na zawsze utonąć wśród licznych poduszek. Następnie wyłączyła tranzystor. Nadal coś jazgotało. – O, zapomniałam. Lubi pani death metal?

– Chyba nie bardzo – wyznała Lorraine. Coś jej się obilo o uszy; zdaje się, że Stella mówiła o nim niezbyt pochlebnie. Wreszcie zapadła cisza. – Możemy usiąść?

– Ach, ach! – wykrzyknęła tamta, jakby zdruzgotana własnym grubiaństwem. Dziko potoczyła wzrokiem po pokoju, a gdy spoczął na zagraconym, owalnym stole, dwoma zamaszystymi ruchami zwała wszystko na podłogę, niezrażona tym, że bałagan przeniósł się na parter. – Usiądźmy tutaj. Zaparzę kawę. – Wyglądała tak, jakby z podniecenia miała podskoczyć i klasnąć w rękę.

Lorraine odmówiła. Było jej trochę żal biednego stworzenia, ale zachowała czujność. Kobieta łączyło coś z Sally-Ann, lecz detektyw Fisher nie robiła sobie nadziei, że z tej rozmowy wyniknie coś

pożytecznego. Niemniej jednak musiała ją odbębnić.

– Nie, naprawdę dziękuję – powiedziała, ale tamta pobiegła już do kuchni i przetrząsała pobojuwisko w poszukiwaniu kubków. Lorraine oparła się o ścianę, gotowa wytrwać w miarę możliwości w pozycji stojącej. Nic nie zapowiadało, że jej rozmówczyni wreszcie usiądzie, postanowiła więc nie tracić czasu. – Jak brzmi pani nazwisko, Cecelio?

Tamta odwróciła się i rzuciła Lorraine takie spojrzenie, jakby ta kazała jej się rozebrać. Rozwichrzone włosy zatańczyły w słupie światła z okrągłego, witrażowego okna nad zlewem.

– Paige – odpowiedziała cicho. – Nazywam się Cecelia Paige. – Na potwierdzenie kiwnęła głową, którą następnie wsadziła do lodówki, mamrocząc coś o zepsutym mleku.

– Jak długo pani zna Liama Ridera?

Kolejne spojrzenie i cisza wskazujące na to, że rozmowa i parzenie kawy wzajemnie się wykluczają.

– Liama – powtórzyła, prawie jakby nigdy dotąd o nim nie słyszała. – To mój kolega z pracy.

– Tak, wiem o tym. Ale chciałabym wiedzieć, od kiedy łączy was znajomość.

– Dalsza czy bliższa?

– Obie – powiedziała Lorraine.

– Prowadzę kurs nieco ponad rok. Człowiek zapamiętuje twarze, uczy się rozpoznawać ludzi... wykładowców, bibliotekarzy, parkingowych. I tak dalej. – Cecelia odkręciła butelkę z mlekiem i powąchała, a następnie zmarszczyła nos. – Poznałam Liama przy fotokopiarce. Właśnie się zacięła. – Zakręciła butelkę i energicznie nią wstrząsnęła. – Odblokowałam ją dla niego. – Uniosła butelkę pod światło i z aprobatą kiwnęła głową. – Kopniakiem – dodała szeptem. – Wie pani, jak to jest. Od słowa do słowa. Zaprzyjaźniliśmy się.

– Wiedziała... wie pani, że Liam Rider ma żonę?

– Jasne. Single mnie nie interesują.

Serce Lorraine zabiło mocniej, niżby chciała.

– A to dlaczego? – Ciekawe, czy latawica Adama kierowała się

podobnymi zasadami.

– Bo chodziło mi o spermę, a nie faceta.

Lorraine wyraziła w duchu nadzieję, że latawica nie podzielała tego stanowiska. Myśl o przyrodnim rodzeństwie Stelli i Grace była... cóż, Lorraine sama nie umiała jej nazwać, ale nie wróżyła nic dobrego.

– Czy nie lepiej udać się do banku nasienia?

– Lepiej – przyznała Cecelia. – Lecz po jakimś czasie to drożej wychodzi. – Smolista kawa kapała z ekspresu do szklanego dzbanka. Lorraine liczyła, że nie zdąży nakapać przed jej wyjściem. – Ale to ma... miało... wymiar bardziej osobisty. I było fajne, dopóki trwało. Spokojna głowa, nie uprawialiśmy seksu w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Lorraine nic na to nie odpowiedziała. Wcale jej to nie obchodziło, choć Russ Goodall sugerował, że „coś” jednak robili.

– Czy zna pani jakąś Sally Ann-Frith?

– Oczywiście – odpowiedziała Cecelia, jak wszyscy zapytani. – Suka – dodała.

– Tak? – Serce Lorraine znowu zabiło szybciej.

– No a nie? Była drugą kochanką Liama. Co gorsza, ta głupia krowa zaszła w ciążę. – Lorraine zauważyła, że musiała chwilę ochłonąć, jakby rozmowa schodziła na niebezpieczny tor. Jej samokontrola była godna podziwu. – W każdym razie mój związek z Liamem był bardzo emocjonalny – dodała Cecelia. – Po prostu zabrakło mi tej iskry niezbędnej w pociągu fizycznym, chociaż jest dosyć atrakcyjny. No i jest sporo ode mnie starszy. Ale kiedy mi powiedział, że studiował matematykę w Cambridge, wiedziałam, że się nadaje. To było dawno temu, fakt, niemniej świadczy, że to łebski facet. A mnie zależało na przystojnym, bystrym spermodawcy. – Westchnęła.

– On nie studiował w Cambridge, kochana. – Lorraine omal się nie roześmiała. I wcale nie uważała go za przystojniaka. – Z powodu... całej sytuacji dokładnie go sprawdziliśmy. W osiemdziesiątym trzecim skończył księgowość na politechnice Uxbridge. Dwukrotnie rozwiedziony. Nie byłabym taka pewna co do jego inteligencji.

Cecelia wzruszyła ramionami.

– Jego sperma musiała być do kitu, skoro się nie udało.

– Nie udało?

– No przecież nie zaszła w ciążę, prawda?

Lorraine patrzyła, jak Cecelia płucze dwa kubki i stawia je na stole wraz z kawą i butelką skwaśniałego mleka. Obok umieściła paczkę cukru z wystającą ze środka oblepioną łyżeczką.

– Usiądźmy. Osobiście wolę podwieczorki. – Cecelia wygładziła zieloną sukienkę i zasiadła na pomalowanym na różowo drewnianym krześle. – Mleczka? – zaproponowała, służąc butelką.

– Dla mnie czarna. – Lorraine przezornie odsunęła kubek. Nie miała innego wyjścia, jak wypić to paskudztwo, w związku z czym postanowiła ograniczyć ilość bakterii do minimum. – Kto nie zaszedł w ciążę? – spytała. Nie taką rozmowę zaplanowała sobie na dzisiejszy ranek. I choć wszystko wskazywało na to, że Cecelia jest nieco rozchwiana, Lorraine nie mogła się zdecydować, czy to twórcza odchyłka, czy przypadkiem nie coś poważniejszego.

– Heather, głuptasie. Pewnie coś pokiełbasiła. Pokazałam jej, co ma robić.

– Kim jest Heather?

Cecelia oklapła na krześle, jakby ktoś wypuścił z niej powietrze.

– Heather się wyprowadziła – odrzekła z urazą. – Zostawiła mnie.

– Mieszkała tutaj? – Lorraine uważała, że nawet mysz nie zmieściłaby się tu oprócz Cecelii. Jeśli lokatorki nie wypłoszył bałagan, z pewnością sprawiła to osobowość właścicielki.

– No tak... skoro się wyprowadziła.

Lorraine była pewna, że w oczach Cecelii błysnęły łzy, choć już i tak sprawiała wrażenie, jakby lśniła od rosy lub egzotycznych olejków. Cierpliwie słuchała dalej.

– Nie mogę bez niej żyć. Czy pani wie, co znaczy utracić osobę, którą się najbardziej kocha?

Lorraine chciała powiedzieć, że właśnie się dowiedziała, ale zachowała milczenie. Jeśli się komuś zwierzy, z pewnością nie tej kobiecie.

– Sęk w tym – ciągnęła Cecelia – że wiedziałam, co się święci, na długo przed Heather. Atmosfera zrobiła się... trochę napięta. Zdaje mi się, że chyba zmęczyło ją moje pragnienie dziecka. Widzi pani, ona tak naprawdę nigdy nie chciała mieć dzieci. Ja z kolei marzyłam o nich od zawsze. Teraz zostałam sama i z marzeń nici, prawda?

Lorraine przez chwilę rozważała jej słowa, lecz uparcie nasuwała jej się wizja niemowlęcia opiekującego się niemowlęciem.

– Bez faceta jest trudno, jeśli pani wie, co mam na myśli – powiedziała Cecelia. Lorraine przytaknęła. Ale rzecz nie była tak niespotykana jak kiedyś. – Człowiek łapie się różnych sposobów. Przecież rodzina to nie tylko mama, tata i dwoje czy czworo dzieci, prawda?

– Zgadza się.

– W każdym razie Heather jest kompletnie bezinteresowna i chciała mi pomóc po operacji, którą miałam w zeszłym roku. – Cecelia umilkła i wypięła łyk kawy. Lorraine zauważyła, że na jej policzkach zakwitł szkarłatny rumieniec, który gryzł się kolorystycznie z włosami. – Zawsze miałam problemy, no wie pani, kobiece sprawy, co doprowadziło w końcu do usunięcia macicy. Myślałam, że umrę. To tłumaczyło, dlaczego nie mogłam zająć w ciąży. Teraz mogę o tym zapomnieć. – „Kobiece sprawy” powiedziała ściszym głosem.

– Przykro mi to słyszeć, Cecelio – odpowiedziała szczerze Lorraine. Nie była pewna, czy to istotne, ale nie zmieniła tematu. – A zatem Heather zgodziła się urodzić za ciebie?

– Tak. Zgodziła się być surogatką. Wydałam już majątek na nasienie, ale po operacji musiałam dać za wygraną. Heather była taka dobra. Nie było nas stać na kosztowne zabiegi i lekarzy, więc postanowiła... – Cecelia urwała z wyraźnym zażenowaniem. – Postanowiła sama to załatwić. Powiedziała mi tylko, że zrobi co trzeba.

– Rozumiem – odparła Lorraine, chociaż wcale nie rozumiała. – A co dokładnie miała na myśli?

– Niech pani posłucha, to kłóciło się ze wszystkim, w co wierzy i kim jest, ale robiła to dla mnie, tak? – Z gardła Cecelii dobył się

urywany szloch, jakby tkwił tam miesiącami. – Robi to dla mnie – dorzuciła.

– Nadal próbuje dla ciebie zająć w ciążę? Przecież wspomniałaś, że się wyprowadziła?

– Jest taka bezinteresowna – dodała Cecelia. – Ostatnio znowu jej się nie udało. Jest niemal równie zdesperowana, jak ja.

– To znaczy? – Lorraine z każdą chwilą czuła się coraz bardziej nieswojo.

Cecelia wstała i podeszła do stosu przedmiotów, które zgarnęła na podłogę. Stała nad nimi, po czym zmiażdżyła obcasem zielonej szpilki coś, co wyglądało jak broszka misternie wysadzana koralikami.

– Nie podoba mi się to. Zepsułoby moją reputację.

Lorraine utkwiała wzrok w pokruszonych fragmentach.

– Sama ją pani zrobiła? – zapytała delikatnie. Czuła, że równowaga Cecelii wisi na włosku.

– Jasne. – Cecelia zwróciła na nią roziskrzony wzrok. – Ale teraz nikt jej nie kupi! – Zgarnęła szczątki z podłogi i przepuściła między palcami kaskadę migotliwego pyłku. – Interes kwitnie. Mam zamówienia z Londynu. Zapłaciliby za nią pięćset funtów. Kolejna próbka nasienia.

– Jest pani bardzo utalentowana. – Lorraine naprawdę tak uważała. Mimowolnie uklękła i przyjrzała się bliżej kilku małym arcydziełom, które mogły pójść w ślady broszki. – To naprawdę niezwykle. – Podniosła ciężki wisiołek na srebrnym sznurku. – Bardzo mistyczny. – Nie kryła zachwyty. W życiu czegoś podobnego nie widziała. Chciałaby, żeby Adam zaskoczył ją czymś takim na urodziny albo rocznicę. Czasem odnosiła wrażenie, że wcale jej nie zna.

– Kamień, na którym siedzi, to szlifowany gaspeit. Prześliczna zieleń, prawda? Jak środek czekoladki z miętowym nadzieniem. – Cecelia rzuciła się na kolana i zaczęła przetrząsać stertę. – Jest też motyla broszka do kompletu. – Przyłożyła broszkę do wisiora. Lorraine musiała przyznać, że były absolutnie przepiękne. Nagi elf siedział bokiem na kamieniu z rękami uniesionymi w stronę łańcuszka. Lorraine wyobraziła sobie, że patrzy błagalnie na twarz właścicielki. –

To wróżka bez skrzydeł, potrzebuje motyla, aby wzbić się w powietrze.

– Rozumiem. – Lorraine była pewna, że Adam zganiłby ją za tę chwilę słabości. Patrzyła, jak Cecelia na czworakach gmera wśród biżuterii, jakby nagle pożałowała, że ją strąciła.

– Czy wie pani, jakie były ostatnie słowa Heather pod moim adresem? – zapytała Cecelia, podnosząc do ust szkarłatny pierścionelek. Lorraine przyszło do głowy, że wyglądał jak kropla krwi. – Powiedziała: „Będziesz miała dziecko”. Muszę w to wierzyć, pani detektyw.

– To było nieprawdopodobne przeżycie – opowiadała mężowi Lorraine. Miała ochotę wspomnieć mu o swym zachwycie biżuterią, lecz wolała nie zaostrezzać sytuacji. Na pożegnanie Cecelia usiłowała wcisnąć jej komplet z wróżką, ale Lorraine odmówiła, tłumacząc, że postąpiłaby nieetycznie. Poza tym zawsze cieszyła się z książek, perfum czy co tam jeszcze kupował jej Adam.

– Ale dowiedziałaś się czegoś ciekawego, nie licząc porannej kawy ze stukniętą maniaczką dzieci?

– Owszem – potwierdziła Lorraine. – I masz rację. Trafnie to ująłeś, ona obsesyjnie marzy o dziecku i jest bardzo specyficzna. Ponoć niedawno rozstała się z partnerką, Heather, która nadal próbuje „zdobyć dla niej dziecko”, cokolwiek to znaczy.

– W takim razie musimy porozmawiać z Heather. Czy Cecelia podała ci jej nowy adres? – mówiąc to, Adam wystukiwał wiadomość na komórce.

– Hm, na moje pytanie jakoś dziwnie zamilkła. Powiedziała, że już nawet nie wie, gdzie tamta pracuje. Pomijając dziecko, ich rozstanie wcale mnie nie dziwi.

– I co, wysłałaś bez niczego? – Adam odłożył telefon.

– Żebyś wiedział.

Ze złością sięgnęła do miseczki z pestkami, którą trzymał na biurku. Trzepnął ją po palcach, nim zdążyła wziąć garść.

– Nie będą ci smakowały – powiedział.

– Cecelia przyznała, że po ostatniej wizycie śledziła Heather – podjęła Lorraine. Adam usiadł prosto i zmarszczył brwi. – Szkoda, że jej



nie widziałeś – dodała na wspomnienie zachwytu, z jakim Cecelia podała jej adres.

– Jest bardzo wytworny – oznajmiła z dumą albo nutką zazdrości, Lorraine nie była pewna. – To wielka posiadłość na ślicznej ulicy. Nie miała pojęcia, że ją śledzę. – Cecelia postukała się w czubek nosa i zachichotała jak dziecko. – Od czego mam Erniego. Heather kupiła mi go rok temu, po operacji.

– Erniego? – powtórzyła z niedowierzaniem Lorraine.

– Samochód, głuptasku. Mój fiacik.

Lorraine z wolna pokiwała głową, zastanawiając się, co z tego wyniknie.

– Zachowywałam bezpieczną odległość, w odpowiednich miejscach zwalniałam i stawałam. Na skrzyżowaniach parę razy mi uciekła, ale pojechałam za nią prosto na miejsce. – Napisała adres i wręczyła go Lorraine. – Mówię pani, ona daleko zajdzie.

Lorraine nie wierzyła własnym oczom. Dwukrotnie odczytała adres i schowała kartkę do kieszeni. Jeszcze nie wiedziała, co to znaczy.

– W każdym razie – powiedziała do Adama – Cecelia nie miała pewności, czy Heather mieszka pod tym adresem. Poczyniła tylko takie założenie. Nazywa się Heather Paige. Ma takie samo nazwisko jak Cecelia.

– Czyli musiały zalegalizować związek.

Lorraine kiwnęła głową, zastanawiając się, do kogo pisał.

– Na to wygląda. Nie zapytasz mnie? – Nie mogła uwierzyć, że jeszcze tego nie podchwycił.

– O co? Dlaczego nie możesz usiedzieć w miejscu? Dlaczego masz zaczerwienione policzki? I błysk w oku wielkości Wenus?

Lorraine wyjęła z kieszeni kartkę i mu podała. Przeczytał adres, zastanowił się chwilę, a kiedy podniósł głowę, oczy też zaświeciły mu jak latarnia.

– To na co jeszcze czekamy? – spytał, podsuwając jej pestki.

## Rozdział 31

Kiedys myślałam, że nie dam rady dłużej pracować. Patrząc wstecz, to był mroczny, zimny i samotny czas, ale musiałam przez niego przejść. W przeciwnym razie nie stałabym się kobietą, którą jestem teraz. Stanowił część wielkiej podróży, jaką jest życie, i nie ograniczał się tylko do mnie. Naprawdę wierzę, że jesteśmy tu z konkretnego powodu, dla wyższych celów, i naszą misją jest trzymać się słusznej drogi, a w pierwszej kolejności wyłonić ją spośród wielu. Pip, zdaje się, myśli inaczej.

– Bzdura – mówi. – Boże, napiłabym się wina.

Patrzę na zegarek.

– Oby nie kazali nam długo czekać. Mam tyle roboty w biurze. – Próbuję zwrócić uwagę kelnera, lecz jak dotąd skutecznie nas ignoruje. Pewnie mu się zdaje, że dwóm ciężarnym się nie spieszy. Może Pip nie zaplanowała sobie na dzisiejsze popołudnie nic prócz drzemki, ale ja mam w perspektywie dwie wizytacje, spotkanie wydziałowe i trzy raporty do napisania, zanim wrócę do chłopców. – Poza tym to wcale nie bzdura. Co zamawiasz? – Zgodziłam się na ten lunch, bo miała taki... smutny głos. Wiem i rozumiem, co czuje, więc skoczyłyśmy do Orlando's coś przekąsić. Pod koniec naszej rozmowy telefonicznej nabrałam przekonania, że ma coś ważnego do omówienia. – I wybij sobie z głowy wino. Ja nie pozwolę. – Żartobliwie kopię ją pod stołem.

Pip wydyma usta i kelner nareszcie wręcza nam karty dań i przyjmuje zamówienia na napoje. Jest wstrząśnięty naszymi gabarytami, pewnie boi się, że obie zaczniemy rodzić. Gdy znika za kontuarem, wybuchamy śmiechem.

– Widziałaś jego minę? – pytam.

– Bezczenna – mówi z uśmiechem Pip, chociaż widzę, że jest zamyślona.

– Wybacz, Pip. Nie chciałam moralizować. Po prostu podchodzę do tego bardzo emocjonalnie.

– Nie musisz przeproszać. Martwię się o ciebie, nic więcej.

– Martwisz? O mnie? – pytam z niedowierzaniem.

Pierwsza nawiązała do mojej pracy, kiedy tu szłyśmy. Zapytała, jak sobie radzę z emocjonalną i fizyczną stroną tego, czego dzień w dzień jestem świadkiem. Kiedy usiadłyśmy, wspomniałam o dylematach, jakie dręczyły mnie przez pierwszy rok czy dwa po rozpoczęciu tej pracy. Nie chciałam o tym mówić, lecz od słowa do słowa jakoś tak wynikło naturalnie. Potem zaczęłam o tym, że każdy ma w życiu drogę, choćby nie zdawał sobie z tego sprawy. Niechcący zagalopowałam się chyba w mistyczne rejony, które niespecjalnie przypadły Pip do gustu. Próbowałam mówić oględnie, żeby nie musieć niczego wyjaśniać. Pewne sprawy wciąż boją.

– A dzieci, które straciłaś? – pyta ściszym tonem, po tym jak kelner stawia na stole bułeczki. – Czy one też są „drogą”?

Jestem wstrząśnięta, że w ogóle o tym wspomniała, lecz zasługuje na przemyślaną odpowiedź.

– Nie wybrałabym takiej, gdyby mnie zapytano o zdanie – próbuję wyjaśnić. – Lecz jeśli utrata dzieci stanowiła ich drogę życiową, czuję się zaszczycona, że miałam w tym swój udział.

Prawie przyznaje mi rację. Widzę, jak rozmyśla, zapatrzona w menu i rozdarta między linguine z kurczakiem i pieczarkami a swoją ulubioną sałatką Cezara.

– A czy czujesz się zaszczycona udziałem w życiu dzieci, z którymi pracujesz? Jak to się ma do twojej i ich drogi, kiedy odbierasz je rodzicom?

Przyjmuję to jako atak, ale ma prawo do swojego zdania.

– To nie tak, Pip – zaczynam, ale zaraz uświadamiam sobie, że tak właśnie zabrzmiało, bez względu na użyte słowa. Uwielbiam nasze wspólne obiady – odkąd poznałyśmy się w szkole rodzenia, została

moją najlepszą przyjaciółką – lecz nie miałyśmy jeszcze okazji rozmawiać o etycznym aspekcie mojej pracy. Gdy się wchodzi w szczegóły i zaczyna roztrząsać dobre i złe strony, ludzie na ogół dość kategorycznie wyrażają swoje zdanie na temat tego, co robię.

– Mówię tylko, że twoja obecność w ich życiu niekoniecznie stanowi część ich życiowego planu. – Pip rozkłada serwetkę i kładzie ją sobie na kolanach.

Nie wiem, czemu jest taka drażliwa na punkcie kwestii, na które nie mam wpływu.

Wzdycham i zaczynam mówić prosto z mostu.

– Jakies półtora roku po tym, kiedy zaczęłam pierwszą pracę, jeszcze w Manchesterze, musiałam pójść na długi urlop zdrowotny. – Rysy Pip łagodnieją; daje do zrozumienia, że słucha uważnie. – Właśnie dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Byłam w siódmym niebie. To był mój pierwszy raz, staraliśmy się miesiącami. – Pip chce się uśmiechnąć, ale zaraz poważnieje. Wie, co się święci. – Stres w pracy dał mi się we znaki. Wpadłam w depresję. Przestałam sobie radzić. Tabletki przyniosły pewną poprawę, ale nie chciałam ich brać przez dłuższy czas, zwłaszcza w ciąży.

Czekam na reakcję Pip, ale ona tylko wzrusza ramionami.

– Wszyscy, których znam, biorą albo brali antydepresanty.

– Było coraz gorzej – ciągnę. – Z powodu nasilenia stresu przestałam normalnie funkcjonować. Nie nadawałam się do podejmowania żadnych decyzji.

Zwykle na tym etapie nabieram wody w usta. Lecz groza tego, co zrobiłam, huczy mi w głowie z identyczną siłą jak wówczas, kiedy dowiedziałam się o wszystkim od przełożonego. Gdybym zakreśliła inną rubrykę, zmieniła jedno zdanie w raporcie końcowym, uświadomiła komuś bezmiar zaniedbania, które wyczuwałam przez skórę, lecz którego nie mogłam dowieść, może jeszcze by żyła. A tak nie mam wątpliwości, że presja, pod którą się znalazłam, śmierć dziewczynki, dochodzenie i nagonka w prasie, która odmalowała mnie jako skończoną kryminalistkę – wszystko to sprawiło, że poroniłam.

– No, ale wiesz – dodaję nonszalancko – przeszłam terapię, dostałam koszulkę z napisem. I jestem. – Zaciskam dłonie, aż palce mi bieleją.

Kelner przynosi wodę i paluszki chlebowe. Natychmiast sięgam po jeden, żeby nie powiedzieć więcej ani słowa. Zdaje się, że Pip jest dobrą słuchaczką, mimo oczywistych uprzedzeń. Próbuję zmienić temat, ale w zasadzie wracam do punktu wyjścia.

– Jako nauczycielka masz podobną odpowiedzialność wobec dzieci. Nauczyciele często dzwonią do nas w sprawie uczniów, u których w domu źle się dzieje.

– Na szczęście ja nigdy nie musiałam – zastrzega pospiesznie.

– Ale zadzwoniłabyś, gdybyś coś podejrzewała? – Nalewam wodę.

– Naturalnie.

– Nawet gdybyś wiedziała, że grozi to odebraniem dziecka rodzicom?

– Jak najbardziej. – Pip bierze mnie za rękę. – Robisz niezwykle rzeczy, Claudio. Nikt nie zdaje sobie sprawy, że idziesz do ludzi z pozytywnym nastawieniem i sercem pełnym nadziei, a wychodzisz zgnębiona, ze stosem papierkowej roboty.

– Żebyś wiedziała. – Nie mogła trafniej tego ująć. – Zamknęli mnie w szpitalu – mówię cicho. Wyznanie pojawia się znikąd, jakby padło z ust kogoś innego. Nie wspomniałam o tym nawet Jamesowi. Przyciskam rękę do ust, jakbym właśnie zwymiotowała na stół. – Niech to zostanie między nami – dodaję, chcąc wymazać nawet wspomnienie tych słów.

– Psychiatrycznym? – pyta z udawanym amerykańskim akcentem Pip. – W kaftanie bezpieczeństwa i w ogóle?

– Tak, na oddziale psychiatrycznym. Ale to nie było złe doświadczenie. Dobrze mi zrobiło. – W rzeczywistości przez trzy tygodnie nie wstawałam z łóżka i wcale mi dobrze nie zrobiło. Pielęgniarki pozwoliły mi leżeć i tonać w rozpacz. Lekarz kręcił nade mną głową i marudził, że powinnam wstać i chodzić, uczestniczyć w terapii grupowej oraz integrować się z innymi pacjentami i próbować wrócić do normalności. Odpowiadałam mu, że gdybym czuła się na

siłach, nie musiałabym tu być. – Słuchaj, nie było tak strasznie. Wypaliłam się pracą, poroniłam i trochę pomieszało mi się tutaj. – Stukam się palcem w czoło.

– W takim razie bardzo cię podziwiam – oświadcza Pip, chyba szczerze. – I chyba wcale się już o ciebie nie martwię. – Uśmiecha się szeroko.

– To dobrze – odpowiadam. Tylko tego brakuje, żeby się zaczęła nade mną trząść.

Odwzajemniam uśmiech, kiedy przynoszą nam jedzenie. Moją parującą kanapkę z mozzarellą i warzywami podano na skropionych sosem liściach sałaty. Straciłam apetyt, chociaż jeszcze niedawno byłam głodna. Pip rzuca się na makaron, zawija na widelec blade wstążki. W momencie gdy ma je wpakować do ust, wszystko ześlizguje się z powrotem na talerz. Z westchnieniem odkłada sztućce.

– Po prostu ostatnio wydawałaś się przybita i rozkojarzona – mówi. – Ale pewnie z powodu wyjazdu Jamesa, no i musisz przyzwyczaić się do Zoe.

Na wzmiankę o Zoe serce podskakuje mi w piersi. Powinnam wykorzystać ten krótki czas na opowiedzenie jej, co znalazłam w pokoju na strychu, żeby wyraziła swoje zdanie na temat zdjęć, testów ciążowych, krwi na bluzie. Wylewanie dawnych żalów i rozwodzenie się nad własną drogą życiową nie powinno być w tej chwili moim priorytetem.

Lecz rozmowa o Zoe wydaje się nie na miejscu, zresztą Pip stwierdziłaby tylko, że wyciągam pochopne wnioski i robię z igły widły. Pomyślałaby jeszcze, że zmyślam albo plotę trzy po trzy. Poza tym wiem, że naprawdę lubi Zoe.

– Niech pani się nie wymiguje, pani Pearce. – Zmuszam się, żeby wziąć kanapkę. – Kiedy zadzwoniłaś dziś rano, to ty miałaś zgębniony głos. – Obserwuję jej reakcję. – My, wieloryby wyrzucone na brzeg, musimy trzymać się razem.

Nie wytrzymuje i parska śmiechem.

– Nic mi nie jest. Po prostu boję się rozwiązania, ale powinnam już

mieć wprawę.

– Jak poszło z Lilly? – Chętnie wysłuchałabym jej opowieści. – Jak z płatką czy wprost przeciwnie?

Pip podejmuje kolejną próbę nabrania makaronu i sos łąduje jej na brodzie. Wyciera go z uśmiechem.

– Okropnie – mówi. – Mało nie umarłam.

– To straszne, Pip. – Wspominała, że nie miała lekkiego porodu, ale nie wiedziałam, że o mało nie przypłaciła go życiem.

– Byłam sama, kiedy to się stało. To był mój pierwszy raz, strach mnie sparaliżował. Ból był nie do wytrzymania. – Pip dolewa wodę do szklanek. – Do nikogo nie mogłam się dodzwonić.

– Kiedy co się stało? – Chętnie posłuchałabym o przyjemnej ciąży, porodzie jak bułka z masłem i ślicznym dzidziusiu, którego powiła z uśmiechem na ustach.

– To – cedzi Pip, krusząc bułkę. Ma dziś wilczy apetyt. – No wiesz, poród. Ból. Koszmarny, nie do wytrzymania.

– Aha – mówię z lekkim rozczarowaniem. – Czyli wszystko poszło jak należy?

– Tak. Poród miałam książkowy. Ale to był koszmar, a Clive nie odbierał telefonu. Był wtedy w Edynburgu. Przysięgałam, że więcej nie zajdę w ciążę, a tu... proszę.

– Proszę – uzupełniam jak echo i ze strachu aż mnie zatyka.

## Rozdział 32

Trę i trę, ale krew nie chce puścić. Wzarała się we włókno, strażnik mrocznych sekretów. Woda różowieje, więc dosypuję płatki mydlane i pocieram jeszcze mocniej. Woda w odpływie bulgocze, kiedy wyciągam korek. Wyżymam bluzę i unoszę ją pod światło. Wzdycham na widok rudawego śladu na barku. Na dodatek będę musiała zaszyć dziurę. Moje cerowanie jest do kitu, więc i tak będzie wściekła za zniszczenie ulubionej bluzy. Tej, w której chodzi po domu i płacze na ckliwych czarno-białych filmach, z bombonierką w garści. Tej, którą ma od szesnastego roku życia. Nie wiedziała, że ją wzięłam. Cecelia nie będzie zachwycona.

– Było od razu zamoczyć w mydlinach – mówi Jan. Odwracam się jak oparzona. Stoi podparta pod boki i obserwuje moje nieudolne zmagania. – Krew? – pyta.

– Tak – odpowiadam nerwowo. Próbuję złożyć bluzę, żeby ukryć plamę. – Chyba ją wyrzucę – dodaję na dowód, że nie ma o czym mówić.

– Bzdura – oponuje. – Pokaż no.

Sięga po ociekający gałgan, ale przyciskam go do piersi.

– Naprawdę nie trzeba. Jest stara jak świat. Nadaje się na śmietnik. – I lekkomyślnie wrzucam ją do kosza na śmieci, ale Jan natychmiast spieszy na ratunek. Wiem, że tylko próbuje pomóc.

– Trzeba wymoczyć ją w wybielaczu. – Ciska bluzę z powrotem do zlewu i szpera w szafce pod spodem. – Dam głowę, że go tu widziałam. – Po chwili z triumfem wyciąga czarną, plastikową butelkę. Potrząsa. – Powinno wystarczyć. – Chlapie na bluzę i dolewa wodę.

– Dzięki, Jan – mówię przez zaciśnięte zęby. – Już dam sobie radę.



Wypluczę kilka razy.

– O nie, nie, kochana. Najlepiej zostaw na parę godzin. Miałaś wypadek? – Trze plamę małym palcem.

– Tak... tak, miałam. Spadłam z roweru.

– Musiałaś się nieźle pokiereszować.

Bagatelizuję sprawę, zapewniając, że to tylko draśnięcie.

– Ładne mi draśnięcie – mruczy z niedowierzaniem. Patrzy na bluzę, po czym przenosi wzrok na mnie. – Bardziej mi wygląda na morderstwo. – I zanim mam okazję sprostować, wraca na górę. – Widzimy się w przyszłym tygodniu! – woła.

Nie mówię, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, dziś widzimy się po raz ostatni.

Postanawiam posłuchać jej rady i zostawić bluzę w zlewie. Claudii nie ma, więc zakrwawiona odzież nikogo nie zaintryguje, a Jan chyba uwierzyła w incydent na rowerze. Obnaszanie się z krwawymi plamami figuruje dość wysoko na liście idiotycznych rzeczy, których mam unikać w tym domu. Niepotrzebne zwracanie na siebie uwagi jest niewskazane. Nie mogę dopuścić, żeby Claudia nabrała wobec mnie jakichkolwiek podejrzeń. Ja na pewno nie chciałabym, by moimi dziećmi opiekował się ktoś ze śladami krwi na bluzie.

Moimi dziećmi, powtarzam w duchu i znów myślę o Cecelii, wrzeszczącej na mnie za zniszczenie ulubionej bluzy i opieszałość w wiadomej kwestii.

Cieszę się, że Claudia poszła rano do pracy. Zważywszy na jej błądliwość i nadciągający nieuchronnie termin, myślałam, że nie pójdzie. Wprawdzie nie narzeka na konieczność dreptania po domu i chodzenia po schodach, ale frustrację i zmęczenie ma wypisane na twarzy. Pochopna wizyta u Cecelii (diabli wzięli postanowienie co najmniej miesięcznej rozłąki) tylko utwierdziła mnie w przekonaniu, iż jednak dobrze się stało, że nie zaszłam w ciążę. Ale oczywiście Cecelia widzi to inaczej.

Korzystam z okazji, by ponownie zakraść się do gabinetu. Tym razem dopilnuję, by przerzucić zdjęcia i wykasować je z aparatu. Jestem

pewna, że Claudia coś podejrzewa, że szperała w moich rzeczach. Przekręcając klucz w zamku, dostrzegam ironię sytuacji.

– No dobra. – Nadal nie mam pojęcia, czego tak właściwie szukam. – Od czego dzisiaj zacząć?

Przygryzam wargę i rozglądam się po sanktuarium Jamesa. Ciekawe, czy wyczuwa, że naruszam jego królestwo. I czy po powrocie do domu zmarszczy nos i powiedzie wzrokiem po pokoju, łowiąc resztki pozostawionego przeze mnie zapachu. Może zauważy, że coś przestawiłam? Na podłodze leży czerwony, puszysty dywan. Muszę uważać, żeby nie zostawić na nim wgniecień. Jeśli Claudia tu wejdzie – a wchodzi od czasu do czasu – z pewnością nie umknie to jej uwadze.

Próbuję otworzyć szufladę drewnianego sekretarzyka, ale zgodnie z moimi przewidywaniami jest zamknięta na klucz. Ostatnim razem przejrzałam zawartość sejfu w przekonaniu, że zawiera najciekawsze papiery. Może niektóre okażą się przydatne, ale jestem pewna, że najlepsze jeszcze przede mną. Ta rodzina ma pieniądze i nie ulega wątpliwości, że pochodzą one od Sheehanów. Ale potrzebuję dowodów, więcej dowodów, i to szybko. Muszę myśleć o przyszłości.

Błyskawicznie znajduję klucz do sekretarzyka: leży pod doniczką z rachityczną roślinką na parapecie. Otwieram górną szufladę, nie wiedząc, co w niej zastanę, ale jeśli ma się udać – Boże, niech chociaż raz mam szczęście! – to musi się tu znajdować. Potrzebuję tego ulotnego czegoś, dowodu, kropki nad i. Komuś takiemu jak ja rzadko nadarzają się podobne okazje. Właściwie wszystko mam podane na tacy. Dlatego tak się denerwuję, stwierdzam, wyciągając pierwszy segregator. Jeśli nawalę, jeśli nie dostanę tego, czego chcę, jeśli złapią mnie, zanim skończę, będę się tłumaczył przed policją.

Rozkładałam na biurku zawartość pierwszego segregatora. Całe mnóstwo wyciągów – to jakiś rodzaj funduszu inwestycyjnego – obejmujących lata 1996–2008. Wszystko skrupulatnie fotografuję, co zabiera mi dwadzieścia minut. Wzdycham i patrzę na wypchany sekretarzyk. Co chcę przez to osiągnąć? „Lepsze życie”, szepcze głos w mojej głowie, dręczący mnie wszystkimi za i przeciw. Nie zamilkł,

odkąd odpowiedziałam na ogłoszenie Claudii:

Pracujący rodzice szukają doświadczonej, zaradnej i kochającej niani do opieki nad czteroletnimi bliźniakami oraz dziewczynką, która niebawem przyjdzie na świat. Własny pokój z łazienką w pięknym domu w Edgbaston. Lekkie obowiązki domowe, ale bez sprzątanania. Samochód do dyspozycji i wolne weekendy. Konieczne doświadczenie w zawodzie oraz referencje. Zatrudnienie od zaraz.

Wyśmienicie się składa, pomyślałam po przeczytaniu. Cóż za nieprawdopodobne zrządzenie losu, lepszego nie mogłam sobie wymarzyć. Ponownie uderza mnie ironia sytuacji. Nie żebym tak naprawdę chciała to robić – w zasadzie nie mam wyboru. Są w życiu pewne rzeczy, z którymi po prostu trzeba się pogodzić, uświadomiłam sobie w dniu wyprowadzki od Cecelii. Tego samego dnia zamieszkałam u Claudii. Z deszczu pod rynnę.

Ale pocieszam się, że przynajmniej robię coś ważnego i nie muszę wysłuchiwać wyrzutów Cecelii, która znowu nie dostała tego, czego chce.

Chowam jeden segregator i wyciągam następny. „Ubezpieczenie na życie”, widnieje napis na wierzchu. Unoszę brwi. Nieźle, myślę sobie. Będzie jak znalazł.

Pół godziny później nastawiam czajnik, jakbym robiła sobie przerwę na herbatę w dawnej pracy. Wyglądam przez okno na zadbany ogród. Wykoślawione drzewa straszą na tle szarego nieba, a zszarzała zielen trawy niesie wspomnienie bujnego trawnika z czasów wakacji. Nagle dopada mnie samotność; w przypiływie strachu mam ochotę dać za wygraną. Dotykam telefonu w kieszeni – łącznika z poczuciem bezpieczeństwa, łącznika z Cecelią. Ciekawe, czy myśli to samo, czy wodzi palcem po klawiaturze telefonu, na której tak łatwo mogłaby wystukać do mnie wiadomość. O czym teraz myśli? Czy w ogóle zdaje sobie sprawę, że robię to dla niej? Czy mnie nienawidzi? Czy jeszcze będzie chciała mnie widzieć? Wypełnia mnie chłód na myśl, że nie. Pcha mnie z powrotem do gabinetu, gdzie znów zacznę przeszukiwać dokumenty. Na pewno zaraz coś znajdę.

Segregator z napisem „Pielęgnacja ogrodu” budzi moje zdziwienie. Jest w identycznym, burym odcieniu jak pozostałe, ale znacznie grubszy, bardziej wypchany papierami. Do tego stopnia, że nie mogę go wyjąć z półki. Gdy wreszcie mi się udaje, widzę, że jego zawartość nie ma nic wspólnego z pieleniem. Spodziewałam się katalogu najnowszych modeli kosiarek, reklam firm świadczących usługi strzyżenia krzewów i rachunków za usypywanie ścieżek, lecz nic bardziej mylnego. Segregator zawiera drugi z napisem „Fundusz powierniczy”.

Serce łomocze mi w piersi. Nasłuchuję odgłosów z zewnątrz – szumu silnika na podjeździe, trzaśnięcia drzwiami, zgrzytu klucza w zamku. W oddali słyszę zawodzenie syreny, a w uszach dudni mi powietrze, które na przemian wdycham i wydycham z płuc.

Otwieram segregator i wyciągam pierwszy dokument. Czytam go pobieżnie i pstrykam zdjęcie. To samo robię z pozostałymi. Całość zabiera mi półtorej godziny. Nawet gdy wszystko odkładam na miejsce, gdy zamykam gabinet i wracam do pokoju, moje serce nadal wywija hołubce. Nie mogę przestać myśleć o tym, co to znaczy. Ale przede wszystkim nie mogę przestać myśleć o Claudii.

## Rozdział 33

Grace stała ze wzrokiem wbitym w wykładzinę i skubała paznokiec kciuka. Szurała nogą tam i z powrotem, dopóki Lorraine nie kazała jej przestać. Nie posłuchała i ze zdwojoną energią szurała dalej. Wreszcie zaczęła kopać nogę od stołu, a piętą walić w podstawę kanapy. Policzki jej poczerwieniały, a dolna warga zadrżała prawie niezauważalnie. Wszystko wskazywało na to, że zaraz wybuchnie płaczem.

– Miło, że zajrzałaś – oznajmiła z przekąsem Lorraine. Nie chciała mówić takim tonem, lecz jej nadzieje na trwałą powrót córki przysły w momencie, kiedy Grace zadzwoniła – zadzwoniła! – do drzwi i oświadczyła, że wpadła tylko po parę rzeczy.

– Kochanie... – zaczął Adam.

Grace milczała. Namówili ją, aby weszła do salonu i usiadła. Ale westchnienia, ciasno skrzyżowane ramiona i oczy wzniesione do sufitu nie pozostawiały wątpliwości, że wolałyby znaleźć się gdzie indziej.

– Przestań kopać, Grace, bo coś sobie zrobisz – burknęła Lorraine, może zbyt ostro.

Grace wyprostowała się wreszcie i znieruchomiała.

– Matka ma rację – dorzucił niepotrzebnie Adam. – Musisz z nami porozmawiać, Grace. Jak mamy ci pomóc, jeśli z uporem unikasz tego tematu?

– Nie potrzebuję waszej pomocy – oznajmiła Grace, nadal wpatrzona w wykładzinę. – Nie ma o czym gadać.

– Czy ten chłopak wywiera na ciebie presję? – spytała z niepokojem Lorraine.

– Ten chłopak – odparła wyniośle Grace – ma imię, wiesz? I nie, Matt nie wywiera na mnie żadnej presji. Oboje chcemy wziąć ślub.

Kochamy się.

– Ale co ze studiami? Ze znalezieniem dobrej pracy, przyzwoitym życiem? Jesteś jeszcze dzieckiem. – Lorraine doznała nagle wizji swej siedemnastoletniej córki z brzuchem, żyjącej na zasiłku dla bezrobotnych. Bez Matta, oczywiście.

– Rozumiemy, jak się czujesz – zapewnił Adam.

– Hm, właściwie to nie rozumiemy – przerwała mu Lorraine.

Grace wzięła głęboki oddech.

– Jestem świadoma, że nie rozumiecie – powiedziała cicho. – Dlatego wyprowadziłam się z domu, aby uciec od was obojga. Jeżeli muszę rzucić szkołę i poszukać pracy, żeby się utrzymać, nie zawaham się tego zrobić. Matt i ja poważnie myślimy o ślubie. Jego mama bardzo nas wspiera.

Lorraine drgnęła.

– Chciałaś zostać naukowcem – zaryzykowała.

– W weekend idziemy oglądać sale weselne – ciągnęła Grace, jakby nie dosłyszała.

– I chciałaś pojechać na dziekanę do Stanów.

Grace powoli zwróciła oczy na matkę i potrzęsnęła głową, jakby minione siedemnaście lat było tylko snem, bez żadnego związku z rzeczywistością.

– Ty chciałaś, żebym została naukowcem – uściśliła. – Oczywiście gdy nie byłaś zajęta kłótniami z tatą.

Lorraine odczuła lekki przyływ furii.

– Dobra. Rzuć szkołę i mieszkać sobie z inną rodziną – nie wątpię, że lepszą. Wyjdź za mąż, miej tuzin dzieci przed dwudziestką i haruj nocami w supermarkecie. – Wyczuła pewne zainteresowanie. – Od tej chwili jesteś wolna, Grace. Tylko pomyśl: starzy przestaną ci wiercić dziurę w brzuchu, nie będziesz musiała odrabiać zadań domowych, nie będzie szlabanu. Jesteś zdana na siebie, kochana, tylko nie myśl, że przybiegniesz do nas po pieniądze.

– Tata nie wierci dziury w brzuchu – oznajmiła spokojnie Grace. – Ale ty owszem.

– Jezu! – Lorraine uniosła ręce do twarzy.

Adam niepewnie zmienił pozycję.

– Ray, nie.

– Jeszcze nie skończyłam...

– W porządku, Grace – powiedział Adam. – Skoro dobrze to przemyślałaś i naprawdę tego chcesz... – Niezbyt wiarygodnie zawiesił głos. – Po prostu nie chcemy, byś podjęła pochopną decyzję.

– Jesteś jeszcze dzieckiem. – Lorraine po raz ostatni spróbowała przemówić córce do rozumu. – Nie możesz wyjść za mąż. Nie masz bladego pojęcia, co to znaczy.

– Przynajmniej mam kogoś, kto mnie kocha – odparła Grace tak cicho, że Lorraine myślała, że się przesłyszała. – Bo wy mnie nie kochacie.

– Ależ, kochanie, to nieprawda i dobrze o tym wiesz. – Adam pochylił się i złapał ją za ręce. – Jak możesz tak mówić? Mama i ja bardzo cię kochamy.

W odpowiedzi wolno pokręciła głową, jakby nawet to wiele ją kosztowało. Łza spłynęła jej po policzku.

– Oczywiście, że cię kochamy – dodała Lorraine, wstrząśnięta do głębi słowami córki. – Skąd w ogóle ta myśl?

– Bo nawet nie kochacie siebie nawzajem – zabrzmiała cicha odpowiedź Grace.

Adam aż się wzdrygnął. On i Lorraine pospiesznie wymienili spojrzenia.

– Ależ kochamy – zaproponował z urazą.

Zdaniem Lorraine, kłamstwo było szyte grubymi nićmi. Jak mogli naiwnie zakładać, że problemy zamiecione pod dywan nie wpłyną na córki?

– Stella też tak uważa – dodała Grace i szuranie zaczęło się od początku. – Zawsze się spieracie, szepczecie i kłóćcie o wszystko. Myślicie, że nie słyszymy, ale owszem. Stella czasami płacze po nocach.

– Oczywiście, że tata i ja się kochamy, skarbie – powiedziała Lorraine, widząc, że Adam lekko zwiesił głowę. – Mamy stresującą

pracę, którą może niepotrzebnie przynosimy do domu, ale... się kochamy. – Ujęła rękę Adama i wcisnęła w nią swoje palce.

Pierwsze i jedyne spotkanie z terapeutką od małżeństw skończyło się podobnie, gdy kobieta poprosiła Lorraine, by dotknęła Adama i sprawdziła, jakie to uczucie. Mogła wówczas odpowiedzieć bez sprawdzania: „chore”.

– Mam go dotknąć? – spytała wówczas z niedowierzaniem. Prędzej uszczypnęłaby go albo dała mu kopniaka, ale spełniła prośbę terapeutki. Z ociąganiem wzięła męża za rękę.

– I jak? – zapytała tamta.

– Ciepło? – zasugerowała Lorraine.

– Ciepło – odpowiedziała terapeutka. – To dobrze. Być może czujesz, że on żyje, że jest taki jak ty, a w jego żyłach tętni miłość i emocje.

– Och, nie pierdol – nie wytrzymała Lorraine. Wyrwała rękę. – Ciepły jest, a jakże. Rozbuchany samiec, co nie potrafi utrzymać fiuta w gaciach.

Teraz, siedząc naprzeciw Grace, Lorraine prawie usłyszała jego poirytowane westchnienie. „To nie było tak”, powiedział, znów na swoją obronę.

Sesja dobiegała końca, a Lorraine roznosiło. Głupia terapeutka ewidentnie stała po stronie Adama – pewnie też była Tą Trzecią i miała inne priorytety. Tak czy siak, Lorraine nie życzyła sobie, żeby obca osoba patrzyła na nią z góry i traktowała jak idiotkę. I nie miała zamiaru płacić za trzymanie męża za rączkę, po tym jak wyznał, że zaliczył na boku panienkę. Zgodziła się panować nad uczuciami i ratować rodzinę dla dobra dzieci, chociaż w świetle okoliczności nie była pewna, ile wytrzyma.

Poczuła uścisk dłoni Adama.

– Próbujemy ci tylko pomóc w podjęciu właściwej decyzji, Grace. Ślub w twoim wieku byłby katastrofą. Jeszcze tydzień temu rozmawialiśmy o studiach.

Grace wstała i wygładziła bluzkę. Nienagannie czystą i



wyprasowaną, co nie uszło uwadze Lorraine. Matka Matta najwyraźniej nie miała co robić z czasem.

– Mamo, tato, to już postanowione. Rzucam szkołę i wychodzę za mąż. Mam nadzieję, że przyjdziecie na nasz ślub. – I odwróciwszy się, spokojnie wyszła z pokoju.

– Chyba dobrze poszło – oznajmił złośliwie Adam. Po wyjściu Grace posiedzieli chwilę otępiali w pokoju, a następnie wrócili do kuchni. Matt czekał w samochodzie. Żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć.

Lorraine z westchnieniem odsłuchiwała wiadomości. Uniosła palec, żeby zwrócić uwagę Adama, po czym schowała komórkę z powrotem do kieszeni spodni.

– Dzwonił lekarz Carli Davis, nareszcie. Przez cały dzień był nieosiągalny, więc zostawiłam wiadomość jego sekretarce. Musiał zadzwonić, kiedy rozmawialiśmy z Grace.

– No? – Adam nastawił czajnik.

– Wychodzi na to, że Carla miała nerki uszkodzone długotrwałym braniem narkotyków. Na początku ciąży poinformowano ją, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa umrze jeszcze przed narodzinami dziecka lub tuż po nich.

Lorraine umilkła, aby ogarnąć ten niebywale trudny dylemat. Jak ktoś tak upośledzony emocjonalnie jak Carla miał podjąć równie przełomową decyzję?

– Innymi słowy, decydując się na poród, ryzykowała życie. Zasugerowano jej aborcję, na którą początkowo przystała. A potem jej się odwidziało. Doktor Farrow nie był wówczas lekarzem Carli, ale z karty wynika jasno, że uświadomiono jej powagę sytuacji. To była dosłownie kwestia życia i śmierci.

Adam zmarszczył brwi.

– Jak się okazało, ciąża i tak nie wyszła jej na zdrowie – rzucił posepnie.

– Dlaczego więc zmieniała zdanie? Ktoś przekabacił ją wbrew zaleceniom lekarzy?

– Może jej kuratorzy coś wiedzą – rzekł po chwili milczenia Adam. –

Może im się zwierzała.

– Sądzisz, że powinniśmy znów z nimi porozmawiać?

Adam potwierdził. Spojrzał na zegarek.

– Chyba nie mówisz poważnie? – przeraziła się Lorraine. Była wykończona. – Dzisiaj?

– Myślę, że powinniśmy. Chciałbym coś... – Umilkł z wahaniem. – Pewnie nic ważnego.

– Przecież skończyli pracę... – Lorraine urwała, bo nie zwykła kwestionować jego przeczuc. Intuicja Adama w przeszłości nieraz pomogła osiągnąć przełom w śledztwie. Może w ich życiu osobistym dopuścił się kardynalnego błędu, ale w pracy... w pracy był w swoim żywiole i nie pozwalał sobie na błędy, co niekiedy doprowadzało ją do szału. Pojedzie z nim, zobaczy, co z tego wyniknie. Bądź co bądź, to on kierował dochodzeniem.

Sięgnął po kluczyki.

– Złożymy pani kurator kolejną wizytę i może przy okazji dowiemy się czegoś o tej całej Heather Paige. – Byli tam po rozmowie Lorraine z Cecelią, ale nikogo nie zastali. – Idziesz?

Lorraine z ociąganiem ruszyła za nim do wyjścia. Zawołali do Stelli, że wrócą za godzinę, na co odmruknęła coś w odpowiedzi. Wymienili spojrzenia, po czym Adam wziął żonę za rękę i zaprowadził do samochodu.

Kiedy zapinała pas, a palce wciąż mrowiły ją od dotyku męża, Lorraine uświadomiła sobie, że po raz drugi tego dnia trzymała go za rękę.

## Rozdział 34

Dom był zaciemniony od frontu, a na podjeździe panował mrok gęstszy niż na ulicy, jakby posesja chciała się skurczyć i nie rzucać w oczy – przynajmniej tak wydało się Lorraine, kiedy po raz drugi tego dnia weszli na imponujący ganek.

– Mam nadzieję, że nie będzie zła – powiedziała. – Niedługo ma rodzić, może chciała się wcześniej położyć. – Omiotła wzrokiem okna z zaciągniętymi zasłonami. Z pokoju na parterze biła lekka poświata, na którą w pierwszej chwili nie zwróciła uwagi. Ktoś jeszcze nie spał.

Adam pouczył ją wzrokiem, że ma się zachowywać jak detektyw, a nie zatroskana kobieta. I głośno zastukał do drzwi.

Po chwili na progu stanęła Claudia Morgan-Brown. Sprawiała wrażenie zaszokowanej ich widokiem.

– Nic się nie stało – zapewniła ją z krzepiącym uśmiechem Lorraine na wspomnienie jej zdenerwowania na początku pierwszej wizyty. – Przepraszamy za zakłócanie spokoju o tej porze, ale chcielibyśmy zadać pani jeszcze kilka pytań w sprawie Carli Davis.

– Ach tak – westchnęła. – Oczywiście. – Zaprosiła ich do środka. Kiedy prowadziła ich do salonu, wydała się Lorraine bardzo zmęczona. – Niech państwo usiądą. – Telewizor grał cicho i Claudia wyłączyła go pilotem. – Chyba przysnęłam.

– Nie zajmujemy pani dużo czasu. – Lorraine zerknęła z wyrzutem na Adama, ale nie zauważył. Nie rozumiała, czemu ta wizyta nie mogła poczekać do jutra. Wątpiła, czy odkryją coś przełomowego dla sprawy.

– Herbaty? – zapytała Claudia, wciąż stojąc. Zgarnęła do tyłu gęste włosy, po czym znów rozsypała je na ramionach. Lorraine uznała, że mimo zmęczenia jest bardzo ładna.

– Nie, dziękujemy – odpowiedziała z uśmiechem. Rozejrzawszy się po pokoju, dostrzegła parę zapomnianych zabawek przy oknie – klocki Lego, dwie plastikowe ciężarówki, otwarta książka z obrazkami. Pewnie synowie Claudii już śpią. Ciekawe, co porabia opiekunka.

– Chcielibyśmy zapytać, czy pani lub ktokolwiek z pani działu wiedział o kłopotach zdrowotnych Carli – powiedział Adam.

Claudia z namysłem zmarszczyła brwi. Usiadła i postukała się palcami w szyję.

– Jeśli dobrze pamiętam, nie była w najlepszym stanie – stwierdziła.  
– Mimo jej młodego wieku narkotyki zrobiły swoje. Ale jak już wspomniałam, nie zajmowałam się sprawą Carli, kiedy jej nienarodzone dziecko znalazło się w centrum naszej uwagi.

– Ale poznała ją pani?

– O tak – zapewniła Claudia. – Przecież mówiłam. Widziałyśmy się kilka razy.

– Czy była pani świadoma tego, jak poważnie jest chora?

Claudia ponownie zmarszczyła brwi.

– Nie, nie znałam szczegółów, pomijając jej uzależnienie.

– A zatem nie wiedziała pani o jej nerkach?

Claudia zrobiła wielkie oczy i przygryzła wargę, aż zbielała.

– Nie. Jak to?

– To przez narkotyki. Carla została poinformowana, że jeśli utrzyma ciążę, najprawdopodobniej umrze jeszcze przed narodzinami dziecka albo tuż po nich. Że jej nerki tego nie wytrzymają. – Adam nie wysiłał się na medyczny żargon, bo też nie znali szczegółów stanu Carli.

– Czy to dlatego miała mieć przeprowadzoną aborcję? – Claudia nie kryła zdziwienia.

– Właśnie – potwierdził. – Ale zmieniła zdanie. Zastanawialiśmy się, czy zna pani powody tak ryzykownej decyzji.

Claudia spuściła głowę. Po chwili ukryła twarz w dłoniach i Lorraine zobaczyła, że ramiona jej zadrżały – może z poczucia winy?

– Co się stało? – Lorraine zauważyła, że Adam postukuje nogą w stół, i przypomniała jej się Grace.

– To byłam ja – szepnęła Claudia bez wahania. Zaszłochała gwałtownie i uniosła głowę. Miała winę wypisaną na twarzy i rozpalone policzki. – Ale przysięgam, że nie zdawałam sobie sprawy, jakie to dla niej groźne. Działalam w dobrej wierze.

– Proszę się uspokoić – powiedział Adam chłodnym tonem. – Nikt pani nie oskarża. Niech pani ochłonie i opowie nam, jak było.

Lorraine wyczuła jego rozczarowanie. Mieli przed sobą zwykłą kuratorkę, która – słusznie lub nie – odradziła Carli aborcję. Nici z tropu, na który miał nadzieję, i z powiązania ze sprawą Sally-Ann.

Claudia spazmatycznie chwyciła oddech. Lorraine nie była pewna, czy drażnienie tematu leży w jej interesie, zważywszy na okoliczności. Patrzyła, jak tamta marszczy brwi, próbując sobie przypomnieć.

– Jakies pół roku temu Carla była umówiona z Tiną, ale Tina zachorowała i poszłam ją zastąpić. Spotkałyśmy się w mieszkaniu Carli.

– Proszę mówić dalej – zachęciła Lorraine. Była głodna i czuła, że burczy jej w brzuchu pod kurtką. Chciała wracać do domu, do Stelli.

– Dawno się nie widziałyśmy. Co rusz zmieniała domy zastępcze. W każdym razie niedawno dowiedziała się, że jest w ciąży. Moim zadaniem było ocenić jej stan psychiczny, warunki mieszkaniowe, nałogi i te sprawy, aby ustalić, na czym stoimy w sprawie dziecka. Powiedziała mi, że stara się nie brać, ale ciężko jej idzie. Sporo też piła. Nic jej nie wychodziło. Oprócz...

Claudia spojrzała na Lorraine, jakby nawiązała się między nimi nic porozumienia.

– Oprócz dziecka – uzupełniła Lorraine.

Claudia kiwnęła głową.

– Widziałam w jej oczach błysk nadziei, kiedy o nim mówiła. Pokazała mi tycie różowe skarpetki, które kupiła na targu. – Claudia uśmiechnęła się, lekko wzdychając. – Powiedziała, że kupiła tego dnia dziesięć fajek zamiast dwudziestu, żeby wystarczyło jej na te skarpetki. Dostrzegałam w niej pewną zmianę, gdy poruszała ten temat, i dlatego byłam wstrząśnięta, gdy wspomniała mi o planach przerwania ciąży. Chciała, żeby ktoś odwzajemniał jej miłość. To zdanie wywarło na mnie

duże wrażenie.

Na Lorraine też. Przełknęła kluchę w gardle, uparcie nie patrząc na Adama, zwłaszcza po rozmowie, którą niedawno odbyli z Grace.

– Dlatego odwiodła ją pani od tego pomysłu.

– Tak – wyznała szczerze Claudia. – Ale przysięgam, że nie zdawałam sobie sprawy z przeciwwskazań lekarskich. Carla ani słowem o nich nie wspomniała, inaczej na pewno namówiłabym ją na powtórny wizytę u lekarza. Poza tym nie radziłam jej, aby zatrzymała dziecko. Byłoby to niewskazane, biorąc pod uwagę jej warunki i nałóg. Ledwo mogła zadbać o siebie, a co dopiero wziąć odpowiedzialność za drugiego człowieka. Uznałam, że po prostu odda dziecko po urodzeniu.

Adam notował, a Lorraine tylko słuchała, rozmyślając o biednej Carli i jej maleństwie.

– Ale skoro wiedziała pani o jej długotrwałych problemach z narkotykami, czy nie zakładała pani powikłań? – spytał Adam.

Szok na twarzy Claudii dokładnie odzwierciedlał reakcję Lorraine. Spiorunowała męża wzrokiem za taką nieczułość, ale nie zwrócił na to uwagi.

– Moja rola, detektywie, polega na tym, aby nigdy niczego nie zakładać. Ale nie jestem lekarzem, a w kartotece zabrakło wzmianki o dolegliwościach Carli; była tylko informacja o planowanej aborcji. Moim zadaniem było chronić jej nienarodzone dziecko. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że ciąża może ją zabić. Widziałam tylko zdesperowaną młodą kobietę z błyskiem nadziei w oku. Chciałam, żeby rozważyła wszystkie możliwości, w tym zatrzymanie dziecka.

Claudia wstała i rozprostowała plecy. Miała minę, jakby coś ją zabolało.

– Carla obiecała mi, że rzuci narkotyki, pójdzie na odwyk, przestanie pić, ograniczy palenie. Obiecała, że przestanie spotykać się z niewłaściwymi ludźmi. Posprzątałyśmy nawet w jej mieszkaniu. Nie wspomniałam o tym w raporcie, ale zobaczyłam taki optymizm, taki entuzjazm, jakby dojrzywało w niej coś nieprawdopodobnie wspaniałego, i wiele bym wówczas dała, aby odwołała aborcję. Czy to

źle?

– Nie – zaproponowała Lorraine prawie natychmiast. – Bynajmniej.

– Jakie jest pani zdanie na temat aborcji, pani Morgan-Brown? – zapytał Adam. – Przepraszam, jeśli to brzmi grubiańsko w pani sytuacji.

– Nie ma za co – odrzekła z namysłem Claudia, kładąc ręce na brzuchu. Lorraine mogłaby przysiąc, że przez ostatnich parę dni znacznie urósł. – Ciąża to coś niebywałego. Zawsze marzyłam o tym, aby zostać matką. – Uśmiech zbladł. – Sęk w tym, że nigdy nie podejrzewałam, ile przyniesie mi to zgryzoty. Ale sami państwo widzą. Dwóch pasierbów i córeczka w drodze.

– Zgryzoty? – powtórzyła Lorraine.

– Niestety, to nie jest moja pierwsza ciąża. Mój poprzedni partner i ja wielokrotnie staraliśmy się o dziecko i...

– W porządku. Nie musi pani mówić. – Lorraine żałowała, że z tym wyskoczyła.

– Nie, to ważne. Wielokrotnie poroniłam, nigdy nie udało mi się donosić ciąży. Nie wiadomo dlaczego. Dlatego ta ciąża jest dla mnie skarbem. Gdy słyszę o aborcjach, staram się nie oceniać, ale w przypadku Carli chodziło o coś innego. Czułam, że powinna urodzić to dziecko, nawet jeśli ma zostać jej odebrane. – Claudia spojrzała najpierw na Lorraine, a potem na Adama, dając im czas, aby to zrozumieli. – Chyba nie sądzicie, że moje osobiste odczucia zmąciły osąd Carli, prawda? – W jej głosie nagle pojawił się lęk i poczucie winy.

– Chciała pani pomóc – odpowiedziała Lorraine.

Claudia w zamyśleniu kiwała głową. Ponownie usiadła, nadal wzburzona. Nerwowo przygryzła paznokieć.

– Jest jeszcze jedna sprawa, może nieistotna. – Claudia znów wstała i zaczęła chodzić po pokoju. – Ale sama nie wiem. To pewnie błahostka i James powiedziałby, że mam paranoję.

– Te „błahostki” często najbardziej się przydają – zauważyła Lorraine.

– No dobrze, ale to zostanie między nami, tak?

– To zależy – wtrącił pospiesznie Adam.

– Po prostu jeśli się mylę, wołałabym, żeby się o tym nie dowiedziała. Znalazłabym się w niezręcznej sytuacji. – Claudia nagle ściszyła głos i kilkakrotnie zerknęła na zamknięte drzwi.

– Zrobimy, co w naszej mocy – rzucił nieprzekonująco Adam.

– Chodzi o Zoe, naszą nianię. Poznała ją pani w czasie pierwszej wizyty – Claudia zwróciła się do Lorraine. – Cóż, miałam powody, aby... aby niedawno szukać czegoś w jej pokoju. Wiem, jak to brzmi, ale proszę mi wierzyć, cieszę się, że tam poszłam. Otóż przeglądałam zdjęcia w aparacie Zoe. Tak, tak, wiem, że nie powinnam... – Skruszone spojrzenie. – Ale dobrze się stało. Zobaczyłam zdjęcie... – Claudia znów się zawahała, nie mogła tego wydusić. W końcu westchnęła i uzupełniła: – Zdjęcie kartoteki Carli Davis.

Wyglądała tak, jakby wyznanie sprawiło jej ulgę, a zarazem wytrąciło z równowagi.

– Zawierała wszystkie osobiste dane Carli, adres, wiek, datę urodzenia, kartę zdrowia oraz inne podstawowe informacje. Czuję się podle, że do tego doszło. To moja wina, że przyniosłam kartotekę do domu. Wydawało mi się, że trzymałam ją pod kluczem, ale chyba jednak nie. Nie mam zielonego pojęcia, na co Zoe te dane.

– Zastaliśmy ją? – spytał Adam.

Claudia zrobiła zboląłą minę.

– Wyszła, ale może zaraz wrócić. – Ponownie zerknęła na drzwi. – Proszę posłuchać, wiem, że to głupio brzmi, lecz wołałabym jej nie rozjuszać. To znaczy... – Widać było, że się denerwuje. – Może się pomyliłam. Tylko przelotnie zerknęłam na zdjęcie. Zrobiłam zbliżenie, ale ekran był taki malutki. Może mi się przywidziało.

– Ale rozumie pani, że będziemy musieli z nią porozmawiać? – zaznaczyła Lorraine.

– Naprawdę nie chcę, żeby się zdenerwowała, bo jeśli odejdzie, to po mnie. James wyjechał i... i będę potrzebować pomocy.

– Jest wiele opiekunek – powiedziała Lorraine życzliwie. – Jeżeli doszło do nieporozumienia, na pewno pani nie zostawi, tylko chętnie udzieli wyjaśnień.



Claudia chwilę się zastanawiała.

– Pewnie ma pani rację. Po prostu mąż wyjechał i czuję się zdana na siebie.

– Rozumiemy – uzupełniła Lorraine. – Przyjedziemy innym razem, żeby porozmawiać z Zoe.

– A tymczasem prosimy jej nic nie wspominać – dorzucił Adam.

– Jeszcze jedno – powiedziała Lorraine.

Claudia uniosła brwi.

– Słucham?

– Czy nazwisko Heather Paige coś pani mówi?

Zrobiła zdziwioną minę i na chwilę z namysłem wzniosła oczy do sufitu.

– Przykro mi, ale nie. Dlaczego?

– Nikt o tym nazwisku nie przebywał w tym domu ostatnio ani w przeszłości? – drażył Adam bardziej napastliwym tonem, niż Lorraine uważała za stosowny.

– Zdecydowanie nie – odpowiedziała Claudia.

– No cóż, w takim razie dziękujemy za wszystko – oznajmiła Lorraine i wstała. – Przepraszamy, że zajęliśmy pani tyle czasu.

– Nie ma sprawy – odrzekła Claudia. Odprowadziła ich do drzwi i podała im rękę na pożegnanie.

## Rozdział 35

Patrzę, jak odchodzą, chociaż oni o tym nie wiedzą. Wyglądam przez szczelinę między zasłonami na korytarzu, odprowadzam wzrokiem światła nieoznakowanego samochodu, który odjeżdża ulicą. Gdy znikają mi z oczu, wracam do salonu i siadam na kanapie. I szczypię się z całej siły za głupotę.

Po co się wyrwałam z opowieścią o Zoe i zdjęciach? Teraz o wszystkim się dowie i będzie wściekła, że weszłam do jej pokoju. Przerazi się, że jej nie ufam, spakuje manatki i tyle ją będę widziała.

A co ze mną?

Marny początek relacji opartej na zaufaniu. James kazałby mi od razu zapytać wprost, czy była w gabinecie, oczyścić atmosferę, od początku grać w otwarte karty. Nie spodobałyby mu się te sekrety.

Jestem pewna, że musi istnieć racjonalne wytłumaczenie, i raptem przychodzi mi do głowy, że może Zoe wzięła przez pomyłkę nasz aparat. Leżał na wierzchu po wycieczce do zoo; to podobne modele. Może zdjęcia już tam były i zrobił je James, chociaż sama nie wiem po co. Nie licząc wspomnianego dokumentu, nie mam pojęcia, co przedstawiały pozostałe fotografie, ale niewątpliwie były to jakieś papiery. Taki scenariusz, choć nieprawdopodobny, nie wydawałby się tak złowrogi. Ale kiedy idę sprawdzić, czy nasz aparat jest w kuchennej szufladzie, gdzie zawsze go trzymam, leży na swoim miejscu. Przeglądam zdjęcia, na wypadek gdyby Zoe zdążyła go odłożyć, lecz nie widzę żadnych dokumentów.

– Ach, James – mówię i wracam do salonu. – Co ja mam robić?

Co ja mam robić? Ileż razy zadawałam mu to pytanie, odkąd jesteśmy razem. Po raz pierwszy usłyszał je chyba, gdy wyznałam, że go

kocham. Siedzieliśmy nad kanałem, trzymając się za ręce i czytając sobie w oczach. Dla przechodniów wyglądaliśmy pewnie jak dwoje zakochanych nastolatków, ale James szykował się do kolejnego wyjazdu i chciałam wiedzieć, czy nasz związek ma przyszłość. Dopadły mnie wątpliwości, Elizabeth zmarła przecież tak niedawno.

– Co ja mam robić? – Upiłam łyk z kubka. Wstrząsnął mną dreszcz; narzuciłam sweter na ramiona. Wieczór był ciepły, wiedziałam jednak, że odpowiedź na to pytanie skrywa całą resztę mojego życia.

– Co ty masz robić? – odpowiedział z niedowierzaniem. – Nie ty, Claudio, tylko my. Wiem, że czujesz się odpowiedzialna za wszystko. Wiem, że powstrzymujesz się przez wzgląd na mnie. – Uścisnął moje palce. Poczułam się bezpiecznie.

Pochyliłam głowę.

– Ludzie będą gadać – powiedziałam.

– Niech się wypchają – mruknął James. – Nie mają pojęcia, co czuję.

– To się dzieje za szybko – zaoponowałam. Mówiłam to już tysiąc razy.

– Elizabeth chciałyby, żebyś był szczęśliwy – odparł James. – Taka właśnie była.

– Żałuję, że jej nie poznałam. – Ale mówiąc to, zrozumiałam, że gdyby do tego doszło, James i ja nie rozmawialibyśmy o wspólnym zamieszkanui. Czy to samolubne cieszyć się, że umarła? Spotykaliśmy się już parę miesięcy. I nie tylko pomagałam mu przy chłopcach. Myślę, że opieka nad synami i nasz rodzący się związek pomogły mu przetrwać pierwszy etap żałoby.

– Naprawdę się pospieszyliśmy – dodałam z uporem. – I ludzie będą gadać, czy nam się to podoba, czy nie. Powiedzą, że jestem sępem, że wskoczyłam na miejsce Elizabeth. – Chciało mi się płakać z bezsilności, ale przełknęłam łzy. Po tym wszystkim, co przeszłam, po tym jak straciłam nadzieję na nowy związek po rozstaniu z Martinem – w końcu spędziliśmy ze sobą jedenaście lat – nie przypuszczałam, że jeszcze odnajdę miłość, a co dopiero założę rodzinę.

– Mam to w nosie – oznajmił James. Przysunął mnie bliżej i poczuł,

że drzę. – Hej – dorzucił łagodnie. – Nie bój się. – Ujął mnie za ramiona i przytrzymał na wyciągnięcie ręki. Po moim lewym policzku jeszcze spływała zdradziecka łza. – Chcę, żebyś się do nas wprowadziła, Claudio. Chcę tego najbardziej na świecie. Powiedz, że się zgadzasz.

Moje serce krzychało: Tak! Mimo to przybrałam zamyślony wyraz twarzy, powstrzymując uśmiech. Był to początek nowego życia. Po latach zgryzoty i emocjonalnych zawirowań z Martinem dostałam drugą szansę na szczęście. Nie sądziłam, że to nastąpi.

– To szaleństwo – powiedziałam ze śmiechem. James też się roześmiał. Co ciekawe, zaczął się śmiać już kilka dni po śmierci Elizabeth, czego nie mogłam zrozumieć. Dziś wiem, że w ten sposób radził sobie z rozpaczą. Człowiek przeżywa stres, ale umysł pcha go do normalności. Stanowi to formę samoobrony; w pewnym sensie robiłam dokładnie to samo. Oboje błędziliśmy po omacku i zagubieni szukaliśmy ratunku, usiłując wykazać przy tym zdrowy rozsądek.

– Tak, szaleństwo. Ale zakochałem się w tobie, Claudio. Chcę się z tobą ożenić. Chcę, żebyś została matką Oscara i Noaha.

Usłyszałam tylko: *Chcę, żebyś została matką*. Tak brzmiały jego oświadczenia. Sam ślub minął naturalnie, jakbym gotowała kolację lub zajmowała się chłopcami; obyło się bez oficjalnych zaręczyn.

Ile razy próbowałam zostać czyjaś matką? Ile razy mi się nie udało?

Nagle przestałam być do niczego. Zagłuszyłam własne wątpliwości, nie zważałam na ostrzeżenia rodziny i przyjaciół, kiedy unosili brwi i robili uwagi na temat przedwczesnych decyzji. On dopiero stracił żonę, Claudio... Naprawdę chcesz niańczyć cudze dzieci?... Odziedziczył pieniądze po zmarłej żonie... Nie wiedziałam, co zostawiła mu Elizabeth i jakim majątkiem dysponowała jego rodzina. Ale komentarze i ostrzeżenia płynęły z ust życzliwców, których kłuło w oczy moje na nowo odnalezione szczęście.

Dla nas rzecz była prosta. On cierpiał. Ja cierpiałam. Uleczymy się nawzajem. W życiu nie przyszło mi do głowy, że James wykorzystuje mnie jako zastępczą matkę bądź nianię i gosposię w jednym, by załatać swoje życie. Kochałam go i kochałam jego synów. Chciałam zostać ich

matką. Chciałam zostać żoną Jamesa. Obiecał, że da mi dziecko, a ja mu uwierzyłam. Na wszelki wypadek nie wspomniałam mu o dawnych problemach; to była przeszłość, przyszłość tworzyłam od nowa. Doszłam do wniosku, że wina leżała po stronie Martina, nie miała związku ze mną. I nawet gdy lekarze kręcili głowami, z uporem nie porzucałam nadziei.

– Cholera jasna, psiakrew – mówię w chwili, gdy wraca Zoe. Wchodzi do domu, nucąc pod nosem.

– Czy mnie uszy nie mylą? – Wsadza głowę do salonu.

Widzi, że ssę palec.

– Jestem do niczego. – Podnoszę głowę i wywijam bluzką.

– Przepraszam, miałam to zrobić. – Zoe rumieni się lekko i bierze ode mnie ubranko. Malutki guzik wisi na splątanej nici. Zoe nie wie, że nie przeklinałam z powodu bluzki ani pokłutego palca. Przeklinałam swoją głupotę, że wspomniałam o niej policji, zamiast zagrać w otwarte karty.

Siada obok mnie.

– Jak się czujesz? – pyta.

Przyglądam jej się uważnie. Twarz Zoe nie budzi podejrzeń, nie uzasadnia mojego strachu.

– Muszę cię o coś spytać.

– Ależ proszę cię bardzo – zachęca. – Co się stało? – W jej głosie brzmi lekkie napięcie, lecz nic na miarę wiadomego tematu.

– Kiedy szukałam na strychu tamtej książki, niechcący zauważyłam krew na twojej bluzie. – Milknę. Teraz już wie, że byłam u niej w pokoju.

– Ach, to – mówi z cieniem zafrasowanego uśmiechu.

– Przysięgam, że nie szperałam – dodaję. – Przyszło mi do głowy, że książka mogła zostać w twojej szafie. – Faktycznie składowałam tam stare notatki i papiery. – Ale zapomniałam, że przeniosłam część rzeczy do piwnicy, zanim się wprowadziłaś. Zauważyłam bluzę i pomyślałam, że się skaleczyłaś. – Przecież nie wspomnę jej o zdjęciach ani o testach ciążowych.

– Tak, skaleczyłam się – mówi odruchowo. Łapie się za bark. – Spadłam z roweru. Ale nic mi nie jest – dorzuca, być może widząc na mojej twarzy wyraz niedowierzania. – Pędziłam do sklepu po mleko i hamulec przestał działać. Spokojnie, chłopcy byli w szkole. Krwawienie zaraz ustało. To było bardziej rozległe otarcie niż skaleczenie, ale pojechałam dalej i upaprałam sobie bluzę.

Nie odrywam od niej oczu. Opowieść brzmi wiarygodnie, lecz nie mieści mi się w głowie, że incydent przemilczała.

– Powiedziałyby ci, ale nie chciałam, żebyś się martwiła – dodaje, jakby czytała w moich myślach. Wyciąga rękę i stuka mnie w ramię. – I pomyślała, że ze mnie nie tylko marny kierowca, ale też niezdarna wariatka.

To zrozumiałe.

– Chcesz zobaczyć? – Rozpina bluzę i wyciąga rękę z rękawa.

– Och nie, nie trzeba. Nie musisz. – Teraz mi głupio. – Wybacz, że pytałam.

– Claudio... – Milknie i patrzy mi w oczy. – Na twoim miejscu zrobiłabym to samo. – Śmieje się, może trochę przesadnie, i przyszywa naderwany guzik.

## Rozdział 36

Wprowadzenie się do Cecelii przed dwoma laty nie było najłatwiejszą decyzją. Podobnie jak wyprowadzka. Teraz martwię się, co z nią będzie. Czuję się za nią odpowiedzialna, a zarazem wszystko we mnie wzbrania się przed powrotem, bo ona jest trucizną i będzie mnie zatruwać, tak jak chore myśli zatruwają jej umysł, dopóki z nią będę.

Zawsze chorowała – fizycznie i psychicznie, głównie psychicznie – i zawsze mogła na mnie liczyć. Ale Cecelia jest niepodobna do innych kobiet. Tylko ja ją rozumiem, znoszę jej irracjonalne lęki i napady, które pojawiają się nie wiadomo kiedy. To ja jej szukałam, kiedy w lipcu wybrała się w środku nocy po prezenty na Gwiazdkę. Ja odebrałam ją ze szpitala i robiłam okłady na pokaleczone stopy, kiedy przeszła na bosaka piętnaście kilometrów w poszukiwaniu wyimaginowanego dziecka. Nikt prócz mnie nie wie, co przeżyła, nie rozumie jej potrzeby bycia kochaną tak, jak kochana może być tylko prawdziwa matka.

Dlatego Cecelia nie chce adoptować – zresztą i tak nie dostałaby na to zgody. Na przekór swej zacieklej żądzy reprodukcji twierdzi, że zawsze była bezpłodna – nawet przed operacją. Że ma za wąskie biodra i że nic nie chciałoby w niej zakiełkować. I że Bóg stworzył ją jałową jak pustynia. Czasem jestem skłonna przyznać jej rację.

Wreszcie stanęło na tym, że to ja spełnię jej zachciankę. Przyznaję, że chciałam ją udobruchać, wyciszyć i zaspokoić jej wyobraźnię. Ale ona uwierzyła w moje słowa – że w końcu, któregoś dnia zdobędę dla niej dziecko – i zaczęła zachowywać się, pracować i funkcjonować w miarę normalnie. Wszystko sprowadzało się do tego, aby podtrzymać w niej nadzieję.

Żądała, byśmy razem je wychowały. Długo nad tym rozmyślałam.

Miałam wątpliwości, czy jesteśmy gotowe na rodzicielstwo, ale – ponieważ to ją uspokajało, a ja starałam się utrzymać wymagającą pracę, a zarazem sprostać potrzebom Cecelii – nie pozbawiałam jej złudzeń.

Wiedziała, czego chce, i ku mojemu przerażeniu rzuciła się w wir przygotowań i planów. Dalej będę żywicielem rodziny, ona zajmie się dzieckiem. Nadal będzie robić biżuterię, ale na mniejszą skalę. Miałam zająć w ciążę za sprawą próbki nasienia. I tu plan utknął w martwym punkcie. Bo nie zaszłam.

Nie powiem, że stanęłam na wysokości zadania: chyłkiem topiłam próbki w sedesie. Po banku spermy „spróbowaliśmy” z nasieniem dobrego kolegi – siedem razy. Kolega ustąpił miejsca paru innym chętnym, a gdy znów się nie udało, Cecelia uznała, że mam naprawdę spiknąć się z facetem – „byle przystojnym” – a ja ze śmiechu mało się nie popłakałam. „Spiknąć? – powtórzyłam. – Mówisz, jakby chodziło o eksperyment chemiczny lub tankowanie w locie”. Potrząsałam głową w obawie, że zechce na to patrzeć. Pomyślałam, że nic z tego. Sabotaż z próbkami to jedno, lecz ciąża z przypadkowym facetem? Wykluczone. Ale musiałam podsycać w niej nadzieję. Było to równoznaczne z podsycaniem w niej życia, choć nabierałam podejrzeń, że jej obłęd może być zaraźliwy. Coraz trudniej było godzić opiekę z obowiązkami w pracy. W głębi serca wiedziałam, że muszę odejść, ale nie sądziłam, iż upłynie blisko rok, nim się na to zdobędę.

To się stało po wigilijnym przyjęciu w pracy. Klasyka na wzór randki przy kopiarence bądź schadzki w sali konferencyjnej, przy czym my poszliśmy na całość w pokoju hotelowym. Myślałam o Cecelii, o tym, że robię to dla niej, więc nie mogłam udawać, że chcę to zrobić z obcym facetem. Opieka nad Cecelią i bycie częścią jej stukniętego świata jakoś wykluczały przyjemność. No ale były święta i chwyciłam wiatr w żagle. Otrzeźwił mnie dopiero widok obrączki na jego palcu, gdy zakładał skarpetki. I pobiegłam do apteki po tabletkę wczesnoporonną.

Potem czekałam, aż zadziała, rozpamiętując, co się stało. Poprosił o mój numer.

– Przecież jesteś żonaty – przypomniałam. Próbowалам sobie



wyobrazić jego żonę.

Wzruszył ramionami, zapinając koszulę. Był przystojny, wysportowany i inteligentny, lecz nie mogłam zrozumieć, dlaczego to zrobił. Przed wyjściem ujął mnie za barki.

– Jestem – powiedział z nutą żalu. – Ale chciałbym się jeszcze z tobą spotkać.

Może uznał, że chcę to usłyszeć, przy czym dzwonić nie miał zamiaru.

– Wybij to sobie z głowy – odparłam.

– Masz rację. – I dał za wygraną.

Życzyłam mu wesołych świąt i wyszłam, licząc, że więcej go nie zobaczę.

Opowiedziałam o tym Cecelii, w ramach prezentu świątecznego, aby dać jej siłę napędową do mojego następnego okresu. O tabletkach nie wspomniałam. Nie posiadała się z radości. Co tam poczucie winy, że przeleciałam żonatego faceta.

Ale po tygodniu wpadła w jeden ze swych nieprzewidywalnych nastrojów. Odmawiała wstawania z łóżka, mycia, jedzenia i rozmowy, nie licząc chwil, gdy na mnie wrzeszczała. Nie miałam pojęcia dlaczego, po prostu czasem ją to dopadało. Tym razem trwało co najmniej trzy tygodnie i pod koniec stycznia miałam dosyć. Powiedziałam jej, że odchodzę.

– Zabiję się, jeśli to zrobisz – zagroziła, a ja wiedziałam, że mówi serio, więc zostałam.

Zamartwiałam się o Cecelię, ale trud wspólnego życia coraz bardziej mi ciążył. Byłam bezradna. Użerałyśmy się przez większość roku, lecz czas przyniósł stopniową poprawę. Nadszedł jednak listopad: wiatr szarpał liście na drzewach i nerwy Cecelii. Jak w amoku rzuciła się w wir pracy, bez wytchnienia tworząc eksponaty na londyńską wystawę. Biżuteria sprzedawała się na pniu, Cecelia zarabiała wówczas więcej niż ja.

Potem znalazła kolejnego chętnego dawcę. Chciała, żebym znowu spróbowała. Przecież zawsze jej to obiecywałam. Tym razem zrobiłam

to jak należy, dla niej – dla czystego sumienia. Myślałam, że to poprawi nasze relacje, chociaż modliłam się, aby i ta próba okazała się niewypałem. Jednak Cecelia miała coraz gorszy humor. Mogło być dobrze, ale warczała na mnie za to, że żyję, jakbym to ja stanowiła przyczynę jej choroby. Przechodziłam męczarnie i kilkakrotnie dostałam burę od szefa za niedopełnianie obowiązków.

Dlatego kiedy dowiedziałam się o pracy u Claudii i Jamesa, uznałam to za nowy początek dla nas obu i odeszłam. Gdyby się okazało, że jestem w ciąży, postąpiłabym jak należy i wróciła do niej. Jeśli nie, przysięgam, że z nami koniec.

W głębi serca – tam, gdzie bolało najbardziej – wiedziałam, że wcale tak nie myślę, że nigdy bym jej nie zostawiła. Lecz czy i ja nie miałam prawa do złości? Wstyd przyznać, ale w dniu opuszczenia naszego mieszkania byłam pełna nienawiści.

Tak oto znalazłam się tutaj, skora imponować przełożonym, zrobić coś dla siebie i własnej przyszłości, ale widzę tylko ostatnie ostrzeżenia i ostatnie szanse. Mam przed oczami Cecelię z rozwianym włosiem, w uszach dźwięczy mi śmiech płynący z głupkowato rozdziawionych ust. Jeśli mam być szczerą, bez niej wszystko jest puste i nijakie – echo dawnego życia, wypalonego marzeniem o bezimiennym dziecku? Nie mogę obwiniać Cecelii o wszystko, co mi nie wychodzi, ale to poczucie odpowiedzialności za nią dało mi wycisk. I o dziwo nadal chcę się nią opiekować.

Wracam ze sklepu okrężną drogą. Mam czas na zastanowienie nad tym, o czym dowiedziałam się rano od Claudii: wczoraj znów była u niej policja. Dlaczego nie powiedziała mi tego, kiedy przyszywałam jej guzik? Sprawiała wrażenie bardziej zaaferowanej tym, że grzebała w moim pokoju, chociaż utrzymuje, że tylko szukała książki. Nie jestem głupia. A jeśli znalazła aparat i obejrzała zdjęcia? Nie pomogłyby żadne tłumaczenia, wyrzuciłaby mnie od razu. Chyba nie uwierzyła w bajeczkę o upadku z roweru. Co też mi strzeliło do głowy, by zostawić na wierzchu zakrwawioną odzież.

– Czego właściwie chcieli? – spytałam, przygotowując chłopcom

śniadanie. Oscar i Noah siedzieli z nosami w miskach, bo kazałam im policzyć płatki. Świetnie się bawili, a ja tymczasem kroiłam owoce i wypytywałam ich matkę o detektywów. – Mogli sobie darować wizytę o tej porze.

Claudia zrobiła zakłopotaną minę.

– Wypytywali o moją pracę – powiedziała, chyba zgodnie z prawdą.

Otwieram frontowe drzwi, gotowa zająć się tym co trzeba. Nagle zastygam. Z wnętrza domu dochodzą przytłumione głosy. Głosy obcych mężczyzn. Ostrożnie oglądam się na ulicę, patrzę na wszystkie strony. Wygląda bezpiecznie; zdążę uciec. Już mam się odwrócić, kiedy w holu pojawiają się dwaj eleganccy mężczyźni. Jeden z nich dźwiga stos dokumentów; na mój widok sprawiają wrażenie równie zdziwionych, jak ja.

– Kim jesteście? – Dygoczę, skacze mi adrenalina. Może to nie włamywacze, tylko znajomi Claudii.

– Mieliliśmy spytać o to samo – odpowiada wysoki blondyn.

– Jesteście przyjaciółmi rodziny? Nie spodziewałam się żadnych wizyt. – Odsuwam się na bok, próbuję zrozumieć sytuację. Coś mi tu nie gra. Sądząc po dokumentach, byli w gabinecie Jamesa. Z sercem w gardle robię dwa kroki naprzód, patrzę za róg. I na widok drzwi gabinetu aż mnie zatyka. Zostały wyważone, wszędzie leżą drzazgi. – Boże! – Cofam się o kilka kroków. – Włamaliście się!

Na widok mojej przestraszonej miny spuszcza ją z tonu i niższy unosi wolną rękę w obronnym geście.

– Proszę się nie bać – mówi. – Jesteśmy braćmi Elizabeth. Przyszliśmy po jej rzeczy. – Jego twarz jest chłodna i pozbawiona emocji.

– Ale wy się włamaliście. – Gram na zwłokę. Niedobrze. Jeszcze za to odpowiem. – Przykro mi z powodu waszej siostry. Nie miałam okazji jej poznać, ale... – Marszczę brwi i pocieram czoło. Wyważyli drzwi gabinetu Jamesa. Powinam wezwać policję, ale... nie mogę. – Czy mam powiadomić Claudię o waszym przyjeździe? Jestem opiekunką.

Słyszając to, wyraźnie oddychają z ulgą. To tylko głupia opiekunka.

– Właśnie wychodziliśmy, nie ma potrzeby jej niepokoić – mówi z wrednym uśmiechem blondyn. – Miło było panią poznać. I przepraszamy za drzwi. – Żwawo wychodzą z domu.

– Ale... – Kiedy mnie mijają, bezradnie unoszę ręce. Jestem pewna, że nie powinni wynieść tych papierów, i na myśl o konsekwencjach rzucam się do łazienki i wymiotuję. Następnie idę po nich posprzątać.

## Rozdział 37

Dzięki, że mogliście przyjść – powiedział Adam do zespołu detektywów przydzielonych do sprawy. Niektórzy gawędzili, inni przycupnęli na krawędziach biurka, a dwoje oparło się o ścianę. Wszyscy chcieli wracać do swoich zajęć. Lorraine dźgała klawiaturę telefonu, próbując dodzwonić się do szkoły. Adam łypnął na nią, ale miała to w nosie. Potem jej wszystko zrelacjonuje. Wyszła na korytarz, ale miała słaby zasięg, więc szukała dalej lepszego miejsca, aż znalazła się w palarni. Ledwo słyszała sekretarkę dyrektora szkoły, kiedy ta wreszcie podniosła słuchawkę.

– Ale to ważne – podkreśliła w odpowiedzi na informację, że przez następnych parę dni dyrektor nie ma czasu. – Muszę pilnie porozmawiać z nim o mojej córce. – Lorraine westchnęła ciężko. – Tak, Grace Scott. – Nastąpiła chwila ciszy i Lorraine odniosła wrażenie, że kobieta zasłania ręką słuchawkę i mówi coś ściszym głosem. – Tak, bardzo pani dziękuję – rzuciła na koniec i się rozłączyła.

Udało jej się uzyskać termin spotkania o dziewiątej czterdzieści następnego ranka. Napisała o tym Grace w nadziei, że również się zjawi.

– Zbieraj się – oznajmił Adam, doganiając ją na korytarzu. – Wracamy na St Hilda's Road. I nie jestem pewien, czy nie zastaniemy tam panny Paige.

– Widzę, że humor ci dopisuje – mruknęła z przekąsem, czując się dokładnie na odwrót.

– Znałabyś powód, gdybyś nie opuściła zebrania – odparował i przyspieszył kroku.

Kiedy weszli do podziemnego parkingu, brzęknął kluczykami w

kieszeni.

– Skróć moje męczarnie – powiedziała ze świadomością, jak bawi go trzymanie jej w niepewności.

Lecz uchylił rąbka tajemnicy dopiero, gdy stanęli przed wielkim georgiańskim domem w Edgbaston, rozmazując wycieraczkami grube płatki mokrego śniegu. Lorraine wiedziała, że lepiej go nie naciskać. Karał ją za to, że przedkładała ich życie osobiste – dobro córki – nad pracę. Owszem, przedkładała i nigdy tego nie zmieni, i wiedziała, że przyparty do muru poszedłby w jej ślady. Było to dziwnie krzepiące i dowodziło, że na przekór przeciwnościom losu nadal stanowią zgraną drużynę.

– Mamy zgodność DNA między próbkami Sally-Ann i Carli – rzucił oględnie. – W obu przypadkach to ten sam sprawca, na pewno kobieta. Carla nie plotła od rzeczy. – Adam zaciągnął hamulec ręczny i postawił kołnierz przed starciem z paskudną aurą.

– Jezus, to czemu nic nie mówiłeś? – Aż pisnęła ze złości i niedowierzania.

– Bo rozmawiałeś przez telefon.

– Umawiałam się na rozmowę z dyrektorem Grace – odwarknęła. – Ktoś musi ją przekonać, żeby została w szkole.

– Nie w godzinach pracy – uciął. – Poza tym ona wcale nie chce tam zostać.

– To kiedy, może mi powiesz? – nie wytrzymała Lorraine. – Cały nasz czas to godziny pracy, bez względu na to, czy gotuję obiad, wiozę Stellę na balet, czy próbuję się w spokoju wysikać. Nigdy, przenigdy nie wypominaj mi tego, że troszczę się o rodzinę, Adamie. To, że ty... czujesz się upoważniony do... – Lorraine zakończyła omdlewającym i jakże kobiecym „och!”, po czym wyskoczyła z samochodu prosto w śnieżycę. Jej uczucia bynajmniej nie potwierdzały tego, co przed chwilą powiedziała.

Niebawem znaleźli się z powrotem w samochodzie. W domu zastali tylko sprzątaczkę, która potwierdziła, że nie ma i nigdy nie było tam żadnej Heather Paige. Lorraine miała pretensje do Adama, że

zmarnowali tylko czas, to samo przecież usłyszeli od Claudii.

– Oprócz właścicieli mieszka tu jedynie opiekunka – dodała sprzątaczką, opierając się na rurze odkurzacza, który przytargała do drzwi. – Ale jej też nie ma. Poszła do szkoły pomóc w jasełkach. – Widok odznak rozwiązał jej język.

– Myślisz, że jest sens rozmawiać z Zoe Harper? – Lorraine zapięła pas. – Może wie, gdzie znajdziemy Heather Paige. Może Heather wpadła do Zoe z wizytą, gdy Cecelia za nią przyjechała.

Przejrzała się w lusterku i wytarła twarz chusteczką. Strzepnęła płatki śniegu z ramion. Adam szukał adresu szkoły wspomnianej przez sprzątaczkę i po chwili zmierzali już w tamtą stronę.

Szkoła Millpond Heath okazała się nowo powstałym kompleksem niskich budynków na skraju pokrywanego się bielą parku. Ogrodzony płotem teren był z jednej strony otoczony drzewami, z drugiej zaś miłym dla oka osiedlem domów wielorodzinnych. Na oblodzonym boisku gęstniała warstwa białego puchu. Bożonarodzeniowy efekt mąciły zygzaki śladów pomiędzy budynkami, jakby chodnik został przysyty do ziemi ręką niedbałej szwaczki. Z jednego skrzydła szkoły dochodziła urywana muzyka i Lorraine zlustrowała rzędy zaparowanych okien w nadziei, że to właśnie próba jasełek, dzięki czemu zlokalizują Zoe Harper bez zbędnych formalności.

Gdy ruszyli w stronę wejścia oznaczonego „Recepcja/Goście”, Lorraine czuła, że w ciemnej tweedowej kurtce wygląda zbyt oficjalnie, a zarazem mniej niestosownie niż Adam, który zamiatał chodnik długim czarnym płaszczem. Żadne z nich nie wyglądało na zainteresowane sprawami szkoły.

– Detektywi inspektorzy Scott i Fisher – rzucił szorstko Adam pod adresem recepcjonistki. Była młoda i natychmiast stremowała się w ich obecności. Nikt nie lubi oglądać w szkole policjantów, chyba że zjawili się na pogadankę o bezpieczeństwie na drodze, co jednakże było wykluczone w tym przypadku.

– Och – powiedziała, zamierając nad klawiaturą.

– Przyszliśmy porozmawiać z kobietą, która tu dzisiaj pomaga.

Nazywa się Zoe Harper.

– Och – powtórzyła. Tym razem zdołała zdjąć z półki rejestr gości i położyć go na szklanym blacie oddzielającym ją od detektywów. Przejrzała listę nazwisk wpisanych na ten dzień i wreszcie podniosła głowę. – Tak, jest w klasie IB. Wypycha osła – poinformowała, zdejmując okulary. Jej oczy wydały się nagle mniejsze o połowę. Powiedziała to tak, jakby wypychanie osła stanowiło czynność oczywistą, której nie uchodzi przerywać z byle powodu.

– Gdzie znajdziemy klasę IB? – zapytała Lorraine.

– Och. – Wyglądało na to, że recepcjonistka inicjuje tak każdą wypowiedź. – Trzeba przejść przez boisko, a następnie skierować się do skrzydła muzycznego i plastycznego. Głównym wejściem, korytarzem prosto, drugie drzwi na lewo. Muszą państwo się wpisać i wziąć przepustkę.

– Dziękuję – odpowiedziała Lorraine i zastosowali się do udzielonych wskazówek.

Po chwili maszerowali pustym korytarzem w ślad za zapachem farby i dźwiękami *Przybieżeli do Betlejem*, napływającymi z klasy.

– Coś ci to przypomina? – spytała Lorraine, zaglądając przez kwadratową szybkę w drzwiach.

Na podłodze siedziało po turecku około trzydziściorga dzieci. Niektóre trzymały tamburyny, inne brzdąkały w trójkąty. Jedno czy dwoje dłubało w nosie lub obgryzało paznokcie ze wzrokiem utkwionym w oknie lub w obcej twarzy, która właśnie ukazała się w drzwiach. Ciemnowłosa nauczycielka ponownie uderzyła w klawisze pianina i dała znak grupce apatycznych podopiecznych.

Lorraine i Adam poszli dalej i znaleźli się w klasie IB. Przez szybkę w drzwiach sala w pierwszej chwili wydała się pusta, po czym Lorraine zobaczyła w kącie trzy kobiety, które zmagaly się z groteskowym stworem o czterech nogach rozdzierająco wycelowanych w sufit.

Natychmiast zwróciły się w stronę wchodzących i Lorraine rozpoznała kobietę, z którą zamieniła kilka słów w drzwiach domu na St Hilda's Road. Na ich widok poczerwieniała jak burak.



– Przepraszamy za przerwanie przygotowań świątecznych! – huknął z nadmiernym entuzjazmem Adam i przygwoździł opiekunkę wzrokiem do ziemi.

Nadrabia miną, zaświtało Lorraine, ale nie wiedziała, o co chodzi. Zwykle rezerwował ten ton na naloty lub poważne sytuacje, które wymagały czytelnej komunikacji. Trzy kobiety z kukłą osła nie były ku temu wystarczającym uzasadnieniem.

– Detektywi inspektorzy Fisher i Scott – powiedziała, dla odmiany stawiając swoje nazwisko na pierwszym miejscu. Błysnęła odznaką. – Pani Harper? – zwróciła się do najmłodszej z kobiet. – Przepraszamy, że przeszkadzamy w... – Spojrzała na bałagan na podłodze i osła skórę z kopytami, spoczywającą bezwładnie u ich stóp. – Chcielibyśmy tylko zamienić z panią dwa słowa.

Zoe Harper wyprostowała plecy. Stała po kostki w piance, w oblepionym kłaczkami luźnym, szarym swetrze, który założyła do czarnych, obcisłych spodni. Wytarła ręce umazane brązową farbą, którą wykańczała kartonowy łeb stwora, rozdziawiony w stronę udekorowanego śnieżynkami sufitu.

– Koszmar, prawda? – powiedziała z wesołym śmiechem. Też nadgorliwa, zawyrokowała Lorraine. – Dzieci będą miały traumę do końca życia. – Pozostałe dwie kobiety jej zawtórowały.

– Czy moglibyśmy porozmawiać na osobności? Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań.

Lorraine utkwiała wzrok w Zoe. Coś tu nie grało. Może jasne włosy, ciemne u nasady i postrzępione na końcach, może niebieskie oczy, biegające między nią a Adamem, a może drobne, ale wysportowane ciało lub sznurowane, wysokie buty, które bardziej pasowałyby mężczyźnie niż opiekunce zatrudnionej u zamożnej rodziny. Nie, to było coś innego. Majaczyło na obrzeżach jej świadomości, wysyłało ostrzeżenie. Nie miała pojęcia, o co chodzi.

– Idźcie do pokoju nauczycielskiego – zaproponowała jedna z towarzyszek Zoe, markując kompletny brak zainteresowania przebiegiem rozmowy. Lorraine uznała, że to nauczycielka. – Tam

będzie spokój, dopóki za kwadrans nie zadzwoni dzwonek – dodała.

Zoe Harper z ociąganiem zaprowadziła ich do opustoszałego pomieszczenia i usiedli na niskich krzesłach przy stoliku, na którym piętrzyły się ciasteczka. Wśród rozrzuconych gazet stały brudne filiżanki po kawie.

– Już miałyśmy okazję rozmawiać, prawda? – powiedziała do Lorraine Zoe, skubiąc krótkie paznokcie.

– Owszem.

– Moja koleżanka rozmawiała z pani przełożoną o osobie, z którą pracowała. I która została brutalnie zaatakowana. – Adam dalej grzmiał nieswoim głosem. Lorraine nie miała pojęcia, co go napadło.

Zoe znów spiekła raka i wbiła wzrok w swoje nogi, jakby wolała znaleźć się gdzie indziej.

– Zastanawialiśmy się, czy zna pani niejaką Heather Paige – zagaiła Lorraine. – Chcielibyśmy z nią porozmawiać i mamy podstawy sądzić, że była w domu pani przełożonej.

Zoe uniosła wzrok, jakby nagle odzyskała odwagę.

– Przykro mi, nigdy o niej nie słyszałam.

– Partnerka Heather Paige podała nam ten adres, więc mamy pewność, że tam była. Czy nie przypomina sobie pani żadnych odwiedzających w ciągu ostatnich paru dni?

– Partnerka? – Zmarszczka na czole pojawiła się i znikła. – Nie w czasie mojej obecności – odpowiedziała Zoe. – Była tylko Jan, sprzątaczką, koleżanką Claudii Pip, listonosz, hydraulik i... – Chciała coś dodać, ale nie dokończyła. – Przykro mi, ale nic więcej nie wiem.

– Czy zna pani niejaką Cecelię Paige? – zapytała Lorraine.

Zoe zrobiła zdziwioną minę.

– Nie. Niestety. – Kolejny rumieniec.

– Kiepsko pani kłamie, prawda? – rzuciła z rezygnacją Lorraine.

– Nie pani to oceniać – odburknęła Zoe.

– Pani pierścionek – ciągnęła Lorraine. Błysk zwrócił jej uwagę na palce Zoe, którymi poprawiała kosmyk włosów. Zoe pospiesznie opuściła dłoń z powrotem na kolana. – Jest bardzo niezwykły.

– Dostałam go w prezencie – zabrzmiała odpowiedź.

– Od kogo? – spytała Lorraine.

Zoe wzruszyła ramionami.

– Od przyjaciela.

– To musiał być ktoś szczególny. Niewiele osób robi takie drogie prezenty.

– Nie wiem, co pani powiedzieć – oznajmiła Zoe. – Czy to wszystko? Muszę pomóc przy ośle.

– Czy zna pani Carlę Davis? – Lorraine nie dawała za wygraną.

– Musimy już iść – mruknął Adam. Kręcił się niespokojnie.

A temu co znowu? – pomyślała Lorraine.

– Niestety nie – odpowiedziała Zoe.

– A Sally-Ann Frith?

Brnęli donikąd, chociaż Lorraine – i przypuszczalnie Adam również – widziała jak na dłoni, że Zoe Harper coś ukrywa. A może sprawiły to słowa Claudii Morgan-Brown na jej temat i Lorraine nie mogła uwolnić się od myśli o kartotece napadniętej dziewczyny. Próbowwała zachować bezstronność, ale szło jej jak po grudzie, Adam zaś nie pomagał. Stwierdziła, że to bardzo niepokojące.

– Nie, naprawdę. Powiedziałałabym przecież.

– To może zechce nam pani wyjaśnić, skąd wzięły się w pani aparacie zdjęcia poufnych danych Carli Davis? – wypaliła Lorraine. Zastanawiała się, czy Adam chciał w ogóle poruszyć ten temat. O ile dobrze widziała, marzył tylko o tym, żeby stamtąd wyjść.

Zoe zrobiła wielkie oczy.

– Nic mi o tym nie wiadomo – oznajmiła. – Nie robiłam zdjęć żadnej kartoteki. Ostatnio wzięłam aparat na spacer z dziećmi do parku. Żeby ich mama miała pamiątkę. Tak robią nianie.

– Chcielibyśmy rzucić okiem na ten aparat.

Zoe ponownie wzruszyła ramionami.

– Proszę bardzo. Jest w moim pokoju u Morgan-Brownów. Weźcie sobie.

– Adam? – Lorraine uznała, że mężowi przyda się bodziec.

– Czy na pewno nie sfotografowała pani kartoteki Carli Davis? – spytał bez sensu.

– Na pewno, detektywie Scott – odpowiedziała Zoe. – Po cóż miałabym to robić? Jestem nianią.

– Nikt nie mówi, że nie – odparł z namysłem Adam.

– Skąd znała twoje nazwisko? – zapytała Lorraine. Owinęła się szczelnie płaszczem i zasłoniła uszy szalikiem, żeby nie pokazać Adamowi, że marznie. Jeszcze tego brakowało, żeby jej zaproponował swój płaszcz. Co i tak raczej nie wchodziło w grę. Zatracił resztki rycerskości na rzecz potwora zwanego rutyną małżeńską.

– Bo jej podałaś, głuptasie. – Adam chciwie dopił resztkę kawy.

– Nie. Podałam jej oba nasze nazwiska. Jakimś cudem trafiła, kto jest kim. – Lorraine odebrała Adamowi tekturowy kubek i po drodze wrzuciła go do śmietnika. – Nie wiem, co w ciebie wstąpiło, Adamie Scott. Wiesz, że źle znosisz kofeinę.

– Wobec tego pewnie zgadła.

– Pewnie tak – odpowiedziała Lorraine, chociaż nie wierzyła w to ani przez chwilę. W Zoe Harper było coś dziwnego, jakby to ona ich przesłuchiwała, a nie odwrotnie.

Niezwłocznie udali się do domu na St Hilda's Road i przejrzeni zdjęcia w aparacie Zoe. Tak jak im powiedziała, nie było tam nic bardziej kompromitującego niż bliźniaki w basenie z piłeczkami i bratobójcza walka o huśtawkę.

– Lepiej zawieźmy go do ekspertyzy – oznajmiła Lorraine i zapakowała aparat w torebkę foliową. – Może coś się znajdzie.

Adam przyznał jej rację.

– Szybciej, bo zamarznę – powiedziała. Widziała, że Adam usilnie o czymś rozmyśla, wolałaby jednak, aby robił to w samochodzie przy włączonym ogrzewaniu. – *Á propos* tego pierścionka, który Zoe miała na palcu. Widziałam już taki.

Zerknął na nią z ukosa, kiedy szli chodnikiem.

– Kiczowaty, jeśli chcesz znać moje zdanie.

– Nie chcę. Bardzo przypomina pierścionki autorstwa Cecelii Paige.

Do złudzenia właściwie. Oglądałam prace Cecelii, kiedy byłam w jej mieszkaniu. Przypomina gniazdo sroki lub jaskinię Aladyna. Pełno tam... śmieci, w zasadzie, nie licząc tej jej fantastycznej biżuterii. Może jest trochę kopnięta, ale nie sposób odmówić jej zdolności.

– Zatem uważasz, że Zoe zna Cecelię?

– Jestem tego pewna. – Lorraine wsiadła do samochodu. W życiu tak nie zmarzła.

– Ja też. – Adam zajął miejsce za kierownicą. Lorraine zastanawiała się, dlaczego sprawia wrażenie tak zgnębnego tym odkryciem.

– Co znaczy? – powiedziała w oczekiwaniu, aż pierwszy wysunie sugestię. A kiedy tego nie zrobił, uzupełniła: – Jeśli chcesz wiedzieć, Zoe Harper nie jest tym, za kogo się podaje. – Lorraine zdjęła rękawiczki i wyciągnęła telefon. Musiała to i owo sprawdzić. – Pójdę o zakład, że Zoe Harper to Heather Paige.

## Rozdział 38

Ilekcć traciłam dziecko, umierała jakby część mnie samej. Nie sądzę, by Martin kiedykolwiek to rozumiał ani otaczający mnie znajomi, lekarze i pielęgniarki. Trzykrotnie rodziłam martwe dziecko i straciłam rachubę, ile razy maleńkie życie wyciekło w moją bieliznę.

Czułam się jak wydrażona imitacja kobiety, dziwoląg niezdolny donosić ciąży, więc po latach tortur doszłam do wniosku, że to zmowa, niepisane ostrzeżenie wyryte w mojej duszy na użytek potencjalnego potomstwa: trzymaj się z dala od tej kobiety. Ona nie jest dobrą matką.

Byłam w Debenhams. Pojechałam po parę rzeczy dla bliźniaków i nową sukienkę. James i ja zostaliśmy zaproszeni na chrzciny; nie miałam nic odpowiedniego do włożenia. Wzdrygałam się na myśl o spędzeniu całego ranka w kościele, gdzie wszyscy będą gruchać nad cudzym niemowlęciem, ale James przyjaźnił się z ojcem dziecka od czasów szkolnych, więc nie miałam wyboru. Staralam się nie brać do serca cudzego szczęścia rodzinnego, ale prawda wyglądała tak, że zżerała mnie zazdrość.

Bez problemu znalazłam nowe sweterki i adidas dla chłopców. Ranek spędzali w przedszkolu, więc skorzystałam z okazji i pobiegłam na zakupy, po części żeby przewietrzyć głowę. Dzień wcześniej dostałam okres. Po raz kolejny nie dane mi było zostać matką. Miałam dwa tygodnie spóźnienia i moja ostrożna nadzieja raz jeszcze legła w gruzach. Coś mówiło mi w środku, że to nie zwyczajne wahania cyklu, że poczęłam dziecko Jamesa przed jego wyjazdem na krótką misję, a teraz ciąża ustawa samoistnie i znów nie powitam go bucikami na poduszce, jak pragnęłam.

Ta myśl pchnęła mnie do działu niemowlęcego. Gdy lawirowałam

pośród wózków i łóżeczek, fotelików samochodowych i ubrań, przed oczami stawały mi kolejne etapy wczesnego życia dziecka – miejsca, które odwiedzałam tylko w snach. W ramach kary, jak sądzę.

– W czym mogę pomóc? – zapytała ekspedientka.

– Tylko się rozglądam, dziękuję. – Jak idiotka położyłam rękę na płaskim brzuchu, jakby faktycznie rośło tam dziecko.

Ekspedientka uśmiechnęła się i widziałam, że chce zapytać, na kiedy mam termin, ale miała innych klientów.

– W razie czego proszę zawołać – powiedziała i podeszła do pary młodych ludzi. Prawdę mówiąc, nie wyglądali na takich, których stać na robienie tam zakupów.

Skołowana ruszyłam w stronę śpioszków rozwieszonych na małych wieszakach. Oczy zaszyły mi mgłą; poczucie rzeczywistości i własnego ja rozplynęło się w dźwiękach napływających z każdej strony. Przyszłam po sukienkę na chrzest i wylądowałam w dziale niemowlęcym, wodząc rozdygotanymi rękami po rzeczach, których najprawdopodobniej nigdy mieć nie będę. Myślałam tylko o tym, jakie to niesprawiedliwe i że – gdyby tylko dano mi ku temu okazję – byłabym najlepszą matką pod słońcem. Tymczasem dni mijały mi na odbieraniu dzieci wyrodnym rodzicom. Co za ironia. Na tę myśl mało nie roześmiałam się w głos.

– O, przepraszam – rzuciłam. Wpadłam na młodą kobietę, którą wcześniej widziałam i patrzyłam przez łzy, jak wraz z towarzyszem chłonie wzrokiem wszystko, począwszy od białej kołyski aż po wózek, będący zarazem fotelikiem samochodowym. W rękę ścisnęła puszystą owieczkę z preceny. Pewnie nic tańszego nie znalazła.

– Niech pani uważa – burknął mężczyzna. Był nieokrzesany, wojowniczy i przypominał ojców, z jakimi stykałam się w pracy. – Ona jest w ciąży.

– Nic się nie stało – zapewniła młoda kobieta. Była blada, prawie szara na twarzy. Nie wyglądała zbyt dobrze.

– Przepraszam – powtórzyłam. – Na pewno nic pani nie jest?

Kobieta pokręciła głową, mężczyzna łypnął i poszli dalej. Chciałam powiedzieć im, że też jestem w ciąży, wymienić się terminami oraz

wnioskami na temat pieluch ekologicznych i przewagi karmienia piersią nad mlekiem modyfikowanym, ale tylko skierowałam się z rezygnacją w stronę wieszaka z sukienkami w wielkanocnych barwach. Oczy znów zasły mi mgłą i już miałam się rozplakać, pobiec do łazienki albo zniknąć w windzie, gdy usłyszałam rozdzierający krzyk. Rozejrzałam się, ale w pierwszej chwili nie wiedziałam, skąd dochodzi.

Potem zobaczyłam, że kobieta, na którą przed chwilą wpadłam, stoi i wymachuje rękami. Była purpurowa. Najpierw pomyślałam, że może faktycznie zrobiłam jej krzywdę, może przeze mnie poroniła. Może zaraziłam ją swoim pechem. I ogarnęła mnie panika. Oddech uwiązał mi w gardle i jak zahipnotyzowana ruszyłam w jej stronę. Męczyzna bezskutecznie usiłował przytrzymać jej ręce, którymi wymachiwała coraz gwałtowniej. Wybałuszyła oczy jak opętana i rzucała się zajadle.

– Proszę pani, może pomogę – powtarzała ekspedientka.

Młoda kobieta nie zwróciła uwagi na jej słowa i dalej demolowała półki z zabawkami i akcesoriami do karmienia. Całe zoo pluszowych zwierzątek pofrunęło przy wtórze łoskotu przewracanych butelek i talerzyków. Zrywała ubranka z wieszaków i rzucała je na posadzkę, pchała rozstawione wózki, mało nie taranując gapiów, żadnych widoku kobiety, która oszalała.

Wiedziałam, że muszę coś zrobić. Czułam, że to wszystko moja wina.

Podeszłam do niej, nie dbając o to, czy mnie uderzy.

– Proszę, niech się pani uspokoi. Zrobi pani krzywdę sobie lub dziecku.

Zastygła na dźwięk ostatniego słowa.

– Nie chcę tego cholernego dziecka – wypluła i niszczyła dalej, póki dwóch ochroniarzy nie zdołało jej obezwładnić. Stałam obok i też przyklekłam na podłodze, gdy kolana się pod nią ugięły. Tamci przytrzymali jej ręce za plecami.

– Delikatnie, ona jest w ciąży – powiedziałam. Poluźnili uchwyt. Łzy popłynęły jej po twarzy i zaczęła szlochać. – Wszystko będzie dobrze, tylko proszę oddychać spokojnie. – Pokazałam, jak ma uspokoić oddech,



bo łykała powietrze, jakby zaraz miało jej zabraknąć tlenu. To nie mogło być dobre dla dziecka.

Wyciszyła się wreszcie i wyglądało na to, że mnie słucha. Tłum rozproszył się dzięki ekspedientkom, a partner kobiety głaskał ją po głowie i trzymał za rękę. Sprawiała wrażenie, jakby nie wiedziała, gdzie jest.

– Czy mogłaby gdzieś przez chwilę posiedzieć? – zapytałam jednej z ekspedientek. Chętnie zaprowadziła nas na zaplecze, a jej koleżanki zaczęły sprzątać pobojowisko. Mężczyzna i ja posadziliśmy ją na krześle i napoiiliśmy wodą. Wreszcie zaczęła odzyskiwać rumieńce.

– Ja nie chcę tego dziecka – wyszeptała drżącymi ustami. – Boję się.

Poczułam, jak wzbiera we mnie lodowata fala, lecz nie dałam nic po sobie poznać. Nie wiedziała nic o mnie, byłyśmy sobie obce i nigdy się nie dowie, że właśnie uderzyła w najczulszą strunę.

– Mam na imię Claudia – powiedziałam łagodnie. Nie wiedziała, co mówi. Oczywiście, że chciała tego dziecka. – Pomogę pani. Nie trzeba się bać. – Moje słowa jakby ją uspokoiły. – Pani ciało przechodzi wielką zmianę i podsuwa emocje, nad którymi nie zawsze da się zapanować. – Uśmiechnęłam się krzepiąco.

Ręce jej zadrżały, kiedy popijała wodę.

– Pani też jest w ciąży? – spytała szeptem.

– Tak. – Pokiwałam głową. W świetle okoliczności chyba tak należało zrobić. Chciałam pozyskać jej zaufanie, sprawić, aby zachowała spokój, a przede wszystkim uchronić przed zrobieniem czegoś, czego żałowałaby do końca życia. – Dlatego doskonale wiem, co pani czuje.

– Ciągle mam mdłości i chodzę nieprzytomna. Chce mi się spać, a nocami nie mogę zmrużyć oka. To dopiero pierwszy trymestr; wolę nie myśleć, jak będzie na końcu! – Wydała z siebie kolejny szloch. – Jeśli w ogóle dotrwam do końca.

– Jest pani piękną kobietą w ciąży i urodzi piękne, zdrowe dziecko – zapewniłam. – Każde maleństwo przynosi na świat zasoby miłości. Te przykrości niedługo miną. – Spojrzałam na jej towarzysza. Ekspedientka zostawiła nas samych. – Niebawem lepiej się pani poczuje, może w

przyszłym tygodniu. Może nawet jeszcze dziś wieczorem – powiedziałam z lekkim uśmiechem, żeby dodać jej otuchy.

– Jestem umówiona na aborcję – wyszeptała. W jej oczach zobaczyłam wstyd, ale nie chciałam okazać tego, co sama poczułam. Zmusiłam się, żeby mówić dalej, zapanować nad emocjami. To nie była jej wina, że miałam takie parszywe szczęście.

– To poważna decyzja – powiedziałam.

Natychmiast skinęła głową.

– Sama nie wiem, co robić.

– I nikt pani tego nie powie – odparłam. – Ale rośnie w pani ludzka istota. Musi pani dbać o to życie jak o swoje własne. – W jej załzawionych oczach dostrzegłam błysk zrozumienia.

Oboje dalej trwali w uścisku. Ona bezradnie siąkała nosem, a on kołysał ją tak, jakby sama była niemowlęciem. Przyszło mi do głowy, aby zapytać o ich nazwiska i przekazać je opiece społecznej z informacją o emocjonalnym stanie kobiety, ale wtedy sprawa trafiłaby do mojego wydziału, najpewniej w moje ręce. Dlatego machnęłam ręką.

– Już mi lepiej, bardzo pani dziękuję. – Wstała. Zachwiała się i oparła o mnie, bo stałam najbliżej.

– Da pani sobie radę? – spytałam.

– Owszem – burknął mężczyzna, trochę zbyt opryskliwie, zważywszy, że poświęciłam im swój czas.

Kiedy skierowała się do wyjścia, łyzy zapiekły mnie pod powiekami. Czułam się fatalnie.

– Proszę na siebie uważać – rzuciłam, wyciągając rękę. Przelotnie uścisnęłyśmy sobie palce. – Na pewno da pani sobie radę? – powtórzyłam, chyba w akcie desperacji. Nie chciałam, żeby odeszła. Martwiłam się, że zmieni zdanie i usunie ciążę. Ale czy to była moja sprawa?

Pokiwała głową.

– Dzięki za pomoc – odpowiedziała z uśmiechem i poszli.

Ruszyłam przed siebie jak we śnie. Jeśli nie mogłam mieć własnego dziecka, jaki sens miało moje życie? Popłynęły łyzy. Myśl o Jamesie i

chłopcach przyniosła pewną ulgę. Samolubnie się nad sobą użalałam, nic więcej.

Wyszłam ze sklepu bez sukienki i skierowałam się na parking. Dopiero w samochodzie uzmysłowiłam sobie, że zostawiłam na zapleczu torbę z zakupami dla chłopców, ale było mi wszystko jedno. Chciałam tylko wrócić do domu.

Kiedy podjeżdżałam do szlabanu, zadźwięczały mi w uszach słowa położnej, gdy zdarzyło się to po raz ostatni.

*Chcesz zobaczyć dziecko, skarbie?*

Energicznie pokręciłam głową. Wolałam pograć się w rozpacz, która odmawiała wsparcia wszelkiego rodzaju.

Z płaczem opuściłam szybę i skasowałam bilet. Mój wzrok padł na wysłużony samochód, który pojawił się obok mnie. Głośna muzyka i podniesione głosy zwróciły moją uwagę. To byli tamci ze sklepu. Klócili się. Mężczyzna rzucił mi jadowite spojrzenie i odjechał z rykiem silnika, jak tylko podniósł się szlaban.

Opanowałam się i wytarłam nos. Na podjeździe ich dogoniłam, a kiedy wiosenne słońce zaświeciło nam w szyby, zmrużyłam oczy i pojechałam za nimi kawałek. Ze zgrozą patrzyłam, jak przejeżdżają na żółtym świetle. Dociskając stopą pedał gazu, myślałam tylko o niespełnionych pragnieniach, dzieciach oraz tym, że nigdy nie zostanę prawdziwą matką.

## Rozdział 39

Sprawa Zoe, Heather i Cecelii nie dawała Lorraine spokoju. Nie umiała tego wyjaśnić, lecz ta myśl dokuczała jej jak bolący ząb. Ale kiedy Adam doniósł, że Heather Paige nie figuruje nigdzie w systemie, chwilowo zapomniała o sprawie i skupiła się na marnotrawnej córce.

– Nie pojawiła się w szkole – powiedziała, siląc się na spokój wbrew narastającemu uczuciu paniki. Bez przerwy analizowała w myślach to, czego dowiedziała się przez telefon od sekretarki.

– Nic dziwnego, jeśli oznajmiła, że ją rzuca. – Adam wysiadł z samochodu.

– Nie rozumiem, jak możesz być taki spokojny – warknęła Lorraine. – Ta dziewczyna straciła głowę. Musi być okropnie nieszczęśliwa. A teraz wygląda na to, że zginęła. – Ona też wysiadła, zatrzasnęła drzwi i weszła po schodach prowadzących do szarego, przygnębiającego budynku. Zwykle nie zwracała uwagi na wygląd siedziby swego wydziału, ale dziś ta bryła betonu, aluminiowe okna i dołująca monotonia fasady zyskały dla niej wymiar alegorii utraconej nadziei.

Adam dogonił ją przed wejściem i złapał za ramię.

– Wszyscy wiemy, o co tu naprawdę chodzi – powiedział. Jego oddech zamarł w powietrzu między nimi. Zobaczył, że sprawia jej ból, i cofnął rękę.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Dla mnie to jasne jak słońce. – Lorraine ruszyła dalej po schodach, ale potknęła się na ostatnim. Podparła się rękami o beton, a torba spadła jej z ramienia, rozsypując zawartość pod nogi Adama. Lorraine zamarła na chwilę, wyciągnięta jak długa. Stukła sobie kolano i wstając, mimowolnie skrzywiła się z bólu. Adam zbierał jej rzeczy i z zakłopotaniem wkładał je z powrotem

do torby. Każdą oglądał tak, jakby zawsze nurtowało go, co Lorraine tam chowa.

– Proszę. – Podał jej rękę. – Przepraszam cię.

Zapadło krępujące milczenie. Lorraine nie była pewna, za co przeprosił.

– Nie rozumiem, jakim cudem w ciągu dwóch minut przeszliśmy od Zoe Harper przez naszą córkę do bałaganu, jakim jest nasze małżeństwo, i zdawkowych przeprosin. – Otuliła się kurtką. Piekło ją wewnątrz prawej dłoni.

Adam zatrzepotał rękami, co zawsze działało jej na nerwy. Wyglądał przy tym jak mały chłopiec.

– Lorraine... – Z westchnieniem odsunął ją od drzwi, które wyglądały jak wejście do ula. Nie zamykały się ani na chwilę, bez przerwy mijał ich ktoś znajomy. Zaczerpnął tchu i zaczął od nowa, jakby to była jego ostatnia, jedyna szansa. – Lorraine... ja nie chcę tego dłużej ciągnąć. Ilekroć coś mówisz, cokolwiek to jest, boli jak jasna cholera. – Na chwilę odwrócił głowę.

Lorraine poczuła znajomy ucisk w żołądku. Czy to już koniec? Czy wszystko miało zacząć się i skończyć tu, na schodach komendy? Wyobrażała sobie, że stanie się to gdzie indziej, na przykład w ich salonie, sypialni, kuchni, ogrodzie – wszędzie, tylko nie w miejscu publicznym, co gorsza w pracy. Minęła ich dwójka kolegów, na powitanie unieśli ręce.

– Nie myślę...

– A ja tak – oznajmił stanowczo. – Myślę cały czas. To, co się stało, pochłania mi całe dni. Poprawka: dni i noce. Jak mam ci to wytłumaczyć, jeśli sam nie mogę tego pojąć? Minał prawie rok, a ja nie potrafię z tym żyć. Popełniłem straszną głupotę, ty to wiesz i ja to wiem, ale diabli wiedzą, jak mam to wyjaśnić lub zracjonalizować.

Chodził, zataczając półokręgi. Pogłębiła mu się zmarszczka na czole i zgarbił się bardziej, niż to miał w zwyczaju. Oczywiście mogła jeszcze trzymać go w niepewności i przedłużać mu męczarnie, pytanie tylko, czy tego chciała.

– Wejdźmy do środka – zaproponowała. – Jeszcze raz spróbuję dodzwonić się do Grace. – Chciała zapanować nad tą rozmową, nad jej miejscem i porą. Przecież nie będą stać na widoku.

Adam poszedł za nią. Nie ulegało wątpliwości, że jest skruszony, o dziwo wolała jednak, kiedy się stawiał, szedł w zaparte albo udawał, że nic się nie stało. Krzepiący płaszczyk kłamstw przynajmniej dawał jej do zrozumienia, że może jednak nie zrobił nic aż tak straszego.

Kiedy znaleźli się w windzie, zamknął ją w ciasnym uścisku. Jego twarz znalazła się na wprost jej twarzy, zacisnął zęby.

– Popełniłem błąd. To była jedna noc. Byłem pijany. Ona również. Uprawialiśmy seks. Więcej jej nie widziałem.

Lorraine poczuła mdłości, wcale nie dlatego, że windą zakołysało, kiedy stanęła na ich piętrze. Sprawiała to jego bliskość, oddech na jej twarzy.

Drzwi się otworzyły, Adam stanął obok i znaleźli się twarzą w twarz z grupką oczekujących. Lorraine ruszyła do swego gabinetu i już miała zamknąć drzwi, gdy Adam przytrzymał je ręką.

– Nie będę tutaj o tym rozmawiać, Adamie. Mamy na głowie dwa dochodzenia i córkę, która spisuje swoje życie na straty. Co cię napadło?

Klapnęła na fotel i włączyła komputer. Wybrała numer Grace.

– Nadal cisza – powiedziała, odkładając telefon na biurko.

– Martwisz się? – spytał Adam.

– Jasne, że się martwię, do cholery – burknęła. – Nasza córka nie zjawiała się w szkole. Wyniosła się z domu. Uparła się wyjść za Matta i nie odbiera telefonu. Ale jedno wiem na pewno.

Adam z nadzieją podniósł brwi.

– W przeciwieństwie do swojego ojca nie jest głupia. – Zaczerpnęła tchu, podniosła głowę i po raz pierwszy od roku uważnie przyjrzała się mężowi. – No dobra. Chcę wiedzieć, co się stało. Ze szczegółami. – Wbiła sobie paznokcie w dłonie. – Nie minie, dopóki mi nie powiesz, prawda?

Adam stał jak skamieniały. Nie miała pojęcia, co powie ani jak ona się z tym poczuje. To mógł być koniec wszystkiego lub początek

porozumienia, którego dotąd nie przyjmowała do wiadomości. Tak czy siak, musiała przez to przebrnąć, nie było rady. Po prostu nie sądziła, że stanie się to teraz, dziś, w biurze. A niech go jasny szlag.

– To było w grudniu, rok temu. – Adam mówił bezbarwnym, ochrypłym głosem. – Byłaś chora, ale kazałaś mi iść na świąteczne przyjęcie bez ciebie, chociaż wiedziałas, jak tego nie znoś.

Lorraine zapanowała nad gniewem. Naprawdę kazała mu iść? Nie pamiętała. Była chora, fakt. Dopadła ją grypa i trzy dni spędziła w gorączce na obrzeżach świadomości. Czekala na ciąg dalszy.

– Przyszedłem spóźniony. To była impreza międzywydziałowa, lokal pękach w szwach. Zatłoczony bar to nie moja specjalność.

Wzruszył ramionami na dowód swojej obojętności. Lorraine wiedziała, że na przyjęciach podpierał ścianę.

– Było paru znajomych, więc chwilę z nimi pogadałem. Byłem już mocno wstawiony.

Oboje wiedzieli, że źle znosił alkohol. Rzadko pił.

– Stała na drugim końcu sali. Widziałem, że mi się przygląda. W końcu podeszła i się przedstawiła...

– Przestań! Nie chcę wiedzieć, jak się nazywa.

Kiwnął głową.

– Powiedziała, że mnie kojarzy, ale ja jej nie znałem. Gadaliśmy. Upiliśmy się razem. Zrobiliśmy głupotę.

– Jak to?

– Poszliśmy do hotelu naprzeciw. Ona zapłaciła za pokój, jeśli chcesz wiedzieć.

– Nie chcę.

– I już. Ubrałem się. Wyszedłem.

Wiedziała, co robił. Zawsze posługiwał się monosylabami, kiedy chciał przedstawić niezbędne minimum sprawy i nie zostać posądzony o zatajanie informacji. Przypominało to przesłuchiwanie podejrzanego, ale w tym przypadku Lorraine nie miała wątpliwości co do jego winy.

– W porządku – odpowiedziała cicho. – Mogłabym zapytać, czy była dobra i czy wzięłaś jej numer, ale nie zapytam. – Drżał jej głos i

nienawidziła się za to. – Ale chciałabym wiedzieć dlaczego.

W biurze zapadła cisza, tak jak się spodziewała. Cisza zdolna wypełnić pustkę, która narosła między nimi, odkąd to się stało prawie rok temu.

– Przysięgam, że nie mam pojęcia. Nie wiedziałem, co robię. Była atrakcyjna i mi się nawinęła. Gdybym nie był pijany, sprawy potoczyłyby się inaczej. – Lorraine wiedziała, że normalnie dałby upust emocjom, pocierając twarz, mierzwiąc włosy, a nawet szarpiąc guzik od mankietu. Ale nie robił żadnej z tych rzeczy. Stał jak słup, jakby całkiem się poddał.

Potrząsnęła głową.

– Chyba liczyłam na coś konkretnego, że zrobiłeś to przeze mnie albo przez dziewczynki, albo że w domu jest do bani. Ale martwi mnie twoja kiepska ocena sytuacji, Adamie. Bardzo mnie martwi. I nasuwa mi obawę, czy się nie powtórzy. – Uniosła ręce, po czym znów opuściła je na kolana. – Poza tym nie wierzę, że więcej się nie spotkaliście.

– Ja...

Przerwał mu sygnał komórki Lorraine. Porwała ją z biurka.

– To Grace. – Odczytała wiadomość i przymknęła oczy. – Nic jej nie jest, ale nie chce nas widzieć.

Adam westchnął.

– I wcale jej się nie dziwię. Od początku tylko ją naciskamy.

– Naciskamy? Próbę przemówienia jej do rozumu nazywasz naciskiem?

Adam podniósł brwi, co skłoniło ją do zastanowienia.

I z ociąganiem wystukała odpowiedź: „W razie czego wiesz, gdzie nas szukać”.

Lorraine widziała, że wiadomość od Grace spadła Adamowi jak z nieba. Dał jej zarys sytuacji, dość, aby nieco rozwiać otoczkę, którą przez ostatni rok rozdmuchała do granic możliwości. Tymczasem jednak mieli inne sprawy na głowie, w tym nie mniej pogmatwaną sieć zależności w sprawie Sally-Ann.

Praca nad dochodzeniami szła pełną parą, postanowili więc na parę



godzin wrócić do domu, zwłaszcza że oboje mieli wolne popołudnie. Pojechali jednak oddzielnie i zanim Lorraine zdjęła kurtkę i włączyła ogrzewanie, Adam zdążył już przebrać się w dres. Właśnie zaparzała herbatę, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi. Poszła otworzyć w nadziei, że to Grace.

Matt stał rozdygotany na schodach i pobrzękując kluczami do samochodu, zerkał nerwowo na ulicę. Kiedy Lorraine otworzyła drzwi, zaczął wyrzucać z siebie przeprosiny.

– Matt. – Lorraine uciszyła go ruchem dłoni. – Lepiej wejść do środka.

Poszedł za nią do kuchni. Adam zdumiał się na jego widok, ale chłopak jakimś cudem zachował spokój.

– Coś się stało Grace? – przeraziła się nagle Lorraine.

Matt uroczyście pokręcił głową.

– Nic się nie stało. Znaczy, tak jakby. – Westchnął. – Nie wiem, co państwu powiedziała, ale...

– Nie wiesz? – warknął Adam. Właśnie zawiązywał buty do biegania, ale wstał. – A to dobre, zwłaszcza że to przez ciebie wyprowadziła się z domu i rzuciła szkołę.

Matt nie wiedział, gdzie podziać oczy. Lorraine złapała męża za ramię, żeby go uciszyć.

– To niezupełnie tak – ciągnął Matt. – Grace jest trochę skołowana.

– No ba. – Adam wyrwał się i natarł na niego z zacisniętymi pięściami.

Lorraine stanęła pomiędzy nimi.

– Wiemy, że chce rzucić szkołę, ale dziś się nie zjawiała – powiedziała. – I nie mamy pojęcia, gdzie jest.

Matt uniósł ręce w obronnym geście.

– Była ze mną – przyznał. – Rozmawialiśmy i tak dalej. – Zwiesił głowę. – Właśnie dlatego tu jestem. Mam państwu coś ważnego do powiedzenia.

## Rozdział 40

Telefon przestaje dzwonić w chwili, kiedy łapię za słuchawkę. Gdy hamuję na kafelkach w holu, mrowi mnie całe ciało. Jestem jednym rozedrganym nerwem. Przeraza mnie ta myśl. To jest jak wybuch wulkanu, nad którym nie mogę zapanować, jak nieuleczalna choroba. Na wszelki wypadek podnoszę słuchawkę: może jeszcze tam jest, może czeka, aż odbiorę. Prawie natychmiast rozdzwania się moja komórka. Rzucam się na poszukiwania i w końcu znajduję ją w torebce w kuchni.

– Halo? – rzucam jeszcze przed jej włączeniem. Popołudnie zdaje się naglić; ciąży jak rzecz ostateczna, jakby mój czas tutaj dobiegł końca w najmniej spodziewanej chwili, wąła nic egzystencji, która miała jeszcze potrwać. – Halo? – powtarzam. – Kto tam? – Słyszę tylko spazmatyczny oddech, jakby ktoś wciągał powietrze z całej kuchni i wydychał je z powrotem. – Kto tam? – Już mam się rozłączyć, kiedy słyszę kobiecy głos.

– Pomóż mi – mówi, a ja od razu wiem, że to Pip. Serce podskakuje mi w piersi. Wiem, po co dzwoni. Ręka zwisa mi u boku, gdy dociera do mnie sens jej słów. Gdy ponownie przyciskam do ucha słuchawkę, dalej łyka powietrze. Prawie czuję, jak ściska mnie za rękę, gdy jej ciało rozrywa się na dwoje, a brzuch uwalnia to, co ma w środku.

– Pip? – pytam, chociaż dobrze wiem, że to ona. – Dobrze się czujesz?

Długa cisza. Wreszcie się odzywa.

– Rodzę. – Znów dyszy, po czym zaczyna miarowo oddychać, jakby sama rozmowa ze mną ją uspokoiła.

– To ty przed chwilą dzwoniłaś na stacjonarny? – pytam bez sensu.

– Tak, tak – potwierdza w przerwie między skurczami. – Wybacz, że

zawracam ci głowę. Nie miałam do kogo zadzwonić. Zostawiłam wiadomość.

Nie zdążyłam jej odsłuchać, ale cieszę się, że zadzwoniła, że przyszło jej do głowy, aby zwrócić się do mnie.

– Przyjedziesz? – pyta. Niemal widzę grymas bólu na jej twarzy. – Musisz mi pomóc. Zaraz urodzę, a nie mogę się do nikogo dodzwonić. Clive pewnie ma spotkanie.

Szok wywołany jej słowami wybija mnie z marazmu. Bez namysłu biegnę po kurtkę i buty.

– Zaraz będę, Pip. Tylko spokojnie.

Trzymam ją na linii i miotam się w poszukiwaniu kluczyków, ale nie mogę ich znaleźć. Postanawiam wziąć samochód Jamesa, ale przypominam sobie, że jest w warsztacie. W przypiływie frustracji szarpnięciem za włosy, ale nie daję nic po sobie poznać.

– Proszę, tylko na mnie zaczekaj. Chcę przy tym być. Obiecuję, że zaraz przyjadę. – Pytam, czy dzwoniła po karetkę, a gdy odpowiada przecząco, udzielam jej dokładnych wskazówek. Mam nadzieję, że posłucha.

Zimne powietrze zapiera mi dech, ale nie odbiera jasności myślenia. Pozostaje mi tylko rower. Wyprowadzam go boczną furtką i przerzucam nogę przez siodełko. Gdy zaczynam pedałować, ślizgam się po oblodzonej drodze. Kiedy lawiruję między zaparkowanymi autami, trąbi na mnie samochód. Mijam o włos bok ciężarówki i w porę odzyskuję równowagę.

Do Pip jest niedaleko – tak mi się przynajmniej zdawało, gdy jeździłam samochodem – ale teraz wydaje mi się, że jadę na drugi koniec świata. Zachmurzone niebo wisi nisko, jakby zapadnięte pod ciężarem mojej misji. Oto jej kulminacja, zwieńczenie, okazja, której nie mogę przepuścić. Powtarzam to sobie w głowie, a moje nogi naciskają pedały, przybliżając mnie do miejsca, w którym muszę się znaleźć.

Wjeżdżam w osiedle schludnych domków jednorodzinnych. Wszystko tu jest krzepiące, tchnie spokojem i bezpieczeństwem. Ostatnio byłam tu z bliźniakami. To wspomnienie jawi mi się jak sen,

urywek innego życia, kiedy pedałuję na pomoc. Żeby tylko nie urodziła beze mnie.

– Patrz, jak jedziesz! – wrzeszczy jakiś człowiek przez okno samochodu. Wyjeżdża tyłem z podjazdu. Robię ostry zwrot i mało nie wjeżdżam mu w bagażnik.

Na końcu uliczki hamuję na zwirowej ścieżce pod domem Pip. Rzucam rower i biegnę do drzwi. Kilkakrotnie naciskam dzwonek i stukam kołatką.

Pip otwiera szybciej, niż się spodziewałam. Na pierwszy rzut oka wygląda zupełnie normalnie, uśmiecha się na mój widok. Ale zaraz uśmiech znika z jej twarzy, gdy przychodzi kolejny skurcz. Zastępuję go własnym uśmiechem i patrzę na nią z ulgą, wykończona i szczęśliwa, że to wreszcie nastąpi. Ma taki wielki brzuch. Wpycham ją do środka i zatrzaskuję drzwi.

– Przepraszam, Pip – mówię. – Nie tak miało być.

Zgroza odbiera jej mowę. Łapie się za brzuch i opiera o ścianę, a na jej twarzy pojawia się wyraz, jakiego wcześniej nie widziałam. Marszczy czoło i wykrzywia usta, obnażając z bólu zęby. Przewraca oczami i na kolejną minutę lub dwie przenosi się gdzie indziej, nieświadoma, że wdarłam się do niej siłą.

Podchodzę i ostrożnie głaszczę ją po ramieniu. Dopadają mnie wyrzuty sumienia. Spodziewam się, że wyszarpię rękę, ale chyba nie zdaje sobie sprawy z mojej obecności. Kładę rękę na jej brzuchu, jest twardy jak kamień. Mięśnie zaciskają się wokół dziecka; zastanawiam się, jak to wytrzyma.

– Powinnaś usiąść, Pip. Boję się, że upadniesz.

Przez chwilę nie zwraca na mnie uwagi, ale potem nagle staje się dawną Pip. Patrzy na mnie, jakby widziała mnie po raz pierwszy w życiu.

– Usiądź na kanapie, Pip. – Mówię ostrym, nieprzyjemnym tonem, jakiego nigdy nie słyszała, ale mam coś do zrobienia i nic mnie nie powstrzyma. Chce coś powiedzieć, ale odruchowo kładę jej palec na ustach. Nie protestuje. – Uspokój się. Przecież nie chcemy, żeby coś stało

się dziecku, prawda?

– Ja... nie rozumiem. Co tu się dzieje? Chcę do Clive'a. – Czuję na palcu wilgoć jej warg.

Nachodzi mnie myśl, że on może już tu jedzie.

– Rozmawiałaś z nim? Dodzwoniłaś się? Gadaj! – Patrzę na zegarek. Nie zostało dużo czasu.

Pip potrząsa głową.

– Zostawiłam mu wiadomość, to wszystko.

– Dzwoniłaś do kogoś jeszcze? – Przytrzymuję się białej, lśniącej półki nad kominkiem. Zawroty głowy przychodzą falami, utwierdzając mnie w powziętym zamiarze.

– Tylko na pogotowie – przyznaje po chwili wahania.

– Wezwałaś karetkę? – Kazałam jej tego nie robić. Miała na mnie poczekać.

Pip potrząsa głową w obawie przed moją reakcją. Ponownie łapie ją skurcz. Od ostatniego minęły zaledwie dwie minuty.

Klękam przed nią i biorę ją za rękę.

– Oddychaj, Pip. Skup się na mnie, patrz mi w oczy. – Jeszcze nie czas. Podchwytuje i obie skupiamy się na tym, by powstrzymać skurcze.

– Damy radę, Pip – mówię, ale nie słyszy. Z rozwartych ust wydobywa się jęk, a ja patrzę bezsilnie, jak jej ciałem wstrząsa dreszcz.

Kiedy mijają, idę do kuchni po narzędzia. Wracam i widzę, że nie posłuchała, znów trzyma telefon w roztrzęsionych rękach. Jednym ruchem posyłam go na podłogę.

– Kretynko! Nie ufasz mi? Myślisz, że nie wiem, co robię?

Pip wpatruje się w komórkę. O dziwo, zachowuje spokój i nawet się uśmiecha.

– Oczywiście, że ci ufam – mówi.

Widząc, że znowu zerka na telefon, podchodzę i miażdżę butem wyświetlacz.

– Przepraszam – mówi. – Nie chciałam cię zdenerwować.

Podaję jej namoczoną ścierkę.

– Przyniosłam ci okład. – Pozwala przetrzeć sobie czoło.

– Dziękuję – odpowiada. – Jesteś taka dobra. – Dygoczą jej ramiona.

W prawej dłoni trzymam kuchenny nóż. Kiedy wyciągam go z za pleców, Pip zaczyna krzyczeć. Nie wiem, czy to strach, czy może kolejny skurcz.

## Rozdział 41

Po powrocie do domu postanawiam nastawić pranie. Proza tej nieskomplikowanej czynności pozwala mi przetrwać ten niekończący się okres oczekiwania. Sortuję odzież złożoną w pralni, brudny miszmasz ubrań wszystkich domowników. Wrzucam do pralki swoje rzeczy, ale jest zapelniona tylko do połowy, więc wybieram ubrania w podobnych kolorach i już mam je dorzucić, kiedy zauważam krew.

Strzepuję materiał i widzę plamę tam, gdzie nie powinna się znajdować. Nic z tego nie rozumiem, nie chcę jej dotykać. Powtarzam sobie, że to nie może być to, co myślę, że musi istnieć wytłumaczenie, ale w głębi duszy wiem, co to znaczy. Chwilę wpatruję się w plamę, po czym wpycham żółty strzep materiału w poszewkę od poduszki i chowam na dnie kosza z brudną bielizną.

– Na pewno nie – mówię do siebie i wstaję z posadzki.

Jestem sama w domu, więc sprawdzenie wszystkich szafek nie stanowi problemu, choć z początku nie wiem, czego szukam. Przy okazji robię trochę bałaganu, który pewnie mnie zdradzi, ale moje podejrzenia się potwierdzają.

Idę do kuchni, nadal pod wrażeniem dokonanego odkrycia. Nic z tego nie rozumiem. Miga lampka na telefonie, ktoś zostawił wiadomość. Nie zdążyłam odsłuchać po powrocie. Naciskam przycisk i w pierwszej chwili myślę, że to głupi żart, ale gdzieś wśród jęków i urywanych oddechów słyszę głos kobiety.

– Jesteś tam? Halo? Po... pomocy.

– To Pip – mówię i też zapiera mi dech w piersi. Może zaczęła rodzić? Dlaczego nie jest w szpitalu? I czemu nie zadzwoniła po położną albo Clive'a? Mam nadzieję, że nic się nie stało.

Natychmiast oddzwaniem, ale od razu słyszę sekretarkę. Nie wiem, o co chodzi, lecz nagle widzę, która godzina. Muszę odebrać samochód Jamesa, a potem chyba pojechać do Pip i sprawdzić, czy wszystko gra.

Dwadzieścia minut później dowiaduję się, że trzeba było tylko wymienić żarówkę i usunąć niewielką usterkę ręcznego hamulca. Rozkojarzona płacę rachunek i mechanik oddaje kartę pojazdu. W głowie dźwięczy mi głos Pip. Uwiąż tam wraz z zawartością szafki i wspomnieniem krwawej plamy. Podejmuję decyzję. Jestem w pobliżu; może się ucieszy, jeśli ktoś odbierze Lilly ze szkoły.

Dziesięć minut później stoję przed domem Pip. Jej samochód stoi przed garażem jak zwykle, ale widzę też znajomy rower na podjeździe. Serce przyspiesza mi na jego widok. Mijam go i świdruję wzrokiem, jakby zaraz miał zakręcić przednim kołem. Może to złudzenie, ale jestem gotowa przysiąc, że ktoś odskakuje od okna, gdy podchodzę do drzwi. Twarzy nie widzę.

Naciskam dzwonek i czekam. Nikt nie otwiera. Zaglądam przez szybę do salonu, ale wewnątrz panuje mrok. Widzę kubki na podłodze, w tym jeden rozbity, i zniszczony telefon przy kominku.

Dziwne, myślę. Przecież Pip jest schludna aż do przesady.

Ponownie dzwonię do drzwi i stukam w skrzynkę na listy. Następnie uchylam klapkę i wołam w nadziei, że usłyszy mnie z góry. Nie chcę jej wystraszyć, ale nie panuję nad głosem.

– Pip, Pip, jesteś tam?!

Przykładam ucho do drzwi i nasłuchuję odpowiedzi. Nic nie słyszę, nawet stukotu pazurków jej jacka russella. Może poszła na spacer, aby przyspieszyć poród, jeśli faktycznie zaczęła rodzić, a może już ją zabrała karetka. Ale dam głowę, że widziałam kogoś w salonie.

Obchodzę dom, na szczęście furtka jest otwarta. Spodziewam się, że lada chwila pies wybiegnie mi na spotkanie, ale go nie ma. Ogródek Pip to schludny kwadrat całorocznej zieleni i przystrzyżonych krzewów. W trawie leżą dwie zapomniane piłki, a na tarasie ktoś niefortunnie pozostawił plastikowy samochodzik, tuż pod drzwiami kuchni. Odsuwam go nogą i zaglądam do środka. Tym razem nie ma czasu



uciec.

Kiedy odwraca się do mnie, jej twarz przybiera wyraz, którego nie rozpoznaję – w życiu nie byłam świadkiem takich emocji – lecz po chwili znów jest sobą, spokojna i opanowana. Chcę westchnąć z ulgą, że Pip już otrzymała pomoc, ale coś mi nie pozwala. Nie wiem, w czym rzecz i dlaczego w imieniu Pip nie czuję wdzięczności. Dopiero gdy otwiera drzwi i wabi mnie do środka, zaczynam rozumieć, czemu serce mało nie wyskoczy mi z piersi, i z całej siły zaciskam pięści. Ale wtedy jest już za późno.

Sztuczne pozdrowienie okraszone sztywnym skinieniem głowy. Usiłuję zachować spokój. Słowa cisną mi się na usta i wiem, co chcę, co powinnam powiedzieć, ale tego nie mówię. Wciąż nie jestem pewna, co to wszystko znaczy.

– Gdzie Pip? Czy nic jej nie jest? – Wchodzę w głąb kuchni, próbuję zajrzeć do salonu. Cofa się parę kroków, ale wciąż tarasuje mi drogę. – Pojechała do szpitala?

W odpowiedzi na każde z moich pytań potrząsa głową. Podnosi ręce i bezradnie przeczesuje palcami włosy, po czym znów opuszcza je do boków.

– Dziecko – mówi i nie jestem pewna, czy to słowo tchnie smutkiem, radością czy rozpaczą, a może czymś, czego nie umiem nazwać.

– Co z dzieckiem? – pytam. – Urodziła? Powiedz, co się dzieje. – Zdaję sobie sprawę, że w mój głos wkrada się panika, gdy próbuję ją wyminąć i zajrzeć w głąb domu, ale mnie wyprzedza.

– Nie, nie, stój! Nie wiesz, co robisz. – Widzę, że płacze. Ma czerwone policzki i zasmarkany nos.

Nagle z góry dobiega krzyk i huk, od którego drży lampa pod sufitem.

Odwraca się i biegnie do holu, sadzi po dwa schody naraz. Próbuje za nią nadażyć, ale jest szybsza. Pierwsza wpada do łazienki na piętrze i zatrzaskuje drzwi. Słyszę zgrzyt zasuwy i kolejny mrożący krew w żyłach krzyk.

Ma tam Pip.

Napieram na drzwi, ale ani drgną.

– Na miłość boską, wpuść mnie! Co ty wyprawiasz? – Nie słyszę odpowiedzi, tylko wrzask Pip. Dwukrotnie pada moje imię, po czym słyszę odgłos wymierzanego policzka.

Znów się dobijam i próbuję wyważyć drzwi ramieniem, ale mocno tkwią we framudze. Daję za wygraną i staram się zebrać myśli, ale nie mogę tego ogarnąć. Zaczynam chodzić tam i z powrotem, nasłuchując zawodzenia rodzącej Pip.

– Posłuchaj mnie! – wołam. – Czy ty mnie słyszysz? Daj znak, że mnie słyszysz!

Następuje długa chwila ciszy, po czym słyszę ciche „Tak”. I kolejny rozdierający jęk Pip, gdy nadchodzi skurcz, a potem znowu mija.

Przy wtórze przyspieszonych oddechów i żalosnego łkania ze środka próbuję przemówić jej do rozsądku. Żebym tylko wiedziała, co robi.

– Pip rodzi – mówię i w duchu pukam się w głowę, no bo, na cholere, stwierdzam fakt. – Trzeba ją zawieźć do szpitala, potrzebuje pomocy. Przecież chcesz dla niej jak najlepiej, tak? To twoja przyjaciółka. Dlaczego robisz jej krzywdę? Słyszysz, co mówię?

Nie odpowiada. Wreszcie słyszę szum bieżącej wody, jakby ktoś napełniał wannę. Potem słyszę szcęk, jakby ktoś upuścił metalowy przedmiot, ale nie mam pewności.

– Nie, nie! Boże święty, tylko nie to! Pomocy! – Błagalny skowyt wcale nie przypomina głosu Pip.

Telefon wypada mi z roztrzęsionych rąk. Najpierw dzwonię na pogotowie, podaję wszystkie dane. Potem wybieram ten drugi numer, na który nie spodziewałam się nigdy zadzwonić, i spokojnie informuję o rozwoju sytuacji. Przyznaję, że zawiodłam i poniosę wszystkie konsekwencje, ale wrzask dochodzący z łazienki – świadczący o czymś więcej niż bólu porodowym – każe mi ponownie rzucić się na drzwi. Muszę wydostać Pip.

Czuję, że drewno ustępuje. Cofam się kilka kroków i znów nacieram biodrem i barkiem. Słyszę trzask i kolejne wrzaski ze środka. Jeszcze raz

rzucam się na drzwi, jakby odebrało mi rozum. Może zawaliłam sprawę, ale nie dopuszczę, żeby coś stało się Pip.

Nagle drzwi ustępują i wpadam do łazienki, tracę równowagę i walę policzkiem w umywalkę. Nie jestem przygotowana na to, co widzę, choć obłąkańcze myśli towarzyszą mi od chwili, gdy zobaczyłam Claudię w obcisłych dżinsach.

– Claudio – mówię. Głos drży mi z gniewu. – Zachowaj spokój, a nic ci się nie stanie. Odłóż nóż na podłogę.

Łazienka jest mała i duszna, cuchnie śmiercią. Jeszcze nie odważyłam się spojrzeć na Pip, ale wiem, że leży w wannie. Jej płytki oddech upewnia mnie, że jeszcze żyje. Nie wolno mi oderwać oczu od Claudii i noża zawieszono nad odsłoniętym brzuchem Pip.

– Posłuchaj mnie uważnie, Claudio.

Odwraca się i patrzy prosto na mnie. Prawe ramię ma wyciągnięte, palce zaciśnięte na drewnianej rękojeści. Czy to ta sama kobieta, która niedawno przyjmowała mnie do pracy, matka, która wieczorami tulił chłopców do snu, jakby byli jej rodzonymi synami? Patrzy na mnie nieswoim wzrokiem, widzę puste źrenice, a w nich duszę odartą ze współczucia. Nie mam pewności, czy jest chora, czy zła.

– Wezwałam pomoc, Claudio. Jeśli zrobisz, co mówię, wszystko się wyjaśni. Wiem, że nie chcesz skrzywdzić Pip i dziecka.

– To niesprawiedliwe – odpowiada głosem, którego nie poznaję. – Ja tylko chcę jej dziecko. – Ręka drży, łzy płyną po policzkach. Odwraca się sztywno, żeby spojrzeć na Pip, która trzyma się krawędzi wanny i szlocha. Widzę różowawą smugę w wannie i martwię się, czy nie jest ranna.

Przypominam sobie zawartość szkatułki w szafie Claudii, kolekcję żalonych wspomnień i zawiedzionych nadziei.

– Wiem, że to niesprawiedliwe – zaczynam. – Ale niesprawiedliwie byłoby też skrzywdzić Pip, prawda?

– Potrzebuję tego dziecka – oznajmia Claudia i przykłęka obok wanny. – Muszę je mieć. – Widzę, jak napina mięśnie twarzy. – Zaraz się urodzi, muszę mu pomóc wyjść na świat. – Z zatrważającym spokojem

kładzie lewą dłoń na brzuchu Pip i głaszcze wypukłość.

Robię krok w jej stronę, ale odwraca się i celuje we mnie nożem. Cofam się, i ponownie skupia uwagę na Pip.

– Powiedz, gdy nastąpi przerwa między skurczami – mówi zmienionym głosem położnej, która panuje nad sytuacją. – Zaraz je wyciągniemy. – Dalej ściska nóż, aż jej bieleją palce.

Pip nie może wydusić głosu. Leży na plecach, próbuje zapanować nad bólem, który co chwila bierze ją w posiadanie, pożera bardziej niż strach. Omiata mnie błagalnym wzrokiem. Powoli kiwam głową za plecami Claudii i mówię bezgłośnie „Wszystko będzie dobrze”, w nadziei, że zrozumie.

Nagle słyszę jakiś ruch przed domem. Oby to była pomoc. Czekam na reakcję Claudii, ale jest zbyt pochłonięta skurczami Pip. Nie wiem, co zrobić. Jeśli zostawię ją samą i zejść na dół, może w każdej chwili wbić nóż. Z drugiej strony pukanie do drzwi może ją spłoszyć i przynieść ten sam efekt.

– Zaczekajmy chwilę, Claudio – mówię. – Nie ma pośpiechu. Grunt to precyzja i spokój, prawda? – Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Nie mam odpowiedniego przygotowania. – Może zaparzymy Pip herbatę?

Claudia powoli unosi wzrok. Ostrze noża spoczywa na bladej skórze Pip, która trzęsie się pod wpływem kolejnego skurczu. Niech mój wybieg okaże się skuteczny. Mogłabym się rzucić, wyrwać jej nóż i cisnąć nią o kafelki, ale jeden niewłaściwy ruch i będzie po wszystkim.

Kolejny hałas, tym razem na pewno spod drzwi. Przed domem są ludzie. Przyjechała policja.

Claudia gwałtownie odwraca głowę.

– Co ty na to? Pip na pewno jest głodna – dodaję z wymuszonym śmiechem, aby zagłuszyć odgłosy z dołu.

Ku mojemu niedowierzaniu Claudia kiwa głową i lekko marszczy brwi, jakby stopniowo docierała do niej potworność tego, co robi. Patrzy na swoje dłonie, na błysk noża w prawej ręce i półnągą Pip, która leży bezradnie i krzywi się z bólu, gdy mija kolejny skurcz. Claudia podnosi

się z kolan i opiera oburącz o wannę, nóż stuka o emalię. Wstaje i nadal marszczy brwi, jakby zamyślona i pełna skruchy.

– Herbatę, tak – mówi i na jej twarzy pojawia się nieobliczalny uśmiech. Patrzy w lustro, jakby spoglądała w wieczność, a nie na własne odbicie. Opuszcza rękę z nożem, rozluźnia palce.

– Właśnie – podchwytyję. – Porozmawiamy o twoim dziecku. – Zerkam na Pip, która odzyskuje jasność umysłu, na przekór dygotaniu, na przekór pianie w kącikach ust. – Chodźmy...

Ale nagłe walenie do drzwi zmienia wszystko. Pryska chwila przytomności: Claudia ciężko osuwa się na kolana i znów przyciska nóż do brzucha Pip.

– Myślisz, że jestem głupia i nie dam rady, ale mam wprawę – oznajmia z determinacją. – Tym razem mi się uda. – Oblizuje wargi i patrzy z ukosa na fragment skóry pod pępkiem Pip.

Jak skamieniała stoję w drzwiach. Dobijają się coraz gwałtowniej, ratownik krzyczy coś przez skrzynkę na listy. Ale nie mam wątpliwości, co robi Claudia, jeśli pójdę otworzyć. Pozostaje nadzieja, że policja wyważy drzwi. Dopóki tu jestem, mam szansę powstrzymać Claudię.

– Trzeba przeciąć tutaj, widzisz? – Claudia rysuje ostrzem poziomą linię na podbrzuszu Pip, która wydaje zduszony szloch i znów łapie się krawędzi. Claudia zwinnym ruchem przypiera jej głowę do wanny. Słyszę trzask. – Nie ma drogi na skróty. – Trzymając Pip za włosy, patrzy na mnie i przyciska nóż.

Czerwona kreska nie pojawia się od razu, ale widzę paciorki krwi w miejscu rozcięcia. Claudia nie odrywa od nich wzroku, jakby pchały ją do dalszego działania. Czuję, że nie ma odwrotu, i gdy na dole z hukiem otwierają się drzwi, rzucam się na nią.

Przez chwilę nic nie czuję.

Następnie słyszę krzyk Pip. I nawoływania policjantów biegnących na górę. Stęknienie Claudii, kiedy wbija mi nóż w bark. Własny urywany oddech, kiedy coś powoli do mnie dociera; coś bardzo nieprzyjemnego.

Potem czuję na sobie ręce, uderzam głową o czyjeś udo. Wyczuwam

chwilę zwątpienia, gdy policjant omiata mnie wzrokiem, jakby nie wiedział, czy mnie podnieść i zakuć w kajdanki, czy ratować. I czuję ból, którego pierwsza fala dociera do mózgu.

– Rzuć broń! – krzyczy drugi policjant. Jest czerwony z wysiłku, bryzga śliną. Widzę, jak napina mięśnie, gdy łapie Claudię za nadgarstki i prawie wiąże je na supeł za jej plecami. Widzę zdruzgotaną twarz Claudii, kiedy uświadamia sobie, że poniosła klęskę, że to koniec.

– Ja krwawię – mówię cicho. Patrzę na swoje palce; nawet nie zauważyłam, że dotknęłam rany. Policjant, który mnie trzyma, pomaga mi się podnieść. – Dam sobie radę – mówię. Odruchowo sięgam do tylnej kieszeni, ale ból nie pozwala mi wyjąć odznaki. – Jestem policjantką. Tej kobiecie trzeba udzielić natychmiastowej pomocy.

Spychają mnie na bok, kiedy drugi policjant siłą wyprowadza Claudię z łazienki. Nóż leży na posadzce, ma zakrwawiony czubek. Zostawiam go tam, gdzie jest.

Ratownik i ja pomagamy Pip wyjść z wanny pełnej wody i krwi. O dziwo, jest spokojna i nie odrywa wzroku ode mnie, gdy nadchodzi kolejny skurcz. Ściskając moją rękę, oddycha tak, jak ją nauczono. Zjawia się ratowniczką i wspólnymi siłami kładziemy Pip na łóżku. Ratowniczką łapie torbę, wyciąga przybory i rozpoczyna oględziny.

– Nie ma czasu jechać do szpitala – oznajmia. – Maluch zaraz tu będzie. – Wznosi oczy do sufitu i sprawdza rozwarcie. Drugi ratownik mierzy Pip ciśnienie i opatruje ranę na brzuchu, a ja idę do kuchni. Pip jest w dobrych rękach. Kiedy schodzę po schodach, odprowadza mnie kojący szum ultrasonografu.

– Czekamy na wyjaśnienia – mówi detektyw w holu.

Zamieram na ostatnim stopniu. Patrzy na mnie ostro, obok stoi jego partnerka. Marszczy brwi, gdy przyciskam rękę do barku. Zderzamy się wzrokiem, jedna mierzy drugą.

– Tak jest – odpowiadam. Tym razem wyciągam odznakę. Siła przyzwyczajenia każe mi ją pokazać. – Tajna agentka, jeśli jeszcze na to nie wpadliście – dodaję głównie na użytek detektyw Fisher. Jej mina zdradza niedowierzanie.

Mam ochotę się uśmiechnąć, ale nie jestem w stanie. Wątpię, czy po tym dostanę kolejne zlecenie. Zmarnowałam ostatnią szansę. Teraz przydzielią mnie do archiwum.

– Adam? – słyszę głos detektyw Fisher, gdy przechodzę do salonu. Muszę usiąść, kręci mi się w głowie. Zamykam za sobą drzwi. Nie chcę słyszeć, jak jej mówi lub jak sama na to wpada. Chcę spać, ale chyba nie będzie mi dane. Kolejny ratownik rozcina mi bluzę, odsłaniając ranę.

– Paskudna, ale do wesela się zagoi – mówi, wciągając powietrze przez zaciśnięte zęby.

– Nie wątpię – odpowiadam. – Zresztą to nie tylko rana kłuta. Niedawno spadłam z roweru.

Z góry dobiegają krzyki, ale tym razem brzmią inaczej. Nie ma w nich cienia strachu.

Ratownik oczyszcza ranę i zakłada opatrunek. Dziękuję mu. Oboje nastuchujemy. Uśmiecham się.

– Słyszał pan? Dwa krzyki – mówię, przełykając kluczę w gardle. Okrzyki bólu ustępują miejsca szlochom radości, a drugi krzyk jest cichszy, nowszy i ledwo go słychać. Widzę oczami wyobraźni, jak dziecko przywiera do matki. Oddycham z ulgą, że całe przyszło na świat, i zastanawiam się, czy to chłopiec, czy dziewczynka.

Nie chcę iść na górę, odwiedzę ją za dzień lub dwa. Zjawiło się kilkoro sąsiadów, pewnie zaalarmowanych hałasem i widokiem karetki. Na szczęście ktoś odebrał Lilly ze szkoły. Gdy wpada Clive, zdyszany i zaaferowany, wymykam się dyskretnie. Czuję, że tak trzeba. Detektywi nie będą zachwyceni, że wyszłam bez składania zeznań, ale muszę iść do domu.

I dopiero gdy wychodzę na ulicę, uświadamiam sobie, że nie wiem, gdzie ten dom jest.

## Rozdział 42

Gdy dotarli na miejsce, przed domem stała już karetka i wozy policyjne. Garstka sąsiadów wyległa na zewnątrz i podchodziła coraz bliżej, jakby dom przyciągał ich jak wielki magnes, epicentrum dramatu na zazwyczaj sielskiej ulicy.

– Chyba ominęła nas cała zabawa – oznajmił Adam, rozpinając pas.

Lorraine zaciągnęła hamulec ręczny i wysiedli z samochodu.

Dostali wiadomość tuż po wyjściu Matta, kiedy trawili to, co powiedział im o Grace. Adam po drodze streścił Lorraine garść otrzymanych informacji i wspólnymi siłami próbowali poskładać je w logiczną całość. W progu powitał ich nieznajomy funkcjonariusz i zapoznał z sytuacją.

– Jeszcze nie wiemy, o co dokładnie poszło. Na górze mamy ciężarną z niewielkimi obrażeniami. Nie możemy jej ruszyć, bo rodzi. – Policjant dyszał, jakby właśnie wziął udział w przepychance. – Wygląda na to, że jedna babka przyszła z nożem i chciała narozrabiać. Chyba przeszkodziła jej znajoma, bo mamy tu jeszcze jedną panią, która opanowała sytuację przed naszym przyjazdem. Jeszcze nie spisaliśmy żadnych zeznań, ale wszystko jest pod kontrolą, bez ofiar i poważniejszych obrażeń.

– Dobrze. Dziękujemy – zbył go Adam.

Weszli do środka i rozejrzeli się wokół. Jak na gust Lorraine, panował tam za duży tłok. Stała obok Adama, kiedy z góry zeszła kobieta, trzymając się za bark. Przystanęła na najniższym stopniu.

To była ta opiekunka, Zoe jak jej tam. Miała krew na ubraniu. Lorraine utkwiała w niej wzrok i przez chwilę patrzyły sobie w oczy. Było w niej coś na kształt głęboko zakorzonego bólu, nie tylko z



powodu rany. Wtedy odezwał się Adam.

– Czekamy na wyjaśnienia – powiedział, znów z tą idiotyczną fanfaronadą.

– Tak jest – odpowiedziała Zoe niby tym samym, a jednak nieco innym głosem niż ten, który Lorraine słyszała w czasie ich pierwszego spotkania. Nabrał władczych tonów, jakby zrzuciła maskę. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła odznakę. – Tajna agentka, jeśli jeszcze na to nie wpadliście. – Kierowała te słowa do Lorraine, lecz omiotła wzrokiem Adama. W jej głosie pobrzmiwała nuta satysfakcji.

Lorraine poczuła ucisk w gardle; spojrzała na Adama i wyczytała w jego pokerowej twarzy odpowiedź – może coś na kształt podtekstu – jakby od początku wiedział o Zoe, jakby łączył ich wspólny sekret.

– Adam? – rzuciła pytającym tonem, gdy Zoe weszła do salonu. Ratownik wszedł za nią i zamknął drzwi. – Może mi powiesz, o co tu chodzi?

– Też chciałbym wiedzieć – odparł, unikając jej spojrzenia. – Ale poszedłbym o zakład, że mamy tu kolejną amatorską cesarkę.

– Nie. Mówię o niej. O tej kobiecie. Niani. Mam wrażenie... jakbyście się znali. – Gdyby nie lata małżeństwa, zapewne nie zwróciłaby na to uwagi. Czasem dochodziła do wniosku, że zna go lepiej niż on sam. – Na czym polegało jej zadanie?

Adam oparł ręce na biodrach; patrzyła, jak przesuwając wzrokiem po wchodzących i wychodzących.

– Nie mam zielonego pojęcia – odparł nieprzekonująco.

– Ale ją znasz. Przecież widzę. – Lorraine nie miała co do tego wątpliwości. Chciała tylko wiedzieć, dlaczego wcześniej o tym nie wspomniał.

Wzruszył ramionami.

– Masz rację. Znam. – I pospieszył do dwóch funkcjonariuszy na piętrze.

Lorraine odczekała chwilę i ruszyła za nim, lecz nie miała okazji go przycisnąć, gdyż zaprowadzono ich do sypialni, gdzie przetrzymywano podejrzaną. Wstrząs wywołany widokiem Claudii Morgan-Brown

zakutej w kajdanki odsunął pozostałe kwestie na dalszy plan.

Lorraine rozczuliła się na całe trzydzieści sekund. Patrzyła na zawiniątko w objęciach matki. Pomarszczona twarzyczka wyglądała jak żółt z skorupy, jakby maleństwo wyczuwało obecność matki, a idealne usteczka rozchylały się wyczekująco na każde muśnięcie ubrania lub palca.

– Chłopiec czy dziewczynka? – spytała Lorraine. Czuła się jak intruz. Sądząc po tym, jak zawisł w prog, Adam chyba czuł to samo.

– Druga dziewczynka – oznajmił mężczyzna siedzący przy łóżku. – Jestem Clive – dodał roztrzęsionym głosem. – Nie wiem, czy mam świętować, czy co. Odbieram kilkanaście wiadomości, że żona rodzi, a potem dowiaduję się, że mała nie zginęła. Nic z tego nie rozumiem.

– Clive... – wtrąciła kobieta.

Sprawiała wrażenie nieprzytomnej ze szczęścia. Albo jeszcze nie doszła do siebie po przeżytym wstrząsie. Lorraine dobrze pamiętała ulgę i radość po porodzie, a jednak rzadko do tego powracała. Dopadły ją wyrzuty sumienia, jakby nagle odkryła rodzinne albumy, którymi dotąd nie zwracała sobie głowy.

– Nie mogę teraz o tym myśleć, Clive, bo zwariuję – ciągnęła kobieta. – Skupmy się na... – Z wahaniem utkwiała wzrok w córeczce. – Jak damy jej na imię? – spytała z uśmiechem.

– Szczęściara – odpowiedział Clive.

Lorraine pomyślała dokładnie to samo.

Sama wróciła do domu. Była zmęczona i wykończona emocjonalnie. Adam pojechał na komendę z funkcjonariuszami, a gdy zajeżdżała pod dom, zadzwonił z porcją najświeższych doniesień. Claudia Morgan-Brown przyznała się do ataków na Sally-Ann Frith i Carlę Davis. Jutro zostanie formalnie przesłuchana.

Przez chwilę siedziała nieruchomo w aucie. Życie płynęło wokół niej – opieszały sznur pojazdów na drodze, matka pchająca wózek z rozchichotany dwulatkiem, rowerzysta, który stanął, aby porozmawiać z kolegą, szum maszyny czyszczącej ulicę – wszystkie te przejawy codzienności dały jej poczucie bezpieczeństwa, jakby

znajdowała się o krok od zwykłego życia.

Z chwilą zgaszenia silnika w samochodzie szybko się wychłodziło. Lorraine wysiadła i podeszła do drzwi wejściowych, wzdragając się przed powrotem do pustego domu. Stellę odebrała mama Kate, a Grace...

Och, Grace, pomyślała Lorraine i serce mało jej nie pękło.

Ucichł śmiech i wesołe przekomarzanie córek, gdy zmęczona wracała po całym dniu, ucichły żarty Adama, kiedy w miłej atmosferze mijają kolacja, wieczorne rozmowy, wino, a potem nadchodził sen. Tęskniła za chaosem ich rodzinnych wieczorów. Dziś czekały ją tylko posępne myśli o tym, jak zawiodła Grace, zaniedbała obie dziewczynki, straciła miłość swego życia i, co gorsza, zaufanie do Adama.

Czy jeszcze może być tak jak dawniej?

Powiesiła kurtkę na poręczy schodów, rzuciła kluczyki na stół w przedpokoju i poszła do kuchni.

Stała w drzwiach. Grace siedziała przy stole. Przed nią leżały podręczniki.

Powoli uniosła głowę. Powieki miała ciężkie z braku snu, żalu i smutku.

– Cześć, mamó – powiedziała.

– Kochanie. – Lorraine odzyskała władzę w nogach. – Wróciłaś. – Natychmiast zrozumiała, że mogła to sobie darować. Zbyt dramatycznie, uznała.

Grace wzruszyła ramionami, miętosząc kartkę podręcznika do chemii.

– No – burknęła w odpowiedzi.

Lorraine rzuciła ciężką torbę na krzesło. Czyżby Matt przemówił jej do rozsądku, czy wróciła z własnej woli?

– Nie udawaj, że cię to obchodzi – dodała Grace, przerywając niezręczną ciszę. Odepchnęła od siebie kilka książek i odchyliła się na krześle.

Płakała, zaświtało Lorraine. A w zasadzie nie płakała. Płacz sugerował smutek, który można wydmuchać w chusteczkę. Tu chodziło

o coś znacznie poważniejszego. Podpuchnięte oczy i strugi rozmazanego tuszu wzdłuż policzków miały do przekazania rozdzierającą opowieść.

– Pewnie, że obchodzi, głuptasku. – Lorraine usiadła obok córki. – Obchodzi, odkąd się urodziłaś.

– To dlaczego wciąż kłócisz się z tatą? Czemu nie możecie być normalni, jak inni rodzice?

Lorraine zaczerpnęła tchu, chcąc dorzucić swoje trzy grosze, ale ugryzła się w język.

– Stella i ja czujemy się... czujemy się jak piąte koło u wozu. Wieczorami wciąż rozmawiacie o cholernej pracy, zamiast z nami porozmawiać. Zauważyłaś, że Stella znów przekłuła sobie ucho?

Lorraine tylko lekko pokręciła głową. Zabolało.

Grace wstała i podeszła do zlewu. Nalała sobie wodę do szklanki i odwróciła się do matki.

– Żyjesz w swoim świecie. Nic, tylko pracujesz, pijesz i warczysz na tatę. Co on ci zrobił, mamó? Jezu, ty nawet przestałaś się uśmiechać. A kiedy coś się dzieje, zachowujesz się jak gdyby nigdy nic. Wyprowadziłam się z domu, chciałam rzucić szkołę, wyjść za mąż, a ty miałaś to gdzieś – wyrzuciła z siebie z rozpaczą.

Lorraine odetchnęła z ulgą, że Grace użyła czasu przeszłego.

– Naprawdę myślisz, że nic mnie to nie obchodzi? – Głos zadrżał jej zdradziecko.

– No a jak? Przyjechałaś do Matta, żeby mnie zabrać, ale mnie tam zostawiłaś. Wcale nie chciałaś, żebym wróciła. Ucieszyłaś się, że masz mnie z głowy i...

– Wystarczy! – Lorraine wstała.

Grace wytrzeszczyła oczy.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Ty i Stella jesteście dla mnie całym życiem. Dosłownie oddałabym za was własne. Ale nie zapominaj, że mam pracę, bardzo stresującą i wymagającą. – Zrobiła dwa kroki w stronę Grace, która stała jak wrośnięta w zlew. Głęboki oddech ją uspokoił. – I masz rację, że między mną a tatą trochę się nie układa.

I już. Powiedziała to na głos. Tylko jak to rozwinąć, jeśli Grace zapyta o szczegóły?

– Ale nic nie jest ważniejsze od szczęścia twojego i Stelli. I bardzo przepraszam, jeśli myślisz, że straciłam je z oczu. – Lorraine podeszła bliżej i delikatnie ujęła córkę za rękę. – Czy ty wiesz, jakie to uczucie, gdy odpycha cię jedna z najbliższych ci osób i opuszcza twoje życie, jakbyś nic dla niej nie znaczyła?

Zapadła chwila milczenia, a potem Grace wybuchnęła płaczem.

– Och kochana, moje małeństwo, chodź tutaj. – Lorraine zamknęła córkę w ramionach i przyciągnęła do siebie. Dała jej się wypłakać i delikatnie kołysała, dopóki rozpacz nie znalazła ujścia.

– Wiem, mamo. – Grace pociągnęła nosem i sięgnęła po chusteczkę. – Znam to uczucie. I zrobiłam to tobie i tacie. Bardzo cię przepraszam. – Słowa przetykane były szlochem i czkawką.

Lorraine zmarszczyła brwi.

– Matt? – spytała, udając, że nie wie.

Grace pokiwała głową i wydmuchała nos.

– Rzucił mnie dziś po południu.

– Przykro mi to słyszeć – odpowiedziała Lorraine. I naprawdę było jej przykro, choć wierzyła, że gdy opadną emocje, Matt i Grace zostaną przyjaciółmi. Matt wyraził podobną nadzieję, kiedy przyszedł im o tym powiedzieć.

– Grace narobiła sobie zaległości w szkole, pani Fisher... pani detektyw – dodał nieśmiało. – Od dłuższego czasu ściągała od koleżanek i kłamała nauczycielom. Sytuacja wyglądała nie najlepiej. Nasz związek bardzo ją rozpraszał. Mówiła, że... że nienawidzi szkoły i chce ją rzucić, bo nie ma sensu tego ciągnąć, jak ma się takie tyły. Nie zdawałem sobie sprawy, że to, co jest między nami, tak ją pochłania. Nie chcę brać odpowiedzialności za zniszczenie jej życia. Myślę, że jeszcze zdąży nadrobić.

– Nie wiedziałam. – Lorraine była zdruzgotana, że to przeoczyła. – Zawsze myślałam, że jedzie na samych piątkach.

– No, nie. – Matt potrząsnął głową. – Potem oznajmiła mi, że chce

wziąć ślub i... o Boże. – Zasłonił twarz. – Powinienem być szybciej zareagować, ale myślałem, że robię dobrze. I chyba mi to schlebiało. Zgadzałem się na wszystko w nadziei, że jej przejdzie. Mama nie robiła problemów. Pozwoliła Grace u nas spać, ale nie wspomnieliśmy jej o przerwaniu nauki i ślubie.

– Mów dalej, Matt. – Lorraine wyczuła zniecierpliwienie Adama, kiedy stanął za nią.

– Wszystko się zaczęło przed paroma tygodniami. Grace oznajmiła, że rzuca szkołę, a jeśli nie możemy zamieszkać razem i wziąć ślubu, to ona... ona ucieknie.

Lorraine zaczerpnęła tchu.

– Dobrze zrobiłeś, przychodząc z tym do nas, Matt. Gdzie ona teraz jest?

– U mnie. Pakuje się. Jeśli chcą państwo wiedzieć, właśnie z nią zerwałem. Powiedziałem, że ma wracać do domu i do szkoły.

Oszalała z niepokoju, Lorraine nagrała się na pocztę głosową Grace z prośbą o natychmiastowy kontakt. Zapewniła, że wszystko będzie dobrze, bardzo ją kochają i ma wrócić do domu.

I wróciła: dygotała w ramionach mamy, które były jak dla niej stworzone. Lorraine w pierwszej chwili pomyślała, że znowu płacze, jednak delikatnie odchyliwszy głowę córki, zobaczyła, że Grace się śmieje.

– Co cię tak bawi?

– Ty. My. To. – Grace ponownie wydmuchała nos i wyrzuciła chustkę do śmieci. – Nasza rodzina. Jesteśmy bandą cudaków, nie? – Pytaniu towarzyszyło kolejne nosowe parsknięcie.

– Zdecydowanie. Cudacznym cudaków – uzupełniła Lorraine.

– Najcudaczniej cudaków.

– Jakich cudaków?

Obie się odwróciły. Stella stała w drzwiach, Adam za nią.

– My jesteśmy cudaki – oznajmiła młodszej siostrze Grace i wybuchnęła śmiechem. – A ty najbardziej.

Lorraine zerknęła na Adama. Jego ulga przybrała postać ciepłego

spojrzenia ponad głowami dziewczynek, które padły sobie w objęcia.

– Tęskniłam za tobą, cudaku – usłyszeli mamrotanie Stelli.

– Nigdzie się stąd nie ruszyłam – padła odpowiedź Grace.

Adam wyminął je i podszedł do Lorraine.

– Co za dzień – szepnął jej do ucha. Jego oddech na szyi przyprawił ją o dreszcz. Poczowała jego nogę obok swojej. Od razu lepiej. Jakoś tak... odpowiednio. Jakby od szczęścia dzieliło ją dotąd tylko wyciągnięcie ręki.

– Czyli już po wszystkim. Grace w domu. Wraca do szkoły. Koniec dramatu. – Lorraine weszła do gabinetu z westchnieniem, które chyba zbierała w sobie przez większość życia.

Było późno, dziewczynki od godziny leżały w łóżkach. Lorraine po drodze do nich zajrzała. Dawniej robiła to codziennie, lecz teraz, gdy podrosły, uważała to za naruszenie prywatności, nawet kiedy spały. Ale tym razem było inaczej – był to początek bycia inaczej.

– Zdecydowanie – odpowiedział Adam, a spojrzenie, które rzucił jej znad komputera, mieściło w sobie znacznie więcej niż to słowo. Na jego twarzy zamajaczył półuśmiech, ale zgasł na wspomnienie tego, że pewnie wciąż jest na niego wściekła.

Lorraine usiadła na drewnianym krześle po drugiej stronie biurka. Funkcję gabinetu pełniło ciasne pomieszczenie z ukośnym sufitem, służące czasem jako suszarnia, pokój do odrabiania lekcji, gdy w kuchni było za głośno, i sypialnia z rozkładaną kozetką, na której ostatnio sypiał Adam.

– I dobrze – dodała, przeciągając rozmowę. Wewnątrz czuła resztki urazy i gniewu. Przypuszczała, że z wierzchu jest po prostu wymęczona. – Cieszę się, że znów z nami jest.

– Ja też. – Adam wstał, obszedł biurko i spojrzał na nią z góry, jakby liczył, że rzuci mu się w ramiona. Tymczasem najchętniej kopnęłaby go między nogi.

– Wiem, że to była Zoe, a raczej Heather Paige. – Podziękowała Bogu, że głos jej nie zawiódł, był dźwięczny i zdeterminowany. Jeszcze nie skończyła, ale ku jej zdziwieniu Adam pokiwał głową. Nie próbował

się klócić ani kajać. Potwierdził tylko jej domysły.

Chwycił się za przeciwne łokcie.

– Nie mogłem jej zdemaskować, to byłoby niebezpieczne. Wiedziałem, że jest tajną agentką na zleceniu. Rozpracowywała oszustwo podatkowe. Pech chciał, że na siebie trafiliśmy. Ironia losu, rzekłbym, ale musiałem trzymać głębę na kłódkę. Najpierw skrewiłem na przyjęciu, a potem o mało nie spaliłem jej przykrywkę, co rozwaliliby karierę nam obojgu.

– Wzruszające...

– Nie zaczynaj z tymi banałami.

– Banałami? Bo niby ty jesteś taki oryginalny? Masz pojęcie, jak się czuję ze świadomością, że oboje to przede mną ukrywaliście? Nie musiałeś mi mówić, że jest agentką, ale wypadało chociaż wspomnieć, że ją bzyknąłeś.

Zauważyła na biurku prawie pełny kieliszek czerwonego wina.

– Mogę? – spytała.

Adam kiwnął głową i patrzył, jak wypija duszkiem prawie połowę. Znajdowali się dokładnie na wprost siebie i dała upust wszystkim emocjom. Miała dosyć ich tłumienia.

– Mogłabym cię wykopać, wiesz? Opowiedzieć dziewczynkom, co narobiłeś.

Przytaknął. Sprawiał wrażenie gotowego na wszystko.

– Mogłybyśmy zostać same. Dałybyśmy sobie radę.

Chwilę rozważała taką możliwość i prawdę mówiąc, wcale jej się nie spodobała. Stella i Grace potrzebowały ojca, nawet jeśli okazał się draniem. Sięgnęła po kieliszek. Szczerze powiedziawszy, ona też go potrzebowała.

Adam milczał.

– Cokolwiek będzie między nami, dosyć kłamstw – oznajmiła. – Dłużej nie dałabym rady, a dziewczynki nie są niczemu winne.

Zanim zdążył odpowiedzieć, sięgnęła po jego dłoń. Marzyła, żeby go dotknąć. Zauważyła, jaki jest spięty, i pomyślała o tym wszystkim, co w nim kocha: o jego miłości do ruchu i zdrowego stylu życia, o tym, jak



zachęcał dziewczynki do uprawiania sportu i kibicował im bez względu na pogodę. Tym, jak na nią patrzył, jakby stanowiła integralną część jego życia, jak bicie serca. Tym, jak za głośno puszczał w samochodzie muzykę i zasypiał w kinie. Tym, że kupował jej nietrafione prezenty, a w niedziele nosił szary, workowaty sweter z dziurą pod pachą. Tym, jak w zeszłym roku na krótko zainteresował się golfem i upierał się zakładać do sądu kolorowe skarpetki.

Idiotyczne drobiazgi, które razem sięgały nieba.

Tym, że był po prostu... po prostu Adamem.

Lorraine przymknęła oczy. Myśli cisnęły się jedna za drugą, nasuwając wizje tego, co trudne i nieznośne, a przy tym radosne, piękne i nieodparte. Ciepło, poczucie bezpieczeństwa, namiętność, bliskość, miłość, zmartwienia, nadzieje i potrzeby jego rodziny zalały ją jak fala. Nie mogła się go wyrzec. Ta rodzina stanowiła dzieło jej życia.

Odstawiła kieliszek i przysunęła się bliżej. Spróbuje. Postara się zapomnieć i ilekroć obudzi się rano, zobaczy człowieka, za którego wyszła za mąż, którego kochała i ubóstwiała, a nie tego, którym wzgardziła za słabość.

– Stella potrzebuje nowych butów do szkoły – szepnęła mu prosto w szyję. Był taki ciepły i swojski.

– I trzeba wyczyścić rynnę – odparł, przyciągając ją za biodra.

– I kupić bułki na śniadanie. – Musnęła ustami jego wargi.

Pocałunek był z początku niepewny i delikatny, pełen skruchy, a zarazem przebaczenia. Później Adam chyba wymamrotał, że przeprasza i że zawsze ją kochał, ale co do reszty Lorraine nie była pewna.

## Rozdział 43

To znowu pani – mówi nauczyciel, podnosząc głowę znad biurka. Patrzy na mnie krzywo i przenosi wzrok na bliźniaków, którzy wybudowali wieżę z klocków Lego wyższą od nich samych. Noah stoi obok na krzeselku i przytrzymuje wierzchołek, podczas gdy konstrukcja zgina się w środku.

– Widzimy się ostatni raz, słowo daję.

Na dźwięk mojego głosu chłopcy odwracają głowy.

– Hura! – krzyczy Oscar. – Przyszła Zoe! – Noah zeskakuje z krzeselka i biegną do mnie. Wieża wali się z hukiem.

– Bierzcie śniadaniówki. Idziemy do domu. – Z wieszaka przed świetlicą zdjęłam już ich kurtki. Chłopcy złapali mnie za nogi i muszę się z nich wyplątać. – To twoja, prawda? – pytam Noaha i wskazuję na swoją stopę. Wybuchą śmiechem i boksuje się ze mną na niby. Chce mi się płakać.

– Mamusia już wróciła? – pyta Noah. Idziemy chodnikiem, ma ciepłą, trochę lepką rączkę. Prawdę powiedziawszy, nie mam ochoty jej puścić.

– Jeszcze nie. – Nie mam pojęcia, co powiedzieć. Nie przypuszczałam, że tak się do nich przywiążę. „Wejdz, zbierz informacje, wyjdź”. Na tym w skrócie polegało moje zadanie. Wiedziałam, że jeśli nawalę, nie będę miała do czego wracać. W najlepszym razie pozostanie mi pastowanie butów szefowi i zaparzanie herbatki.

– A tatuś? – pyta z rozpędu Oscar. Ściskam jego dłoń.

– Głupi – naśmiewa się Noah. Wpycha się między mnie i Oscara, próbuje nas rozdzielić. Delikatnie przeciągam go z powrotem na drugą

stronę.

– Jego też nie ma. Ale wiecie co? Myślę, że niedługo wróci.

Rozmawiałam już z szefem, ma pociągnąć za sznurki. Oby udało się ściągnąć Jamesa. Chłopcy byli wprawdzie za mali, by zapamiętać śmierć matki, ale teraz przyda im się ojcowskie wsparcie.

– Ktoś ma ochotę na słodycze po drodze? – Otrzymuję spodziewaną odpowiedź i wstępujemy do kiosku. Dobre dziesięć minut ładują do papierowych torebek różowe krewetki, malinowe żelki i wieloowocowe latające talerze. To pozwala im nie myśleć o tym, co słyszą w następnej kolejności.

– Czyli mamusia wyjechała tak jak tatuś? – pyta Oscar, gdy kończę im wyjaśniać sytuację.

Mam obawy, że Noah wyskoczy z kąśliwą uwagą, ale milczy i w zamyśleniu ssie cukierka, kiedy podchodzimy do drzwi wejściowych.

– Tak. Jakiś czas jej nie będzie. Zrobiła coś niegrzecznego. – Mrużę oczy i przekręcam klucz w zamku. Reszta dnia upłynie mi na pakowaniu i składaniu raportów. Ale najpierw muszę gdzieś zadzwonić.

– Ty będziesz teraz naszą mamusią, prawda, Zoe? – pyta Oscar, jakby wszystko sobie zaplanował.

Przyklekam obok nich, kiedy rozwiązują sznurowadła i wsuwają stopy w kapcie. Próbują wyswobodzić się z rękawów, nie wypuszczając torebek ze słodyczami.

– Nie, nie mogę dłużej się wami zajmować. – Nie ma sensu ich okłamywać. – Bardzo mi przykro. Ale lubiłam być waszą nianią. – To prawda. Nie podejrzewałam się o tyle czułości. Wstawałam nawet w nocy, żeby do nich zajrzeć. Raz niechcący przestraszyłam Oscara.

Patrzę na jednego, potem na drugiego, i na widok ich zaróżowionych policzków pęka mi serce. Oscar wybucha płaczem.

– Dzidzius – mówi Noah z pogardą, ale wiem, że czuje to samo.

– Nieprawda!

Wiem, że się otrząsną. Mają siebie, są dwiema połówkami całości. Pędzą do salonu i kłócą się o pilota.

Doskonale wiem, co czują.

Gabinet wciąż jest otwarty. Po rozmowie z szefem najście braci Elizabeth stało się jasne. Po wyjściu od Pip nie wiedziałam, co ze sobą począć, więc przyjechałam tutaj, a następnie poszłam prosto do parku. Usiadłam na ławce, nadal pod wrażeniem ostatnich wydarzeń. Wybrałam numer i opowiedziałam mu, co się stało. Powiedział, że bracia Sheehanowie szukali tego samego co ja.

– Dobrze się spisałaś, Heather – dodał, jakby go to zdziwiło. Ucieszyła mnie ta pochwała. – Miałaś mniej czasu, ale część przesłanych przez ciebie dokumentów okazała się kluczowa dla sprawy. Prokurator z Jersey ma ci za co dziękować, zapewniłaś mu solidny materiał dowodowy.

Wiedziałam, że mam ostatnią szansę, aby się wykazać. Problemy z Cecelią poważnie nadszarpaneły moją reputację. Lewe zwolnienia przeplatały się z jej natarczywymi telefonami i wizytami na komendzie, co praktycznie uniemożliwiało mi pracę. Wymagała stałej opieki, a ja nie miałam nikogo do pomocy. Siostry, tak jak bliźniaki, muszą trzymać się razem. Obiecałam to mamie, nim umarła półtora roku temu, też straciwszy kontakt ze światem. I tacie, kiedy odszedł, gdy byłam nastolatką. Zostałyśmy tylko ja i Sissy.

Tym bardziej zdziwiłam się więc, kiedy wybrali mnie do tego zadania. Sama nie wytypowałabym ofermę bez krzty doświadczenia. Ale widocznie najlepiej z całego działu nadawałam się na opiekunkę.

– Na pewno masz doświadczenie z dziećmi – oznajmił szef po krótkim wprowadzeniu. Nie zabrzmiało to jak pytanie.

– Nie – odpowiedziałam szczerze.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie, kiedy padło na mnie. I tak narodziła się Zoe Harper, dzieło zespołu ekspertów specjalizujących się w kreowaniu tożsamości na użytek tajnych agentów. Owszem, słyszałam różne opowieści, lecz nie spodziewałam się tego doświadczyć, przynajmniej w najbliższym czasie.

Pięć dni upłynęło mi na lekturze i dowiedziałam się o sobie rzeczy, o których nie miałam pojęcia. Ślęczałam nad książkami o opiece nad

dziećmi, w tym o metodzie Montessori, i uczyłam się o miejscach rzekomo odwiedzanych z dawnymi rodzinami. Przeszłam przyspieszony kurs tożsamości, której potwierdzeniem był zasób mojej wiedzy.

I, prawdę mówiąc, tego było mi trzeba, bo Cecelia doprowadzała nas obie do szaleństwa.

– *Á propos*, jeździsz na rowerze – zapowiedzieli.

– Tak? – Bałam się, że straciłam wprawę.

– I jesteś w kontakcie z dawnymi podopiecznymi. – Dostałam plik listów, otwartych i nieco zmiętych, z wypisanym dziecięcą ręką nieznanym adresem na kopercie. – Mieszkałaś tam jakiś czas – dodał szef, gdy przejechałam palcem po nazwie miejscowości. – Wszystko dostaniesz z bagażem, do odebrania na dwadzieścia cztery godziny przed przeprowadzką. Tylko niech ci nie przyjdzie do głowy brać więcej rzeczy. O ile dostaniesz tę pracę, rzecz jasna – dodał tonem, który wzięłam za groźbę. Nie bez racji, jak się okazało. – Lepiej, żebyś dostała – dokończył. – Wolę nie myśleć, co będzie, jeśli nie dostaniesz. Współpracujemy z waszyngtońską Komisją Papierów Wartościowych i Giełd; nie chcę, żebyśmy wyszli na durniów. To zaledwie wycinek sprawy, ale będąc u źródła, możesz wszystko przyspieszyć.

Słuchałam, sparaliżowana strachem, i z przejęcia zaschło mi w gardle.

– Setki funduszy powierniczych na całym świecie naszpikowano środkami z dość, powiedzmy sobie otwarcie, szemranych źródeł. Dołożymy do tego fundusze zarządzane nielegalnie – tu pojawia się nasz prokurator z Jersey – i mamy pralnię brudnych pieniędzy.

Opowiedział mi, że w wyniku zeszłorocznej akcji windowania kursu i szybkiej sprzedaży zasilono zagraniczne konta kwotą dwustu dwudziestu ośmiu milionów dolarów. Nakreślono koniunkturę na akcje Chencorpu, nowej firmy sprowadzającej z Chin materiały edukacyjne, co nabiło kabzy grupie głównych udziałowców.

Niewiele z tego rozumiałam, ale wytłumaczył mi, że po sztucznym wzroście nastąpił gwałtowny spadek, co spowodowało masową

wyprzedaż akcji, na której prawdziwi inwestorzy – „przeciętniacy jak my” – stracili całe majątki.

Zrozumiałam, w czym rzecz, i zrobiło mi się żal „przeciętniaków”, o których mówił. To było niesprawiedliwe, zwłaszcza że sprawcy całego zamieszania wymigali się nieprawomocnym wyrokiem i grzywną niewspółmierną do swoich zarobków.

– Sęk w tym, że to wielcy filantropi, Heather – dodał, gdy wymamrotałam coś o wstrętnych kapitalistach. – Regularnie dotują ośrodki naukowe, instytucje medyczne, program badania kosmosu, edukację. Na tym polega ten świat. Możemy co najwyżej uprzykrzyć im życie. I w tym celu musisz zająć się dziećmi w deszczowym Birmingham.

Byłam gotowa na to wyzwanie.

Działalność braci Sheehanów okazała się kroplą w morzu i gdyby nie odkryte przeze mnie papiery, mogliby się łatwo wywinąć. Szef zapewnił, że dostarczone przeze mnie dowody w postaci listów, wydruków wiadomości i oświadczeń jasno wskazują na pochodzenie pieniędzy, którymi obracają. Byli uziemieni i wiosną staną przed sądem.

Elizabeth Sheehan nie wiedziała nic o poczynaniach braci. Jej praca stanowiła przeciwieństwo ich działalności. Niestety, sprawa z Jamesem wyglądała nieco inaczej, gdyż skwapliwie „odziedziczył” fundusze powiernicze w imieniu żony. Czekало go dochodzenie i najprawdopodobniej zwolnienie ze służby.

„W razie wątpliwości wszystko fotografuj”. Wzięłam sobie do serca te słowa.

– Prawie wszystko – zaśmiał się szef pod koniec naszej rozmowy. Dodał, że usunął już niepotrzebną kartotekę podopiecznej opieki społecznej, którą uwieczniłam na wszelki wypadek. Miałam przykazane fotografować wszystko, co znajdę, począwszy od zawartości sejfu, skończywszy na bałaganie w kuchennej szufladzie. Po prostu spełniałam polecenia. Wyszło na to, że skutecznie.

Ale nie przypuszczałam, że tak trudno będzie mi zostawić na lodzie Claudię.

– Coś wymyślisz – skwitował szef, ale oczywiście pretekst okazał się zbędny.

A teraz siedzę zgnębiona w obliczu tego, co mam zrobić.

I gdy chłopcy oglądają telewizję, odbywam rozmowę, przed którą tak się wzbraniałam. Będą potrzebować rodziny zastępczej i powiedziałam szefowi, że sama to załatwię. Biorę głęboki oddech i dzwonię do opieki społecznej.

– Wróciłam! – wołam niepewnie od progu. Jak dziwnie brzmią te słowa. Czuję nikły zapach kawy i truskawek. Cecelia siedzi na kanapie w otoczeniu czterech pudełek z dojrzałymi owocami. Uśmiecha się na mój widok, jakbym nigdzie się stąd nie ruszała.

– Heather – mówi słodko. Prawie daję wiarę, że wszystko jest w normie. Oby miała dobry dzień. Musimy omówić parę spraw.

– Sissy. – Od razu przechodzę do rzeczy. – Długo się zastanawiałam i myślę, że pora na zmianę. – Robi mi się gorąco. Zdejmuję kurtkę.

Nie reaguje, tylko wkłada do ust największą truskawkę, jaką w życiu widziałam. Robi wrażenie nierzeczywistej i rozmarzonej.

*Opiekuj się siostrą, Heather. Będzie cię potrzebowała do końca życia. Musisz się nią zająć, choćby nie wiem co* – rozbrzmiewa mi w głowie głos mamy.

– Widzisz, nie jestem pewna, czy przez ciebie omal nie straciłam pracy, czy ją zachowałam. – To początek tego, co mam jej do powiedzenia. Ułożyłam to sobie w drodze do domu, ale obmyślałam od dawna. – Chcę się tobą opiekować, Sissy, naprawdę, ale musimy wprowadzić pewne zmiany. Zaczynając od ciebie. – Widzę, że nadstawia ucha. – Jestem policjantką, mam ciężką pracę. Potrzebuję twojej pomocy.

Trudno powiedzieć, czy o wszystkim wiedziała, tylko wyleciało jej z głowy, czy właśnie przeżywa szok stulecia. W każdym razie siedzi jak zaczarowana.

– Musimy ustalić pewne zasady.

Cecelia nie wie, że jestem agentką, i nie mam zamiaru jej oświecić. Pamięta, że jako osiemnastolatka w przypiływie paniki wstąpiłam do

policii. Nie miałam pojęcia, co zrobić ze swoim życiem. Byłam przeciętną szarą myszką, to Cecelia zawsze błyszczała. Zawsze musiała być w centrum uwagi, a ja pilnowałam dyskretnie, żeby włos nie spadł jej z głowy. Byłam potajemnym, osobistym ochroniarzem własnej siostry. Czuwałam nad jej bezpieczeństwem od zawsze.

W przebłyskach świadomości denerwuje się, kiedy mówię na odczepnego, że wystąpiłam z policji i pracuję w barze, jestem komiwojażerem albo sprzątaczką. Tłumaczyłoby to powroty o najdziwniejszych godzinach i dziwne ubrania, często też nie jest dalekie od prawdy, ale Sissy nie daje za wygraną. Wie, kiedy ją zbywam, i czuje się wtedy zagrożona. Co do mnie, żyję po to, żeby się nią opiekować. I przeważnie to robię.

Ale w ciągu ostatniego roku lub dwóch było z nią coraz gorzej i obsesja na punkcie mojej pracy przerodziła się w obsesję na punkcie dziecka. Lekarz mówi, że to może wina zmiany leków. I że nie mogą z nimi utrafić.

– Długo rozmyślałam nad pewnymi sprawami. – Siadam obok niej. Kanapa skrzypi pod naszym ciężarem. – Rozmyślałam o nas, Sissy.

– Truskawkę? – Sięga do pojemnika. – Chcę robić jadalną biżuterię. – Przykłada mi owoc do szyi.

– Przed wszystkim przeniesiemy się do innego mieszkania. – To będzie ulga wynieść się z tej klitki.

Cecelia opuszcza rękę, patrzy na truskawkę, po czym ją oblizuje. Jakby mnie nie słyszała, jakby moje słowa do niej nie dotarły.

– Zaczniemy od nowa – ciągnę. – Przeniesiemy się do lepszego mieszkania, będziesz miała więcej miejsca na robienie biżuterii. – Kiedy tworzy, jest w siódmym niebie. Bardziej zmienna i nieprzewidywalna, to na pewno, ale zarazem wstępuje w nią życie. Wolę ją taką, wtedy jest sobą.

„Cecelia jest podobna do mamy. Kiedy pójdziemy do piachu, będziesz z nią miała pełne ręce roboty” – usłyszałam kiedyś od taty. Roześmiał się i zapalił papierosa, a po paru miesiącach już nie żył. Odpowiedzialność przeszła na mnie. Czasem myślę, że nasze



dzieciństwo stało się udziałem innych dzieci.

Cecelia ze śmiechem wkłada truskawkę do ust. Sok spływa jej na brodę.

– Dokąd się przeniesiemy? – pyta z niedowierzaniem. – My się nigdy nie przenosimy.

– No właśnie – zaznaczam. – Najwyższy czas to zmienić.

Patrzę, jak rozgląda się po pokoju i pakuje w myślach cały dobytek, żebym nie wyrzuciła żadnego z jej gratów.

– Zaoszczędziłam trochę pieniędzy – dodaję. – I może niedługo otrzymam awans. – Nie reaguje na tę porcję dobrych wiadomości, ale to cała Sissy. Dostałam od szefa wiadomość, mam się zjawić w przyszłym tygodniu i zgłosić swoją kandydaturę na stanowisko w wewnętrznym.

– Mogłybyśmy urządzić przyjęcie – mówi. – I sprawić sobie kota. Mogłabym znów prowadzić sklepik.

Wzdycham. Lepiej od razu wyłożyć karty na stół, zanim storpeduje mój plan.

– Pamiętasz bliźniaki, o których ci opowiadałam? – Zaciskam palce w nadziei, że podąży wskazanym tropem. Cecelia udaje obojętność, ale kiwa głową. Przede wszystkim muszę się tym z kimś podzielić, myśl o losie chłopców za bardzo mi ciąży. – Pójdą do rodziny zastępczej. – Co będzie dalej, nie wiem. To zależy od losu ich ojca. – A skoro mowa o dzieciach... – Zawieszam głos.

– Nie słucha.

– Cecelio. – Biorę ją za rękę. Próbuje skupić na mnie wzrok. – Postawmy sprawę jasno. Nie będziesz miała dziecka. Rozumiesz?

Puste spojrzenie nie zdradza kompletnie nic.

– Wiem, co sobie wbiłaś do głowy, to takie wspaniałe i ekscytujące, ale wierz mi, będzie lepiej dla ciebie, jeśli skoncentrujesz się na biżuterii. Włóż w nią całą swoją energię, dobrze?

– Rozumiem – odpowiada bezbarwnym głosem. Przeczuję nadciągającą burzę. Zaciska kolana i wojowniczo łapie się za przeciwne łokcie. Zaczyna ciężko oddychać, ze świstem wciąga powietrze przez zaciśnięte zęby, jakby zabierała z pokoju cały tlen. Potem zamiera. Cisza

przed burzą. Znam ją na pamięć.

– Mówię poważnie, Sissy. Ledwo żyję po tym, co na mnie wymusiłaś. Myślałam, że robię to dla twojego dobra, ale sprawy wymknęły się spod kontroli. Jestem tak samo winna jak ty, bo nie powinnam była się na to zgodzić.

Nareszcie mam to z głowy. Dałam się wciągnąć w mroczny zaulek umysłu siostry i wpadłam w wir jej mrzonek. Nie sprostałaby macierzyństwu, na przekór moim złudzeniom, że trafiłabym w sedno jej potrzeb. A ja nie chciałam zająć w ciążę. Musiałabym zrezygnować z pracy i sama zająć się maleństwem. Nie taki miałam plan.

– Zostawmy to, Sissy, i zapomnijmy o wszystkim. Nie jestem dumna z tego, co zrobiłam, ale nie chcę więcej słyszeć o dzieciach, jasne? – Biorę ją za ramiona i zmuszam, żeby na mnie spojrzała.

– Nie masz pojęcia, jak chciałabym mieć dziecko – szepcze głosem, który mną wstrząsa. Po raz pierwszy od wieków mówi... normalnie, szczerze. – Zawsze chciałam.

– Biedactwo – szepczę i mimowolnie myślę o Claudii.

– Odkąd byłam małą dziewczynką, marzyłam o dzidziusiu. Chciałam go kochać, karmić, ubierać i patrzeć, jak rośnie. – Następuje cisza, gdy wracają wspomnienia. – Miałam lalkę – ciągnie ze łzami w oczach. – I modliłam się, żeby ożyła. Chciałam ją zaczarować, ale była tylko kawałkiem plastiku.

– Sissy – mówię. – Nie wiedziałam. – Pomyśleć, że żyłyśmy obok siebie, a ja nie zdawałam sobie z tego sprawy.

– Może dlatego, że mama nigdy nas nie kochała.

To najbardziej prawdopodobna rzecz, jaką od niej usłyszałam.

– Czy... czy ja wiem? Na pewno kochała nas na swój sposób.

Widzę kobietę, która istniała, zajmowała się dziećmi i wykonywała szereg związanych z nimi czynności, ale czy je kochała? Może byłam zbyt pochłonięta Sissy, żeby zwrócić na to uwagę. Jak mawia moja siostra, ktoś do kochania w dużej mierze przyczynia się do wypełnienia pustki, którą pozostawia deficyt miłości.

– Zresztą wiem, że masz rację – dodaje nieco mniej zgnębnym

głosem.

– Tak?

– Wiem, że nie mogę mieć dziecka – mówi cicho. – I bardzo mnie to martwi. – W tych słowach pobrzmiwa nuta rezygnacji. – Zresztą pewnie nie byłabym zbyt dobrą matką – kapituluje. – Heather? – Z jej twarzy bije spokój, jakby lata cierpienia i niespełnionych marzeń stanowiły tylko echo sennych koszmarów, przebrzmiały w jej niezgłębionym umyśle.

– Tak, Sissy? – odpowiadam. Ma ciepłe dłonie, nieco lepkie od truskawek.

– Przepraszam cię. Naprawdę.

I kładzie mi głowę na ramieniu, tam gdzie jej miejsce.

# Epilog

## ZAPIS PRZESŁUCHANIA

Przesłuchiwana: MORGAN-BROWN, Claudia

Miejsce przesłuchania: Komenda policji, Birmingham

Data przesłuchania: 28/11/11

Czas rozpoczęcia: 10.18 Zakończenia: 11.14

Czas trwania: 56 minut (w tym przerwa)

Numer referencyjny: 11/BH4/03561

Prowadzący przesłuchanie: DI 1093 Adam Scott, DI 2841 Lorraine Fisher

Pozostali obecni: D 8932 Patrick Ainsley

DI Scott: Niniejsze przesłuchanie zostaje zarejestrowane i może zostać wykorzystane w sądzie. Odbywa się na komendzie policji w Birmingham. W tej chwili mamy godzinę dziesiątą osiemnaście, dnia dwudziestego ósmego listopada 2011 roku. Ja jestem detektyw inspektor Adam Scott, oprócz mnie w pokoju znajduje się detektyw inspektor Lorraine Fisher i detektyw Patrick Ainsley.

Jesteśmy tutaj w celu przesłuchania pani w sprawie stawianych jej zarzutów. Proszę się przedstawić.

CMB: Claudia Morgan-Brown

DI Scott: Data urodzenia?

CMB: Czternasty kwietnia 1972 roku.

DI Scott: Proszę o potwierdzenie, że w pokoju nie ma nikogo prócz wymienionych przeze mnie osób.

CMB: Potwierdzam.

DI Scott: Zanim zaczniemy, jestem zmuszony przypomnieć pani, że

ma prawo do niezależnego obrońcy, ale dobrowolnie pani z niego zrezygnowała. W razie gdyby zmieniła pani zdanie, proszę niezwłocznie mnie o tym poinformować, a przerwiemy przesłuchanie. Pouczam panią, że nie musi pani nic mówić, radziłbym jednak udzielać wyczerpujących odpowiedzi na pytania, gdyż zatajenie jakichkolwiek informacji może wyjść na pani niekorzyść w sądzie. Wszystko, co pani powie, może zostać wykorzystane jako dowód. Na koniec wyjaśnię pani procedurę, jaką zostaną objęte taśmy z zapisem przesłuchania.

Czy wie pani, dlaczego została aresztowana?

CMB: Tak.

DI Scott: Proszę mówić głośniej. Czy zaatakowała pani i przyczyniła się do śmierci Sally-Ann Frith około czternastego listopada 2011 roku?

CMB: Tak. Ale nie chciałam, żeby umarli.

DI Fisher: Jak to?

CMB: Po wyjęciu dziecka miałam zadzwonić po karetkę. Nie chciałam, żeby coś jej się stało. Ale zaczęła się szarpać i utrudniła zabieg. Sama była sobie winna.

DI Fisher: Czy pani zdaniem Sally-Ann przyczyniła się do własnej śmierci?

CMB: Owszem.

DI Fisher: Jakie są pani odczucia wobec śmierci jej i dziecka?

DI Scott: Pani Morgan-Brown wzruszyła ramionami.

CMB: Utrudniła mi zadanie. Miałam coraz mniej czasu.

*Dalszy ciąg niewyraźny z powodu czyjś westchnienia.*

DI Scott: Co pani przez to rozumie?

CMB: Ile można być w udawanej ciąży? Musiałam urodzić w terminie. Kiedy nie poszło zgodnie z planem, spanikowałam i wyszłam.

DI Fisher: Czy może nam pani powiedzieć, dlaczego... dlaczego chciała pani zabrać dziecko Sally-Ann?

*Długa cisza.*

CMB: Bo moje umarły. Sally-Ann nie chciała tego dziecka, to jedyny powód, dla którego się zdecydowałam. Zobaczyłam ją w domu towarowym. Dostała szału, krzyczała, że go nie chce. Jestem kuratorką,

pani detektyw. Umiem odróżnić dobrą matkę od złej.

*Kolejna cisza.*

DI Scott: Oskarżona kiwa głową.

CMB: Słuchajcie, próbowałam jej pomóc. Rzuciła się po sklepie, a ja ją uspokoiłam. Pojechałam za nią do domu. Martwiłam się o dziecko, chciałam sprawdzić, czy wszystko w porządku. Przez następne miesiące chodziłam za nią na uczelnię, na zakupy i do lekarza. W moim zawodzie to nic trudnego. Zawsze odwiedzam matki, które nie radzą sobie z sytuacją. Ucieszyłam się na widok jej brzucha. Posłuchała jednak mojej rady.

DI Fisher: Claudia Morgan-Brown pije wodę. Wstała.

DI Scott: Proszę usiąść i mówić dalej.

CMB: Sally-Ann nie wiedziała, że ją obserwuję, chociaż kilka razy zamieniłyśmy dwa słowa. Raz dotknęłam jej brzucha w stołówce i powiedziała, że urodzi dziewczynkę. Nie poznała mnie.

*DI Fisher kaszle.*

DI Scott: Jak nabrała pani wszystkich na ciążę?

DI Fisher: Oskarżona uśmiecha się i potrząsa głową.

CMB: Nie sądziłam, że to możliwe. A jednak. Mówiła, że nikt się nie domyśli, chyba że zobaczy mnie nago.

DI Scott: Kto pani to powiedział?

CMB: Kobieta, która robi te brzuchy i sprzedaje je w sieci. Miała rację. James nie mógł mnie dotykać, dla dobra dziecka. Zresztą prawie go nie ma.

DI Fisher: Proszę opisać ten „brzuch”.

CMB: Został uszyty na miarę. Pasował jak rękawiczka. Mówiła, że dobrze się sprzedają, że niektóre kobiety po prostu lubią być w ciąży. Lubią, jak się wokół nich skacze. Ale ja traktowałam go poważnie. Wreszcie spodziewałam się dziecka, którego nie stracę. W miarę upływu czasu napełniałam go żelam, zgodnie z instrukcją. Wewnątrz znajdowały się obciążniki, więc ruchy dziecka wyglądały bardzo realistycznie. Niewiarygodne, prawda?

DI Fisher: Owszem.

DI Scott: Czy miała go pani na sobie, kiedy zamordowała Sally-Ann?

CMB: Nie. Byłoby mi niewygodnie. Nie zamordowałam jej. Umarła w czasie zabiegu.

DI Fisher: Proszę nam opisać ten... zabieg. Jak pani go przeprowadziła?

CMB: Poszłam do mieszkania Sally-Ann. Zareagowała trochę nerwowo, ale mnie wpuściła. Rozmawialiśmy o dzieciach i innych sprawach. W końcu się rozluźniła.

DI Scott: Czy może pani usiąść? Pani Morgan-Brown bez przerwy wstaje z krzesła.

CMB: Przepraszam. *Niewyraźnie*. Zabawne. Powiedziała, że za parę dni ma cesarkę. Miałam szczęście.

*Cisza.*

Powiedziałam jej, że możemy zrobić to od razu. Zamknęłam drzwi od środka i schowałam klucz. Powiedziałam, że nie będzie musiała jechać do szpitala. Najpierw wzięła to za żart. Mówiłam, że będzie łatwiej, jeśli wejdzie do wanny, ale nie chciała. Kazała mi wyjść. Przyniosłam z kuchni nóż. Chciałam jej to ułatwić, ale krzyczała. Mówić dalej?

DI Scott: Tak.

CMB: Nie chciała siedzieć spokojnie. Byłam od niej silniejsza, ale nie mogłam robić wszystkiego naraz. I nie chciałam skrzywdzić małej. Miała być moja. Nie miałam wyboru, musiałam ogłuszyć Sally-Ann. To nie było gorsze niż znieczulenie.

DI Fisher: Jak pani to zrobiła?

CMB: Znalazłam młotek w szafce pod zlewem. Znów próbowała uciec. Robiła straszny hałas.

DI Scott: Co zrobiła pani z młotkiem?

CMB: Uderzyłam ją w głowę.

DI Scott: Gdzie to było?

CMB: W łazience. Zaciągnęłam ją tam.

DI Scott: Uważa pani, że Sally-Ann zachowywała się irracjonalnie, usiłując pani przeszkodzić?

*Długa cisza.*

CMB: Tak.

DI Scott: Co było potem?

CMB: Upadła. Musiałam ją uderzyć dwa razy.

DI Fisher: Czy miała pani pewność, że tylko straciła przytomność?

CMB: Tak. Widziałam, że oddycha. Musiałam pamiętać o moim dziecku.

DI Scott: Proszę opowiedzieć, co było dalej.

CMB: Czy mogę poprosić jeszcze wody?

DI Fisher: Detektyw Ainsley nalewa wodę. Proszę mówić.

CMB: Wsadziłam ją do wanny. To nie było łatwe. Była ciężka jak kłoda. Pocięłam na niej odzież. I wbiłam nóż. Czy kiedykolwiek wbiła pani nóż w ludzkie ciało?

DI Scott: To my zadajemy pytania. Proszę mówić dalej.

*DI Fisher kaszle i odchrząkuje.*

CMB: To zdumiewająco łatwe. Musiałam uważać na moje dziecko. Zaśpiewałam mu kołysankę, na wypadek gdyby mnie słyszało. I zrobiłam nacięcie. W ten sposób.

DI Fisher: Pani Morgan-Brown rysuje pionową linię od swojego mostka do podbrzusza.

CMB: Wiem, że tak się nie robi, ale chodziło mi o jak największe rozwarcie. A potem stało się coś strasznego.

*Cisza.*

Obudziła się. Patrzyła na mnie na wpół przytomnie, a potem zobaczyła, co robię. I nagle oszalała, zaczęła się rzucać i krzyczeć.

DI Scott: Coś mówiła?

CMB: Błagała, żebym przestała. Ciężko było ją zrozumieć. Potem zaczęła dyszeć. I jakby dostała skurczy.

DI Scott: Widziała pani dziecko?

CMB: Tak, mniej więcej.

DI Scott: I co było dalej?

CMB: Uderzyłam ją i znowu straciła przytomność. Wyciągnęłam dziecko do połowy. Próbowałam przeciąć pępowinę, co nie było łatwe.



Znaczna część znajdowała się w środku, zwinięta głęboko, Sally-Ann miała zaciśnięte mięśnie... jakby nie chciała puścić.

DI Fisher: Dziecko żyło?

CMB: Tak. Ruszało się w moich rękach. Najpierw zobaczyłam pośladki i nóżki. A potem... To był straszny szok.

DI Scott: Jak to?

*Długa cisza.*

CMB: To był zastrany chłopak. Miałam urodzić dziewczynkę.

DI Scott: Zrobimy krótką przerwę.

*Taśma zostaje zatrzymana na osiemnaście minut. Zjawia się funkcjonariusz McMAHON, D AINSLEY zostaje. DI SCOTT i DI FISHER wychodzą z pokoju.*

DI Scott: Przesłuchanie Claudii Morgan-Brown zostaje wznowione o dziesiątej pięćdziesiąt dwie. Obecni pozostają bez zmian.

Pani Morgan-Brown, czy zaatakowała pani Carlę Davis z zamiarem odebrania jej dziecka?

CMB: Tak.

DI Fisher: Dlaczego?

CMB: Ponieważ ona też nie chciała dziecka.

DI Scott: Czy ją również pani ogłuszyła?

CMB: Nie. Nie stawiała oporu.

DI Fisher: Dlaczego, skoro wiedziała, co chce pani zrobić?

CMB: Bo podałam jej narkotyki.

DI Fisher: Jakie?

CMB: Ketaminę. Dużą dawkę. Nie było trudno ją zdobyć. Bez przerwy mam do czynienia z narkomanami, a Carla wiecznie była na głodzie. Wzięła ją z własnej woli.

DI Scott: Co było potem?

CMB: Leżała na sofie. Ułożyłam ją wygodnie. Nóż miałam ze sobą. Tym razem chciałam od razu wezwać karetkę, żeby nic się nie stało. Ale...

DI Scott: Podejrzana trzykrotnie uderzyła twarzą w stół. Ma rozciętą wargę.

CMB: Od dawna znałam Carłę. Mogłam się domyślić.

DI Fisher: Co pani chce powiedzieć?

CMB: Miała wielu chłopaków, nie tylko tego, z którym ją widywałam. Nie pomyślałam... kiedy wyjęłam dziecko, zamarłam. Dziewczynka była prześliczna i chętnie wzięłabym ją do siebie.

*Cisza.*

Ale James nie mógłby być jej ojcem. Nie była biała. Myślałam, że to koniec.

DI Fisher: Ale nie dała pani za wygraną?

CMB: Nie. Nie dałam.

DI Scott: Czy wczoraj miała pani zamiar odebrać dziecko Pip Pearce?

CMB: Dopiero kiedy do mnie zadzwoniła. Prosiła o pomoc. Co miałam robić?

*Cisza. DI Scott i DI Fisher wymieniają szeptem uwagi.*

DI Scott: A zatem przyznaje się pani do zamordowania Sally-Ann Frith i jej nienarodzonego dziecka, próby zamordowania Carli Davis i zabicia jej nienarodzonego dziecka oraz próby odebrania dziecka Pip Pearce?

*Cisza.*

CMB: Tak.

DI Scott: Czy chce pani coś dodać?

CMB *ciężko wzdycha.*

CMB: Chcecie posłuchać o pozostałych?